

JOY FIELDING:

PIERWSZY RAZ:

Tytuł oryginału THE FIRST TIME

Projekt graficzny serii Małgorzata Karkowska

Projekt okładki Anna Seroczynska

Redakcja merytoryczna Jadwiga Fafara

Redakcja techniczna Lidia Lamparska

Korekta Agata Boldok Jolanta Rososińska

1992.

Copyright 2000 by Joy Fielding AU rights reserved

Copyright for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp.

z o.

o. Warszawa 2003

Świat Książki Warszawa 2003

Druk i oprawa Dmktmia Naukowo-Techniczna SA.

, Warszawa

ISBN 83-7311-913-2?

4064

Larry'emu Mirkinowi

Akc..

Podziękowania

Chciałabym skorzystać z okazji i podziękować następującym osobom: Larry'emu Mirkinowi za przyjaźń i przychylną krytykę; doktorowi Keithowi Meloffowi za poświęcenie mi cennego czasu i podzielenie się niezbędną mi wiedzą medyczną;

Beverly Slopen za szczodre słowa i mądre rady; Owenowi Lasterowi za wieczny entuzjizm i nieustające wsparcie; Lindzie Marrow za wyobraźnię, intuicję i dobry smak; Johnowi Pearce'owi zato, że nigdy we mnie nie zwątpił; i na koniec mojemu mężowi Warrenowi oraz moim córkom, Shannoni i Annie, używając słów pewnego fana z Czech: "Dziękuję wam za to, że istniejecie".

Zastanawiała się nad różnymi możliwościami zabicia męża.

Martha Hart, zwana przez wszystkich Mattie, z wyjątkiem matki, która twierdziła, że Martha to urocze imię ("Czy słyszałeś, żeby Martha Stewart chciała zmienić swoje imię?"), pokonywała kolejne długości dwunastometrowego ogrzewanego basenu,

zajmującego większą część obszernego ogrodu za jej domem.

Pływała od lat codziennie przez pięćdziesiąt minut, starannie wystudowaną żabką lub kraulem, poczynając od maja aż do połowy października, z wyjątkiem oczywiście dni burzowych lub z wczesnymi opadami śniegu.

Zwykle był w wodzie już osiódmej, by zdążyć przed wyjściem Jake'a do pracy Kim do szkoły, dziś jednak zasnęła.

Właściwie tonie zmrużyła oka przez całą noc, jeśli nie liczyć tych kilku minut przed dzwonkiem budzika.

Jake, naturalnie, nie miał takich kłopotów i zanim otworzyła oczy, był już na nogach i brał prysznic.

- Dobrze się czujesz?

- zapytał na odchodnym, eleganckim i cholernie przystojnym, po czym wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Mogłaby posłużyć się nożem rzeźnickim - pomyślała, rozgarniając wodę zaciśniętymi pięściami i wbijając wyimaginowane ostrze w serce męża.

Dopłynęła do końca basenu i odbiła się stopami od kamiennego obramowania, wykonując nawrót. Jednak znacznie prostszym sposobem byłoby zepchnięcie goze schodów.

Mogłaby też otruć go, dodając szczyptę arszeniku do jego ulubionego makaronu z parmezanem, jak ten, który.

jedli wczoraj na kolację.

Po posiłku Jak wrócił do biura, gdzie miał pracować nad niezwykle ważną mową końcową nadzisiejsze wystąpienie w sądzie.

Tego właśnie wieczoru, przeglądając kieszenie jej marynarki, którą miała oddać do pralni, znalazła rachunek hotelowy, będący dowodem zdrady, i totak rzucającym się w oczy jak reklama w supermarkecie, która informuje o promocji.

A gdyby go tak zastrzeliła - pomyślała, zaciskając palce pod wodą, jakby naciskała spust rewolweru, a jej wzrok śledził tor wyimaginowanej kul trafiającej w cel, w chwili gdy jej błędny rycerz wstawał z miejsca, by wygłosić mowę.

Widziała, jak zapina granatową marynarkę, a kilka sekund później kula przebija materiał.

Ciemnoczerwona krew spływa wolno po białym złotym krawacie, z twarzy znikają chłopięcy półuśmiech, wargi tężeją i bledną, po czym nie widać nic, bo fiara pada twarzą do podłogi w sali sądowej.

Czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt?

- Śmierć niewinnemu!

- krzyknęła Mattie, kopiąc wodę, jakby chciała zrzucić z nóg krępujące ciężar.

Miała wrażenie, że do jej stóp ktoś przemocował wielkie cementowe bloki, a nogi to jakieś obce przedmioty, które przyszyło jej przez pomyłkę.

Spróbowała stanąć, lecz nie czuła dna basenu, chociaż głębokość w tym miejscu wynosiła metr pięćdziesiąt, a ona była o dwadzieścia centymetrów wyższa.

- Cholera!

- mruknęła, tracąc oddech i polykając porcję chlorowanej wody.

Podpłynęła do brzegu basenu, szpatykowo chwytając powietrzem płuca, podciągnęła się w górę oparła o gładkie brązowe kafelki, czując, jak niewidzialny ciężar wciąż ciągnie jej nogi w dół.

- Dobrze mitak - mruknęła, zanosząc się gwałtownym kaszlem.

- To kara za złe myśli.

Otarła usta, po czym wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Chrapliwe, nieprzyjemne dźwięki odbiły się od powierzchni wody i zadźwięczały w uszach.

Z czego ja się śmieję?

- dziwiła się, nie mogąc się opanować.

- Co się stało?

- postyszała nad głową czyjś głos.

- Nic ci nie jest?

Oślepiła oczy przed ostrymi promieniami słońca, rażącymi ją niczym światło reflektora, ispojrzała w stronę obszernego

10

tarasu z drzewa cedrowego, który mieścił się nad kuchnią piętrowego domu z czerwonej cegły.

Na tle jesiennego nieba odcinała się sylwetka jej córki Kim.

Słoneczny blask, zazwyczaj wyolbrzymiający jej dziewczęce kształty, teraz dziwnieje rozmazywał. Nie miało jednak znaczenia.

Mattie znała figurę i rysy twarzy swego jedyne dziecko równie dobrze, a może nawet lepiej niż swoje własne.

Wielkie niebieskie oczy były ciemniejsze od oczu ojca i większe niż matki, długi prosty nos dziedziczyła po tatusiu, kształtne usta po mamusi, a rozkwitające piersi minęły jedno pokolenie, przechodząc z babci na wnuczkę, i już w wieku piętnastu lat zasługiwały na uwagę.

Kim była wysoka jak rodzice i równie chuda jak ona w jej wieku, lecz miała lepszą figurę.

Nie trzeba jej było przypominać, by ścigała łopatki i trzymała wysoko głowę.

Kiedy stała tak oparta o solidną drewnianą balustradę, chwiejąc się jak młode drzewko na wietrze, Mattie nie mogła oderwać od niej zachwyconych oczu, zastanawiając się, czy to aby jej własna córka.

- Dobrze się czujesz?

- spytała Kim, wysuwając długą kształtną szyję w stronę basenu.

Sięgając ceramion blond włosy miała teraz gładko zaczesane i ściągnięte w schludny mały koczek na czubku głowy.

Mattie czasami żartowała z jej pensjonarskiego wyglądu.

- Stało się coś?

- Nic się nie stało - odpowiedziała niewyraźnie Mattie.

- Nicmi nie jest - powtórzyła i roześmiała się głośno.

- Z czego się śmiejesz?

- chciała wiedzieć Kim, gotowa przyłączyć się do zabawy.

- Moja noga usnęła - wyjaśniła Mattie, opuszczając stopa na dno basenu.

Z ulgą stwierdziła, że nareszcie stoi.

- Wtedy, gdy pływałaś?

- Tak.

Zabawne, co?

Kim wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: "Niezbyt.

Nie na tyle, by robić z tego tyle hałasu", po czym wychyliła się jeszcze mocniej.

- Napewno nic ci nie jest?

- Na pewno.

Napiłam się tylko wody.

Zakaszła, jakby dla podkreślenia tych słów.

Przy okazji zauważyła, że Kim ma na sobie skórzaną kurtkę, i po raz pierwszy tego ranka poczuła wrześnieowy chłód.

- Idę do szkoły - oznajmiła Kim, lecz nie ruszyła się z miejsca.

- Codzisiaj robisz?

- Mam spotkanie z klientem po południu.

Idziemy na wystawę fotograficzną.

- A rano?

-Rano?

- Tata wygłasza dziś swoją mowę końcową -wyjaśniła Kim.

Mattiekiwnęła głową,nie bardzo wiedząc,dokąd ta rozmowa je zaprowadzi.

Popatrzyła na pokrywający sięczerwieniąmajestatyczny klon, rosnący u sąsiadów, i czekała na dalszesłowa córki.

- Na pewno byłby zadowolony, gdybyś poszła do sądupodtrzymać go na duchu.

No wiesz,jak wtedy, gdy występowałam w szkolnym przedstawieniu.

Dla dodania otuchy i takdalej.

I tak dalej - powtórzyła w myślach Mattie i kasznęła.

-No to idę.

- Dobrze, kochanie.

Miłego dnia.

- Tobie też.

Ucałuj ode mnie tatę naszczęście.

- Miłego dnia - powtórzyła Mattie, patrząc,jak Kim znikaw głębi domu.

Wówczas zamknęła oczy i powoli zanurzyła się w wodzie,która sięgnęła do ust i wypełniła uszy,odgradzając ją ododgłosów natury i ludzi.

Nie słyszała już szczekania psów,świergotu ptaków, niecierpliwego trąbieniaklaksonów.

Wszystko umilkło, uspokoił się i znieruchomiło.

Nie było już niewiernych mężów ipytających dzieci.

SkądKim wiedziała?

Jaki radar miało w sobie to dziecko?

Przecież nawet słowem niewspomniała, że odkryła kolejnyromans Jake'a.

Nikomuzresztą o tymnie powiedziała, ani przyjaciółce, ani matce, anijake'owi.

Z trudem powstrzymałabybuch śmiechu.

Czy Kim kiedykolwiek zwierzała się z czegośmatce?

Jeśli zaś chodzi o Jake'a, to nie była jeszcze gotowa narozmowę.

Potrzebowała czasu, by zebrać myśli, tak jak wiewiórka zbiera orzeszki na zimę.

Musiała miećpewność, że do brzesię zabezpieczyła długie zimowe wieczory,bezwzględu na to, jaką podejmie decyzję.

Otworzyła oczy pod wodą i odsunęła z twarzy krótkie blondwłosy.

Tak, jużczas przejrzećnaoczy.

"Przestań się wahać -

12

załkał jejw głowie Jim Morrison.

- Chodź, mała, rozpalwemnie ogień".

Czy na to czekała?

By ktoś rozpałił w niej ogień?

Ilejeszcze rachunków hotelowych musi znaleźć, by podjąćdecyzję?

Nadszedł czas na działanie i na pogodzenie się z oczywistymi faktami dotyczącymi jejmałżeństwa.

"Wysoki Sądzie, chciałabym przedstawić ten rachunek hotelowy jako dowód".

- Niech cię diabli, Jasonie Hart!

- prychnęła, wypływającna powierzchnię i wciągającgwałtownie powietrze w płuca.

Pełne imię męża zabrzmiałojej w uszach dziwnie obco.

Odkąd się poznali przed szesnastu laty, nie zwracała się do niego inaczej niż Jake.

"Rozpał we mnie ogień.

Rozpalwe mnie ogień".

- Mattie,przedstawiam ci Jake'a Harta -powiedziała jejprzyjaciółka Lisa.

- To ten przyjaciel Todda.

Opowiadałamci o nim.

- Jake - powtórzyła i uznała, że ładnie brzmi.
- Czy to zdrobnienie od Jacksona?
 - Właściwie to od Jasona, ale nikt tak do mnie niemówi.
 - Miło mi cię poznać, Jake.
- Rozejrzała się po głównej sali biblioteki Uniwersytetu Loyoli, oczekując, że za chwilę któryś z pogrążonych w nauce studentów zacznie ich uciszać.
 - A Matti to skrót od Matyldy?
 - Od Marthy - odparła z zakłopotaniem.

Jak matka mogła uraczyć ją tak staromodnym, nieciekawym imieniem, bardziej pasującym do któregoś z jej ukochanych psów niż do córki?

- Ale mów do mnie Mattie.

- Chciałbym.
- to znaczy bardzo chętnie.

Kiwnęła głową, nie spuszczając wzroku z jego ust.
Wydatna górna warga była lekko wysunięta nad dolną.
Uznała, że są bardzo zmysłowe, i wyobraziła sobie, jak je całuje, jak czujecie wargi na swoich.
- Przepraszam - usłyszała swój zdyszany głos.

- Co mówiłeś?

- Podobno specjalizujesz się w historii sztuki.
Ponownie kiwnęła głową, z trudem przenosząc wzrok na niebieskie oczy o tym samym odcieniu co jej własne.

Tylko rzęsy miały dłuższe.

Czy to w porządku, by facet miał takie długie rzęsy i takie zmysłowe usta?

- A co właściwie robią historycy sztuki?

- Nie mam pojęcia - wyrwało jej się, tym razem zbyt głośno, bo ktoś powiedział: "Ciii!

"

- Miałabyś ochotę pójść gdzieś na kawę?

Nie czekając na odpowiedź, wziętą pod ramię i wyprowadził z biblioteki, jakby nie miał wątpliwości, że się zgodzi.

Niemiał również wątpliwości, pytając, czy poszłaby wieczorem do kina, i potem, gdy zaprosił ją do mieszkania, które dzielił z kilkoma kolegami z roku, jak on - studentami prawa, a także później, gdy zaprosił ją do łóżka.

Potem było już zapóźno.

Po dwóch krótkich miesiącach znajomości, w czasie których uległa czarowi jego długich rzęs i niezwyklej delikatności zmysłowych warg, odkryła, że jest w ciąży.

Tego dnia oznajmiła jej, że powinni zwolnić, ochłonąć i zerwać przynajmniej na jakiś czas.

"Jestem w ciąży" - powiedziała, z trudem wydobywając z siebie głos.

Rozmawiali o aborcji, potem o adopcji, aż w końcu przestali rozmawiać i wzięli ślub.

Albo wzięli ślub i przestali rozmawiać - pomyślała, wychodząc z wody biorąc starannie złożone karmazynowe prześcieradło, leżące nabiiałym płóciennym łożku, zasypała je panelami opadającymi z drzew.

Jednym końcem ręcznika wytarła włosy, a drugim ciasno się owinęła.

Teraz wiedziała, że Jake tak naprawdę zamierzał się z nią żenić, chociaż oboje udawali, przynajmniej na początku, że chcą tego związku.

Po zerwaniu doszedłby do wniosku, że ją kocha, i wróciłby do niej.

Tylko że jej nie kochał, ani wtedy, ani teraz.

I ona też nie była pewna, czy go kiedykolwiek kochała.

Fascynowała ją, to prawda.

Pociągała ją jego męska uroda, naturalny wdzięk, ale czy można to nazwać miłością?

Zresztą nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Wszystko działo się zbyt szybko.

Umocowała ręcznik na biuście, wbiegła po dwunastu drewnianych schodach, rozsunęła szklane drzwi i weszła do kuchni, zostawiając mokre ślady na dużych ciemnoniebieskich kaflach podłogi.

Widok kuchni wywoływał zwykle uśmiech na jej twarzy.

Pomieszczenie tonęło w błękitach i słonecznych żółciach, miało nierdzewne urządzenie okrągły stół marmurowym blatem, ozdobiony ręcznie malowanymi owocami.

Wokół stołu stały cztery krzesła z wikliny i kutego żelaza.

Marzyła

14

(

o takiej kuchni, odkąd zobaczyła jej zdjęcie w "Architectural Digest", opisującym kuchnie Prowansji.

Osobiście doglądała jej remontu.

Do domu przy Walnut Drive przeprowadzili się przed czterema laty.

Jake był przeciwny remontowi, podobnie jak przeprowadzce na peryferie miasta, mimo że z Evanston do centrum Chicago było zaledwie piętnaście minut jazdy samochodem.

Nie chciał się ruszać z mieszkania na Lakeshore Drive, chociaż zgadzał się z Mattie, że przedmieścia są bezpieczniejsze, mają lepsze szkoły i będą mieli więcej miejsca.

Jedynym argumentem przemawiającym przeciw przeprowadzce była jego własna wygoda, lecz wiedziała, że kryje się za tym coś więcej.

Dla mężczyzny często nieobecne go dom zamiastem kojarzyli się z czymś straszącym, a on tego nie chciał.

Ale w końcu go przekonała, że to dla dobra Kim, i wtedy już się nie sprzeciwiał.

Dla Kim wszystko.

W końcu ożenił się z nią ze względu na Kim.

Pierwszy raz zdradził ją tuż po drugiej rocznicy ślubu.

Na obciążający dowód natknęła się, gdy przygotowując pranie, sprawdziła kieszenie jego spodni. Znalazła w nich kilka liścików miłosnych ozdobionych małymi serduszkami.

Podarłaje i wrzuciła do sedesu, lecz pachnące lawendą kawałki wypłynęły na powierzchnię, nie dając się splukać.

Był to znak zapowiadający kłopoty, lecz wtedy nie dostrzegła jego symboliki.

W ciągu prawie szesnastulat małżeństw pojawiały się kolejne takielściki, nieznanne numery telefonów zapisane na pozostawionych przez nieuwagę kawałkach papieru, obce głosy nagrane na sekretarkę, wypowiedane półgłosem uwagi przyjaciół, a teraz to, rachunek sprzed kilku miesięcy z hotelu Ritz-Carlton.

Mniej więcej w tym właśnie czasie powiedziałyśmy, że chciałyby mieć drugie dziecko.

Dlaczego był taki niedyskretny?

Czyżby chciał się w ten sposób dowartościować?

Czy bez jej wiedzy te romanse miałyby takiego smaczku, nawet jeżeli nie chciała ich uznać?

Czy właśnie do tego dążył, by się z nimi pogodziła?

Bo wiedział, że jeżeli tak się stanie, jeżeli zmusi ją do reakcji, będzie to oznaczało koniec ich małżeństwa.

Czy taki był jego zamiar?

A ona czy też tego chciała?

Może podobnie jak on była zmęczona tą małżeńską migówką.

- Może - powtórzyła głośno, patrząc na swoje odbicie

15.

w przydymionej szybcie mikrofalówki.

Nie była brzydka - jakowysoka blondynka o niebieskich oczach mogła uchodzić zawzór amerykańskiej dziewczyny.

I miała dopiero trzydzieściszczęść lat, mogła się więc podobać.

- Ja teżpowinnamwiązać romans -szepnęła doszaregoodbcicia z mokrymi smugami łez.

Wyrażało ono zaskoczenie,skonsternowaniei strach.

Już raz próbowałaś - szepnął jejgłos.

Niepamiętasz?

Utkwiła wzrok w podłodze.

- To było tylko raz i jedyniedla zemsty.

Więczrób to dlazemsty.

Pokręciła głową, a krople z mokrych włosówutworzyły napodłodze małe kałuże.

Ten romans, jeżeli epizod jednej nocymozna nazwać romanssem, zdarzył się przed czterema laty,tuż przed ich przeprowadzką do Evanston.

Byłszybki, dzikii właściwie należałoby o nim zapomnieć, Mattie jednak niemogła wyrzucić go z pamięci,choćaż starała się zcałych sił robiła, co mogła, by na niego nie patrzeć, gdy wbijał sięw nią z impetem.

Był prawnikiem jak jej mąż,ale pracowałwinnej kancelarii i specjalizował się winnej dziedzinie prawa.

Zajmował się tam sprawami osób związanych ze światemrozrywki.

Powiedział jej,że jest żonatyi ma trójkędzieci.

Jego firma zatrudniła ją, by wybrała obrazy do biura, a ontlumaczył jej, o coim chodzi, a potemosunął się dalej i wyjaśnił, o cojemu chodzi.

Powinna być zaskoczona iżłajakwówczas, gdyposłuchała rozmowę mężaumawiającego sięna obiad ze swoją najnowszą sympatią, zamiast tego zgodziła się na spotkanie.

Zaaranżowała je tak, by znaleźć się włózkuz tym mężczyzną tego samego wieczoru co mąż zeswojąprzyjaciółeczką.

Ciekawe, czyorgazmy też mieli w tym samymczasie.

Nigdy więcej nie spotkała się z tym mężczyzną, chociażtelefonował do niej kilka razy pod pretekstem przedyskutowania zakupu obrazów,które wybrała dla firmy.

Potem przestał dzwonić, a kancelaria wynajęłainnego dekoratora, któregogust artystyczny"bardziej odpowiadał oczekiwaniom firmy".

Nigdy nie powiedziała Jake'owi o romansie, chociaż powinno to zrobić.

Zemsta wtedy jest słodka, gdyosoba, którąmadotknąć, dowie się o niej.

Ale jakoś nie mogła się na tozdobyć/nie dlatego, że nie chciała go zranić, ale dlatego, że

16

gdyby mu powiedziała, dałaby mu do ręki argument przemawiający za tym, że powinien odejść.

Nie powiedziała więc nic, a życie potoczyło się dalej.

Ciągnęli tę grę pozorów,którą nazywali wspólnym życiem - miłogawędzili przy śniadaniu, spotykalisie z przyjaciółmi, kochalisie kilka razy w tygodniu, nawet częściej, gdy miał romans;

klócili się o wszystko i o nic, z wyjątkiem tego, o co naprawdęim chodziło.

"Pieprzysze się z innymi kobietami!

" - krzyczaławmyślach, gdy mówiła mu, że chciałaby wyremontować kuchnię.

"Ja nie chcę tu mieszkać!

" - odrzzykiwał,robiąc jej wymówki, że wydaje zbytdużo pieniędzy, że musi się ograniczyć.

Czasami ich gniewne głosy budziły Kim,która przybiegała doich sypialni i natychmiast brała stronę matki, co dawało imprzewagę.

Ale czy robiło to na nimwrażenie, skoro był z nimitylko ze względu nacórkę?

MożeKim ma rację -pomyślała, spoglądającna umocowanyprzyścianie telefon.

Może potrzebny był jedynie jakiś niewielki gest zachęty z jej strony, mówiący o tym, że docenia jegocięzkępracę ito, co robi dla rodziny.

Sięgnęła po słuchawkę,zawahała się i postanowiła, że najpierwzadzwońdo swojejprzyjaciółki Lisy.

Lisa na pewno jej coś doradzi.

Zawsze wiedziała, co należy robić.

Poza tym była lekarzem, a lekarzezną odpowiedź na wszystkie problemy.

Wcisnęła kilka pierwszych cyfr i odwiesiła słuchawkę.

Nie mogła przecież zawracać głowy przyjaciółce w samym środku pracowitego dnia.

Samą musi rozwiązać własne problemy.

Szybko wystukała numer prywatnej linii Jake'a.

On wie, że to ja - uświadomiła sobie przy trzecim sygnale, starając się pozbyć denerwującego mrowienia w prawej stopie.

Zastanawiała się pewnie, czy podnieść słuchawkę.

- Oto jakie są przyjemności z aparatów informujących o tym, kto dzwoni - prychnęła gniewnie, wyobrażając sobie Jake'a siedzącego za ciężkim dębowym biurkiem, zajmującym jedną trzecią powierzchni niewielkiego gabinetu na czterdziestym pierwszym piętrze budynku Johna Hancocka w centrum Chicago.

Pokój ten, podobnie jak trzysta dwadzieścia innych, należących do renomowanej kancelarii Richardson, Buckley

Langley miał wielkie, sięgające odsufitu do podłogi okna, ^ziły na Michigan Avenue, i stylowe dywany

Berbera.

Był jednak co najmniej o połowę za mały, by pomieścić rozwijającą się praktykę Jake'a, który zyskiwał coraz większą popularność, zwłaszcza ostatnio, odkąd prasa zrobiła z niego kogoś w rodzaju lokalnej znakomitości.

Wyglądało nato, że jejmąż ma talent do wygrywania beznadziejnych spraw.

Wątpiła jednak, czy ten talent w połączeniu z męską urodą wystarczy do uzyskania wyroku uniewinniającego dla chłopaka, który przyznał się do zabicia matki, a potem pochwalił się tym przed kolegami.

Czyżby Jake wyszedł już do sądu?

Spojrzała na dwa wiszące w kuchni zegary.

Ten nad mikrofalówką wskazywał godzinę 8.

32, a ten nad kuchenką - 8.

34. Już miała się rozłączyć, gdy między czwartym a piątym sygnałem ktoś podniósł słuchawkę.

- O co chodzi, Mattie?

- Posłyszała dzwoniący głos Jake'a, w którym brzmiał pośpiech, oznaczający, że ma niewiele czasu.

- Cześć, Jake - zaczęła delikatnym ciepłym tonem.

- Takszybko dziś wyszedłeś, że nie zdążyłam życzyć ci powodzenia.

- Przepraszam, ale nie mogłem czekać.

Musiałem.

- W porządku, nic się nie stało.

Nie chciałam, byś tak to odebrał.

- Wystarczyło dziesięć sekund, a już sprawiła, że poczułam się niezręcznie.

- Chciałam tylko życzyć ci powodzenia.

Właściwie takie życzenie jest zbędne, bo jestem pewna, że wygrasz.

- Szczęścia nigdy za wiele - odpowiedział.

Myśl godna uwiecznienia - przemknęło jej przez głowę.

- Mattie, naprawdę muszę już iść.

Miło mi, że dzwonisz.

- Myślałam, że może wpadłabyś do sądu.

- Nie rób tego - rzekł szybko.

Zbyt szybko.

- To znaczy naprawdę nie ma potrzeby.

- Wiem, co to znaczy - odparła, nie ukrywając rozczarowania.

Oczywiście miał powód, by nie chcieć, żeby przyszedł do sądu.

Ciekawe, jak ten powód wygląda - zastanowiła się, zaraz jednak odepchnęła odsiebie tę nieprzyjemną myśl.

- Tak czy owak zadzwoniłam, by życzyć ci szczęścia.

- Ile razy już to powtórzyła?

Trzy?

Cztery?

Powinna wiedzieć, kiedy schować dumę do kieszeni, pożegnać się i wyjść wdziękiem.

- Zobaczymy się później - powiedział wesołym tonem Jake, zupełnie odpowiednim do przekazywanej informacji.

- Uważaj na siebie.

18

- Jake - zaczęła, lecz albo nie usłyszał, albo udał, że nie usłyszy i za całą odpowiedź otrzymała odgłos odkładanej słuchawki.

Cóż takiego chciała mu powiedzieć?

Że wie o jegoromansie, że czas przyznać, iż żadne z nich nie jest szczęśliwe w tej ciągnącej się małżeńskiej farsie i czas ją skończyć?

"Balsię skończył" - zabrzmiała jej w uszach fragment piosenki.

Odłożyła słuchawkę i przeszła z kuchni do wielkiego hallu.

Prawa stopa znów usnęła i Mattie nie mogła utrzymać równowagi.

Skakała przez kilka sekund na jednej nodze, usiłując drugą dotknąć podłogi.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że się przewraca i nic nie może zrobić, aż w końcu klapnęła z impetem na dywan w kolorze błękitno-złotym.

Znieruchomiała w pełnej zaskoczenia ciszy, czując się upokorzona całym zdarzeniem.

- Niech cię diabli, Jake!

- mruknęła, potykając cisnące się do oczu.

- Dlaczego nie mógłbyś mnie kochać?

Czy to

takie trudne?

Może wówczas mogłaby odwzajemnić jego uczucie.

Siedziała bez ruchu, owinięta wilgotnym ręcznikiem kąpielowym, który moczył piękny francuski dywan, śmiała się tak gwałtownie, że łzy ciekły jej po policzkach.

2

- Przepraszam- powiedziała Mattie w przejściu, zawadzając o twarde kolana potężnie zbudowanej kobiety, ubranej w różne odcienie błękitu.

Kierowała się w stronę wolnego miejsca w środku ósmego i zarazem ostatniego rzędu w sektorze dla gości, mieszczącego się w sali sądowej numer 703.

- Przepraszam- powtórzyła, mijając parę w starszym wieku, siedzącą obok kobiety w błękitach, a potem jeszcze raz do atrakcyjnej młodej blondynki, koło której miała siedzieć przez większą część przedpołudnia.

Czy to z jej powodu Jake nie chciał, aby przyszła dziś dosądu?

Rozpięta beżowy płaszcz iza sunęła go z ramion, starając się nikogo przy tym nie potrącić.

Niestety, łokcie utkwiły

19.

w rękawach, musiała więc obrócić się na siedzeniu, by je uolnić, i potrafiła przy tym nie tylko atrakcyjną blondynkę z prawej strony, lecz równie atrakcyjną z lewej.
Czyżbyw Chicago mieszkały same atrakcyjne blondynki i wszystkimusiałły przyjść dziś ranodo sądu?

Może pomyliła sale.

Możezamiast sprawy: Hrabstwo Cook przeciwDouglasowiBryantowi, trafiła na zlot atrakcyjnychmłodych blondynek.

Czyone wszystkie spały z jejmężem?

Wzrok Mattie pobiegł kuprzodowi sali.

Dostrzegła Jake'asiedzącego przy stole dla obrony.

Z pochyloną głową rozmawiałze swoim klientem, pospolitym dziewiętnastolatkiem,który czuł się najwyraźniej nieswojo wbrązowym garniturzeikolorowym krawacie.

Wyglądał nazakłopotanego, jakby,podobnie jak ona, trafiłdo niewłaściwej sali i zastanawiał się,co tu robi.

A co ona tu robiła?

CzyJakeniepowiedział wyraźnie, żebynie przychodziła?

To samo poradziła jej Lisa, kiedy Mattiezdecydowała się doniej zadzwonić.

Powinnawstać i wymknąćsię, zanim mąż ją zauważy.

Przyjście tutaj było wielkim błędem.

Co ona sobie wyobrażała?

Zebędzie jejwdzięczny zawsparcie, co sugerowała Kim?

Czy po to przyszła?

Żeby gowesprzeć na duchu?

A może miała nadzieję przyjrzeć się najnowszej kochance?

Kochanka - myślała, smakując to słowo i walcząc nagłymatakami mdłości.

Rozejrzała się po sali i dostrzegła w pierwszymrzędzie dwie chichoczące młode brunetki.

Za młode izbytńiedojrzałe.

Zupełnienie w typie Jake'a, chociażak po prawdzie to nie bardzo wiedziała, jakie kobiety podobają się mężowi.

Na pewno nie ja - pomyślała, zatrzymując wzrok na kasztanowych lokach w drugim rzędzie z brzegu.

W końcu jej uwagęprzykuł klasyczny profil okolonykruczoczarnymi włosami.

Jegowłaścicielka była jednym z młodszych współników w firmiemęża i zaczęła w niej pracę w tym samym czasie co Jake.

Shannon jakaś tam.

Chyba była specjalistką od planów majątkowych czy czegoś równie niezrozumiałego.

Co ona tu robiła?

Jakby wyczuwając jej wzrok,Shannonjakaś tam odwróciła głowę, zauważyła Mattie i uśmiechnęła się lekko.

Zastanawiasię, skąd mnie zna - pomyślała Mattie, odwzajemniając uśmiech.

Mattie Hart - mówił jejuśmiech - żona Jake'a, bo20

hatera dnia,dla którego wszyscyujesteśmy, którego zapewnewczoraj w nocy widziałaś w bardziejintymnej sytuacji.

Shannon jakaś tam uśmiechnęła się szerzej.

Ach, taMattieHart!

- Jaksię masz?

- zapytała.

- Świetnie - odparła Mattie, wyciągając łokieć z rękawai słysząc trzask pękającychchnici.

- A ty?

- Doskonale - padła natychmiastowa odpowiedź.

-Miałam zamiar do ciebie dzwonić -usłyszała swójgłos.

-Chcę zmienićtestament.

- Naprawdę?

Kiedy to postanowiła?

Uśmiech zniknął z twarzy Shannon.

- Co?

Może nie jest specjalistką od testamentów - pomyślała Mattie spuściła wzrok, sygnalizując koniec rozmowy.

Kiedy ponownie podniosła wzrok, z ulgą stwierdziła, że Shannon, kimkolwiek była i z kimkolwiek sypiała, patrzy ku przodowi sali.

Powinam teraz wstać i wyjść, zanim zrobię z siebie kompletną idiotkę - pomyślała.

Chciał zmienić testament?

Skąd jej to przyszło do głowy?

- Pomogę pani.

- Siedząca z lewej strony blondynka pociągnęła za rękaw płaszcza i uśmiechnęła się do Mattie tak, jak ona zwykle uśmiechała się do matki, w sposób trochę wymuszony, z litością raczej niż z życzliwością.

- Dziękuję.

Obdarzyła kobietę najszczęśliwszym ze swoich uśmiechów, który mówił: "Właśnie o to mi chodziło".

Ta jednak odwróciła głowę i patrzyła wyczekująco ku przodowi sali.

Mattie wygładziła fałdy szarej wełnianej spódnicy i sięgnęła do kołnierzyka białej bawełnianej bluzki.

Siedząca z prawej strony blondynka, ubrana w różowy sweter z angory i granatowe spodnie, obrzuciła ją znaczącym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: "Czy nie potrafisz usiedzieć w spokoju?"

"Mattie dała, że tego nie widzi.

Powinna była włożyć coś innego, coś mniej szkolnego, mniej pensjonarskiego - pomyślała z uśmiechem na wspomnienie Kim.

Coś bardziej miękkiego, na przykład różowy sweter z angory.

Co prawda nie lubiła angory, bo była na nią uczulona.

Teraz też poczuła łaskotanie w górnych partiach nosa i miała za ledwie tyle czasu, by sięgnąć do torebki po chusteczkę i ukryć w niej nos, nim przeszła przez potężne kichnięcie.

Czy Jake ją usłyszał?

21.

- Na zdrowie - powiedziały obie blondynki, odsuwając się od niej.

-Dziękuję - odparła, rzucając ukradkowe spojrzenie wstronę męża.

Na szczęście wciąż był pochłonięty rozmową z klientem.

- Przepraszam.

-Ponownie kichnęła i znowu przeprosiła.

Siedząca przed nią kobieta obróciła się i utkwiała w niejspojrzenie brązowych, upstrzonych złotymi plamkami oczu.

- Wszystko w porządku?

- spytała głębokim i lekko chrypliwym głosem, znacznie starszym, niż wskazywałaby na tookrągłą twarz, okolona burzą rudych loków.

Nic w tej twarzy do siebie nie pasuje - pomyślała, dziękując kobiecie za troskę.

W tym momencie nastąpiło lekkie poruszenie, bo urzędnik sądowy poprosił wszystkich o powstanie i za stołem sędziowskim zasiadła atrakcyjna czarna kobieta, z przyprószonymi siwizną czarnymi kręconymi włosami.

Dopiero wtedy Mattie dostrzegła sędziów przysięgłych, siedmiu mężczyzn i pięć kobiet oraz dwóch zmienników.

Większość z nich była w średnim wieku, chociaż kilkoro wyglądało na bardzo młodych, a jeden mężczyzna zbliżał się chyba do siedemdziesiątki.

Sześcioro z nich to biali, czworo - czarni, troje pochodzenia hiszpańskiego i jeden Azjata.

Ich twarze odzwierciedlały różnego stopnia zainteresowania, powagi i zmęczenia.

Proces ciągnął się już prawie trzy tygodnie.

Obie strony zdążyły przedstawić swoje argumenty.

Sędziowie przysięgli usłyszeli wszystko, choć cieli usłyszeć.

Teraz pragnęli wrócić do swoich zajęć, rodziny dotychczasowego życia.

Nadszedł czas na podjęcie decyzji.

Dla mnie też - pomyślała, pochylając się przód, gdy sędzia polecił zabrać głos prokuratorowi.

Najwyższy czas podjąć jakąś decyzję.

"Rozpal wemnie ogień".

"Rozpal we mnie ogień".

Prokurator wstał ze swego miejsca, zaplątał guzik szarej marynarki, podobnie jak robili to adwokaci w telewizji, i podszedł do ławy przysięgłych.

Był wysokim mężczyzną około czterdziestki, opociągłej twarzy idługim, orlim nosie.

W sektorze dłagości nastąpiło wyraźne poruszenie, jakby wszyscy przesunęli się nagle do przodu, po czym zaległa pełna napięcia cisza.

- Panie i panowie - zaczął prokurator, spojrzał na każdego z przysięgłych w oczy i uśmiechnął się.

- Dzień dobry.

- Sę22

dziowie przysięgli posłusznie uśmiechnęli się, a jedna z kobiet dyskretnie ziewnęła.

- Chciałbym wam podziękować za cierpliwość w ciągu tych ostatnich kilku tygodni.

- Urwał i przełknął ślinę.

Wielkie jabłko Adama uniosło się nad jasnoniebieskim kołnierzykiem koszuli.

- Moim obowiązkiem jest przedstawienie podstawowych faktów tej sprawy.

Nagły atak kaszlu wycisnął Mattie łzy z oczu.

- Na pewno dobrze się pani czuje?

- zapytała blondynka z lewej, ofiarowując jej chusteczkę, natomiast ta z prawej przewróciła z irytacją oczami.

Toty, prawda?

- pomyślała Mattie, wycierając łzy.

To tysypiasz z moim mężem.

- Dwudziestego czwartego lutego wieczorem - mówił prokurator - Douglas Bryant wrócił do domu z zakrapianego alkoholem spotkania z przyjaciółmi i stanął twarzą w twarz z swoją matką, Constance Fisher.

Doszło do kłótni i Douglas Bryant wybiegł z domu.

Wrócił do baru i wypił kilka kolejek.

W domu był o drugiej w nocy.

W tym czasie matka zdążyła już się położyć.

Douglas Bryant wszedł do kuchni, wyjął z szuflady długi, ostry nóż, udał się do sypialni i ze spokojem wbił go matce w brzuch.

Możemy sobie tylko wyobrazić przerażenie Constance Fisher, kiedy uświadomiła sobie, co się dzieje, i z heroicznym wysiłkiem próbowała bronić się przed ciosem.

W sumie Douglas Bryant zadał matce czternaście ciosów.

Jeden z nich przebił płuco, inny trafił prosto w serce.

Jakby nie dość na tym, Douglas Bryant poderżnął matce gardło z taką siłą, że omal nie odciął jej głowy.

Potem wrócił do kuchni tym samym nożem przyszykował sobie kanapkę, następnie wziął prysznic i położył się spać.

Rano poszedł do szkoły i pochwalił się kolegom, że zabił matkę.

Jeden z nich wezwał policję.

Prokurator dalej przedstawiał podstawowe fakty.

Przypomniał sędziom przysięgłym o świadkach, którzy potwierdzili, że Constance Fisher bała się syna, że na narzędziu zbrodni znaleziono odciski palców Douglasa Bryanta, że na jego ubraniu była krew matki i tak dalej, fakt za faktem.

Już jeden wystarczał, by pogrążyć chłopaka, ale wszystkie razem miały w sobie niszczącą siłę.

Co mógł powiedzieć Jake Hart, by zmniejszyć ciężar tej zbrodni?

23.

- Wszystko to brzmi bardzo przekonująco - posłyszała głos Jake'a, jakby czytał w jej myślach i mówił bezpośrednio do niej.

Właśnie wstał z miejsca.

Marynarkę klasycznego niebieskiego garnituru miał już zapiętą.

Z zadowoleniem zauważyła, że posłuchał jej rady i włożył białą koszulę zamiast niebieskiej.

Natomiast krawatu w kolorze ciemnego burgunda nieznała.

Jake uśmiechnął się jak Elvis, podwijając górną wargę, i zaczął mówić lekkim, swobodnym tonem, w którym brzmiały intymne nuty, co stało się jego znakiem rozpoznawczym.

Tęton sprawiał, że każdy czuł się, jakby Jake mówił tylko do niego.

Mattie patrzyła z podziwem, jak sędziowie przysięgli poddają się jego czarowi i słuchają wytężoną uwagą.

Sąsiedki Mattie poruszyły się nerwowo, polerując kształtnymi pośladkami twarde drewniane siedzenia.

Czy on musi być tak cholernie pociągający?

- pomyślała.

Wiedziała jednak, że Jake zawsze traktował swój wygląd raczej jako przekleństwo niż dar i w ciągu czterech lat praktyki adwokackiej - w tym osiem spędził w kancelarii Richardson, Buckley i Lang - usilnie pracował nad tym, by zatuszować naturalną urodę.

Uświadomił sobie, że wielu jego kolegów uważa, iż wszystko przychodzi mu zbyt łatwo - uroda, sukcesy, instynkt podpowiadający, które sprawy wziąć, a które odrzucić.

Ale Mattie wiedziała, że Jake pracował równie ciężko jak inni, a nawet ciężiej, bo przychodziło do biura przed ósmą i rzadko wychodził przed dwudziestą.

Zakładając, że rzeczywiście nim bywał, a nie w hotelu Ritz-Carlton, pomyślała, krzywiąc się, jakby otrzymała bolesny cios.

- Pan Doren przedstawił fakty, jakby były czarne albo białe - ciągnął Jake, pocierając brzeg nosa.

- Constance Fisher była oddaną matką i wierną przyjaciółką, kochaną przez tych, którzy ją znali.

Jej syn był porywczym chłopcem, któremu niewiodło się w szkole i każdy wieczór spędzał w barze.

Ona była święta, on diabłem wcielonym.

Ona żyła w śmiertelnym strachu, on był jej śmiertelnym wrogiem.

Ona szukała lepszego życia dla syna, on był jej najstraszniejszym koszmarem.

- Urwał i spojrzał na swojego klienta, który poruszył się na krześle.

- Wszystko to wydaje się bardzo proste - podjął swój wywód Jake, przenosząc wzrok na sędziów i niepostrzeżenie zarzucając na nich niewidzialną sieć.

- Problemem jest to, że

24

nic nie jest takie proste, jak się wydaje.

Każdy o tym wie.

- Kilku sędziów uśmiechnęło się na znak potwierdzenia.

- Wiadomo również, że kiedy zmieszamy kolor czarny z białym, otrzymamy szary.

A odcieni szarości jest wiele.

W tym momencie odwrócił się od ławy przysięgłych i podszedł do stołu, przy którym siedział oskarżony, doskonale wiedząc, że sędziowie śledzą każdy jego krok.

Dotknął ramienia chłopca.

- Przyjrzyjmy się więc przez chwilę różnym odcieniom szarości.

Możemy to zrobić?

- spytał, odwracając się w stronę sędziów, jakby oczekiwał od nich pozwolenia.

Jedna z kobietkiwnęła głową.

- Najpierw przyjrzyjmy się bliżej Constance Fisher, oddanej matce i wiernej przyjaciółce.

Nie chcę obwiniać ofiary - powiedział, a Mattie zdusiła śmiech, wiedząc, że właśnie zamierza to zrobić.

- Constance Fisher była oddaną matką i wierną przyjaciółką.

Ale..

- pomyślała Mattie.

- Ale wiem również, że była sfrustrowaną, zgorzkniałą kobietą, która znęcała się nad

synem, często posuwając się do fizycznej przemocy.

- Urwał, pozwalając, by opadł ciężar jego słów.

- Nie staram się przez to powiedzieć, że Douglas Bryant był łatwym dzieckiem, bo nie był.

Wiele z tego, co o nim mówił prokurator, to prawda i ci znasz, którzy mają dzieci, rozumieją, jak sfrustrowana musiała być jego matka, usiłująca wychowywać dziecko, które jej nie słuchało, które obwiniało ją za odejście ojca, które przyczyniło się do rozpadu jej drugiego małżeństwa z Gene'em Fisherem, które nie okazywało jej miłości i szacunku, na jakie zasługiwała.

Ale zatrzymajmy się w tym miejscu - dodał, przerywając w chwili, gdy wszyscy wstrzymali oddech, czekając na dalszy ciąg.

Jak często stosował tę sztuczkę?

- pomyślała Mattie, zdając sobie sprawę, że ona również wstrzymuje oddech.

- Zastanówmy się nad źródłem tego gniewu - podjął Jake po pełnych pięciu sekundach, ponownie przyciągając uwagę słuchaczy.

- Mali chłopcy nie rodzą się źli i nie zaczynają odienawości do matek.

Mattie przycisnęła dłoń do ust.

A więc dlatego przyjął tę sprawę.

Idlatego wygra.

Bo miała osobiste odniesienia.

Praktyka adwokacka jest prawie zawsze odbiciem osobowości

25.

adwokata - powiedział jej kiedyś.

Idąc dalej, czy można uznać, że sala sądowa jest w takim razie odpowiednikiem kanapyw gabinecie psychiatry?

Słuchała opowieści męża o koszmarze upokorzeń, jaki Douglas Bryant musiał znosić ze strony matki - o myciu zębówmydłem, kiedy był mały, ciągłym obrzucaniu wyzwiskami, nazywaniu go głupim i bezwartościowym, częstym biciu, którego wynikiem były udokumentowane liczne siniaki i złamaności, co z kolei wywoływało w nim ataki wściekłości, kiedy już nie mógł dłużej znosić obelg.

Nauka nazywa to syndromem maltretowanego psychicznie dziecka - dodał z powagą, cytującopinię biegłych psychiatrów.

Czy tak było z tobą?

- pomyślałaMattie, wiedząc, że nieotrzyma na to pytanie odpowiedzi.

Kiedy zaczęli się spotykać, Jake wspominałcośniejasno o trudnym dzieciństwie, co Mattie ujęło, bo sama była ofiarą takiego dzieciństwa.

Jednak imdłużej ze sobą chodzili, tym Jake stawał się mniej skory dozwozeń, akiedy próbowała wyciągnąć od niegojakieś szczegóły, zamykał się sobie i unikał jej czasami przez kilka dni, dopóki nie zrozumiała, że nie należy pytać go o rodzinę.

Mielize sobą tyle wspólnego: szalone matki, nieobecnych ojców, brak rodzinnegociepla.

Często o tymmyślała podczas cichychdni, jakie zdarzały się w czasie ich małżeństwa.

Zamiast rodzeństwemMattie dzieliła dzieciństwo z licznymi psami matki, których nigdy nie było mniej niż sześć, a czasami nawet jedenaście.

Matka je uwielbiała i darzyła miłością,co przychodziło jej znacznie łatwiej niż okazanieciepla kłopotliwemu dziecku, w dodatkutak podobnemu do ojca, który jezostawił.

Jake niebył jedynakiem.

Miałdwóch braci: starszego,który zginął wwypadku na łodzi,i młodszego, którego porwała narkotykowa mgła kilka lat przed poznaniemsię jej z Jakiem.

Wiedziałajednak, że jego młodość była równie samotnai bolesna jak jej.

A nawet gorsza.

Znacznie gorsza.

Czemu nigdy mi o niej nie opowiadałeś?

- pomyślała teraz, mimowolnie unosząc rękę.

Ten ruch zwrócił uwagę Jake'ai wytrącił go z toku wypowiedzi.

Może mogłabym cipomóc -dodała w myślach, patrząc mu w oczy.

Na jego przystojnejtwarzy odmalowało sięzaskoczenie, zmieszanie,gniewistrach, lecz tylko ona je dostrzegła.

Tak dobrze go znała -

26

poczuła dziwneswędzenie w gardle - a mimo to wcale gonie znała.

A już na pewno on nie znał jej.

W tym momencie łaskotanie wgardle stało się nie dozniesienia i przerodziło sięw śmiech tak głośny, że wszyscyna sali odwrócili ku niej głowy, sędzia zaś zaczęła walić młotkiem, zupełnie jak w telewizji.

Mattie zaśmiała się jeszczegłośniej, patrząc, jak podchodzikuniej strażnik.

Poderwała się z miejsca i w tym momencie pochwyciła przerażone spojrzenie męża.

Zaczęła przeciskać sięwzdłuż rzędu, ciągnąc popodłozie płaszcz.

Kiedy dotarła do ozdobionychmarmurowąframugą drewnianych drzwi, odwróciła się i napotkałazdumionywzrok kobietyo rudych lokach, która siedziała przednią.

Zawsze chciałam mieć takie loki - pomyślała, kiedy strażnik wyprowadzał jąz sali.

Jeśli coś do niej mówił, to śmiechzagłuszył jego słowa.

Nie przestawała się śmiać, pokonując siedem kondygnacji schodów, głównyhalii schody prowadzące na ulicę.

3

- Cisza!

Proszę o ciszę na sali!

Sędzia uderzał młotkiem w pulpit, kiwając się na skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Publiczność szumiała jak pszczoły, którym nie oczekiwano zniszczenia ul. Jedni szeptali, zakrywając usta dłonią, inni otwarcie się śmiali. Członkowie ławy przysięgłych rozmawiali między sobą z ożywieniem.

- Co, u licha.

- Jak pan sądzi.

- O co tu chodzi?

Jake Hart stał jak wrośnięty w ziemię na środku wysokiejsali o dużych oknach i ścianach wyłożonych ciemną boazerią, w połowie drogi między klientem a ławą przysięgłych.

Czuł, jak wściekłość otacza go niewidzialnym kokonem.

Hałas i zamieszanie trzępotały mu nad głową jak obudzone zesnuńce.

Czuł się jak granat, z którego wyrwano zawleczkę.

Gdyby zrobił choć jeden krok, gdyby zbyt mocno odetchnął,

27.

mógłby eksplodować.

Dlatego musiał stać spokojnie, na nowowszystko przemyśleć, przegrupować szyki i odzyskać utraconą pozycję.

Co się, u diabła, stało?

Wszystko szło tak dobrze, dokładnie według planu.

Odtąd pracował nad mową końcową, nie tylko nad tym, co powie, ale i jak powie.

Miał opracowaną modulację głosu, rozłożenie akcentów i każdą przerwę w wypowiedzi.

Nauczył się tekstu i opanował do perfekcji intonację.

Miała to być mowa zycia, kończąca najtrudniejszą sprawę w jego karierze, co do której starsi współpracownicy mieli poważne zastrzeżenia, czy powinien ją wziąć, twierdząc, że jest beznadziejna, że nie ma szans na jej wygranie.

Zapewniała mu również współdziałanie w firmie wznosiła na szczyty kariery w wieku trzydziestu lat.

Osiągnął swój cel.

Ciężka praca poszła na marne.

Miał w garści sędziów przysięgłych, śledził każde jego słowo.

"Syndrom maltretowanego psychicznie dziecka" - miał być argumentem na korzyść oskarżonego. "Porównanie z syndromem maltretowanej psychicznie żony jest oczywiste i niezaprzeczalne - miał powiedzieć.

- Ale maltretowane dziecko jest bardziej podatne na ciosy niż żona, bo nie panuje nad sytuacją, bo nie ma wpływu na zmianę otoczenia, nie może spakować rzeczy i wyjść z domu".

Te słowa miał na końcu języka.

Wciągnął powietrze, by je wypowiedzieć, i w tym momencie otrzymał cios w splot słoneczny i stracił wątek.

Jake nie mógł pojąć, co się właściwie stało.

Wyraźnie prosił Mattie, by nie przychodziła dziś do sądu.

A mimo to się pojawiła.

Teraz stała tam i się śmiała.

Nie był to głupi chichot, lecz ohydny, rubaszny śmiech.

Nie miał pojęcia, z czego się śmieje, może z tego, co mówił, z bezczelności jego argumentacji, a może okazywała w ten sposób pogardę mowom końcowym, całemu procesowi, jemu.

Potem sędzia Berg zaczęła walić młotkiem i przywoływać wszystkich do porządku.

W końcu strażnik wyprowadził Mattie z sali.

Działo się to przy wtórze historycznego, szalonego rehotu, który wciąż trzeszczał mu w uszach niczym przewody, w których nastąpiło zwarcie.

Zabrakło mu pięciu minut do przedstawienia końcowego wniosku.

Potem zabrał głos prokurator, a Mattie mogłaby do woli się popisywać.

Skakać w górę i w dół jak jakaś pomy 28

I ona kukielka nasprężynce, zdejmować ubranie i śmiać się dorozpuku.

Co ją napadło?

Możenie czuła się dobrze - pomyślał w nagłym przypiływie współczucia.

Przespała ranek, co już było niezwykle, a potem ten dziwny telefon do biura, a w słuchawce głos kruchej małej dziewczynki, informujący, że przyjdzie do sądu.

Tymczasem w Mattie Hart nie było nic kruchego, miała w sobie moc i siłę huraganu, podobnie jak on niszcząca.

Czyżby zrobiła to specjalnie, by prosił, by nie przychodziła?

- Proszę o spokój!

- posłyszał głos pani sędzi, lecz spokojnie nastąpił.

- Co się dzieje?

- spytał oskarżony.

Na jego twarzy malowała się wyraz schwytanego w pułapkę, przerażonego dziecka.

Znam ten wyraz - pomyślał.

Stało mu przed oczami własne dzieciństwo.

Znam ten strach.

Odepchnął od siebie niechciane wspomnienia i starał się zrobić to samo z obrazem żony.

Mattie jednak stała mu przed oczami jak skała, z pozoru delikatna, lecz zaskakująco trudno do zepchnięcia.

Zawsze taka była, od pierwszej chwili, gdy się poznali.

Dość tych bzdur - przywołał się do porządku.

Zrobił krok w przód, rozbijając bezpieczny kokon, w którym czuł się teraz jak w trumnie.

Usiadł obok swojego klienta i wziął jego lodowate dłonie w swoje.

- Ma pan zimne ręce - zauważył Douglas Bryant.

- Przepraszam.

- Omal się nie roześmiał, jakby niedość było śmiechu w sądzie.

- Ogłaszam półgodzinną przerwę - oznajmiła sędzia.

Sala zaczęła pustoszeć, a ludzie jakby przyciągani niewidzialnym magnesem ruszyli w stronę wyjść.

Poczuł, że dłonie Douglasa Bryanta wysuwają mu się palców i strażnicy wyprowadzili chłopca.

Patrzył, jak opróżniają się miejsca zajmowane przez sędziów przysięgłych.

Co mam zrobić, żeby was odzyskać?

- pomyślał.

Co mam powiedzieć, by złagodzić niewagę, jakiej dopuściła się Mattie?

Czy ktoś wie, że to jego żona?

- Jake.

Głos był znajomy, aksamitny i aż do bólu kobiecy.

Uniósł wzrok i poczuł nagły skurcz żołądka.

Po co ona tu przyszła?

29.

- Wszystko w porządku?

Skinął w milczeniu głową.

Shannon Graham zrobiła ruch, jakby chciała dotknąć jego ramienia i zatrzymała się w pół drogi.

- Czy mogłabym ci jakoś pomóc?

Pokręcił głową.

Wiedział, że tak naprawdę chciał zapytać, co, u diabła, się stało, ale ponieważ tak jak ona nie znał odpowiedzi, wołał nic nie mówić.

- Czy z Mattie jest coś nie w porządku?

Wzruszył ramionami.

- Powiedziała dziś do mnie coś dziwnego - ciągnęła.

- Nisąd, niż wadoznajmiła, że chce zmienić testament.

- Co takiego?

- Szarpnęła głową do tyłu, jakby dostała pięściąw twarz.

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

- Tak czy owak, jeśli mogłabym coś dla ciebie zrobić.

- zaczęła i urwała.

- Zatrzymaj to dla siebie - poprosił, chociaż wiedział, że opowie o wszystkim kolegom w firmie.

W jej zachowaniu wyczuwał się wyczekiwanie, a nawet niecierpliwość, jakby nie mogła się doczekać, by wyjść z sali.

Zresztą i tak nie miało to znaczenia.

Wysok Mattie przestanie być nowiną, jeszcze zanim Shannon Graham opuści budynek.

Prawniczy pod tym względem nie różnili się od innych.

Kochali plotki.

Barwne opowieści o zachowaniu jego żony już pewnie krążyły po korytarzach pałacu sprawiedliwości i po całym mieście, przenosząc się z rogu California Avenue i Dwudziestej Drugiej Ulicy, przy którym stał gmach sądu, na szykowną Miracle Mile przy Michigan Avenue, gdzie mieściła się kancelaria adwokacka Richardson, Buckley i Lang.

"Słyszałeś, jaki popis dała dziś w sądzie Mattie Hart?"

"Co się dzieje z żoną Jake'a Harta?"

"To było okropne!"

Zaczęła się śmiać w samym środku jego mowy końcowej".

Czasami miała ochotę, żeby Mattie po prostu zniknęła.

Nie pragnął jej śmierci, lecz jedynie, by odeszła, zniknęła z jego życia i z myśli.

Całymi tygodniami zastanawiał się, jak jej powiedzieć, że tak naprawdę, że zakochał się w kimś innym, że odchodzi.

Układał w myśli zdania, jakby przygotowywał się do mowy końcowej.

Właściwie to była mowa kończąca ich

30

małżeństwo, z Mattie wprotórnej roli: ławy przysięgłych, sędziego i prokuratora.

"To niczyjawiła" - brzmiały jej pierwsze słowa, po czym następowwała przerwa, bo prawdę powiedziawszy, to była jej owina.

Ale jej również - szepnął wewnętrzny głos.

Bo zaszła ciążę, bo upierała się, że urodzi to dziecko, bo zgodziła się wyjść za niego za mąż, chociaż wiedziała, że nie jest to szczyt jego marzeń, bo nie pasowali do siebie, bo popełnili błąd, bo on zawsze będzie miał do niej pretensje.

"Robili, comogli" - brzmiało kolejne zdanie.

Ale on się niestarał i oboje o tym wiedzieli.

Mattie też nie była tu całkiem bez winy - odezwał się wewnętrzny głos.

Otoczyła się szczelnie murem macierzyństwa, pielęgnując Kim od rana do nocy, nie dopuszczając go do córki.

Prawda, że nie interesowało go zmienianie pieluch, a niemowlęta go denerwowały, ale nieznaczyło to, że nie kochał córki, i odpowiadała mu rola biernego obserwatora.

Zazdrościł więc, jaka łączyła Kim z matką, i ich przyjacielskich stosunków.

Kim była córeczką mamusi i już nigdy nie będzie córeczką tatusia.

Nagle w zeszłym miesiącu, w trakcie nic nie znaczącej rozmowy, Mattie oznajmiła obojętnym tonem, że chciałaby mieć drugie dziecko, jakby ten pomysł wpadł jej do głowy w tej chwili, jakby nie zastanawiała się nad nim od wielu dni.

Wówczas zrozumiał, że niemożliwie długo czekać, bo inaczej znów wpadnie w pułapkę.

Musi jej powiedzieć, że odchodzi.

Nie zrobił tego.

A teraz wyglądało na to, że zbyt długo tym zwlekał, bo ona jest w ciąży, i to szalejące hormony są odpowiedzialne za jej dziwne zachowanie wszędzie.

- Proszę, nie - posłyszał swój głos.

- Tylko nie to.

- Tylko nie co?

Uniósł wzrok i ujął kobiecą dłoń, czując podniecenie, kiedy ich palce się zetknęły.

Do diabła!

Nieważne, że ktoś ich zobaczy.

Poza tym sala jest pusta.

- To była twoja żona, prawda?

W jej głosie brzmiały nieprzespane noce i setki wypalonych papierosów.

Usiadła na miejscu oskarżonego i pochyliła głowę, tak że gęste rude loki musnęły mu policzek.

Ostatniej nocy wziął w dłoń te kasztanowe sploty, delektując się ich miękkością.

A ona popatrzyła na niego i uśmiechnęła się tym

31.

cudownym, szerokim uśmiechem, który groził, że przekroczy granice twarzy, odsłaniając dolny rząd czarująco krzywych zębów.

Co tak go w niej pociągało?

Wszystko w Honey Novak było mieszaniną przeciwieństw:

droga jedwabna bluzka zestawiona z wyblakłymi dżinsami, rude kręcone włosy prowokująco czarne, proste brwi, zbyt duży biust w stosunku do szczupłej sylwetki, zbyt duże stopy jak na kogoś, kto miał za ledwie sto pięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, nos lekko zgarbiony i rozbiegane spojrzenie.

Nie była piękną i wyglądała na swoje trzydzieści cztery lata.

Obiektywnie biorąc, jego żona była atrakcyjniejszą kobietą, ale zawsze czuł onieśmienie wobec jej słonecznej, typowo amerykańskiej urody.

- Tak, to była Mattie - odpowiedział.

Honey milczała, co było dla niej charakterystyczne.

Rzadko się odzywała, kiedy nie miała nic do powiedzenia.

Spotkali się przed kilkoma miesiącami w klubie odnowy biologicznej, mieszczącym się w budynku sądu.

Ćwiczył na bieżni, w tempie siedmiu kilometrów na godzinę, ona zaś biegła obok niego.

Najbardziej imponująca liczba: jedenaście kilometrów na godzinę.

Rozpoczął zdawkową rozmowę, ona odpowiadała uśmiechami i odmruknięciami.

Po kilku tygodniach zaprosił ją na kawę.

Zgodziła się, chociaż wiedziała, że jest żonaty.

W końcu był to tylko kawa.

W następnym tygodniu kawa zmieniła się w kolację, a w kolejnym kolacja posłużyła jedynie za przystawkę do pełnej namiętności nocy w hotelu Ritz-Carlton.

Potem były inne hotele, z których szybko przenieśli się do jej uroczego mieszkania w Lincoln Park.

Nie zamierzał się zakochać.

Miłość nie figurowała w jego planach.

Dość już miał komplikacji w życiu.

Stać go było jedynie na krótkotrwałą, nic nie znaczącą przygodę.

Podobne stanowisko zajmowała Honey, jak mu później wyznała.

Niedawno się rozwiodła, nie chciała mieć dzieci, była pisarką i próbowała własnie napisać powieść.

Poza tym opiekowała się dwoma nawiedzonymi kotami, które otrzymała w spadku po sąsiedzie.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, to zakochać się w żonatym mężczyźnie - przyznała się którejś nocy, leżąc z nim w sypialni, gdzie panował artystyczny nieład, a w nogach łóżka baraszkowały koty.

32

- Myślisz, że ona wie o nas?

- spytał w końcu.

Wzruszył ramionami.

Wszystko było możliwe.

Zdanie to

oznaczało niegdyś bezgraniczną wolność, teraz jednak wydało mu się przerażająco klaustrofobiczne.

- Co zamierzasz zrobić?

- Niemożę wrócić do domu - odparł obojętnym tonem, lecz w oczach płonął mu gniew.

- Nie mógłbym nanią patrzeć.

- Wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Co? - O czym ona mówi?

- Widziałam wyraz jej twarzy, kiedy opuszczała salę - wyjaśniła Honey.

- Wyglądała na przerażoną.

- Ma powód, żeby być przerażoną.

- To nie ma sensu.

- Z pewnością.

- Uderzył dłońmi w uda.

-Ale nie wszystko naraz.

- Dotknął jedwabnego krawatu w kolorze burgunda, który Honey podarowała mi na szczęście.

- Miałaś ich w garści- stwierdziła, wskazując głową pustą sekcję dla sędziów przysięgłych.

- I znów będziesz miał.

Wrócił myślami do miejsca, w którymmu przerwano.

Cóteraz powie?

Mattie zniszczyła najważniejszą sprawę w jej karierze, okryła go śmiesznością, a jego klienta naraziła na nieważnienie procesu.

Sędziowie przysięgli i wszyscy na salibędą czekać, co powie.

Nie może zignorować tego, co się stało.

Musi to wykorzystać.

Najpierw jednak powinien zapanować nad szalejącym w nim gniewem na Mattie.

Będzie to trudne, ale nie niemożliwe.

Jeszcze w dzieciństwie nauczył się, że aby przetrwać, trzeba umieć oddzielać jedną sprawę od drugiej.

A teraz od tej umiejętności zależało czyjeś życie.

W jego rękach spoczywał los Douglasa Bryanta.

Ocalił tego chłopca, bo go rozumie, bo zna gniew i rozgoryczenie, które doprowadziły go do zbrodni.

Ze mną byłoby podobnie, gdyby nie łaska Boga - pomyślał, prostując się i puszczać dłoń Honey, bo drzwi sali otworzyły się i ludzie zaczęli wracać na swoje miejsca.

- Kocham cię, Jasonie Hart - powiedziała Honey.

Uśmiechnął się.

Tylko jej jednej pozwalała używać pełnego imienia.

Nadała mu je matka, a potem wykrzykiwała je, kiedy go biła.

"Niedobry Jason!

Niedobry Jason!

" Te słowa zlały się jedno i utkwiły mu w pamięci.

"Niedobry Jason, niedobry Jason."

Jason, niedobry Jason".

Tylko w ustach Honey te słowa znów się rozdzielały i przestawały być obelgą.

Tylko przy Honey Jason Hart zapomniało tym, że jest niedobrym chłopcem, i był tym, kim zawsze chciał być.

- Potrzebujesz kilku minut samotności - stwierdziła z prostotą Honey, podnosząc się z miejsca.

Mattie postawiła na końcu znak zapytania, zmuszając go do podjęcia decyzji, wywołując w nim poczucie winy, że się przed nią zamyka, że ją odprawia.

Honey zawsze wiedziała, kiedy podejść i kiedy się wycofać.

- Nie odchodź daleko - szepnął.

- Siódmy rząd, pośrodku - rzuciła na odchodnym.

Uśmiechnął się, patrząc, jak uwodzicielsko kołysze biodrami.

Wiedziała, że śledzi ją wzrokiem.

Chwilę później pojawili się sędziowie przysięgli i wprowadzono oskarżonego.

- Krzesło wciąż ciepłe - zauważył Douglas.

Jake uśmiechnął się uspokajająco i poklepał dłoń chłopaka.

Wózny sądowy kazał wszystkim wstać i pani sędzia zajęła swoje miejsce, z uwagą lustrując zebranych na wypadek kolejnych kłopotów.

- Jeśli zdarzy się podobny incydent, każe publiczności opuścić salę - ostrzegła.

Jake pomyślał, że nie było to konieczne, bo nigdy nie słyszał nasali sądowej takiej ciszy.

Oni wszyscy czekają, jak sobie poradzę i co powiem.

- Czy obrona jest gotowa kontynuować swoje wystąpienie?

- spytała sędzia Berg.

Jake wstał z miejsca.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Gotowy albo nie - pomyślał, biorąc głęboki oddech i patrząc w stronę przysięgłych.

Potem wziął kolejny oddech i popatrzył w stronę miejsca, gdzie siedziała Mattie.

- Słyszeli państwo śmiech kobiety - zaczął.

- Nie wiemy, dlaczego się śmiała.

To nieważne, chociażby z pewnością kłopotliwe.

- Zaśmiał się, pozwalając, by sala odpowiedziała tym samym, rozładowując w ten sposób napięcie.

- Ale prawda może być równie kłopotliwa - ciągnął, szykując się do końcowego uderzenia.

- A prawda jest taka, że Douglas Bryant

34

walczy o życie.

- Urwali przebiegł wzrokiem po twarzach sędziów przysięgłych, pozwalając, by łyzy gniewu na Mattie wypełniły mu oczy.

Wiedział, że słuchacze wezmą je za łyzy współczucia dla oskarżonego.

- Douglas Bryant walczy o życie - powtórzył.

- I nie ma w tym nic do śmiechu.

Sędziowie westchnęli jak kochankowie reagujący na pieszczoty.

Udało się - pomyślał, patrząc, jak kilka kobiet ocierały.

Mattie nieświadomie przyczyniła się do największego sukcesu w jego karierze.

Uzyskał werdykt uniewinniający, sławę i propozycję zostania współnikiem.

I wszystko to dzięki niej.

Zresztą jak zwykle.

4

Mattie stała na schodach prowadzących do Instytutu Sztuki, czując, jak zimny wiatr smaga ją po twarzy.

- Mocniej - mruknęła, jakby chciała sprowokować wiatr do uderzenia.

Niech ją przewróci, niech upokorzy przed tymi mecenasami sztuki z naładowaną kabzą.

Zasłużyła sobie nato, bodziśrano upokorzyła męża w sądzie.

- No dalej - szepnęła, wciąż usiłując zrozumieć sens tego, co się stało.

- Daj z siebie wszystko.

- Mattie.

Odwróciła się na dźwięk swego imienia i uśmiechnęła szeroko na widok Roya Crawforda, mężczyzny o zniszczonej twarzy boksera, smukłej sylwetce tancerza i szarych połyskliwych oczach pod grzywą szpakowatych włosów.

Kroczył dumnie jak kogut, wysuwając doprzodu raz jedno ramię, raz drugie, ubrany jedynie w czarnospodnie i kremowy golf pomimo chłodu.

Roy Crawford zarobił swój pierwszy milion przed trzydziestką.

Niedawno skończył pięćdziesiąt lat i z tej okazji rozstał się z trzecią żoną i zamieszkał przyjaciółką najmłodszej córki.

- Tak się cieszę, że mogłeś wcześniej przyjść - powiedziała, potrząsając z entuzjazmem jego dłonią.

- Jestem właścicielem firmy - odparł.

- I to ja ustalę reguły.

Masz niezły uścisk.

- Przepraszam.

- Natychmiast puściła jego rękę.

- Nie ma za co przepraszać.

Nie ma za co przepraszać - powtórzyła w myślach, wracając do sali numer 703 i swojego wyskoku.

Wspomnienia tamtych chwil mignęły jej przed oczami jak w kalejdoskopie.

Nigdy ich nie zapomni.

Pan się myli, panie Crawford, jest za co przepraszać.

Poczynając od nierozsądnej wyprawy dosądu, a kończąc na iście piekielnej scenie, jak zarządziła.

Jake nigdy jej tego nie wybaczy, to koniec ich małżeństwa, którego tak naprawdę nigdy nie było pomimo prawie szesnastu lat wspólnego życia i istnienia córki.

Tylko za nią nie musi przepraszać.

- Naprawdę przepraszam - powtórzyła i wybuchnęła płaczem.

- Mattie?

Roy Crawford rozejrzał się niespokojnie na boki, wyduł wargi, zawahał się, po czym objął Mattie.

- Co się stało?

- Przepraszam - powiedziała po raz kolejny, nie mogąc wydusić z siebie nic innego.

Co się z nadzieje?

Najpierw ten wybuch śmiechu sądził, a teraz łzy na schodach do słynnego chicagowskiego Instytutu Sztuki.

Może to wpływ zatrutego ołowiu środowiska.

Można mieć alergię na majestatyczne stare budowle. Cokolwiek to było, nie miała ochoty opuszczać bezpiecznego

schronienia w ramionach Roya Crawforda.

Dawno już nikt nie obejmował jej z taką czułością.

Nawet gdy kochała się z Jakiem, a ich namiętność, o dziwo, nie wygasła przez te wszystkie lata, brakowało w niej czułości.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo za nią tęskniła.

- Przepraszam - powtórzyła.

Odsunął się lekko, lecz nie wypuszczał jej z objęć.

Czuł jego dłonie przez materiał płaszcza.

- Co mógłbym dla ciebie zrobić?

Biedaku - pomyślała.

Nic nie możesz zrobić.

Miał taką zmartwioną minę, jakby zawsze doprowadzał kobiety do płaczu; czuł się za to odpowiedzialny, niezależnie od tego, czy był

36

winny, czy nie.

Ciekawe, czy wszyscy mężczyźni, którzy boją się kobiecych łez, tak reagują.

- Za chwilę mi przejdzie.

Uśmiechnęła się do niego uspokajająco, czuła jednak, że drżają wargi, a w ustach czuje słony smak łez.

Roy Crawford niewyglądał jednak na uspokojonego; był wyraźnie zaskoczony.

Czy można mu się dziwić?

Miał się spotkać ze swoim doradcą artystycznym i obejrzeć wystawę fotografii, tymczasem ktoś go czekał?

Roztrzęsiona kobieta płacząca w publicznym miejscu.

Nic dziwnego, że wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

Mimoto wyraz zmieszania na jego twarzy był niczym w porównaniu z przerażeniem, jakie dostrzegła we wzroku Jake'a po jej wyskoku sądził.

Co on musiał sobie pomyśleć, co myślał teraz?

Tym razem to już koniec ich małżeństwa.

Wybiegła z sądu, rycząc ze śmiechu i popędziła wzdłuż California Avenue, między Dwudziestą Piątą a Dwudziestą Szóstą Ulicą.

Nie było to najbezpieczniejsze do takich eskapad, bo o mało nie wpadła na pijanego mężczyznę, który ominął ją wielkim łukiem.

Nawet pijacy ode mnie uciekają - pomyślała, co wywołało kolejny atak śmiechu.

Słyszając za plecami kroki, obejrzała się z nadzieją, że to Jake, i zobaczyła dwóch Murzynów wciągniętych na uszy wełnianych czapkach, którzy, mijając ją, odwrócili wzrok.

Jej samochód, biały intrepid, stał dwie przecznice dalej.

Sięgnęła do torebki po kluczyki, poczym upuściła na chodnik, podniosła i znowu upuściła.

W końcu trzymając je mocno w palcach, wsunęła do zamka.

Kluczyk jednak nie chciał wejść.

- Mam chyba udar - mruknęła pod nosem.

Raczej załamanie nerwowe.

Bo jak inaczej wytłumaczyć to skandaliczne zachowanie w sądzie i ten całkowity brak kontroli nad sobą?

Kluczyk nagle wszedł do zamka.

Odetchnęła głęboko kilkakrotnie, poruszyła dłońmi, potem palcami w zamszowych czarnych pantofelkach.

Wszystko wydawało się w porządku.

I już się nie śmiała.

Wsiadła do samochodu i spojrzała we wsteczne lustro.

Potem zadzwoniła do Roya Crawforda i poprosiła o przesunięcie spotkania na wcześniejszą godzinę.

Po obejrzeniu wystawy mieli pójść na lunch i omówić ewentualne nabytki.

Ładnie się zaczyna - pomyślała, wycierając resztki łez i próbując odzyskać panowanie nad sobą. Dlaczego Jake za nią niepobiegł?

Przecież musiał się domyślić, że coś jest nie tak, że nie chciała mu zaszkodzić.

Skąd jednak mógł to wiedzieć, skoro ona sama nie była pewna?

- Na pewno ci lepiej?

- spytał Roy.

W jego oczach dostrzegła błagalną prośbę o proste "tak".

- Na pewno - odpowiedziała.

- Moglibyśmy przełożyć oglądanie na inny dzień.

- Nie, już wszystko w porządku.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Tym razem w jego oczach pojawiła się prośba o proste "nie".

- Nie sądzę.

- Odetchnęła głęboko i zobaczyła, że Roy robi to samo.

Jaką on ma wielką głowę - przemknęło jej przez myśl.

- Wchodzimy do środka?

Kilka minut później przyglądali się fotografii przedstawiającej nagą kobietę stojącą przystawie umywalce.

Obiektyw wychylił tylko jej pośladki i fragment piersi.

- Willy Ronis jest członkiem słynnego triumwiratu francuskich fotografów - poinformowała

Mattie tonem profesjonalistki, starając się myśleć jedynie o wystawie.

Jej wytrawne oko przesunęło się po wspaniałych czarno-białych fotografiach, zajmujących kilka małych sal na dole.

"Kiedy zmieszam czarny z białym, otrzymamy szary - zabrzmiał jej w uszach głos Jake'a.

- A są różne odcienie szarości".

Idź sobie, Jake - pomyślała.

- Zobaczymy się w sądzie - i omal nie wybuchnęła śmiechem.

Na wszelki wypadek zagryzła dolną wargę.

- Do tej grupy należą również Henri Cartier-Bresson i Robert Doisneau - podjęła, gdy uznała, że już może.

- Ta fotografia, zatytułowana "Nu provençal", jest najbardziej znaną i najczęściej pokazywaną pracą Ronisa.

"Przyjrzyjmy się więc przez chwilę różnym odcieniom tejszarości".

Nie przyjrzyjmy się - pomyślała.

- Akt kobiecy to główny temat w twórczości Ronisa - ciągnęła.

- Dlaczego tak krzyczysz?

- zdziwił się Roy.

38

- Ja krzyczę?

- Trochę.

Ale nie ma się czym denerwować - dodał szybko.

Potrząsnęła głową, starając się pozbyć głosu Jake'a.

- Przepraszam.

- Ależ nie przepraszaj - zaprotestował, bojąc się, że znów zacznie płakać.

; Zaraz jednak uśmiechnął się łobuzersko, oducha do ucha, co świetnie pasowało do jego wielkiej głowy.

Mattie zrozumiała nagle, dlaczego kobiety w każdym wieku uważają go za atrakcyjnego mężczyznę.

Mieszanka hultajai małego chłopca - śmiertelna kombinacja.

- Zawsze chciałam pojechać do Francji - rzekła, ściszej głos i koncentrując się na fotografiach.

Postanowiła sprawdzić, czy może prowadzić normalną rozmowę, mimo że przechodziła właśnie załamanie nerwowe.

- Nigdy nie byłaś we Francji?

- Jeszcze nie.

- Ktoś z twoim wykształceniem i zainteresowaniami dawno powinien pojechać do Francji.
- Któregoś dnia pojedę - odparła.
Tyle razy usiłowała namówić Jake'a na wakacje w Paryżu.
Zawsze odpowiadał, że nie ma czasu, a tak naprawdę znaczyło, że będzie tego czasu za dużo.
Za dużo, by spędzić tylko dwoje.
Dotąd potrzebne było ułuczenie.
Po powrocie do domu zadzwoniła do biura podróży.
Nie spędziła miesiąca miodowego w Paryżu, to spędzi rozwód.
- Ta fotografia przedstawia żonę Ronisa w ich letnim domku - powiedziała głośno, czym ich oboje wystraszyła.
- Bardzo erotyczna - stwierdził Roy.
- Nie sądzisz?
- Zastanawiam się, co wywołuje takie wrażenie.
Chyba atmosfera emanująca z tej fotografii, ciepło słońca wpadającego przez otwarte okno, zapach powietrza, chropowatość starej kamiennej podłogi.
Nagość jest częścią erotyki, ale tylko częścią.
- Ma się ochotę zdjąć ubranie i wskoczyć do niej.
- Niezły pomysł - uznała Mattie, usiłując wyrzucić z myśli obraz nagiego Roya.
Podeszli do cyklu fotografii przedstawiających dwóch mężczyzn śpiących na ławce w parku, strajkujących robotników podczywających na paryskiej ulicy, wiejskich cieśli przy pracy.

- W tych wczesnych fotografiach jest jakaś niewinność -zauważyła.
Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl, że RoyCrawford z nią flirtuje.
- W późniejszych pracach już jej nie ma.
Natomiast sympatia do klasy pracującej pozostała,lecz w fotografiach wykonanych po drugiej wojnie światowej jest więcej napięcia.
Na przykład w tej.
- Poprowadziła go do pracy zatytułowanej "Boże Narodzenie", na której mężczyzna z twarzą wyrażającą strach stoi pośród tłumu ludzi przed domem towarowym.
-Między ludźmi nie ma więzi- wyjaśniła.
- Dzieliący ich dystans często pojawia się jako temat fotografii.
Czy to jasne?
- Między ludźmi istnieje dystans - powtórzył Roy.
-Jasne.
Dla mnie też - pomyślała.
Przez chwilę oglądali w milczeniu fotografię.
Poczuła, jak ramię Roya ociera się o jej rękę i czekała, by je cofnął.
Poczuła dziwną ulgę, kiedy tego nie zrobił.
Może ten dystans jest w końcu taki duży - przemknęło jej przez myśl.
- Wolę jednak te.
Poczuła, jak się odsuwa, niczym opatrunek zdzierany ze świeżej rany.
Zatrzymał się przed wczesnymi aktami, wpatrując się w portret młodej kobiety, siedzącej w prowokacyjnej pozie na krześle.
Głowa i szyja były poza kadrem, wyeksponowana została jedna pierś, a centralnym punktem fotografii był trójkąt włosów łonowych.
Długie nogi kobiety wyciągały się w stronę kamery.
W lewym rogu wyłaniała się męska noga w spodniach.
- Kompozycja tej fotografii jest bardzo interesująca - zaczęła Mattie.
-1 oczywiście zestawienie różnych faktur, drewna, kamienia.
- Nagiego ciała.
-Nagiego ciała - przytaknęła.
Czy on z nią flirtuje?
- Proste sprawy - dodał Roy.
"Nic nie jest takie proste, jak się wydaje -postyszała głos męża.
- Ikażdy o tym wie".
- Chodźmy teraz tam.
Poprowadziła Roya do innego sali.
- Co my tu mamy?
-Danny'ego Lyonsa -wyjaśniła tonem przewodniczki.
- To jeden z najbardziej wpływowych fotografów we współczesnej Ameryce.
Jak widzisz, jego praca różni się od prac Willy'ego Ronisa, chociaż obaj interesują się zwykłymi ludźmi i wspólnymi
czesnymi wydarzeniami.
Te fotografie pochodzą z lat tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dwa -tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt cztery, kiedy rozgorzał ruch na rzecz praw obywatelskich.
Lyon rzucił studia na uniwersytecie chicagowskim i pojechał autostopem na południe.
Był pierwszym fotografem SSRP.
Może pamiętasz, to.
- Studenckie Stowarzyszenie na rzecz Pokoju.
Tak, pamiętam.
Miałem wówczas czternaście lat.
A ty nie byłaś nawetbłyskiem w oku ojca.
Błyskiem, który zgasł, kiedy odszedł - pomyślała.
- Urodziłam się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku - powiedziała.
On chyba naprawdę ze mną flirtuje.
- Awięc jesteś.

-Prawiedwa razy starsza od twojej obecnej przyjaciółki.
-Podeszła szybko do kolejnych fotografii, słysząc za sobą wesoły śmiech Roya.
- Co o nich myślisz?
Coś zwróciło twoją uwagę?
- Wiele rzeczy - odpowiedział, nie spuszczać z niej wzroku.
-Czyżbyś ze mną flirtował?
- spytała bez ogródek, czym zaskoczyła ich oboje.
- Chyba tak.
- Uśmiechnął się szelmowsko.
- Jestem mężatką.
- Wskazała na cienką złotą obrączkę na palcu lewej ręki.
- Masz coś przeciwko temu?
- spytał.
Uśmiechnęła się.
Nagle uświadomiła sobie, że sprawia jej to większą przyjemność, niż powinno.
- Roy - zaczęła, walcząc z nieznośnym uśmiechem, który kolidował z powagą brzmiącą w jej głosie.
- Od ilu lat jesteś moim klientem?
Od pięciu, sześciu?
- Dłużej, niż trwały moje dwa małżeństwa.
-Przez ten czas umeblowałam ci różne domy i biura.
; - Wniosłaś kulturę i dobry smak domowego prostackiego życia - przyznał szarmancko.
-I przez te wszystkie lata nie próbowałeś mnie uwieść.
- Chyba tak.
-To dlaczego teraz?
Wyglądał na zmieszanego.
Czarne brwi zetknęły się, tworząc krzaczastą linię.
- Co się zmieniło?
- nie dawała za wygraną Mattie.
- Ty się zmieniłaś.
41.

- Ja się zmieniłam?

- Jest w tobie coś dziwnego.

- Myślisz, że skoro się rozkleiłam, to mogę być łatwą zdobyczą?

- Miałem taką nadzieję.

Wybuchnęła gromkim śmiechem, przestraszyła się i natychmiast opanowała.

A więc boję się już własnego śmiechu - pomyślała, przełykając z trudem ślinę.

- Może dość na dzisiaj oglądania.

- Idziemy na lunch?

Kręciła obrączką na palcu tak długo, aż obtarła sobie naskórek.

Bez trudu mogłaby wyobrazić sobie wielką głowę Royamiędzy swoimi udami.

Czemu się wahała?

Mąż ją oszukiwał, a ich małżeństwo się rozpadało.

- Miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy odłożyli lunch na inny dzień?

- spytała, opuszczając ręce.

Uniósł swoje, jakby w odpowiedzi na ten ruch.

- Zadzwoń - powiedział krótko.

- Wynagrodzę ci to - obiecała, zegnając się z nim na schodach przed instytutem.

- Liczę na to!

- zawołała ją.

Tobyło bardzo sprytne - stwierdziła w duchu, odnajdując samochód na parkingu za rogiem budynku.

I profesjonalne.

Bardzo profesjonalne.

Pewnie już nigdy nie zobaczy Roya Crawforda.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl zobaczyła siebie nagą, rozpartą prowokacyjnie na krześle, a gdzieś z boku wyłaniał się but Roya Crawforda.

- Boże, jestem nienormalna - mruknęła, machnięciem głowy wyrzucając kłopotliwy obraz z pamięci.

Podawała bilet siedzącemu w budce parkingowej, który dał znak, by wyjeżdżała.

Skręciła przy pierwszym skrzyżowaniu w prawo, potem w lewo, nie zwracając uwagi, dokąd jedzie, i zastanawiając się, co zrobi z resztą dnia.

Kobieta bez żadnych planów - myślała, próbując wyobrazić sobie, co powie Jake'owi, gdy ten wróci do domu.

Jeśli w ogóle wróci.

Może powinna porozmawiać z psychoanalitykiem.

Pomógłby jej uporać się z frustracją, z całą tą tłumioną wrogością, dopóki nie będzie za późno.

Chociaż i tak było już za późno.

Jej małżeństwo się rozpadło.

42

- Moje małżeństwo się rozpadło - powtórzyła głośno.

"Nic nie jest takie proste, jak się wydaje".

Kilka przecznic dalej dostrzegła czerwone światło na skrzyżowaniu i przeniosła nogę z gazu na pedał hamulca.

Ale hamulca nie było.

Zaczęła w panice uderzać piętą w podłogę samochodu, lecz nic nie czuła.

Jej stopa usnęła, a ona kopała powietrze.

Tymczasem samochód jechał stanowczo za szybko.

Nie było sposobu, żeby zwolnić i się zatrzymać.

Przez ulicę przechodzili właśnie ludzie, mężczyzna idwojędzi.

Nalitość boską, zaraz w nich uderzy, wjedzie w dwójkę niewinnych dzieci i nic nie może na to poradzić!

Oszalała lub dostała jakiegoś ataku.

Tak czy owak, jeżeli czegoś nie zrobi, mężczyzna i dwójka dzieci zginą.

W następnej chwili skęciła ostro kierownicą w lewo, wjeżdżając na przeciwległy pas ruchu, prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu.

Kierowca czarnego mercedesa również skręcił w bok, by uniknąć czołowego zderzenia. Usłyszała pisk opon, trzask metalu i brzęk tłuczonego szkła. Nastąpił głośny wystrzał i otworzyła się poduszka powietrzna, waląc ją w pierśniczym wielką pięścią, przygważdżając do siedzenia, odpychając twarz jak nieproszonemu przeciwnikowi i pozbawiając możliwości oddechu. Zderzenie czarnego z białym - pomyślała, usiłując przypomnieć sobie, co Jake mówił o tym w czasie wykładu w sądzie. Poczowała krew i zobaczyła, że tamten kierowca wysiada z samochodu, krzyjąc i wściekle gestykulując. Stała przed oczami Kim, śliczna, słodka, wspinała Kim. Jak ona sobie bez niej poradzi? I nagle wszystko przesłoniły różne odcienie szarości, a po chwili już nic nie widziała.

5

Jej najwcześniejsze wspomnienia będą zawsze wiązać się kłótnią rodziców. Kim siedziała na końcu klasy i mazała na okładce zeszytu angielskiego dwa złęczone serca.

Patrzyła na nauczyciela stojącego przy zielonej tablicy, lecz nie widziała go i nie

43.

słyszała ani jednego słowa z tego, co mówił.

Uniosła się nieznacznie i wyjrzała przez szerokie okno, zajmujące całą jedną ścianę dziesiątej klasy.

Właściwie nie było tam nic ciekawego do zobaczenia.

Porośnięty niegdyś trawą plac wyłożono kamiennymi płytami i postawiono na nim trzy ohydne baraki z prefabrykatów o szarych ścianach z małymi otworami okiennymi, które umieszczono zbyt wysoko, by można było coś przez nie zobaczyć.

W powstałych tam salach człowiek albo dusił się zgorąca, albo trząsał z zimna.

Zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie, marząc tym, by lekcja wreszcie się skończyła.

Co ona robiła w tej głupszej szkole?

Czy nie po to przeprowadzili się z centrum na peryferie miasta, żeby wyciągnąć ją z przepełnionych klas i zapewnić odpowiednie warunki do nauki?

Czy nie o to był cały ten krzyk?

Co prawda rodzice krzyczeli już tak na siebie jak kiedyś.

Ich kłótnie stały się cichsze, trudniej było coś usłyszeć.

Ich gniew zwinął się w kłębek i drzemał jak wąż w koszyku, czekający, aż ktoś nieostrożny podniesie przykrywkę.

Tyle razy budziły ją w środku nocy gniewne szepty, wypowiedane przez zaciśnięte zęby.

Biegła wtedy do sypialni rodziców i zastawała ojca spacerującego po pokoju, amatkę we łzach.

"Co się stało?"

- pytała ojca.

- Dlaczego mama płacze?

Co jej zrobiłeś?

Pamięta, jak bardzo się przestraszyła, kiedy pierwszy raz była świadkiem takiej sceny.

Ile miała wtedy lat?

Trzy, może cztery.

Było to w czasie jej popołudniowej drzemki.

Spała w swoim małym niebieskim łóżeczku z pluszowym Wielkim Ptakiem przybuzi i Oskarem Zrzędą pod pachą.

Coś jej się śniło, a może nie.

Nagle jednak otworzyła oczy i poczuła strach, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

Wtedy posłyszała stłumione głosy dobiegające z drugiejszej sypialni.

Mamusia i tatuś szepotali, ale tak jakoś dziwnie.

Ich szepty były bardzo głośne, zimne i szczypiące jak zimowy wiatr.

Zatkała uszy Wielkiemu Ptakowi i ukryła go pod kołdrą razem z Oskarem Zrzędą.

Potem poszła sprawdzić, co się dzieje.

Pochyliła głowę i dotknęła koczka na czubku głowy, sprawdzając, czy nie wysunęły się z niego jakieś pasemka i czy wszystko jest na swoim miejscu, tak jak lubiła.

Mama śmiała się jej pedanterii i nazywała ją czasami pensjonarką.

44

Lubiła, jak mamasię śmieje.

Czuła się wtedy bezpieczna.

Skoro mamasię śmieje, to jest szczęśliwa, a skoro jest szczęśliwa, to wszystko jest w porządku i rodzice się nierozwiodą.

Niezamierzała powiększać niemiłej statystyki istać się dzieckiem z rozbitego domu, tak jak wiele jej koleżanek i kolegów z klasy.

Skoro mama się śmiała, to nic jej nie grozi - przekonywała sobie w duchu, starając się nie myśleć o dziwnym tonie, jak brzmiał dziś rano w jej śmiechu.

Był zgrzytliwy zamiast radosnego, szalony zamiast żywiołowego i bliski hysterii, jak gniewne szepty z jej wczesnych wspomnień.

No i stanęła zbyt głośno.

Czyżby rodzice znowu się pokłócili?

Tata wyszedł wczoraj po kolacji.

Pewnie do biura, by przygotować się do dzisiejszej rozprawy.

Ale czy nie po to przeprowadzili się do domu z ogrodem, by miał własny gabinet do pracy, z komputerem, drukarką i faksem?

Czy naprawdę musiał jechać do centrum?

A może był inny powód, młody, ładny i o połowę młodszy, podobny do tego, jaki znalazł sobie ojciec Andy'ego Reese'a i porzucił dla niegorodziny?

Ojciec Pam Baker miał podobno więcej takich powodów.

A ten powód, który ojciec całował narogulicy, pewnego słonecznego popołudnia, tuż przed ich przeprowadzką do Evanston?

Był pulchny, ciemnowłosy i zupełnie podobny do mamy.

Czy dlatego mama stała dziś rano na środku basenu i śmiała się jak lunaticzka?

Nigdy nie powiedziała matce o tym, że widziała ojca z inną kobietą.

Usiłowała wmówić sobie, że to tylko koleżanka z pracy albo wdzięczna klientka.

Ale od kiedy całuje się klientki, nawet wdzięczne, w usta?

I to tak jak Teddy Cranston całował ją w sobotę wieczorem?

Dotknęła palcami warg na wspomnienie delikatnego pocałunku Teddy'ego.

Nigdy jeszcze z nikim tak się nie całowała.

Teddy był kilka lat starszy od chłopców, z którymi dotąd się spotykała.

Miała siedemnaście lat i na przyszły rok wybierała się na studia na uniwersytet Columbia albo nowojorski.

Wy' znał jej w zaufaniu, że będzie to zależało od tego, co zdecyduje się studiować, medycynę czy sztukę filmową.

Ale w sobotni wieczór bardziej interesowało go to, by wsunąć rękę pod jej bluzkę, niż co wybrać, studia medyczne czy szkołę filmową, a ona miała wielką ochotę, by mu na to pozwolić.

Wszystkie

dziewczęta to robiły.

A nawet więcej.

Słyszała, jak w szkolnych toaletach rozmawiają o prezerwatywach.

Skarżyły się, że chłopcy nie cierpią kondomów, więc ich nie używały, zwłaszcza pokilku razach, kiedy przekonały się, że facet jest w porządku.

- Powinnaś spróbować, Kimbo- rzuciła drwiącym tonem jedna z dziewcząt, celując w nią paczką prezerwatyw.

Inne przyłączyły się do zabawy.

- Spróbuj - namawiały.

- Spodoba ci się.

Czy rzeczywiście?

- zastanawiała się, czując na piersi dłoń Teddy'ego.

Popatrzyła z podziwem na swój biust, który nie przypominał już dziewczęcego, unoszący się i opadający przy każdym oddechu.

W zeszłym roku o tej porze właściwie istniał i nagle sześć miesięcy temu wszystko się zmieniło, bez żadnego ostrzeżenia czy czegoś w rodzaju: "Lepiej się na to przygotuj".

Jej piersi powiększyły się miseczki A na C i cały świat wrócił na nią oczy.

Wyglądała na to, że tylko w tym jednym wypadku literka C była ważniejsza od A.

Przypomniała sobie gwizdy i zaczepki chłopców, gdy pierwszy raz przyszła do szkoły w nowej bawełnianej bluzeczce, zazdrośno spojrzeli dziewczęta i dość śmiało nauczycieli.

Zyskała popularność i stała się obiektem domysłów i plotek.

Wszyscy zaczęli mieć coś do powiedzenia na jej temat.

Poznała takie określenia, jak dziwka, panna wyniosła, kokietka, jakby biust zmienił ją kogoś innego i odpowiadał teraz za jej zachowanie.

Ku swemu zdziwieniu odkryła, że nie musi już mieć własnego zdania.

Wystarczyło, że ma biust.

Gdy jednak okazywało się, że potrafi logicznie myśleć, nauczyciele sprawiali wrażenie zaskoczonych.

Nawet rodziców poruszyła ta nagła i nieoczekiwana zmiana jej wyglądu.

Mama patrzyła na nią z mieszaniną zdumienia i niepokoju, ojciec zaś starał się w ogóle na nią nie patrzeć, a kiedy już patrzył, to nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

Telefon dzwonił teraz bez przerwy.

Dziewczęta, które kiedyś nie dostrzegały, chciały zostać jej przyjaciółkami.

Chłopcy, którzy nie zamienili z nią słowa, zarówno klasowe głupki, jak i sportowcy, koniecznie chcieli się z nią umówić.

Gerry McDougal, kapitan drużyny futbolowej, Marty Peshkin, gwiazda klubu dyskusyjnego, Teddy Cranston ocudownych czekoladowych oczach.

46

Znowu poczuła mrowienie w wargach na wspomnienie dotyku Teddy'ego.

Musnął dłonią jej pierś tak lekko, jakby przypadkiem, jakby nie chciał tego zrobić.

Ale oczywiście byłoby proste odwrotnie.

Bo po cóż by to robił?

- Nie - powiedziała cicho, a on uśmiechnął się, że nie słyszy, więc powtórzyła, tym razem głośniej.

Usłyszał, chociaż jakiś czas później znowu spróbował i znowu musiała to powtórzyć.

- Nie - zaprotestowała, myśląc o matce.

- Proszę cię, nie.

- Nie spiesz się - radziła matka w czasie jednej z rozmów o seksie.

- Masz jeszcze dużo czasu.

Nawet gdybyś podjęła wszelkie środki ostrożności, wypadki się zdarzają.

- Na jej policzki wypłynął lekki rumieniec.

- To znaczy ja.

- spytała.

Już dawno obliczyła, że dziecko ważące ponad trzy kilogramy nie mogło urodzić się trzy miesiące wcześniej.

- To najgorszy wypadek, jaki zdarzył mi się w życiu - przyznała mama, nie próbując nawet

zaprzeczać, po czym objęła ją i ucałowała w czoło.

- Czy gdyby mnie nie było, wyszłabyś za tatę?

- drążyła dalej Kim.

- Oczywiście - odparła matka zgodnie z oczekiwaniem Kim.

Kim opadły teraz wątpliwości.

Widziała przecież, jak rodzice na siebie patrzą, w chwilach gdy myśleli, że onatego niewidzi.

Te spojrzenia były wymowniejsze niż gniewne szepty dochodzące z rosnącą regularnością zza zamkniętych drzwi sypialni.

Napewno nie byłiby razem, gdyby nie ona.

Wciągnęła ich w pułapkę małżeństwa.

Ale pułapka się zestarzała i nie trzymała już tak mocno.

To tylko kwestia czasu, aż jedno z nich znajdzie dość odwagi, by się uwolnić.

I gdzie wtedy trafi mała Kimbo?

Jednej rzeczy była pewna: nie pozwoli, żeby hormony wpędziły ją w małżeństwo bez miłości.

Postara się wybrać mądrzei dobrze.

Ale czym miała jakiś wybór?

Obie jej babcie zostały porzucone przez mężów.

Poruszyła się niespokojnie na krześle.

Czy kobiety w jej rodzinie były skazane na niewiernych mężczyzn, którzy pewnego dnia je opuszczają?

Może to nieuniknione, a nawet uwarunkowane genetycznie.

A może byłoby jakaś stara rodzinna klątwa.

Wzruszyła ramionami, chcąc się pozbyć nieprzyjemnych

47.

myśli i straciła przy tym zeszyt na podłogę, czym ściągnęła na siebie uwagę nauczyciela. Bili Loewi, z wielkim nosem w szczupłej rumianej twarzy, zdradzającej pociągdo alkoholu, odwrócił się od tablicy, na której pisał, i spojrzał na koniec klasy.

- Jakiś problem?
- zapytał, gdy Kim, pochyliwszy się, by podnieść zeszyt, zrzuciła egzemplarz Romeo, i Julii.
 - Nie, panie profesorze - odparła, sięgając szybko po książkę.
- Siedząca obok Caroline Smith, której wydatne wargi były odwrotnie proporcjonalne do wielkości mózgu, pochyliła się i sięgnęła po cienki egzemplarz w tym samym czasie co Kim.
 - Myślisz o Teddym, co?
- szepnęła, wsuwając wskazujący palec w otwór z kciuka i palca drugiej ręki.
 - Odwał się!
- mruknęła Kim.
 - Pieprz się!
- padł na tychmiastowa odpowiedź.
 - Macie coś interesującego do powiedzenia?
- spytał nauczyciel.
 - Nie, panie psorze.
- Caroline Smith zachichotała.
 - Nie - odparła Kim, kładąc książkę na blat i patrząc na tablicę.
 - Może przeczytamy fragment sztuki - zaproponował Bili Loewi.
- Strona trzydziesta czwarta.

Romeo wyznaje miłość Julii.

Kim, może zagrasz rolę Julii - powiedział do jej biustu.

Teddy czekał na nią po lekcji przy jej szafce, z której wyjął drugie śniadanie.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wyjść na zewnątrz - rzekł, prostując kościstą sylwetkę do wysokości ponad metr osiemdziesiąt.

Ujął Kim za rękę i poprowadził korytarzem, udając, że nie dostrzega spojrzeń i szeptów innych uczniów.

Przywykł do popularności, należał bowiem do szkolnej kadry sportowej, był bogaty i "tak cudowny, że można umrzeć", o czym informował podpis pod jego zdjęciem w szkolnym albumie z zeszłego roku.

- Na dworze jest bardzo przyjemnie - oznajmił.
 - Zależy do czego - zabrzmiał za ich plecami głos Caroline
- 48
- Smith, któremu wtórował głośnie śmiech Annie Turofsky i Jodi Bates.
- Trzy amazonki - pomyślała Kim.

Ubrały się identycznie, w obcisłe dzinsy i jeszcze ciśniejsze sweterki z dużym dekoltem, miały takie same długie kasztanowe włosy z przedziałkiem na boku, a ich nosy zawdzięczały swój kształt chirurgowi plastycznemu, chociaż Caroline twierdziła, że jej nos to wynik zniekształconej przegrody nosowej.

- Niezłe z was numerki - skwitował Teddy.
 - Przekonaj się - rzuciła zalotnie Annie Turofsky.
 - Spodobałoby ci się - dodała Jodi.
 - Akurat - mruknął Teddy i przyspieszył kroku, prowadząc Kim do bocznych drzwi.
 - W sobotę wieczorem jest impreza!
- zawołała za nimi Caroline.
- U Sabriny Hollander.
- Jej rodzice wyjeżdżają na weekend.
- Przyjdź, z kim tam chcesz.
- Impreza pełna naćpanych piętnastolatek - rzucił z sarkazmem Teddy, otwierając ciężkie drzwi.
 - Już nie mogę się doczekać.
 - Ja też jestem piętnastolatką - przypomniała mu Kim, gdy zimny podmuch wiatru uderzył ją w twarz.
 - Ty nie jesteś taka jak one - odparł.

- Nie?
- Jesteś dojrzała.
Miseczka C - pomyślała w duchu, lecz nic nie powiedziała.
Nie chciała być zbyt mądra i zbyt dojrzała, bo zraziłaby jeszcze Teddy'ego.
- Może pójdziemy tam?
- zaproponował, wskazując na parking dla uczniów.
- A co tam jest?
- Mój samochód.
- Och!
- Upuściła na ziemię torbę ze śniadaniem.
Puszkę coca-coli, którą włożyła rano, zaczęła syczeć.
Ciekawe, czy wybuchnie.
- Myślałam, że zjemy na dworze.
- Jest zbyt zimno.
Podniósł torbę, ujął Kim pod łokieć i poprowadził ją do ciemnozielonego, najnowszego modelu chevroleta, stojącego na samym końcu parkingu.

Specjalnie tam go zaparkował - wywnioskowała, czując, jak serce jej wali, a oddech staje się urywany.

Teddy skierował pilota w stronę samochodu, który pisnął jak zarzynane prosię, sygnalizując, że drzwi są otwarte.

- Siądźmy z tyłu - rzucił obojętnym tonem.

- Tam jest więcej miejsca.

Wsiadła do środka i natychmiast sięgnęła do torby i wyciągnęła kanapkę.

;

- Z tuńczykiem - poinformował ją, czując się niezręcznie.

- Sama zrobiłam.

- Zaczęła ją rozwijać, lecz przerwała, gdy oddech Teddy'ego musnął jej policzek.

Odwróciła kuniemu twarz i ich nosy się zetknęły.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że jesteś tak blisko - szepnęła, lecz zamknęła jej usta pocałunkiem.

Posłyszała ją i szarpnęła głową w tył, boświadczyła sobie, że wyszedł z jej gardła.

- Co jest?

- Nic - odparła, patrząc przed siebie, jakby siedziała w kinie dla zmotoryzowanych.

Zaczęła gadać jak nakręcona, co w jej przypadku było oznaką denerwowania.

Nie chodziło o to, że nie chciała go pocałować, lecz pragnęła tego tak bardzo, że aż wzrok jej się mącił.

- Chyba powinniśmy coś zjeść.

Mam lekcje po południu, a potem obiecałam babci Viv, mojej mamy mamie, że przyjdę do niej poszkole.

- Czują, jak palce Teddy'ego masują jej kark.

- Musiała uśpić wczoraj jednego ze swoich psów.

Był bardzo chory i patrzył na nią swoimi ślepiami, nowiesz, jakby chciał powiedzieć, że już czas.

Bardzo to przeżyła, więc obiecałam, że wpadnę.

Za kilka dni dojdzie do siebie, bo druga jej suczka urodziła małe.

Dzięki temu nie będzie myśleć o Duke'u.

Tak miał naimięj pies.

To był mieszaniec collie z cocker spanielem.

Bardzo mądra psina.

Babcia mówi, że mieszańce są mądrzejsze od rasowych.

A ty masz psa?

- Złotego labradora - odparł Teddy.

Uśmiechnął się przebiegle, wyjął jej zręki kanapkę i włożył do torby.

- Rasowego.

Kim wzniosła oczy do nieba, po czym zamknęła.

- Na pewno jest bardzo mądry.

- Jest głupi jak but.

- Przesunął palcami wzdłuż brzoju jej ust.

- Twoja babcia ma rację, mieszańce są mądrzejsze.

- Ja nie mam psa - powiedziała, otwierając oczy, gdy po 50 sekundach czuła palce Teddy'ego w ustach.

- Moja mama nie znosi psów.

Mówi, że jest na niego uczulona, ale wątpię.

Ona po prostu ich nie lubi.

- A ty?

- spytał ochryplym głosem Teddy i pochylił się, by pocałować kącik ust Kim.

- Co ty lubisz?

- Co ja lubię?

- Na przykład to.

Zaczęła ją całować wszędzie.

O tak - odparła w myślach, wstrzymując oddech i czując dreszcze na całym ciele.

- A tak?

-Całował teraz jej oczy, muskając rzęsy.

- A może tak?

Przywarł ustami do jej warg.

Poczuła, jak język delikatnie rozsuwa, bywniknąć do wnętrza, gdy tymczasem jedną ręką pieści kark, a druga wolno sunie ku piersiom.

Czy może być coś cudowniejszego?

- pomyślała, czując, jak całe jej ciało wibruje.

Ale te wibracje nie były wewnętrzne.

Pochodziły gdzieś z zewnątrz.

- O Boże!

- jęknęła, sięgając ręką do kieszeni spodni.

- Tomój pager.

- Zostaw go - rzekł Teddy, usiłując ją objąć.

- Nie mogę.

Jestem obowiązkowa.

Muszę sprawdzić, kto to.

- Wyjęła pager, wcisnęła guzik i zobaczyła na ekranie nieznaną numer, poprzedzony liczbą 911, co oznaczało nagły wypadek.

- Coś się stało - powiedziała.

- Muszę zatelefonować.

6

- O Boże!

Niech mnie pani stąd wyciągnie!

- Proszę się nie denerwować i leżeć zupełnie nieruchomo.

- Wyciągnij mnie stąd.

Nie mogę oddychać.

- Oddychaj zupełnie normalnie.

Proszę się nie denerwować.

Już panią wyciągam.

Mattie poczuła, jak wąski stół, na którym leży, wyjeżdża spod ogromnego urządzenia do rezonansu magnetycznego.

Próbowała swobodnie odetchnąć, lecz czuła się tak, jakby

51.

ktoś wbijał jej w pierś sztylety.

Przebijały szpitalną koszulę i trafiały w płuca, wywołując ból przy każdym oddechu i uniemożliwiając oddychanie.

- Może już pani otworzyć oczy.

Uniosła powiekii poczuła, że wypełniają się łzami.

- Przepraszam - powiedziała do technikaradiologa, drobnej, ciemnej, zadziwiająco młodej osoby.

- Ale chyba nie dam rady.

- To rzeczywiście niezbyt przyjemne - przyznała dziewczyna.

- Ale panu doktorowi bardzo zależynatym badaniu.

- Czy ktoś zawiadomiłmojego męża?

-Chyba tak.

- A coż Lisą Katzman?

Mattie uniosła się na łokciach, przesuając poduszki leżącepo bokach głowy.

Natychmiast ostrybólprzeniknąłcałe jejciało.

Nie było miejsca, którego by nie dosięgnął.

Ta przekłętapoduszka powietrzna omal jej nie zabiła- pomyślała, poruszając obolałą szczęką.

- Doktor Katzman przyjdzie do pani pobadaniu - wyjaśniła z nikłym uśmiechemkobieta i poprawiła ułożenie poduszek.

Plakietka na piersi informowała, że nazywa się Noreen Aliwallia.

- Jak długo to potrwa?

-Okolo czterdziestu pięciu minut.

- Czterdzieści pięćminut?

-Wiem, że to dość długo.

- To bardzo długo.

Czypani wie, jak ja się czuję wewnątrztego pudła?

Jak w trumnie.

Czemu tak się zachowuję?

- pomyślała, tęskniąc za uspokajającym głosem Lisy, który od dzieciństwa działał na nią kojąco.

- Miała pani wypadek samochodowy - tłumaczyłcierpliwie Noreen Ałiwallia.

- Straciła pani przytomność.

Doznałapani poważnego wstrząsu.

To badanie jest po to, by sprawdzić, czy nie ma jakichśwewnętrznych obrażeń.

Mattie skinęła głową, usiłując przypomnieć sobie, co znaczykrót MRI.

Zdajesię, że miało to coś wspólnego z obrazemmagnetycznym.

Śmieszna nazwa na prześwietlenie.

Neurologwyjaśnił jego działanie, gdy odzyskała przytomność w szpitalu,lecz niewiele z tego pamiętała, bo jednocześnie usiłowała

52

sobie przypomnieć, co właściwie się stało.

W głowie jej dudniło, w ustachczuła smak krwi i miała trudności z pamięcią.

Wszystko ją bolało, chociaż poinformowaliją, że kości macałe.

Potem nagle przewieźli ją na dół, nie mogłasobie tylkoprzypomnieć, w jakim była szpitalu, i ta młoda kobieta, tentechnik radiolog o słodko brzmiącym nazwisku, która wyglądała, jakby dopiero co skończyła szkołę, kazała jej się położyć na niskim stole i wprowadziła ją głową do przodu downętrza tego przypominającego trumnę pudła.

Maszyna wyglądała jak wielki stalowy tunel.

Zajmowałaprawie całyozdobiony oknapokój z obskurnymi białymiścianami.

U wejścia do tunelu tkwiło prostokątne pudłoz okrągłądziurą.

Kobieta włożyła Mattie zatyczki do uszu, bo"będzie tam dość hałaśliwie", iboki głowy obłożyła poduszkami, uniemożliwiającymi poruszanie.

Potem włożyła jej doreki przycisk,na wypadek gdybyna przykład chciała kichnąćczy kaszlnąć, bozakłóciłoby to przepływ promieni.

Gdybysięporuszyław czasie trwania badania, trzeba byłoby zaczynaćwszystko od początku.

Najlepiej, gdyby zamknęłaoczy i pomyślała o czymśprzyjemnym - poradziła Noreen.

Panika ogarnęła ją, jak tylko jej głowa znalazła się wewnątrz pudła, a górna jego część rozciągnęła się aż do piersi, tak że nawet z zamkniętymi oczyma czuła się, jakby leżała w trumnie. Potem stół, na którym leżała, zaczął się wolno wsuwać do długiego, wąskiego tunelu. Poczuli się wówczas jak jedne z takich ruskich lalek, siedzących jedna w drugiej, i zapragnęły wydostać się z tej przeklętej maszyny, która była gorsza od wypadku, gorsza od poduszki powietrznej, gorsza od wszystkiego, co w życiu przeżyła. Musieli ją stąd wyciągnąć, bo inaczej umarłaby. Zaczęła więc krzyczeć do tej kobiety, zapominając o przycisku, o wszystkim prócz paniki, dopóki Noreen nie powiedziała, że może otworzyć oczy. Wtedy rozplakała się, bo wszystko ją bolało, zachowywała się jak dziecko i nigdy w życiu nie czuła się taka samotna.

A teraz znowu każą jej zapomnieć o strachu i samotności jeszcze raz to przeżywać. Nie, raczej już niechma krwiaków w mózgu, niż miałaby porażenie drugiego przeto przechodzić. Zawsze bała się, że pochowają ją żywą i umrze przez uduszenie. Nie da rady, nie zniesie tego.

- Wyciągnie mnie pani, jak zacznę się bać?

- spytała.

Cosię z nią dzieje?

Czyżby traciła rozum?

- Wystarczy wcisnąć przycisk i natychmiast panią wyciągnę.

- Noreen zmusiła Mattie do położenia się na stole.

- Proszę spróbować się odprężyć.

Może pani nawet zasnąć.

O Boże, o Boże, o Boże!

Mattie zacisnęła powieki, a dłoń trzymającą przycisk położyła na piersi.

Jej głowa znalazła się wewnątrz pudła.

Górna część rozsunęła się aż do piersi i pogrążyła Mattie w całkowitej ciemności i skrajnej rozpacz.

Nie mogę oddychać - pomyślała.

Duszę się.

- Więc jak długo zapani doktor Katzman?

- spytała Noreen.

Najwyraźniej starała się odciągnąć jej uwagę od maszyny.

- Od zawsze - rzuciła przez zaciśnięte zęby Mattie, przywołując w myślach piegowatą tarzyczkę Lisy.

- Zostałyśmy przyjaciółkami w wieku trzech lat.

- Coś podobnego!

- zdziwiła się Noreen i odeszła od Mattie.

- Włączę teraz maszynę.

Jak się pani czuje?

Niedobrze - pomyślała Mattie, gdy stół zaczął się przesuwac.

Spokojnie.

Nie denerwuj się.

Niedługo będzie po wszystkim.

Czterdzieści pięć minut to nie tak długo.

To bardzo długo.

Toprawie godzina.

Nie wytrzymam.

Muszę się stąd wydostać.

Nie mogę oddychać.

Duszę się.

- Teraz zaczyna się pierwsza seria promieniowania - wyjaśniła Noreen.

- Usłyszysz panidźwięki trochę podobne do uderzeń końskich kopyt.

Potrwa około pięciu minut.

- A potem?

- Oddychaj.

Spokojnie.

Myśl o czymś przyjemnym.

- A potem będzie kilkunutowa przerwa inastępnaporcjapromieniowania.

Pięć minut.

Jest pani gotowa?

Nie, nie jestem!

- krzyknęła w myślach Mattie, słysząc zbliżający się tętent kopyt.

Ku jej zaskoczeniu strach zmienił się w głośne stuk puk, a pod zaciśniętymi powiekami zobaczyła stado pędzących ku niej czarno-białych ogierów.

Czarni biali.

Rzadko coś jest czarne albo białe, jedynie szare.

Gdzie ona to słyszała?

Nagle przypomniał jej się wypadek.

Siedziała w samochodzie i patrzyła bezradnie, jak skręca prosto pod nadjeżdżającą przeciwką

auto.

Zderzenie czarnego z białym.

Różne od

 cienieszarości.

 54

 - Wszystko w porządku, Mattie?

 Mruknęła coś niewyraźnie, starając się nie myśleć o tym, że górna część maszyny jest tuż nad jej nosem.

Mam mnóstwo miejsca.

Leżę na pustej plaży na Bahamach, mam zamknięte oczy, a ocean obmywa mi stopy.

Stado koni pędzi w moją stronę, by pogrzebać mnie żywcem w piasku.

Spokojnie.

Myśl pozytywnie.

Jesteś na plaży.

Nie, to nic nie daje.

Nie jestem na plaży, leżę w szpitalu w Chicago.

Prześwietlają mi głowę.

Co będzie, jeśli nic w niej nie znajdą?

 Nie mogę oddychać.

Duszę się.

Muszę się stąd wydostać.

Myśl pozytywnie.

Leżysz w łóżku.

Nie.

Kiedy ostatni raz czuła się bezpiecznie w łóżku?

Kiedy była małą dziewczynką.

Wyobraziła sobie, jak leży pod niebiesko-białą kołdrą, a obok siedzi ojciec, opiera się plecami o wezgłowie i czyta jedną z jej ulubionych bajek.

"Dość na dzisiaj" - mówi i całuje ją w czoło, muskając wąsami delikatną skórę.

"Posiedzisz ze mną, dopóki nie zasnę?"

" - pyta jakco wieczór.

I co wieczór słyszy tę samą odpowiedź: "Jesteś już dużą dziewczynką i nie musisz przytobie siedzieć".

Mimoto siadał nogach łóżka, chociaż mama go woła, chociaż czeka na niego za drzwiami, z założonymi na piersi rękoma.

Siedział długo, dopóki onanie usnie.

 - Trzecia seria - posłyszala głos Noreen.

 Ile już czasu minęło?

Już chciała o to spytać, lecz przeszkodziło jej kolejne stado galopujących koni.

I jeszcze jakiś dźwięk, coś jakby stukanie, jakby ktoś uderzał w tunel.

Jak miała spać w takim hałasie?

 Ten odgłos przypominał jej remont kuchni, robotników zmieniających stare szafki na nowe, Jake'a, który nie chciał wymienić starej kuchenki na piecyk gazowy, narzekał na bałagan, na to, że nic nie może znaleźć, że nie może myśleć w tym nieustającym hałasie.

 Jake.

Wizyta w sądzie.

Mowa końcowa.

Jej śmiech, taki niespodziewany i nieodpowiedni.

Wyraz twarzy Jake'a.

Sędziawałac małotkiem, nieprzyjemny dźwięk zapowiadający uderzenia rezonansu magnetycznego.

Czy one muszą być takie głośne?

I ren szum w uszach, przywodzący na myśl rój natrętnych pszczoł.

Ten jest jednak gorszy, bo sprawia wrażenie, jakby te pszczoły były wewnątrz niej, jakby brzęczały podczaszka, rozpaczliwie usiłując wydostać się na zewnątrz.

55.

- Koniec?

- spytała Mattie, kiedy ucichł tętent koni.

- Trzy mamy za sobą.

Zostały jeszcze dwie.

Świetnie sobiepani radzi.

"Jeszcze tylko kilka minut, Mattie - zapewniał ojciec.

-Świetnie sobie radzisz".

"Kiedy będę mogła otworzyć oczy?

" - spytała.

"Już".

Ojciec odsunął się z dumą od sztalug, a ona podbiegła bliżej.

Patrzyła na swój portret, nad którym ojciec pracował odtąd, i starała się ukryć rozczarowanie.

W ogóle nie było podobna na tym obrazku.

"Co o tym myślisz?

"

"Myślę, że powinieneś pozostać przysprzedawaniu polisubebezpieczeniowych"- posłyszała głos matki.

"Jest piękny" - powiedziała Mattie, natychmiast stając w obronie ojca.

Co się stało z tym obrazkiem?

Czy ojciec zabrał go ze sobą, kiedy tak nagle porzucił pracę i wyjechał z miasta?

Z trudem powstrzymała łzy.

Omam nie zepsuła badania.

Wtedy musiałyby zaczynać wszystko od początku.

To właśnie zamierzała zrobić ze swoim życiem, zacząć je od nowa i tym razem, jak należy.

Znaleźć ojca, który by nie odszedł, matkę, która kochałaby też ludzi, a nie zwierzęta.

Wybrać męża, który wybrałby właśnie ją, i znaleźćw sobie coś, co by w niej pokochał.

- Czwarta seria.

Prawie koniec - pomyślała, kiedy zaczęły się wibracje.

Wydaje jej się, że wstrzymuje oddech pod wodą, który za chwilę rozsadzi jej płuca.

Przypomniała sobie, jak trzymała się brzegu basenu, czekając, aż minie drętwienie w stopie.

To był dziwny dzień.

Przewróciła się na dywan, bo stopa usnęła i nie mogła znaleźć podłogi.

Zaczął się od planowania morderstwa, a skończył naskudnym upadku.

Nie wspominając już o epizodzie w sądzie.

Ciekawe, czy Jake będzie na nią czekał, gdy wróci do domu ze szpitala, czy już spakował walizki i odszedł.

Jak ojciec, który odszedł do zielonym pastwiskom, by zdobywać góry i młodą piersią chłonąć wiatr.

Ratunku!

Muszę się stąd wydostać, zanim zupełnie stracę rozum.

- Ostatnia seria.

Oddechnęła głęboko, chociaż jej ciało pozostało nieruchome.

56

Przedśmiertne zeszywnienie- pomyślała, szykując się na śmierć.

Zebrała siły na nadejście galopującego stada, czekając ze strachem na wibracje.

Czy Jake jest tutaj, czy udało się go zawiadomić?

Jak zareagowałna wiadomość o wypadku?

Czy się zmartwił?

Oddechnął z ulgą czy był zawiedziony, gdy dowiedział się, że przeżyła?

Wibracje dotarły do ust i zębów.

Czuła się teraz jak w gabinecie dentystycznym.

Za chwilę bór rozpruje zęby, dotrze do korzeni, przewierci dziurę w dziąsłach i dobierze się do mózgu.

Nie może na to pozwolić.

Musi się stąd wydostać.

Natychmiast.

Ma w nosie, że zakłóci przepływ promieni.

Musi się wydostać z tej przeklętej maszyny.

- No, skończyliśmy - oznajmiła Noreen.

Mattie poczuła, że wyjeżdża z tunelu, a wieko trumny unosisię w górę.

Wciągnęła powietrze w płuca jak nowonarodzone dziecko, które ułożono na piersi matki.

- Była pani wspaniała - stwierdziła Noreen Aliwallia.

- Opowiedz mi teraz pokolei, co się stało - poprosiła Lisa Katzman niskim, silnym głosem, który zupełnie nie pasował do drobnej figury.

Miała szczupłą, obsypaną piegami twarz, krótkie kasztanowe włosy, zadarty nos i opadające do dołkaci kciuki, dlatego jedynie oczami mogła wyrazić radość.

Siedziała na brzegu łóżka w białym fartuchu nałożonym na czarną bluzkę i spodnie wsunięte w czarne skórzane botki.

Sprawiła wrażenie pogodnej, lecz Mattie dostrzegła niepokój w ciepłych brązowych oczach przyjaciółki.

- Sama chciałabym wiedzieć - powiedziała, poprawiła cienką poduszkę pod głowę i spojrzała na kwiatowy wzór najjasnozielonej ściany zaplecami Lisy.

- Powiedziałaś neurologowi, że stopa ci usnęła.

- Tak.

To było najgorsze.

Nie czułam hamulca.

Pukałam w miejsce, gdzie powinien być, ale nie czułam go.

To było przerażające.

- Czy zdarzało się to już przedtem?

- Rano.

Nie mogłam namierzyć podłogi i upadłam.

Czy Jake tu jest?

- Był.

Musiał wracać do biura.

57.

- Jak on się czuje?

- Jake?

Dobrze.

Martwi się o ciebie.

Oczywiście - pomyślała Mattie.

- Więc się zdarzyło tylko dwa razy, rano i po południu?

- Właściwie to już wcześniej.

No wiesz, jakto jest, kiedy stopy ci usypiają.

- Urwała.

Czemu Lisa zadaje jej te pytania?

- Do czego zmierzasz?

- Ile razy?

- spytała Lisa, ignorując pytanie Mattie.

Kąciustmiała opuszczoną dół, lecz oczy wciąż się śmiały.

Zachowywała się tak, jakby było to rutynowe badanie.

- Raz w tygodniu?

Codziennie?

- Chyba kilka razy w tygodniu.

- Od jak dawna?

- Nie wiem.

Może od kilku miesięcy.

- Czemuś o tym nie mówiłaś?

- Nie sądziłam, że to coś poważnego.

Nie mogę wydzwaniać do ciebie z byle głupstwem.

Lisa spojrzała na nią, jakby chciała powiedzieć: "Od kiedy to?"

"

- Nie rozumiem - dodała Mattie.

- Przecież każdemu to się zdarza.

- Czy dziś upadłaś po raz pierwszy?

Mattie kiwnęła energicznie głową.

Zaczynała czuć się niezręcznie, nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy.

Gdzie się podziała jej przyjaciółka Lisa?

Bo Lisa Katzman, lekarka, zaczynała działać na nerwy.

- Czy ktoś zawiadomił Kim?

- Jakiego nie telefonował.

Później ją tu przywiezie.

Uważa, że powinna zostać u twojej matki, póki nie wrócisz do domu.

- U mojej matki?

Biedne dziecko.

Nigdy mi tego nie wybaczy.

- Nie zostaniesz tu aż tak długo, by cię znienawidziła.

Jak mówił, że wybuchnęłaś śmiechem w samym środku jego wystąpienia - dodała, jakby te dwie sprawy miały ze sobą coś wspólnego.

- Powiedział ci?

O Boże!

Bardzo był zdenerwowany?

- Przecież miałaś nie iść do sądu.

- Wyraz twarzy Lis mówił: "Po co prosisz mnie o radę, skoro z niej nie korzystasz?"

"

58

Nie mogłam się powstrzymać - odpowiedziała bezgłośnie Mattie.

- Czemu się śmiałaś?

- spytała nagle Lisa.

- Nie wiem - wyznała szczerze Mattie.

- Samo jakoś tak wyszło.

- Myślałaś o czymś śmiesznym?
- Nie przypominam sobie.
- Poprostu zaczęłaś się śmiać?
- Tak.

Czy to majakieś znaczenie?

- Czy wcześniej ci się to zdarzało?
- Co?
- Wybuchanie śmiechem bezpowodu.

Albo płaczem.

Takie nieoczekiwane reakcje.

- Kilka razy - odparła Mattie, przypominając sobie, jak rozplakała się przed Instytutem Sztuki.

Czuła się wtedy zagubiona i roztrzęsiona jak balon, który traci powietrze.

- W ciągu ostatnich dwóch miesięcy?
- Tak.
- A w palcach u rąk też czułaś mrowienie?
- Nie.

Czasami jednak mam kłopoty z kluczami - dodała po chwili.

- Jakiego rodzaju kłopoty?
- Nie zawsze chcą trafić do zamka.

Lisa sprawiała wrażenie przerażonej.

By to ukryć, przytknęła dłoń do ust i chrząknęła.

- Masz kłopoty z przełykaniem?
- Nie.
- Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?
- Na przykład co?

Przecież zawsze ci o wszystkim mówię.

-Mattie umilkłai odsunęła nieistniejące włosy z czoła.

Lisa wiedziała o ostatnim romansie Jake'a.

- Myślisz, że może to być wynikiem stresu?

- Możliwe.

- Lisa wzięła dłonie Mattie w swoje i spróbowała się uśmiechnąć.

-Zaczekajmy, aż poznamy wyniki rezonansu magnetycznego.

- A potem?

Wyprostowała się przybrała postawę lekarza.

- Nie wszystko naraz, dobrze?

- Ale śmiech zniknął jej oczu i pozostał jedynie niepokój.

59.

Dwa dni później Jake przyjechał po Mattie do szpitala.

Miała na sobie dzinsy i pulower, które przywiózł jej z domu, i sprawiała wrażenie takiej kruchej i drobnej, że zaczął się zastanawiać, czy da radę dojść do samochodu.

Czuł się skrępowany, widząc ją w takim stanie, lecz nie z powodu złej kondycji - w głębi duszy wciąż nie mógł jej darować zachowania w sądzie - lecz słabości, która ją od niego uzależniała.

Nie chciał, by Mattie musiała nim polegać.

Już nie.

Skrzywił się z powodu tak egoistycznych myśli i obserwował, jak sanitariusz pomaga Mattie wstać z wózka, który zgodnie z regulaminem przywiózł ją do głównego hallu.

Powitała Jake'a nieśmiałym uśmiechem i ruszyła wolno ku niemu.

Twarz jej pokrywały purpurowe sińce, a pod oczami miała żółte kręgi, wyglądające jak monokle.

Powinien ją jakoś wesprzeć, szepnąć kilka ciepłych słów, lecz zdobył się jedynie na wymuszony uśmiech i zdawkowy frazes, że ładnie wygląda jak na kobietę, której samochód złożył się jak akordeon.

Wziął ją pod rękę, dostosowując jej krok do swojego, i wyprowadził ze szpitala.

Natychmiast osłoniła drżącą ręką oczy przed ostrym południowym słońcem.

- Zaczekaj tu - powiedział, kiedy zatrzymał się na szczycie schodów.

- Przyrowadzę samochód.

- Pójdę z tobą - odparła słabym głosem.

- Nie.

Tak będzie szybciej.

Za sekundę wracam.

Samochód jest tuż obok.

Ruszył energicznie w kierunku parkingu, chowając głowę przed chłodnymi podmuchami jesiennego wiatru.

Znalazł swoje ciemnozielone BMW, wsiadł do środka i przygotował pieniądze, by zapłacić parkingowemu.

Twało to zaledwie dwie minuty, tymczasem Mattie zdążyła już zejść ze schodów i czekała na niego przy krawężniku.

Okazała więc swoją niezależność, dała dowód, że potrafi zadbać o siebie.

Doskonale.

O to właśnie mu chodziło.

Dlaczego potrafił znaleźć współczucie dla mordercy, takiego jak Douglas Bryant, a dla własnej żony nie?

Mógłby zapomnieć o gniewie z powodu jej dziwnego zachowania i okazać troskę

o

o zdrowie.

Była pewnie równie zaskoczona jak on tym, co się stało, chociaż nie rozmawiali na ten temat.

Zresztą nie było sensu tego roztrząsać.

Przeszło, minęło.

Tak jak ich małżeństwo.

Zabrał już większość rzeczy do Honey i przeniósł przybory toaletowe do łazienki dole.

Kim nadal mieszkała u babci.

Kiedy jutro wróci do domu, jego już nie będzie.

Oczywiście czeka kilka dni, póki Mattie nie nabierze sił, a on pewności, że da sobie radę.

Później porozmawia z Kim i wyjaśni, dlaczego się wyprowadził.

Spróbuje przekonać ją o słuszności swojego kroku.

Uśmiechnął się, zatrzymując samochód i wysiadając, by otworzyć Mattie drzwi.

Kim będzie trudniejszym przeciwnikiem niż ława przysięgłych.

Miała twardy charakter matki i szansę na zwycięstwo były niewielkie.

- Uważaj na głowę - powiedział, pomagając Mattie wsiąść.

- Dam sobie radę.

Da sobie radę - pomyślał z ulgą.

Nie miała złamanych kości ani żadnych ran, które wymagałyby długiego gojenia.

MRI nie wykazało wewnętrznych krwiaków, guzów czy innych nieprawidłowości.

"W mojej głowie nic nie ma"- poinformowała go Mattie ze śmiechem przez telefon.
W jej głosie brzmiała wyraźna ulga, a śmiech był gorzkim wspomnieniem sceny, jaką wywołała w sądzie.

- Zmęczona?
- zapytał, wyjeżdżając na ulicę i kierując się w stronę Lakeshore Drive.
- Trochę.
- Może położysz się po powrocie do domu.
- Może.
- Nie odezwali się do siebie aż do Sheraton Road w Evanston.

Jako mógł mieszkać tak daleko?

- pomyślał, przenosząc wzrok z okazałych domów z lewej strony nachłodne wody jeziora Michigan z prawej.

Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że jest już prawie druga.

Ciekawe, co robi Honey?

Czy myśli o tym samym co on?

- Myślisz, że ona wie?
- spytała go którejś nocy.
- O mnie -dodała niepotrzebnie, gdy nie odpowiadał.
- Myślisz, że dlatego to zrobiła?

Ze złości?

 Pokręcił głową.

Któż to może wiedzieć, czym kierują się kobiety?

61.

- Jest bardzo ładna.
 - Owszem - przyznał.
 - Co będzie, kiedy wyjdzie ze szpitala?
 - spytała.
 - Co teraz?
 - Nagle zaniepokoiła się Mattie.
 - Słucham?
 - Uświadomił sobie, że z całej siły zaciska palcena kierownicy.
- Mattie umiała czytać wmyślach.
W każdej chwili mogła wnikać do jego mózgu i wyciągnąć każdą tajemnicę.
Powinien być ostrożniej szy.
Nawet jego myśli nie były bezpieczne.

- Zamierzasz wrócić do biura po odwiezieniu mnie do domu?
- Nie - odrzekł.
- Tomiła - przyznała.

Żadne: "Nie musisz zostawać domu z mojego powodu", czy: "To naprawdę niepotrzebne".

Żadnych fałszywych czułości.

Żadnych słów, które chciałby usłyszeć.

Nie ułatwiała mu sprawy.

- Jeszcze raz gratuluję - powiedziała cicho ze wzrokiem utkwionym w kolanach.

Zatelefonowała do niego ze szpitala, jak tylko ogłoszono werdykt.

Po dwudziestu siedmiu godzinach od momentu, gdy sędziowie przysięgli udali się na naradę, Douglas Bryant stał się wolnym człowiekiem, a Jake Hart gwiazdą.

Wówczas był milczeniem jej gratulacje, podobnie teraz.

- Przepraszam.

- zaczęła.

- Nie przepraszaj.
- Za tę scenę w sądzie -dokończyła.

;

- Nie ma o czym mówić.
- Nie wiem, co mnie napadło.
- To już nie ma znaczenia.
- Lisa uważa, że jest na to medyczne wytłumaczenie.
- Medyczne wytłumaczenie?

- Poczuję, że coś ściska go w gardle i nadaje głosowi kpiący ton.

Jak ona śmieje kręca się chorobą?

- A to dobre.

- Nadal jesteś zły - zauważyła Mattie.

-Nie, nie jestem.

Dajmy sobie z tym spokój.

;

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać.

- A o czym tu rozmawiać?

"Wielkie bmn wydało mu się nagle za ciasne.

Czy ona za-;

wszemu się zaczynać poważne dyskusje w miejscach, z których ;

62

nie można po prostu wyjść?

Czy dlatego zawsze czekała, aż wsiądą do samochodu?

Bo nie miał możliwości ucieczki?

- Nigdy rozmyślnie nie naraziłabym cię na taki wstyd.

-Czyżby?

- Poczuję się przyciśnięty do muru pomimo najlepszych intencji.

-To po co przyszłaś do sądu?

- Topo co prosisz, żebym nie przychodziła?
- odparowała.

- Sprzeciw.

To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Przepraszam.

Nie chciałam cię zdenerwować.

Ale zdenerwowałaś- pomyślał, lecz nic nie powiedział.

Uznał, że lepiej odłożyć tę dyskusję na później.

Włączył radio i kątem oka dostrzegł grymas niechęci na twarzy Mattie.

Medycznypowód zawstydenia go w sądzie - skomentowałw duchu.

Najwyższy czas odejść.

Dopiero kiedy się obudziła, zauważyła, żezniknęły jegoubrania.

Słyszał, jakchodzi po sypialni, jak otwiera i zamykaszafę, jak wysuwa szuflady komody.

Wyobraził sobie zaskoczenie pojawiające sięnajej twarzy, zmarszczeniebrwi, skrzywienie ust.

- Jake!

Posłyszał jej głos i kroki na schodach.

Siedziała na jednejzeskórzanych kanap w kolorze burgunda w spokoju, który kiedyśbył zwykłym

pokojemdo pracy, a teraz stał się biurem z eleganckim marmurowym kominkiem i regałami.

Stały na nichułożone w porządku alfabetycznymksiążki, z jednej stronypowieści, z drugiej biografie i książki prawnicze.

Na wyłożonych boazeriąścianach wisiały dyplomy uniwersyteckie, a podłogę przykrywał kwiecisty dywanw odcieniach błękitu irózu.

W drugim końcu, na wprost okienwychodzących na szeroką, wysadzanądrzewamiulicę, stało dębowe biurko z najnowszymsprzętem komputerowym.

Pokój mógł spełniać z powodzeniem dwie funkcje: gabinetu do pracy i do odpoczynku.

Mattieświetnie się spisała.

Powinien był częściej z niego korzystać -pomyślał, walcząc z poczuciemwiny.

Jestem niewinny!

- miał ochotę krzyknąć.

Niewinny!

Niewinny!

- Co się dzieje, Jake?

- spytała Mattie, stając nagle w progu.

Wzdrygnął się i niechętnie odwrócił ku niej głowę.

Zburzyła

63.

jego spokój, nad którym pracował przez kilka godzin, w czasie gdy spała.
Czy ona musi wyglądać nataką słabą i nieszczęśliwą?
Pod oczami miała ciemne wory, a sińce i zadrapania natwarzy i szyi stały się wyraźniejsze.
To nie był najlepszy moment na odejście.
Powinien poczekać, aż dojdzie do siebie, a przynajmniej do czasu, kiedy znikną siniaki.
Oznaczało to kolejny miesiąc wyrzutów sumienia, poczucia samotności, niechęci i uwięzienia.
Tylko że potem pojawi się kolejny problem.
A on nie mógł ryzykować.
Jeśli zostanie, udusi się.
Jeżeli nie opuści tego domu, umrze.
Dziwne zachowanie Mattie w sądzie było dla niego czymś w rodzaju błogosławieństwa.
Dodało mu odwagi, by zrobić wreszcie to, co należało.
Nie powinien czuć wyrzutów sumienia.
On jedynie wprowadzał w życie to, o czym oboje myśleli od lat.
Wstał i wskazał Mattie miejsce na kanapie.
Zaprzączyła ruchem głowy.
Uparta jak zawsze.
I twarda.
Twardsza od niego.
Na pewno da sobie radę.
- Gdzie się podziały twoje rzeczy?
- spytała.
Usiadł z powrotem na kanapie.
Skrzywnęła pod jego ciężarem.
Może Mattie nie musiała siadać, ale on tak.
- Uznałem, że lepiej będzie, jeśli się wyprowadzę - powiedział.
Krew odpłynęła jej z twarzy, co jeszcze bardziej uwypukliło różnorodność plam pokrywających oblicze.
Wyglądała teraz jak postać z portretu jednego z tych niemieckich ekspresjonistów, którymi tak się zachwycała.
- Jeśli toż powodu tego, co zdarzyło się w sądzie.
- Nie chodziło to, co zdarzyło się w sądzie.
- Przecież cię przeprosiłam.
- Nie o to chodzi.
- A o co?
- spytała beznamiętnym głosem, prawie nie otwierając ust.
- Tu nie chodzi o czyjąś winę.
- Starał się wrócić do scenariusza, który powtarzał sobie od wielu tygodni.
- A o co?
- powtórzyła.
Oparła się o ścianę, jakby miała za chwilę zemdleć.
- Nie powinnaś usiąść?
- Nie chcę siadać - odparła, cedząc słowa.
- Nie mogę uwierzyć, że postanowiłeś odejść właśnie teraz.
64
- Nie zamierzam robić tego teraz.
I nie w ciągu najbliższych dni - wyjaśnił, lecz w odpowiedzi machnęła niecierpliwie ręką.
- Na litość boską, dopiero co wróciłam ze szpitala.
Uległa wypadkowi.
Mam trudności z oddychaniem.
Ja też mam trudności z oddychaniem - chciał krzyknąć.
- Przykro mi - powiedział tylko.
- Przykro ci?
- Że sprawy tak się potoczyły.
- Przykro ci - powtórzyła i szarpnęła za włosy z taką siłą, jakby chciała je wyrwać z głowy.

- Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałam - ciągnęła, nie dopuszczając go do głosu.
- Opuszczasz mnie, lecz nie ma to nic wspólnego z esencją w sądzie.
Spełniła pewnie jedynierolę katalizatora.
To nie jest niczyja wina i przykro ci, że musiałeś mi to powiedzieć właśnie teraz.
Wszystko ma swój czas, a lenie takie sprawy.
Nie byliśmy zesołą szczęśliwi, pobraliśmy się ze względu na Kim, robiliśmy, co mogliśmy.
Szesnaście lat to nie byle co.
Powinniśmy być dumni, a nie smutni.
Dobrze mówię?
To najlepsze wyjście dla nas obojga.
Właściwie to robisz mi przysługę.
- Urwała i uniosła brew.
- No i co powiesz?
O czymś zapomniałam?
 Jakie wypuścił głośno powietrze i nic nie powiedział.
Był głupcem, sądząc, że może wyjść z tej rozmowy bez szwanku.
Mattie umie walczyć.
Zanim stałby się, będzie równie pobijany i posiniaczony jak ona.
 Podeszła do kominka i oparła się o niego rękami.
 - Przeprowadzasz się do swojej przyjaciółki?
Poczuł, że zamiera.
 - Słucham?
 - Chyba dobrze słyszałeś.
 Rzucił wzrokiem w stronę okna, zastanawiając, co powiedzieć.
Co się dzieje?
Nawet wybuch Mattie miał swoje miejsce w scenariuszu, ale niestety.
Co miał jej odpowiedzieć?
I ile powinien jej powiedzieć?
Co tak naprawdę chciała wiedzieć?
I ile wiedziała?
 - Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem - rzekł wymijająco.
Odwróciła się do niego z płonącymi oczyma, gotowa do walki.
 - Nie obrażaj mojej inteligencji.
Myślisz, że nie wiem o twoim ostatnim romansie?
65.

Jak się o tym dowiedziała?

Powinienbył się lepiej przygotować.

Dobry adwokat zawsze tak robi.

Powinien mieć garści wszystkie fakty, by potem nie było nieprzyjemnych niespodzianek.

Ale skądona wiedziała?

Może tylko blefuje?

Możepowinien się wszystkiego wyprzeć?

- Jak się dowiedziałaś?

- zapytał, decydując się na odkryciekart.

- Tak samo jak zawsze.

- Pokręciła głową z politowaniem.

-Jak na taksprytnego prawnika jesteś strasznie głupi.

Zesztywniał.

- Miałem nadzieję, żeobędziemysię bezosobistychwycieczek.

-Bez osobistych wycieczek?

Zostawiasz mnie dla innejkobietyi uważasz, że ci za to podziękuję?

- Miałem nadzieję, że nie będziemyobrzucać sięwzywiskami i pozostaniemy przyjaciółmi.

-Chcesz,żebyśmy byli przyjaciółmi?

- Jeśli to możliwe.

-A czy kiedykolwiek byliśmy przyjaciółmi?

-spytała z niedowierzaniem.

Utkwił wzrok w zawiłych wzorach klepki podłogowej.

- Czy to niccinie podpowiada?

-Nie.

Niby co?

- Mattie.

- zaczął i urwał.

Co właściwie mógł powiedzieć?

Miała rację.

Nigdy nie byli przyjaciółmi, więc teraz też niebędą.

- Od jak dawnawiesz?

- O tej ostatniej?

Odniedawna.

- Wzruszyła ramionami,skrzywiła się, podeszła do okna iwyjrzała na ulicę.

-A propos,jak ci się podobał pokój whotelu Ritz-Carlton?

Tojedenz moich ulubionych hoteli.

- Śledziłaś mnie?

Wybuchnęła ostrym śmiechem, który przeciął powietrze niczym kocie pazury, pozostawiając niemal namacalne zadrapania.

- To nie ma związku ze sprawą!

- warknęła, wykorzystującego własne słowa.

- Co zamierzasz zrobić?

-Jeszcze nie wiem.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

Wiedziała więc jego romansie.

Musiła pewnie zauważyć Honey w sądzie i stąd ta reakcja.

66

Czy naprawdę jest taka mściwa?

A może rzeczywiście ten jejśmiech był samorzutnyi zdenerwował jąrównie mocno jakjego.

Nie potrafił tego powiedzieć.

Pomimo wspólnie przeżytych szesnastu lat nic nie wiedział o swojej żonie.

- Może zrobiłaś to podświadomie - powiedział, mając namyśliincydent w sądzie.

- Może - szepnęła, odwracając się wolno twarzą doniego.

Nawet wbladym świetle zachodzącego dnia dostrzegł, że

; zniknął z jej oczu gniew, a wraz z nim sztywność ramion.

Wyglądała teraz na delikatniejszą, bardziej podatną na ciosy.

-A więc to koniec - dodała.

; Nie mógł zrozumieć, co było powodem tej nagłej zmiany.

Czy nagle uświadomiła sobie, że on ma rację, czy też żeniczego nie zyska kłótnią?

A może po prostu zabrakło jej sił na kłótnię?

Może była wdzięczna podobnie jak on, że w końcu wszystko sobie wyjaśnili i mogą zacząć nowe życie.

Nadal była młoda i urocza pomimo sińców i zadrapań na twarzy.

Poczuł nagły przypływ pożądania.

Zmieszany, odwrócił wzrok.

Co się z nim dzieje?

Przecież właśnie przez to wpakowali się w kłopoty.

- Chyba powinieneś już iść - odezwała się.

- Słucham?

Zaskoczył go ten nieoczekiwany obrót wypadków.

Myśliwiowały mu w głowie jak szalone niczym łódź, która wpadła w wir.

Przecież obiecała jej, że zostanie kilka dni, póki nie odzyska sił.

Czyż nie dała do zrozumienia, że nadal gotów jest odgrywać rolę odpowiedzialnego, czulego i wspaniałomyślnego męża?

Jak mogła go tak potraktować?

- Nie ma powodu, żebyś zostawał - rzekła beznamiętnym tonem.

- Dam sobie radę.

- Mógłbym zostać do jutra - zaczął.

- Wolałabym nie.

Naprawdę nie ma potrzeby.

Siedział przez chwilę nieruchomo, po czym wstał z kanapy, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić: upierać się przyswoim, machnąć ręką i wyjść, czy też pocałować Mattie na pożegnanie.

- Do widzenia, Jake - powiedziała, znowu odgadując jego myśli i podejmując za niego

decyzję.

- Postępujesz słusznie - dodała ku jego zaskoczeniu.

- Może powód nie jest właściwy, ale decyzja tak.

67.

Uśmiechnął się, rozdarty między pragnieniem wzięcia jej ramiona a podskoczeniem z radości. To koniec, wreszcie jest wolny.

Rozmowa okazała się nie taka straszna, stosunkowo bezbolesna, a nawet prosta.

Naturalnie, to dopiero początek.

Nie rozmawiali jeszcze o pieniądzach, o podziale majątku.

Ktowie, co się zdarzy, gdy sprawą zajmą się adwokaci.

Adwokaci - pomyślał, wychodząc z pokoju izmierzając kufrontowym drzwiami.

Twórcy podziałów.

- Zadzwoń do ciebie jutro - oznajmił, kiedy Mattie podbiegła i otworzyła mu drzwi, jakby był gościem w domu, w dodatku niepożądanym.

Nie zdążył jeszcze dojść do samochodu, gdy usłyszał trzask zamykanych drzwi.

8

- Pozwoliłaś mu odejść?

Czyś ty oszalała?

- Nicmi nie jest, Liso.

Nie ma powodu, żeby tu dłużej

zostawał.

- Nie ma powodu, żeby zostawał?

- Lisa odsunęła z czoła niesforne pasmo włosów.

Gest ten wynikał raczej ze zdenerwowania niż z konieczności poprawienia fryzury, która zawsze była bez zarzutu.

- A to, że uległaś wypadkowi, że doznałaś wstrząsu i dopiero co wróciłaś ze szpitala, to nic?

- Dam ci radę.

- Dasz ci radę - powtórzyła Lisa, wstając od stołu w kuchni, by nalać sobie następną filiżankę kawy.

Przyjechała do Evanston zaraz po pracy i wciąż miała na sobie biały fartuch nałożony na granatowy sweterek i spodnie.

Mattie zaparzyła kawę, odmroziła kilka bułeczek nadzieniemi bananowym i żurawinowym, po czym spokojnie oznajmiła zaskoczony przyjacielce, że ona i Jake postanowili się rozstać.

- A co będzie, jeśli upadniesz?

- spytała Lisa.

Nie było to bezpodstawne pytanie, bo rzeczywiście omal nie upadła po wyjściu Jake'a.

Nie przyznała się do tego jednak przyjacielce.

- To wstanę - odpowiedziała.

68

- Nie bądź taka pewna.

- A ty przestań się martwić.

- Nie bądź głupia.

Słowa Lisy bardzo Mattie zabolęły.

Były jak ukłucie ostrą szpilką i wywołały łzy gniewu.

Lisa Katzman mogła sobie wyglądać jak wróbelek, ale miała szpony orła.

- Wspaniałe podejście do chorego, panie doktor.

Zawsze tak rozmawiasz z pacjentami?

Lisa założyła ręce na piersi, wypchnęła dolną wargę i westchnęła.

- Mówię do ciebie jak do przyjaciółki.

- Jesteś pewna?

Lisa wróciła do stołu bez kawy.

Usiadła obok Mattie i wzięła jej dłoń w swoje.

- Dobrze, przyznaję, że martwię się o ciebie nie tylko z powodów osobistych.

- Nie rozumiem dlaczego - odparła Mattie.

Nie była pewna, czy chce o tym rozmawiać, zwłaszcza teraz.

- Neurolog powiedział, że MRI niczego nie wykazało.

- Tak, MRI niczego nie wykazało - przyznała Lisa.

- Więc nic mi nie jest - skomentowała Mattie, czekając na potwierdzenie przyjaciółki.
- Chciałabym, żebyś zrobiła jeszcze jedno badanie.
- Po co?
- Dla pewności.
- Dla jakiej pewności?

Co to za badanie?

- Nazywa się elektromiografia.
- Co to jest?
- To badanie czynności bioelektrycznych mięśni - wyjaśniła Lisa.
- Niestety, żeby to zrobić, trzeba wbić igły elektrod bezpośrednio w mięśnie, co może być trochę nieprzyjemne.
- Trochę nieprzyjemne?
- Podczas wkłuwania igieł słyszysz trzaski, takie jak przyprażeniu kukurydzy.

To może być niemiłe.

- Czyżby?
- spytała z sarkazmem w głosie Mattie.
- Dasz sobie radę - zapewniła Lisa.
- Dam sobie spokój.
- Powinnaś to przemyśleć.

Mattie zaczęła masować górną krawędź nosa, by powstrzymać

nasilający się gdzieś w głębi ból głowy.

Ta rozmowa była jeszcze przyjemniejsza niż wcześniejsza z Jakiem.

Wolałaby teraz stać przed Instytutem Sztuki z Royem Crawfordem i jego lubieżnymi myślami.

- Co się dzieje, Liso?

Jakąż to straszną chorobę u mnie podejrzewasz?

- Na razie żadnej - odparła spokojnie Lisa.

- Po prostudmuchamna zimne, bo jesteś moją przyjaciółką.

- Dmuchasz na zimne - powtórzyła Mattie.

- Chcę wyeliminować ewentualne zaburzenia mięśni.

Pozwól mi zaklepać jakiś termin w przyszłym tygodniu, dobrze?

Mattie ogarnęła nagle fala zmęczenia.

Nie miała ochoty nadyskusje ani z mężem, ani z najlepszą przyjaciółką.

Chciała położyć się do łóżka i mieć już z głowy ten okropny dzień.

- Jak długo trwa takie badanie?

- Około godziny.

Czasami dłużej.

- Ile dłużej?

- Dwie, czasami nawet trzy godziny.

- Dwie lub trzy godziny?

Mam tam siedzieć, z tymi okropnymi igłami wbitymi w mięśnie, przez dwie lub trzy godziny?

- Zazwyczaj trwa to tylko godzinę.

- Lisa starała się, by jej głos brzmiał przekonująco, lecz na próżno.

- To jest jakiś idiotyczny żart, prawda?

- Ja nie żartuję, Mattie.

Nie prosiłabym cię o to, gdybym nie uważała, że to konieczne.

- Zastanowię się - odpowiedziała Mattie po dłuższej chwili, w czasie której starała się o niczym nie myśleć.

- Obiecujesz?

- Nie jestem dzieckiem, Liso.

Powiedziałam, że się zastanowię.

- Zdenerwowałam cię - szepnęła Lisa.

- Przepraszam.

Mattie kiwnęła głową, czując się równie bezsilna jak tuż przed wypadkiem, kiedy siedziała w pędzącym samochodzie i nie mogła znaleźć hamulców.

Nie potrafiła zatrzymać auta, nie mogła zwolnić.

Bez względu na to, co by zrobiła i jak bardzo się starała, itak rozbijesz się i spłoniesz.

"Rozpal we mnie ogień."

Rozpal we mnie ogień".

- Chcesz, żebyśmy porozmawiała z Jakiem?

- spytała Lisa.

70

- W żadnym wypadku - padła ostra odpowiedź.

- Czem umiałabyś z nim rozmawiać?

- By nie zrywać kontaktu.

- Przecież sam go zerwał, już zapomniawsz?

- Drań!

- prychnęła Lisa.

- Nie - zaprotestowała Mattie.

- Tak - dodała ze śmiechem, wdzięczna przyjaciółce, że ona też się śmieje.

Skoro Lisa się śmiała, to nie było tak źle.

Nic jej nie dolega i nie będzie musiała robić tego okropnego badania z wkłuwaniem igieł w mięśnie, powodującym, że mięśnie strzelają jak prążonak kukurydza.

A nawet jeśli, to wynik będzie równie dobry jak rezonansu magnetycznego.

- Mam pomysł - oznajmiła nagle Lisa.

- Zostanę u ciebie na noc.

- Idiotyczny pomysł.
-Fred poradzi sobie z chłopcami przez jedną noc.
Zrobimy sobie przyjęcie w piżamach, jak wtedy, gdy chodziłyśmy doszkoły.
Zamówimy pizzę, pooglądamy telewizję, ułożymy włosy.
Będzie wspaniale.
- Dam sobie radę, Liso.
- Mattie uśmiechnęła się.
-Naprawdę nie musisz zostawać ze mną na noc.
Ale dzięki zapropozycję.
- Poprostu nie chcę, żebyś pierwszą noc po powrocie zszpitala spędziła sama.
-A jeśli chcę zostać sama?
- Naprawdę?
-Tak - odparła po chwili namysłu, czując ogarniające ją zmęczenie.
- Naprawdę.
Dom nigdy nie wydawał się taki duży, taki pusty i taki cichy.
Po wyjściu Lisy Mattie jak w transie spacerowała od pokoju do pokoju, dotykając jasnożółtych ścian i podziwiając wystrój, jakby wszystko widziała po raz pierwszy.
Tam była jadalnia, w której spokojnie mogło się zmieścić dwanaście osób, a samotna kobieta desperacko potrzebuje towarzystwa.
Dalej obszerny salon z wielką jasnobieżową kanapą, odpowiednią do odpoczynku dla ciężko pracującego pana domu.
Tylko że tego pana domu już niema.
Gdzie jesteś, Jake?
- pomyślała, chociaż nie wątpiła, że
71.

u swojej nowej kochanki, a może w romantycznym pokoju hotelu Ritz-Carlton. Pewnie świętowali jego odzyskanie wolności, kochali się, popijali szampana i wspaniale spędzali czas, podczas gdy ona wędrowała bez celu po wielkim, pustym domu, martwiąc się jakimś głupim badaniem, od którego będą strzelać mięśnie.

Obeszła wieki hali, za każdym razem zataczając coraz mniejsze kręgi.

Zawężam horyzonty - pomyślała, potykając się o własną stopę.

Trzeba będzie się zastanowić, czy zostać w tym domu, czy zmniejszyć horyzont do mieszkania z dwiema sypialniami.

Skacząca na jednej nodze, bo druga zdrętwiała, pokonała odległość dzielącą ją od schodów, przysiadła na najniższym stopniu i zaczęła rozmasowywać niesprawną stopę.

- Złe krążenie, to wszystko.

Takie rzeczy się zdarzają.

Czyżby?

Popatrzyła w stronę kuchni, zastanawiając się, co by tu zrobić.

- Mogę robić, co tylko chcę - oznajmiła pustemu domowi.

Mogę kupić nową kuchenkę, oglądać telewizję do trzeciej w nocy, rozmawiać całą noc przez telefon, czytać gazety i porzucić je podywanie.

- Mogę oglądać telewizję, czytać gazetę i rozmawiać przez telefon jednocześnie - powiedziała ze śmiechem.

- I nikt nie będzie miał mi tego za złe, nikt nie pokręci z dezaprobatą głową, nikt nie będzie mnie osądzał i nieuzna, że zawiodłam.

Właściwie to czego tak naprawdę chciała?

Co zrobi z życiem, dokórego Jake już nie należał?

Wiedziała, co zrobi, jak tylko otworzyła szafę w sypialni - zobaczyła, że zniknęła większość jego ubrań.

Nie przyjęła jednak tego faktu do wiadomości, lecz starała się to jakoś wytłumaczyć - oddała wszystkie rzeczy do pralni, postanowiła odnowić garderobę, przeniósł ubrania do gościnnego pokoju, by dać jej więcej swobody.

Lista możliwości ciągnęła się zania, gdy schodziła po schodach do gabinetu Jake'a.

- Co się dzieje?

- spytała od progu.

- Gdzie się podziały twoje rzeczy?

- Uznałem, że lepiej będzie, jeśli się wyprowadzę - odpowiedział.

Bez owijania w bawełnę, bez zbędnych słów, prosto do

72

rzeczy.

Potem dodał potrzebne upiększenia: nie ma w tym niczyjej winy, przykro mu, ma nadzieję, że zostaną przyjaciółmi.

Przytrzymała się drewnianego słupka w balustradzie i podciągnęła w górę.

Weszła po schodach, uważnie stawiając jedną nogę przed drugą.

Mogę zmienić wystrój domu - pomyślała, mijając górny hall, identyczny jak ten na dole - i pomalować ściany na ciemnopomarańczowy.

Jakieś lubił tego koloru.

Mogłaby też zmienić typowo męską skórę na bardziej kobiecy wzorzysty perkal, wyrzucić schludne białe żaluzje w oknach na marszczone koronkowe firanki, chociaż nie znoś perkalu i koronek.

Chodziło o to, że Jake ich nienawidził, a dom należał teraz do niej, mogła w nim robić, co chciała.

Nikt nie będzie jej mówił, co i jak robić.

A już na pewno nie Jake.

Nie musiała się z nikim konsultować ani nikomu ustępować.

Przynajmniej na razie, dopóki Jake nie przedstawi listy żądań.

Wtedy okażesz się, ile znaczy ta cała gadka o przyjaźni, kiedy zaczną negocjować warunki rozwodu. Przypomniała sobie, przez co musiała przejść jej przyjaciółka Terry.

Były mąż groził, że nie wyprowadzi się z domu, dopóki ona nie zrezygnuje z prawa do części jego dochodów, targował się z nią o każdy grosz i wiecznie spóźniał z płaceniem alimentów.

Czy z nią też tak będzie, kiedy Jake zapomni o wyrzutach sumienia?

Nieźle zarabiała jako pośrednik w sprzedaży dzieł sztuki przywykła sama siebie płacić.
Nawet udało jej się coś odłożyć.
Miała nadzieję, że za te pieniądze spędzi z mężem spóźniony miesiąc miodowy w Paryżu, ale najwyraźniej nic z tych planów nie wyjdzie.
Na jak długo starczy jej tych pieniędzy?
Sprawy finansowe nigdy nie były kwestią sporną w ich małżeństwie.
Czy coś się zmieni, skoro Jake został wspólnikiem w firmie?
Czy będzie chciał zatrzymać wszystko dla nowej kobiety i nowego życia?
Weszła do sypialni i włączyła telewizor, który powitał ją strzelaniną.
Przynajmniej nie słyszała nieprzyjemnych myśli.
Popatrzyła na obryzane łóżko i leżący niedbale gruby koc, który odrzuciła po niedawnej drzemce.
Wyglądał, jakby ktoś podniósł.
- Mogę spać, po której stronie chcę - oznajmiła, kładąc się po stronie Jake'a.
Z poduszki wciąż ulatniał się jego zapach, cisnęła ją w pierś na podłogę, po czym wstała i przeszła po niej.

- Mogę też zamknąć to cholerne okno.
Przez piętnaście lat marzyła, bo Jake upierał się, by spać przy otwartym oknie.
Pomaszerowała do okna i zamknęła je z rozmachem.
Na stojącym przy łóżku niebieskim pluszowym krześle leżał pilot od telewizora.
- Wszystko moje!

- Zachichotała i zaczęła bawić się guzikami, przeskakując z programu na program.
Odłożyła pilota i poszła do łazienki.
Zdjęła dzinsy, sweter i spojrzała na swoje odbicie w lustrze otaczającej białą porcelanową wannę.
Najpierw pozbędzie się tych wszystkich lusterek - postanowiła.
Zdjęła biustonosz i majteczki, patrząc z przerażeniem na swoje posiniaczone nagie ciało.
- Tak, poustawiam te lustra wokół domu.

- Odkręciła kran z ciepłą wodą.
- I zużyję całą gorącą wodę - dodała.
Jej głos odbił się echem od białych kafelków.
Zużyję całą gorącą wodę, a potem zarejestruję się w domu wariatów - pomyślała, czując znajome drętwienie w prawej stopie.
Pokuśtykała do sedesa, opuściła klapę, usiadła na niej i zaczęła rozmasowywać nogę.
Jednak mrowienie nie ustępowało, musiała więc przeczłochać się po zimnej podłodze do wanny i zakręcić wodę, nim zdąży się przelać.
Dostrzegła swoje odbicie w kawałku wolnego od pary lustra i poczuła mdłości.
- Złe krążenie, to wszystko - powiedziała, po czym weszła ostrożnie do wanny, patrząc, jak skóra robi się czerwona od kontaktu z gorącą wodą.
Czerwona, fioletowa, żółta i brązowa.
Wyglądała teraz jak materiał.
Zamknęła oczy i oparła głowę o brzeg wanny.
Woda przyjemnie pieściła poobijaną szyję.
Psy matki w ten sam sposób lizały ją po twarzy.
Dziwnie czuła się w domu bez Jake'a.
Przyzwyczyła się do jego nieobecności, bo pracował niemożliwie długo, a kiedy był w domu, jego myśli krążyły gdzieś daleko.
Czasami wyjeżdżał w interesach, a wówczas spała samotnie w ich łóżku.
Jednak tym razem miał już nie wrócić.
Kiedy oświadczył, że odchodzi, poczuła się tak, jakby otrzymała cios pięścią w brzuch.
Musiała zebrać w sobie całą siłę woli, by nie wybuchnąć płaczem.
Dlaczego?
Powinna poczuć
74
ulgę, że wreszcie wszystko się wyjaśniło i nie musi czekać w napięciu na kolejny dzień.
Tak, będzie samotna, ale piętnaście lat nauczyła ją, że nie ma nic gorszego od nieudanego małżeństwa.
W tym momencie zadzwonił telefon.
Rozważała przez chwilę, czy podnieść słuchawkę, w końcu jednak chwyciła za rącznik i pokuśtykała do telefonu stojącego przy łóżku po stronie Jake'a.
Może to Lisa sprawdzała, jak sobie radzi, a może to była Kim lub Jake.
- Słucham?
- Martha?
Imię ze świstem przecięło powietrze jak nóż ręką zabójcy.
Osunęła się na łóżko, czując ból, jeszcze zanim rozmowę zaczęła.
- Witaj, mamo - rzekła ostrożnie.
- Nie zabiorę ci dużo czasu - oznajmiła matka, co oznaczało, że nie chce długo rozmawiać.
- Chciałam się tylko dowiedzieć, jak się czujesz.
- Dobrze, dziękuję - odparła Mattie, słysząc szczekające napodwórzu psy.
- A ty?
- Wiesz dobrze, że starzenie się nie należy do przyjemności.

Masz dopiero sześćdziesiąt lat - pomyślała Mattie, lecz nic nie powiedziała.
Bo po co?

- Przepraszam, że nie przyszedłam do szpitala.

Ale wiesz, jak działają na mnie szpitala.

- Nie musisz przeproszać.

- Jak mówił, że jesteś mocno potłuczona.

- Kiedy z nim rozmawiałaś?

- Wpadł zabrać Kim na kolację.

- Tak?

- Jakąś godzinę temu.

- Czy mówił jeszcze coś?

- Na przykład co?

- Jak tam Kim?

- szybko zmieniła temat.

- To urocza dziewczyna - powiedziała matka z czymś nakształt uczucia, jakim zazwyczaj obdarzała psy.

- Bardzo mi pomogła, kiedy Lucy się oszczeniła.

Mattie wybuchnęła śmiechem.

Znalazły sobie wspólny temat.

Zaczęła kręcić stopą, bo mrowienie nie ustępowało.

75.

- Przepraszam cię, mamó, ale wyciągnęłaś mnie z wanny.

Stoję tu i ociekam wodą.

;

- No to lepiej tam wracaj.

- Wgłosie matki brzmiała ulga.

-Chciałamsię tylko dowiedzieć, jak się miewasz.

Dobrze - pomyślała Mattie.

- Nic minie jest -odrzekła.

- Dowidzenia, mamó.

Dziękuję za telefon.

- Do widzenia, Martho.

Odłożyła słuchawkę, stanęła na drętwiejącej nodze i odetchnęła z ulgą, gdy poczuła dywan.

- Nic minie jest - powtórzyła, wracając do wanny.

Wodanie była już tak ciepła i kojąca jak przedtem.

- Nic mi niejest.

9

- Dobrze się czujesz?

Kim odchrząknęła, na próżno starając się zapanować nad drżeniem głosu.

Dlaczego o to pyta?

Czy to nieoczywiste?

Nigdy jeszcze mama tak źle nie wyglądała.

Miała skórę niemalprzezroczystą i całą paletę siniaków.

W zazwyczajżywychniebieskich oczach czaił się strach i ból.

Ślady łez pozostawiły na policzkach wijące się strużki i zniszczyły staranny makijaż zrobiony zaledwie przed kilkoma godzinami.

Ręce jej się trzęsły, achód był drobny i niepewny.

Sprawiła wrażenie słabej i bezbronnej.

Kim musiała użyć całej siły woli, by niewybuchnąć płaczem.

- Mamó, nic ci nie jest?

Powiedz, żenie.

Powiedz, że nie.

Powiedz, że nie.

- Twoja mama musi chwilę odpocząć - posłyszała czyjś głos.

Dopiero teraz zauważyła tęgą kobietę podtrzymującą matkę, za łokieć.

Czy ona musi wyglądać tak krzepko?

- pomyślała gniewnie.

Oliwkowa cera i błyszczące ciemne oczy kobiety uznała za rodzaj demonstracji.

Ta jej krzepkość pozbawiła ją sił.

- Kim pani jest?

- spytała.

- Jestem Rosie Mendoza - odrzekła kobieta, wskazując na zawieszoną na szyi tabliczkę identyfikacyjną, i podprowadziła Mattie do jednego z krzeseł stojących wzdłuż ściany na trzecim

76

piętrze szpitalnego korytarza.

- Jestem asystentką doktora Vance'a.

- Czy z moją mamą wszystko w porządku?

- Nic minie jest, skarbie - wyszeptła Mattie, jednak niebrzmiało to przekonująco.

Sprawiła wrażenie słabej, przerażonej i bardzo cierpiącej.

- Muszę tylko chwilę odpocząć.

- Powinna pani pójść do domu i położyć się - doradziła Rosie Mendoza.

- Ale potem, będzie już lepiej, prawda?

- Kim usiadła obok matki i ścisnęła ją zarękę.

- Wyniki powinny być za dzień lub dwa - oznajmiła Rosie Mendoza.

- Pan doktor skontaktuje się z doktor Katzman, jak tylko będzie jej miał.
- Dziękuję - powiedziała Mattie ze wzrokiem utkwionym w krótkich brązowych butkach widocznych spod brązowych spodni.
- Bolało?
- spytała po odejściu asystentki Kim.
Powiedz, że nie.
Powiedz, że nie.
Powiedz, że nie.
- Tak - odparła Mattie.
- Jak diabli.
- Gdzie ci wbijali te igły?
Tylko nie mów.
Mattie pokazała namię, uda i dłonie.
Przy tej okazji mignął świeży bandaż na dłoni.
- Dużo ich było?
- Zbyt dużo.
- Jeszcze cię boli?
Powiedz, że nie.
Powiedz, że nie.
Powiedz, że nie.
- Już trochę mniej - odpowiedziała Mattie, lecz Kim domyśliła się, że kłamie.
Dlaczego zadaje jej te pytania, skoro nie chce znać odpowiedzi?
Czy niewystarczy, że mama spędziła półtorej godziny na nieprzyjemnym i według niej niepotrzebnym badaniu, które miało sprawdzić, jak funkcjonuje jej system nerwowy, tylko po to, by Lisa Katzman dała jej spokój?
Kim poczuła ogarniającą ją falę gniewu.
Dlaczego najbliższa przyjaciółka zmusza ją do czegoś tak okropnego, skoro nie jest to konieczne?
- Chcesz może kawy czy czegoś innego?
- spytała.
Niewzięła pod uwagę, że Lisa mogła mieć inne zdanie na temat celowości badania.

Mattie pokręciła przecząco głową.

- Posiedzę chwilkę, a potem możemy iść.

- Jak wrócimy do domu?

Matka uparła się, że pojedzie do szpitala samochodem, choć Lisa prosiła, żeby tego nie robiła, bo po badaniu może być zbyt słaba i zdenerwowana.

Pozatym nie wróciła jeszcze do zdrowia po wypadku.

Mattie jednak uparła się, by nie angażować w tę sprawę najbliższych, inie pozwoliła Kim zadzwonić do babci, twierdząc, że w takich wypadkach jest bezużyteczna, zwłaszcza gdy w grę wchodzi ludźle.

Jake'aw ogólnie brała pod uwagę i Kim uznała to za słuszne.

Nie potrzebowały ojca.

Czego można chcieć od człowieka, który woli być zinną kobietą?

Mama nie potrzebowała pomocy od byłego już wkrótce męża, tak jak ona od byłego już wkrótce ojca.

- Zawsze będę do twojej dyspozycji - obiecał tego pamiętnego wieczoru, tydzień temu, kiedy przyjechał po nią do domu babci, stojącego w niegdyś zniszczonej, a teraz odzyskującej dawną świetność dzielnicy zwanej Starym Miastem.

- Nadal jestem twoim ojcem i nic tego nie zmieni.

- Ty to zmienisz - odpowiedziała.

- Wyprowadziłem się z domu, nie z twojego życia.

- Nieważne - odparła zimno.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Ma, to bardzo - zaakcentowała, udając, że nie rozumiała jego słów.

- Czasami takie rzeczy się zdarzają.

- Czyżby?

Tak samo z siebie?

- Uświadomiła sobie, że podniosła głos.

Rozkoszowała się brzmieniem w nim, wściekłością tym, że zadaje ból mężczyźnie siedzącemu naprzeciw niej w małej włoskiej restauracji.

- Chcesz powiedzieć, że nie miałeś na to wpływu?

- Chcę powiedzieć, że cię kocham i zawsze będę do twojej dyspozycji.

- Tylko że będziesz gdzie indziej.

- Będę mieszkał gdzie indziej.

- Dla mnie będziesz gdzie indziej - powtórzyła, dumna ze swej mądrości.

Dzięki niej czuła się silna i nie pozwalała sercu wyskoczyć z piersi i rozbić się na tysiące kawałeczków.

78

- Kocham cię.

Kim - zapewnił ją.

- Teraz jestem jedną z wielu - skwitowała.

Kiedy Lisa poinformowała Mattie, że zamówiła elektromiografię na następny czwartek, Kim natychmiast zaproponowała, że pojedzie z matką do szpitala, nawet jeśli miałyby opuścić popołudniowe lekcje w szkole.

Ku jej zaskoczeniu mama wyraziła zgodę.

- My, dziewczyny, musimy trzymać się razem - zapewniła ją Kim, kładąc się obok matki na łóżku.

Robiła tak każdego wieczoru, odkąd ojciec się wyprowadził.

Przytulała się do niej i dostosowywała rytm oddechu do rytmu matki.

Ich ciała wznosiły się opadały jednocześnie, łącząc się we wspólny oddech.

- Dasz radę poprowadzić samochód?

- spytała.

- Daj mi jeszcze kilka minut - odparła Mattie.

Jednak dwadzieścia minut później nadal patrzywała się w stopy, bojąc się, że nie będzie mogła się ruszyć.

Na kredobiałej twarzy odcinały się żółte i fioletowe siniaki i wciąż drżały jej ręce.

- Lepiej zadzwoń do ojca - zdecydowała się wreszcie, z trudem powstrzymując łzy.
- Możemy wziąć taksówkę - zaprotestowała Kim.
- Zadzwoń do ojca - powtórzyła Mattie.
: - Ale.
- Nie kłóć się.
Proszę, zadzwoń do niego.
Kim niechętnie spełniła jej prośbę.
Dostrzegła aparat nadrukimkońcu korytarza, przy windach.
Wystukała numer prywatnej linii ojca z nadzieją, że nie zastanie go w biurze.
- Dlaczego nie możemy po prostu wziąć taksówki - mruknęła, patrząc na starszego mężczyznę w poplamionej niebieskiej koszuli szpitalnej, który zmierzał w jej stronę, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką.
Zrozumiała, dlaczego babcia tak nie lubi szpitali.
To okropne miejsca, pełne chorych ciał i zagubionych dusz.
Nawet zdrowi ludzie, tacy jak mama, kiedy tu wejdą, robią się chorzy.
Poczuła mdłości na myśl o tym, że mogła zarazić się jakimś śmiertelnym wirusem, czekając namatkę przed gabinetem lekarskim.
Ile palców dotykało tych starych czasopism?
Na działanie ilu zarazków była narażona w czasie tych nie kończących się minut, kiedy siedziała na

korytarzu.

Wytała dłonie o spodnie, jakby chciała się pozbyć bakterii.

Zakręciło jej się w głowie.

- Jake Hart - posłyszała nagle głos ojca.

Podział nanią jak kubeł zimnej wody.

Wyprostowała się, kolanaprzystały jej drżeć, odsunęła z czoła wymaglinowany kosmyk włosów i utkwiała wzrok w drzwiach windy.

Co powinna powiedzieć:

"Cześć, tato!

", "Cześć, ojczule!

", "Cześć, Jake!

"?

- Tu Kim - oznajmiła, gdy mężczyzna ze stojakiem zawrócił i ruszył w powrotną drogę.

Między połamami bładniebieskiejkoszulibłysnęły blade pośladki.

Przez jakie potworne badania musiał przejść ten człowiek?

- Kim, skarbie.

- Jestem w szpitalu Michaela Reese'a - zakomunikowała bez dalszych wstępów.

- Czy coś się stało?

Schowała brodę w różowym golfie, zacisnęła usta i westchnęła gniewnie.

- Potrzebujemy twojej pomocy - oznajmiła.

Czterdzieści minut później Jake podszedł do żony i córkiczekających na niego przed wejściem do szpitala.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - powiedziała na pełne dezaprobaty spojrzenie Kim.

- Zatrzymali mnie na korytarzu, kiedy wychodziłem z biura.

- Jesteś bardzo zajęty człowiekiem - warknęła Kim.

- Dziękuję, że przyjechałeś - odezwała się Mattie.

- Samochód jest na parkingu?

Mattie wręczyła mu kluczyki od wynajętego samochodu.

Jej intrepid, skasowany w czasie wypadku, nie nadawał się do jazdy.

- To biały oldsmobile.

- Znajdę go.

Dobrze się czujesz?

- Dobrze - wtrąciła Kim, obejmując matkę ramieniem.

- Jak się masz, kochanie?

- Jake wyciągnął rękę, chcąc pogłodzić córkę po głowie.

- Dobrze - burknęła, odsuwając się, i z satysfakcją dostrzegła urazę w oczach ojca.

- Mógłbyś przyprowadzić samochód?

Mama musi się położyć.

- Zaraz wracam.

80

Chwilę później podjechał biały oldsmobile'em i pomógł Mattie usiąść z przodu, wyrzucając Kim na tylne siedzenie.

Odegrała całe przedstawienie, usiłując znaleźć sobie wygodniejsze miejsce, szorując obcasami czarnych skórzanych butów o siedzenie kierowcy.

Kto projektuje te samochody?

Czy oni myślą, że siedzący z tyłu pasażerowie to jakieś kurduple?

Niewiedzą, że dorośli potrzebują więcej miejsca na nogi i że może chcieliby siedzieć bez podpierania brody kolanami?

Ostatnio dużo czasu spędzała na tylnych siedzeniach samochodów.

Stanął jej przed oczami sobotni wieczór i szept Teddy'ego: "Daj spokój.

Kim.

Przecież tego chcesz".

- Wygodnie ci tam, skarbie?

- spytał ojciec, płosząc obrazem Teddy'ego.

Zakogo on się uważa?

- pomyślała, wbijając gniewny wzrok w tył głowy ojca.
Za rycerza na białym koniu?
Taki z siebie bohater?
To coś powiem, słynny panie adwokacie sprawcy tego całego gówna.
Nie siedzisz na białym koniu, lecz w białym oldsmobile'u.
I niepotrzebna nam twoja pomoc.
Doskonale sobie radzimy bez ciebie.
Właściwie to nawet nie zauważyliśmy, że ciebie nie ma.
- Przepraszam, że zwracamy ci głowę - postyszała głos matki.
Brzmiał znacznie lepiej, chociaż brakowało mu dawnej energii.
Dlaczego nie ma w nim gniewu?
Dlaczego musibyć tak cholernie uprzejma?
- Trzeba było wcześniej do mnie zadzwonić - powiedział.
- Nie musiałaś sama jechać do miasta.
- Mama nie jest inwalidką - syknęła Kim.
- To prawda, ale niecałe dziesięć dni temu miała poważny wypadek i jeszcze nie odzyskała sił.
- Mówisz jak Lisa.
- To normalne.
- Nic mi nie jest - zapewniła Mattie.
- Nic mamie nie jest - powtórzyła za nią Kim.
Jak on śmie krytykować mamę?
To, co onarobi, to, co onerobią, jego już nie dotyczy.
Niema prawa jej sądzić.
Straciło prawo w dniu, w którym się wyprowadził.
Pochyliła się oparła dłoń na ramieniu matki.
Nie powinna do niego telefonować.
Powinna zadzwonić do babci albo do Lisy, albo do

jakiejś innej przyjaciółki.

Do każdego, 'byle nie do ojca.

Nie jest już im potrzebny.

Ojciec nigdy nie odgrywał większej roli w jej codziennym życiu.

Odkąd pamięta, machał jej ręką na pożegnanie, kiedy rano wychodził do pracy, i całował na dobranoc, jeśli był w domu, gdy kładła się spać.

To mama odprowadzała ją do szkoły, chodziła z nią do lekarza i do dentysty, woziła ją na lekcje gry na fortepianie i baletu, uczestniczyła w wywiadówkach, szkolnych przedstawieniach, zawodach i pielęgnowała ją, gdy była chora.

Nie chodzi o to, że ojciec jej nie kochał, tylko musiał, czy raczej wolał, być w innych miejscach.

Kiedy dorosła, widywała go jeszcze rzadziej.

Ich wypełnione zajęciami dni nie pokrywały się ze sobą.

A gdy przeprowadziła się do Evanston, w ogóle przestała go widywać.

A teraz stała się jedynie duchem snującym się po korytarzach, których już nie przemierzała.

Mimo to jego obecność czuła się teraz wyraźniej niż kiedyś.

Początkowo obawiała się, że mama się załamie.

Jednak pomimo doznanych w wypadku obrażeń doskonale radziła sobie z zdradą ojca.

Dzieliła się Kim wszystkimi troskami.

- To tylko tak źle wygląda - zapewniła córkę, która omalnie zemdleła na widok ślicznej twarzy matki pokrytej ohydnyymi sińcami.

- Co ci jest, skarbie?

- spytała jakiś czas później.

- Chcesz tym porozmawiać?

Próbowała nawet bronić ojca.

- Nie bądź dla niego taka twarda.

Jest twoim ojcem i cię kocha.

Bzdura - pomyślała Kim.

Ojciec jej nie kocha, bo nigdy jej nie chciał.

Więc ona też już go nie chce.

Zresztą rzadko o nim mówili.

Sińce na twarzy matki zmieniły kolory równie łatwo jak liście na drzewach, i z każdym dniem stawały się bledsze.

Zadrapania się zagoiły, a stawy straciły sztywność.

Wróciła do codziennych obowiązków, wynajęła samochód, robiła zakupy, nawet kontaktowała się z kilkoma klientami i umawiała na spotkania.

Jednym słowem, doskonale sobie radziła, z wyjątkiem może pojawiającego się od czasu do czasu drętwienia stopy.

Zresztą obie świetnie sobie radziły.

Nie potrzebowały ojca.

82

; - Jak ci tam z tyłu?

- spytał Jake.

Patrzył na nią we wsteczny lusterek, a w jego oczach malowały się troska i nadzieja.

Mruknęła coś niewyraźnie.

Jeśli mama chce być miłą uprzejmą, chociaż z ojcem w separacji, proszę bardzo.

Aleona niemusi.

Ktoś powinien grać rolę porzuconej żony.

- Wszystko wskazuje na to, że zaproponują mi udział w firmie - oznajmił Jake.

- Dla tego nie mogłem tak szybko przyjechać.

Ludzie zatrzymywali mnie w korytarzu, by złożyć gratulacje.

- To wspaniale - odrzekła Mattie.

- Ciężko na to pracowałeś.

Należy ci się.

Raczej powinien smażyć się w piekle - pomyślała Kim.

- Jak wrócisz do miasta?

- spytała Mattie, kiedy Jake skręcił w Walnut Drive.
 - Ktoś ma po mnie przyjechać za pół godziny.
 - Twoja przyjaciółka?
- Ostry głos Kim przeciął powietrzenicznym sztylet.
- Nie patrz tak na mamę - dodała, zanim zdolał cokolwiek powiedzieć.
- Ona nic nie mówiła.
 - Kimmy, musimy porozmawiać.
 - Nie mów do mnie Kimmy.

Nienawidzę tego.

Nazywał ją tak, gdy była małą dziewczynką.

Mgliste wspomnienia wywołały w oczach.

- Kim, proszę.

Myślę, że powinniśmy.

- A kogo obchodzi, co ty myślisz?

- Co tu się dzieje?

- spytała Mattie.

Kim przez chwilę sądziła, że chodzi o nią, że mama jest zła i staje po stronie ojca. Zaraz jednak dostrzegła samochód policyjny przed domem i dwóch policjantów stojących przed drzwiami.

Coś się musiało stać.

- Pewnie chodzi o wypadek - powiedział Jake.

- Już rozmawiałam z policją - oznajmiła Mattie.

Jak wjechał na podjazd i wysiadł z samochodu.

- O co chodzi?

- zapytał.

Kim pomogła matce wysiąść i spojrzała na młodego mężczyznę i kobietę w granatowych mundurach.

Mężczyzna, który przedstawił się jako posterunkowy Peter Slezak, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ręce grubości trzech palców tak.

krótkie włosy, że trudno było określić ich kolor.

Kobieta,

83.

którą posterunkowy Slezak przedstawił jako swoją partnerkę, Judy Taggart, mogła mieć jakieś metr siedemdziesiąt i wyglądała mniej więcej jak jedno udo posterunkowego Slezaka. Kasztanowe włosy miała ściągnięte w końskiogon, a na jej brodzie widniał wielki pryszcz, słabo zatuszowany pudrem.

Kim bezwiednie dotknęła brody w obawie, że znajdzie podobny.

- Czy to pański dom?
- spytał olbrzym.

- Tak - odpowiedział Jake.
Nie! - chciała krzyknąć.

To nie jest twój dom.

- Oco chodzi?
- Podeszła do nich matka.
- Czy coś się pani stało?
- Posterunkowa Taggart wpatrywała się w posiniaczoną twarz Mattie.
- Czy chodzi o wypadek?

- spytał Jake.
- To nie był właściwie wypadek - odparł posterunkowy Slezak.
- Nie rozumiem - odrzekła Mattie.
- Może wyjaśnicie, o co chodzi.
- Jake starał się przejąć kontrolę.
- Szukamy Kim Hart.
- Kim?

- Mattie gwałtownie wciągnęła powietrze.
Kim zrobiła krok w przód, czując ucisk w żołądku.

- To ja jestem Kim Hart.
- Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań.
- Na jaki temat?
- wtrącił Jake.

- Może wejdziemy do środka - zaproponowała Mattie, wchodząc po schodach.
Kim zauważyła, że matka ma kłopoty z kluczem.

Delikatnie wyjęła go z ręki, wsunęła do zamka i otworzyła drzwi.

Chwilę później siedzieli w kuchni przystole.

Mattie zaproponowała gościom kawę, lecz odmówili, -i

- Co możesz nam powiedzieć o sobotniej imprezie w domu Sabriny Hollander?
- zapytał policjant, patrząc na biust Kim; i Jego partnerka wyjęła tymczasem notes i pióro z tylnej kieszeni starannie wyprasowanych spodni, i
- Impreza jak impreza - wzruszył ramionami, czując, jak serce jej wali i zastanawiając się, czy to dlatego, że posterunkowy Slezak tak się wpatruje w jej biust.

- Byłaś tam?

84
- Może godzinę.
- O której to było?
- Około dziewiątej.
- Więc wyszłaś z domu państwa Hollander około dziesiątej?
- Nawet wcześniej.
- Co się działo podczas imprezy?
- Nic takiego.

Ludzie tańczyli, pili piwo, palili skręty.

Ted dynamowił ją, by pociągnęła kilka razy, zanim przeniesł się na tylne siedzenie jego samochodu.

Czy dlatego zjawiała się tu policja?

Żeby ją aresztować?

- Do czego państwo zmierzają?
- spytał Jake.

- Sabrina Hollander urządziła małe przyjęcie, kiedy rodzice wyjechali z miasta.

Uczestniczyło w nim dwieście dzieciaków.

- Dwieście dzieciaków - powtórzyła bez tchu Kim, uznając, że chyba musiała usnąć w samochodzie i wszystko to jej się śni.

- Ktoś uznał, że zabawnie będzie zdemolować dom - ciągnął posterunkowy Slezak.
- Pozdzierali tapety ze ścian, pocięli dywany, zabrudzili meble, powybijali dziury w ścianach. Wyrządzili szkody nasumę prawie stu tysięcy dolarów.

- O mój Boże!

- Wykrzyknęła Mattie, przykrywając usta zabandażowaną dłonią.

- Nic o tym nie wiem - odpowiedział w osłupieniu Kim.

- Nic nie widziałaś?

Niesłyszałaś, by ktoś coś mówił?

- Nie.

- Ale wszyscy pilni brali narkotyki - stwierdził posterunkowy, jakby nie było co dotego wątpliwości.

- Wszyscy pili piwo - poprawiła niepewnie Kim, patrząc w stronę basenu i żałując, że nie może zniknąć bez śladu pod wodą.

- Mówiłaś, że wyszłaś stamtąd o dziesiątej.

- Już pan oto pytał - wtrącił Jake.

Lepszy z niego prawnik niż ojciec - pomyślała z mieszaniną niechętej wdzięczności i urazy Kim.

- Ale wiedziałaś o tym, co tam zaszło?

- spytał posterunkowy Slezak.

- Słyszałam, jak ludzie rozmawiali o tym w szkole - przyznała, udając, że nie widzi wyrazu zaskoczenia na twarzy matki.

- Co mówili?

- Że sprawy wymknęły się spod kontroli i że dom jest niszczone.

- Czy mówili, kto to zrobił?

- Jacyś ludzie.

Nikt ich nie zna.

- Jesteś pewna?

- Przecież powiedziała - rzekł z naciskiem Jake.

- Powinienem wyjaśnić, że prócz tego, że jestem ojcem Kim, jestem również adwokatem.

A także cudzołaznikiem - dodała w myśli Kim.

- Chyba sobie pana przypominam - zauważył beznamytnym tonem posterunkowy Slezak.

- To pan pozwolił, aby dzieciakowi, który zamordował własną matkę, uszło to na sucho.

Brawo, tato - pomyślała Kim.

Będę miała szczęście, jeśli mnie nie powiesz.

Kilka minut później posterunkowy Slezak uderzył się popotężnych udach, dając znak, że rozmowa dobiegła końca.

Jego partnerka pospiesznie zamknęła notes i schowała dotychczasowe spiski.

Kim prowadziła ich do drzwi, zamknęła je i oparła czoło o twardą dębową framugę.

- Czy jest coś, o czym nam nie powiedziałaś?

- Postyszała zaplecami głęsojca.

- Za kilka miesięcy dostanę prawo jazdy i nie będziemy musiały do ciebie dzwonić -

rzuciła buntowniczo, minęła go i wbiegła po schodach na górę.

Kilka minut później obserwowała z okna swego pokoju, jak idzie ścieżką

wychodzącą na ulicę.

Spojrzał w górę, jakby wiedział, że tam siedzi, i pomachał jej ręką.

Nie zareagowała.

10

Tydzień później, w poniedziałek, Mattie rozmawiała przez telefon z Royem Crawfordem, kiedy zabrzmiał sygnał informujący, że jest drugie połączenie.

- Możesz chwilę poczekać, Roy?

Przepraszam, to potrwa tylko sekundę.

86

Dlaczego zdecydowała się odebrać drugi telefon?

Zwykłego nie robiła, kiedy rozmawiała z ważnymi klientami.

Miała przecież automatyczną sekretarkę.

Po co więc potrzebna jej była taka funkcja?

Ale Kim uparła się, żeby z niej nie zrezygnować, i większość telefonów była właśnie do niej.

Może nadszedł czas, by założyć jej własną linię, chociaż w obecnej sytuacji byłoby to niepotrzebny wydatek.

Prędzej czy później będzie musiała się poważnie zastanowić nad sytuacją finansową.

- Słucham?

- powiedziała do słuchawki, dziwiąc się, że tyle myśli przebiegło jej przez głowę w ciągu sekundy.

- Mattie, tu Lisa.

Mattie utkwiła bezmyślny wzrok w rozsuwanych drzwiach kuchni.

Przez ciężkie szare chmury przebijało się słońce.

Niezamierzała rozmawiać z Lisą.

Pewnie usłyszy o czymś, o czym nie chciała wiedzieć.

- Zadzwoń do ciebie za kilka minut, dobrze?

Mam rozmowę na drugiej linii.

- Tonie może czekać.

Poczuła, że sztywnieje.

- Nie podoba mi się to.

i - Musisz przyjechać do mojego gabinetu.

i - Nie będę robić żadnych badań.

- Nie będzie żadnych badań.

Rozmawiałam już z Jakiem.

Przyjedzie po ciebie za pół godziny.

- Co?
- wrzasnęła do słuchawki.
- To znaczy, że dzwoniłaś do Jake'a?

Nie możesz tego robić.

- Już to zrobiłam.
- Nie miałaś prawa.

Słuchaj, to śmieszne.
Poczekaj chwilę.

Wcisnęła guzik stopu i przełączyła się na rozmowę z Royem Crawfordem.

- Roy - powiedziała zdyszczanym głosem.

- Czy mogę do ciebie oddzwonić?
- Możepo prostu przyjadę po ciebie koło dwunastej zjemyrazem lunch.
- Dobrze - odrzekła i przełączyła się narozmowę z Lisą.

-Dlaczego telefonowałaś do Jake'a?

- warknęła do słuchawki.
- Nie pozwoliłam ci z nim rozmawiać o mnie.

Nie rozmawiałam z nimo tobie.
Po co więc przyjeżdża po mnie za pół godziny?

87.

- Bo powiedziałam mu, że to ważne.
- Skoro to takie ważne, czemu nie mogę po prostu przyjechać do ciebie?
- Bo nie powinnaś prowadzić.
- Doskonale sobie z tym radzę - nie dawała za wygraną Mattie, usiłując zapanować jakoś nad tą rozmową, nad biegiem zdarzeń, nad swoim życiem.
- Mattie - w głosie Lisy zabrzmiało wahanie - doktor Vance właśnie poinformował mnie o wynikach badań.
Wstrzymała oddech.
- No i?
- wyrwał jej się, zanim zdążyła zamknąć usta.
- Są pewne komplikacje - odpowiedziała po dłuższej chwili Lisa.
- Wolalabym nie rozmawiać o tym przez telefon.
- Dlaczego zadzwoniłaś do Jake'a?
- Bo jest twoim mężem i powinien o wszystkim wiedzieć.
- Jesteśmy w separacji.
- Powinien tu być.
- Ale nie jest.
Oparła głowę na zabandażowane dłoni, czując, jak drżą jej mięśnie.
- Posłuchaj - zaczęła Lisa, odzyskując panowanie nad głosem i przybierając ton, którego Mattie często używała, gdy chciała przekonać Kim do czegoś, czego córka nie chciała zrobić.
- Pozwól, żeby Jake był twoim szoferem.
Nic więcej.
Jeśli nie chcesz, żeby był przy tej rozmowie, w porządku.
Zadecydujesz o tym po przyjeździe.
Ale przynajmniej będziesz miała kogoś, kto odwiezie cię do domu.
Mattie, proszę, zrób to dla mnie.
- Jake jest zajęty - próbowała jeszcze oponować Mattie.
- Nie może tak sobie wychodzić w środku dnia.
Co mu powiedziałaś?
- Tylko tyle, że to bardzo ważne i powinien tu być.
- Sprawa życia i śmierci, co?
- usłyszała swój głos.
Podrugiej stronie zaległa cisza.
- Czy ja umieram?
- spytała.
- To bardziej skomplikowane - odparła Lisa po długiej, stanowczo zbyt długiej przerwie.
I po raz pierwszy brzmiały w jej głosie łzy.
- Mattie, proszę cię.
Niech Jake po ciebie przyjedzie.
Porozmawiamy o tym później.

88

Kiwnęła głową, po czym odłożyła słuchawkę, starając się zapanować nad ogarniającą ją paniką.
Skomplikowane.
Dlaczego wszystko musi być zawsze skomplikowane?
Sprawdziła godzinę na swoim zegarku, a potem na zegarach wiszących w kuchni, i stwierdziła, że spieszy się o pięć minut od tego, który zwykle się późni.
- To znaczy, że mam mniej czasu, niż sądziłam - powiedziała, walcząc ze łzami i ciesząc się w duchu, że Kim jest w szkole i tego nie widzi.
Jużi tak maza duża głowie.
Wyszła z kuchni i schodami udała się na górę do sypialni.
Odrzuciła niebieski koc i wsunęła się pod niego w ubraniu.
Trzydzieści minut później wciąż leżała w łóżku opatulona po szyję.
Zadzwieć zaczął dzwonek u drzwi, a po chwili zgrzytnął przekręcany w zamku klucz i ktoś wszedł do hallu.

- Mattie!
- postyszała głos Jake.
-To ja.
Jesteś gotowa?
Powinniśmy już jechać.
Usiadła na łożku, odsunęła przyklejone do policzka włosy, wcisnęła w czarne spodnie zieloną jedwabną bluzkę i wzięła głęboki oddech.
Musi poprosić Jake'a, żeby oddał klucz oddom.
- Zaraz schodzę!
- zawołała.
Pięć minut później wciąż siedziała na brzegu łożka i słuchała, jak Jake wchodzi na górę.
- Masz coś, co nazywa się stwardnieniem bocznym zanikowym - wyjaśniła łamiącym się głosem Lisa.
Mattie siedziała sztywno wyprostowana obok Jake'a w gabinecie Lisy.
- Brzmi to poważnie - stwierdziła, unikając wzroku przyjaciółki i wpatrując się w wiszącą z tyłu zanią planszę.
- Bo tak jest - szepnęła Lisa.
- Czemu nigdy czymś takim nie słyszałam?
- spytała Mattie, jakby to miało jakieś znaczenie, jakby, znając nazwę, mogła uniknąć choroby.
- Pewnie znasz ją pod nazwą choroba Lou Gehriga.
- O Boże!
- zaparło jej dech w piersi.
Siedzący obok niej Jake osunął się na oparcie krzesła.
- Dobrze się czujesz?
Może dać ci szklankę wody?
89.

Pokręciła przecząco głową.
Jedyne, czego pragnęła, to stąd wyjść, znaleźć się w swoim łóżku, a przede wszystkim odzyskać życie.

- Co to właściwie za choroba?

Wiem, że Lou Gehrig był słynnym bejsbolistą i zmarł na jakąś straszną chorobę.

A teraz mówisz, że ja mam to samo?

Skąd wiesz?

- Doktor Vance przefaksował mi dziś rano wyniki elektromiografii.

Mówią same za siebie.

- Lisa podała Mattie jasnobrązowy papier.

Jake wziął goz jej drżących rąk, kiedy Mattie zareagowała.

- Zapytał, czy chce pierwsza ci o tym powiedzieć.

Nic nie mów - pomyślała Mattie.

- Powiedz - usłyszała swój głos, przebijający się przez szum w uszach.

- Badanie wykazuje rozległe odnerwienie.

- Mów poludzku!

- warknęła Mattie.

- Nastąpiło nieodwracalne uszkodzenie neuronów ruchowych w rdzeniu kręgowym i korze mózgu.

- Co to znaczy?

- Że komórki nerwowe obumierają - wyjaśniła cichym głosem Lisa.

- Komórki nerwowe obumierają - powtórzyła Mattie, starając się zrozumieć sens tych słów.

- Co to znaczy?

To znaczy, że umieram?

Zapadła cisza.

Nikt się nie ruszył.

Nikt nie oddychał.

- Tak - odpowiedziała ledwie dosłyszalnie Lisa.

- O Boże, Mattie.

Tak mi przykro.

- Jej oczy wypełniły się łzami, które rozlały się, zespląną popoliczkach.

- Zaczekaj.

- Mattie poderwała się z miejsca i zaczęła chodzić po małym gabinecie, między stołem a drzwiami.

- Nie rozumiem.

Skoro mam to stwardnienie jakiegś, dlaczego rezonans magnetyczny niczego nie wykazał?

- Rezonans jest od innych rzeczy.

- Sprawdza, czy niema stwardnienia rozsianego - upierała się Mattie.

- Okazało się, że nie mam, a to przecież jest stwardnienie.

- ŚLA to co innego - wyjaśniała cierpliwie Lisa, wymawiając każdą literę oddzielnie.

- ŚLA?

90

- To skrót.

- Wiem, co to za skrót!

- warknęła Mattie.

- Nie jestem idiotką.

Moje komórki mózgowe jeszcze nie umarły.

- Mattie - zaczął Jake i urwał.

- Ta choroba nie powoduje zmian w mózgu - wyjaśniła Lisa.

- Nie?

- Mattie zatrzymała się.

- W takim razie co?

- Może byś usiadła.

- Nie chcę siadać.

Chcę, żebyś mi powiedziała, co się zemną stanie, abym mogła stąd wyjść przeżyć resztę życia.

-Omalnie wybuchnęła śmiechem.

Resztę życia.

Dobrze powiedziane.

- Ile czasu mi zostało?

- Trudno powiedzieć.

Rzadko się zdarza, żeby ŚLĄ atakowało kogoś w twoim wieku.

- Ile?

- powtórzyła Mattie.

- Rok.

- Łzy zaczęły jej spływać po policzkach.

-Możedwa - dodałszybko.

- Nawet trzy.

- O Boże!

Mattie poczuła, że kolana siępod nią uginają, a głowazmienia sięw olbrzymi wirujący balon, który za chwilę rozbijesię o ziemię.

Lisa i Jake zerwali sięz miejsc i złapali Mattie,zanim zdążyła upaść.

- Oddychaj głęboko -poleciała Lisa, kiedy posadzili Mattiena krześle.

Posłyszała szum płynącej wody i poczuładotykszkłanki na ustach.

- Pij wolno - poinstruowała Lisa.

Smakzimnej wody zmieszał się ze słonymi łzami.

- Lepiej ci?

- Nie - szepnęłaMattie.

- Umieram.

Nie słyszałaś?

- Tak mi przykro.

- Lisa rozplakała się, ściskając ją za ręce.

Mattie spostrzegła, że Jake opiera się o drzwi i wygląda,!

jakbyuszło z niegocałe powietrze.

Co z tobą?

- chciała zapy; tac.

Zdenerwowałeś się, bo twoje czary tu nie działają?

Bo nie' możesz uratować mnie od wyroku śmierci, który właśnieogłosił najwyższy sąd?

- Rok - powtórzyła Mattie.

-Możedwa lub trzy - dodała z nadzieją wgłosie Lisa.

- A co się będzieziemną działo w czasie tego roku, dwóch lubtrzech?

- Trudno przewidzieć, jak choroba będzie się rozwijać -odparła Lisa.

- Atakuje różnych ludzi w różny sposób i nie; ma dwóch takichsamych przypadków.

91.

- Liso, proszę.

Nie mam zbyt wiele czasu.

- Mattie uśmiechnęła się, na co Lisa zaśmiała się smutno.

- Dobrze.

Chcesz, żebym mówił bez ogródek?

Proszę bardzo.

- Przełknęła ślinę i wzięła kilka głębokich oddechów.

- Stwardnienie boczne zanikowe to przewlekła choroba zwyrodnieniowa układu nerwowego, która nie niszczy zdolności umysłowych, lecz sprawia, że jej ofiara przestaje kontrolować własne ciało - wyrecytowała z twarzą moką od łez.

- W miarę postępów traci się wszelkie zdolności motoryczne.

Już zaczęła odczuwać mrowienie w nogach.

Zaczniesz się przewracać.

Potem będzie tylko gorzej.

Przestaniesz chodzić i jedynym wyjściem będzie wózek inwalidzki.

- Odetchnęła głęboko, jakby zaciągała się papierosem.

- Mówiłaś mi, że masz czasami kłopoty z włożeniem kluczy do zamka.

To wczesne objawy choroby.

W końcu twoje ręce okażą się bezużyteczne.

Ciało znacznie się wykrzywi, chociaż umysł nadal pozostanie jasny.

- Będę więźniem we własnym ciele - wyszeptła Mattie.

Lisa kiwnęła głową, nie próbując nawet ocierać łez.

- Twoja mowa stanie się niewyraźna, będziesz miała trudności z przelknięciem.

Trzebaby będzie karmić przez rurkę.

- Jak umrę?

- Mattie, proszę.

- Powiedz, jak umrę.

- Zaczniesz się dławić, a na koniec udusisz się.

- O Boże!

- Mattie przypomniała sobie paniczny strach, jaki odczuwała podczas rezonansu magnetycznego.

Przez czterdzieści pięć minut wydawało jej się, że leży w trumnie.

A teraz będzie musiała znosić to przez trzy lata.

Nie, to niemożliwe.

Przecież czuje się doskonale.

Nie może umrzeć.

Pewnie zaszła jakaś pomyłka.

- Chcę zasięgnąć opinii innych lekarzy.

- Oczywiście.

- Ale żadnych dodatkowych badań.

Czułam się dobrze, dopóki nie zaczęłam robić tych badań.

- Żadnych badań - zapewniła ją Lisa, ocierając łzy.

- Porozmawiam z doktorem Vance'em.

Poproszę, żeby mi kogoś polecił.

- To musi być jakaś pomyłka - upierała się Mattie.

- Tylko dlatego, że stopa mi czasami usypia i mam kłopoty z kluczami.

92

- Czy zachowanie Mattie wsądzie.

- zaczął Jake, lecz zamilkł pod wpływem gniewnego spojrzenia żony.

- To skutek choroby - dokończyła Lisa.

- Nie wiadomo dlaczego, ale nieoczekiwane zachowania, takie jak wybuchy śmiechu czy płaczu bez konkretnego powodu, są jeszcze jedną cechą charakterystyczną tej choroby.

- Nie chcę już więcej o tym mówić - oznajmiła Mattie, wstała z krzesła.

- Doktor Vance chce, żebyś zaczęła brać lekarstwo o nazwie Riluzol - powiedziała szybko

Lisa.

- Powstrzymuje on proces umierania komórek nerwowych.

Wystarczy jedna pigułka dziennie i nie wywołuje efektów ubocznych.

Lek jest drogi, ale wart swej ceny.

- POCO miałabym go brać?

- spytała Mattie, czując wzbierający w niej gniew.

Przecież powiedziała Lisie, że chce zasięgnąć opinii innych lekarzy.

Mówią o lekach, jakby już wszystko było przesądzone.

- Bo daje kilka dodatkowych miesięcy.

- Po to, że bym dłużej tkwiła na wózku, dusiła się i była sprawna umysłowo w niesprawnym ciele?

Dziękuję bardzo, alenine.

- Riluzol zwalnia proces choroby.

- Innymi słowy, opóźnia to, co nieuniknione.

- Naukaczkę czas odkrywa nowe metody leczenia - przekonywała Lisa.

- Daj spokój - przerwała jej Mattie.

- Daruj sobie te gadki, że naukowcy odkrywają jakiś cudowny lek albo że cuda się zdarzają.

To do ciebie niepasuje.

- Mattie, proszę.

- Lisa wypisała receptę i podała przyjaciółce, lecz ona jej nie przyjęła.

- Powiedziałam, że chcę zasięgnąć opinii innego lekarza.

Jake wziął receptę z rąk Lisy i schował do kieszeni szarej marynarki w drobne prążki.

Tam, gdzie znalazłam rachunek

hotelowy - pomyślał z goryczą Mattie.

- Po co mu ją dałaś?

- spytała Lisy.

- Pomyślałem, że powinniśmy ją wziąć - wyjaśnił niepewnym głosem Jake.

- My? To znaczy kto?

- Mattie.

93.

- Nie masz żadnych praw.
Zrezygnowałeś z nich.
Przyjechałeś tutaj jako mój szofer.
- Mattie.
- To nie powinno cię interesować.
Jateż cię nie powinnam interesować.
- Jesteś matką mojego dziecka - odpowiedział.
O Boże, Kim!
Zgięła się wpół, jakby otrzymała cios w brzuch.
Co onajej powie?
Zenie będzie na rozdaniu maturani gdy będzie wstępować do college'u?
Że nie będzie tańczyczą jej ślubie, trzymać w ramionach pierwszego wnuka?
Zezadusi się na śmierć na oczach własnej córki?
- Matką twojego dziecka - powtórzyła.
Oczywiście, tykotym dla niego była: matką jego dziecka.
Jestem żałosna - pomyślała, prostując się i unosząc do góry brodę.
- Chcę wrócić do domu - oznajmiła.
Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że dochodzi wpół do dwunastej.
- Mam randkę.
- Co?
Wyraz twarzy Jake'a zadowoliliby najbardziej nawet mściwą duszę.
- Czymogę uprawiać seks?
- spytała nagle Lisy.
- Co?
- powtórzył Jake.
- Mogę?
- powtórzyła Mattie.
- Tak długo, jak będzie ci to sprawiać przyjemność - odparła Lisa.
- Świetnie, bo chce mi się kochać - powiedziała.
- Mattie - zaczął Jake, poczym urwał i opuścił bezradnie ręce.
- Nie z tobą - wyjaśniła Mattie.
- Ach, co zaulga!
Już miniejesteś do tego potrzebny.
Zrezygnowałeś w odpowiednim czasie.
Nikt nie nazwie cię nędznym sukinsynem za to, że zostawiłeś żonę, kiedy dowiedziałeś się, że umiera.
Twoje wycucie czasu jest jak zwykle bez zarzutu.
- Co teraz zrobimy?
- spytał bezradnie.
- To proste - odrzekła.
- Ty będziesz żył, a ja umrę.
A teraz czy mógłbyś odwieźć mnie do domu?
Naprawdę mam randkę.
Nic na tonie powiedział.
Otworzył drzwi gabinetu i odetchnął głęboko.
- Zadzwoń, jak tylko wszystko załatwię - obiecała Lisa.
- Nie ma pośpiechu - odpowiedziała Mattie i wyszła z pokoju.
94
11
W drodze powrotnej nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.
Mattie była odrętwiała i wściekła, a Jake onieśmielony jej irytacją.
Zamiast tego słuchali radia, które Jake nastawił nieco głośniejsze niż zwykle, lecz dzisiaj nikomu to nie przeszkadzało.
Rockowa muzyka tryskała do wnętrza bmw jak woda wdzierająca się do samochodu tonącego w rzece.

Sączyła się przez każdy otwór i wypełniała pustą przestrzeń, zalewając wszystko, co spotkała na drodze.

Muzyka ogłuszała ich i kneblowała usta, mimo to Mattie nie miała pojęcia, o czym jest ta piosenka. Nie szkodzi - pomyślała, patrząc przed siebie.

Nie musi wiedzieć, o czym oni krzyczą, wystarczy, żeby krzyczeli.

Z Old Orchard Road, przy której mieścił się gabinet Lisy, skręcili na południe, na Edens Expressway.

Jake ścisnął kierownicę tak mocno, jakby się bał, że jeśli ją puści, straci kontrolę nad samochodem. Mattie zauważyła, że zbiegają mu kostki palców, rozciągając ślady po bliznach widocznych na nadgarstkach z nich.

Były to pozostałości po wypadku, który zdarzył się w dzieciństwie, a o którym nie chciał nigdy mówić.

Czy to napięcie było skutkiem szokujących wiadomości o jej chorobie, czy też wynikało z faktu, że odwozi ją na spotkanie z innym mężczyzną?

Czy miało to w ogóle jakieś znaczenie dla niego?

Za telefonowała do domu, by odebrać nagrane wiadomości, i dowiedziała się, że Roy przesunął o godzinę termin spotkania.

Zaproponował lunch w restauracji Black Ram, mieszczącej się przy Oakton Road, niedaleko Des Plaines.

Nic nieszkodzi - pomyślała - tylko co z Jakiem?

Upał się, że ją odwiezie.

- Możesz mnie tu wysadzić - powiedziała nagle, wskazując na centrum handlowe Old Orchard przy Golf Road.

Natychmiast wyłączył radio.

Cisza, jaka nastąpiła, była równie ogłuszająca jak głośnie muzyka.

- Dlaczego tu?

- Mam godzinę do zabicia.

- Zaśmiała się w duchu z własnych słów.

- Przejdę się trochę po sklepach.

Jak dotrzesz do restauracji?

95.

Gdyby przedtem się tak o nią martwił, nadal byłiby razem.

- Jake, dam sobie radę.

-Nie jestempewny - obstawał przy swoim.

W jego oczachmalował się niepokój.

- Mam przed sobą jeszcze rok, więc nie musisz się o mnie martwić.

- Na litośćboską, przecież nie o to chodzi!

- Chodzi o to, żejestem już dorosła, odpowiadam za siebiei nie muszę mieć twójego pozwolenia, by iść do centrum.

Westchnął ciężko, pokręcił głową, poczym skierowalsamochódw stronę centrum handlowego.

- Może poszlibyśmy gdzieś na kawę?

- zaproponował,zmieniając taktykę.

- Za godzinę idę na lunch - przypomniałamu.

-Musimy porozmawiać.

- Nie mam ochoty na rozmowę.

-Mattie!

- Wjechał na parking, stanął między czerwonymdodge'em i srebrną toyotą i wyłączył silnik.

-Przeżyłaś szok.

Zresztą oboje przeżyliśmy.

- Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać - powtórzyła.

- Według mnie to jedna wielka pomyłka.

Koniec dyskusji.

- Musimy się naradzić, co robić, jak powiedzieć o tym Kim.

-Kiedy ty nie chcesz oczymś mówić, to nie mówimy,alekiedy ja mówię, że koniec dyskusji, to się nie liczy - rzuciłagniewnie.

- Ja chcęci tylko pomóc - rzekł łamiącym się głosem.

Odwrociła się, żeby niepatrzeć na jego ból.

Nie mogłasobie na to pozwolić.

- Głowa do góry, Jake- powiedziała, otwierając drzwi samochodu.

- Nie ma się czym martwić.

To pomyłka.

Jestemabsolutnie zdrowa.

Odchylił głowę naskórzany zagłówek i utkwiał wzrok w szyberdach.

- Mogę do ciebie zadzwonić?

-Co nato powie twoja przyjaciółka?

- Nie czekając naodpowieź wysiadłz samochodu.

- Mattie.

-Skąd masz te blizny na kostkach dłoni?

- spytała, za

96

skakując oboje, po czympatrzyła,jak krew odpływa muz twarzy, a niebieskie oczy zachodząmgłą.

Twoja kolej, Jake - pomyślała, wiedząc, jak niechętnie wracał do przeszłości.

Wykręcisz się krótką pamięciaczy spochmurniejesz i nic nie powiesz?

A może wymyślisz cośnapoczekaniu?

Bezwiednie przesunął palcami po bliznach.

- Kiedy miałem cztery lata, matka postawiła mi gorąceżelazko na dłoni - rzekł cicho.

-O Boże!

-Oczy Mattie natychmiast wypełniły się łzami.

-Czemu mi nigdy nie powiedziałaś?

Wzruszył ramionami.

- A po co?

-Byłamprzecież twojążoną.

- I co byś na to poradziła?

-Nie wiem.

Może mogłabym ci pomóc.

- Ja też chcę ci pomóc, Mattie - umknął od tematu, starając się zagłuszyć przykre wspomnienie.

- W miarę swoich możliwości.

Wyprostowała się, spojrzała w stronę centrum handlowego, potem znów na Jake'a.

- Będę o tym pamiętać - odparła chłodnym, schrypniętym głosem.

- Jedź ostrożnie - dodała, zatrzasnęła drzwi i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Pół godziny później weszła do małego biura podróży o nazwie Gulliver's Travel, mieszczącego się w odległym końcu centrum handlowego, i postawiła dwie duże torby z zakupami na pierwszym z brzegu biurku.

- Chciałabym zarezerwować bilet do Paryża - oznajmiła, uśmiechając się do pulchnej kobiety średnim wieku z plaketką informującą, że nazywa się Vicki Reynolds.

Szybko zorientowała się, że kobieta należy do tych osób, które sprawiają wrażenie bardziej zajętych, niż są w rzeczywistości: ręce w ciągłym ruchu, a na twarzy wyraz głębokiego skupienia.

Właśnie udawała, że wprowadza jakieś dane do komputera.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała, nie podnosząc głowy.

97.

- Nie mam zbyt dużo czasu - odrzekła Mattie, po czym się roześmiała.

Kobieta zerknęła nadwa innestanowiska, ale też były zajęte przez klientów.

- Za chwilę będę do pani dyspozycji.

Mattie usiadła na krześle, zadowolona, że może odpocząć.

Przez cały czas biegła jak w transie od sklepu do sklepu, oglądając, przymierzając i na koniec wychodząc z trzema nowymi swetrami, w tym jednym z różowej angory, dwiema parami czarnych spodni, bo czarnych spodni nigdy nie zawiele, parą zamszowych butów od Roberta Clergeriego w kolorze zielonego lasu, które zdaniem sprzedawcy pasują do wszystkiego, i fantastyczną marynarką ze skóry od Calvina Kleinaw kolorze krwistoczerwonym.

Marynarka kosztowała fortunę, ale sprzedawczyni zapewniła ją, że to klasyczny fasoni nigdy nie wyjdzie z mody.

Będzie ją nosiła dokońca życia.

"Do końca życia" - powtórzyła Mattie, oglądając się w wielkim lustrze.

Później będzie się martwić, skąd weźmie na to pieniądze.

Powinnabyła też pomyśleć o kupnie nowego samochodu.

Nie mogła przecież bez końca jeździć wynajętym oldsmobile'em.

Prędej czy później będzie musiała kupić sobie auto, więc czemu nie teraz.

Nigdy jeszcze nie kupowała samochodu, więc będzie to dla niej zupełnie nowe doświadczenie.

Może kupić sobie sportowy samochód, takie fajne zagraniczne, jak to w jasnoczerwonym kolorze.

A może coś rodzimego, na przykład corvetę.

Zawsze, chciała mieć corvetę.

To jakże zniechęcił ją do kupna, przekonując, że dwuosobowy samochód jest niepraktyczny w sytuacji, gdy odwozi Kim i jej koleżanki.

Ale on nie miał już nic do gadania, a koleżanki Kim jeździły już własnymi samochodami.

Jeśli więc kupić mała sportowy samochód, to tylko teraz, i niech diabli wezmą pieniądze.

Jutro rano włoży różowy sweter z angory, czarne spodnie, zielone zamszowe buty, skórzaną marynarkę od Calvina Kleina i pójdzie kupić corvetę.

Może poprosi Roya Crawforda, żeby jej towarzyszył.

- W czym mogę pani pomóc?

- spytała Vicki Reynolds, unosząc wreszcie wzrok z nad komputera i prezentując zaskakująco gładką twarz z tak mocno naciągniętą skórą, jakby dmuchał w nią huraganowy wiatr.

98

- Chciałabym zarezerwować bilet pierwszej klasy do Paryża - powiedziała, z trudem odrywając wzrok od jej twarzy.

- Bardzo proszę - odparła kobieta, rozciągając wargi w czymś na kształt uśmiechu.

- Kiedy chciałaby pani lecieć?

Mattie rozważyła wmyślach kilka możliwości.

Teraz był październik, a zima tonie najlepsza pora na pierwsze spotkanie z Paryżem.

Pełno wówczas szarości.

W lecie jest zbyt duży tłok, mnóstwo studentów i turystów, poza tym co zrobiłaby z Kim?

Bardzo kochała córkę, ale Paryż kojarzył się z romantyczną przygodą, a nie z nastolatką.

Chciała, aby jej pobyt upłynął bez troski romantycznie.

Może zaproponuje Royowi Crawfordowi, by jej towarzyszył.

- Kwiecień - odparła zdecydowana.

- Kwiecień w Paryżu.

Co może być lepszego?

- Oczywiście kwiecień w Paryżu - przyznała Vicki Reynolds, rozciągając wargi w prostą linię.

Mattie odchyliła się na oparcie i uśmiechnęła od ucha do ucha.

- Dlaczego kobiety robią takie rzeczy ze swoimi twarzami?

- spytał Roy Crawford z nad drugiego kieliszka drogiego czerwonego burgunda.

Siedzieli w przytulnej małej, wyłożonej boazerią restauracji, o surowym męskim wystroju, tonącej w mrok nawet w środku dnia, i jedli grube soczyste steki z pieczonymi

ziemniakami, polanymi śmietaną.

Na taką ekstrawagancję Mattie od lat sobie nie pozwalała.

- Dlaczego kobiety robią takierzeczy?

- powtórzyła Mattie.

- I to właśnie ty o to pytasz?

- Co masz na myśli, mówiąc "właśnie ty"?

- Roy Crawford dotknął gęstej szpakowatej czupryny i wygładził nieistniejącą marszczkę na jasnoniebieskim jedwabnym krawacie.

- Bo zmieniasz żony na coraz młodsze.

Na litość boską, żyjesz przecież z nastolatką!

- To nie ma nic wspólnego z jej wyglądem, a tym bardziej jej usposobieniem.

Ty na przykład wyglądasz bardzo pięknie - dodał szybko.

- Dziękuję, ale.

99.

- Gdybyś nie powiedziała mi o wypadku, nigdy bym nie zgadł.
 - Dziękuję - powtórzyła, zastanawiając się, dlaczego dziękuje mu za to, że jest taki mało spostrzegawczy.
- Ale chyba nie powieszmi, że wygląd nie jest jednym z powodów, dla których mężczyźni uganiają się za młodszymi kobietami.
 - Nie powiedziałem, że wygląd nie ma znaczenia, ale równie ważny jest charakter.
 - Więc gdybyś miała dwojuro kobietę w średnim wieku wspaniałym charakterze i naburmuszoną młodą blondynkę z wielkim biustem, wybrałbyś wiek zamiast urody?
 - Nie wybrałbym ani tego, ani tego, bo ja jestem właśnie lunch najatrakcyjniejszą kobietą w Chicago.
- Uśmiechnęła się mimowolnie.
 - Myślę, że powodem, dla którego kobiety, takie jak ta agentka z biura podróży, decydują się naskalpel, jest przekonanie, że nie mają wyboru.
- Muszą rywalizować z młodszymi od siebie kobietami na ciągle kurczącym się rynku mężczyzn.
 - Może one nie rywalizują z innymi kobietami - powiedział Roy.
- I może robią tego dla mężczyzn.
 - A dla kogo?
 - Może walczą z upływającym czasem i tęsknią za swoim wizerunkiem sprzed lat.
- Może po prostu chcą się starzeć.
 - Są gorsze rzeczy niż starość - odrzekła Mattie.
 - Na przykład?
- Roy zaśmiał się, biorąc doust wielki kawałek stęka.
 - Umrzeć młodo - powiedziała, po czym odłożyła widelec.
- Nagle odechciało jej się jeść.
 - Żyj ostro, umrzyj młodo, pozostaw po sobie piękne ciało - wyrecytował Roy.
- Czy nie tak się mówi?
 - Czy tak właśnie chcesz umrzeć?
 - Ja umrzeć?
- Nie ma mowy.
- Będę żył wiecznie.
 - Czy dlatego ugania się za coraz młodszymi kobietami?
- To sposób nauczenia przed śmiercią?
 - Spuścił wzrok i strzepnął niewidzialne okruszyny z białego płóciennego obrusa.
 - Mówisz jak moje byłe żony - szepnął.
 - Dlaczego mężczyźni oszukują żony?
- spytała nagle.
- Odchylił się na oparcie krzesła i odetchnął głęboko.
 - Czy to jakaś gra?
- zapytał.
 - 100
 - Gra?
 - Dostanę nagrodę, jeśli dobrze odpowiem?
 - A znasz dobrą odpowiedź?
 - Znam odpowiedzi na wszystko.
 - Dlatego cię zapytałam.
 - Pociągnął wina i pochylił się nad stołem.
 - Czy masz może magnetofon pod tą śliczną jedwabną bluzeczką?
 - Chcesz mnie przeszukać?
- spytała prowokująco.
 - Niezła myśl.
 - Najpierw musisz odpowiedzieć na pytanie.
 - A jak ono brzmiało?
- zapytał i oboje wybuchnęli śmiechem.
 - Dlaczego mężczyźni oszukują żony?
- Wzruszył ramionami, zaśmiał się i spojrzął w bok.

- Znasz taki stary kawał?
Dlaczego pies liże swoje jądra?
- Nie - odparła zdziwiona.
-Bo może - odparł ze śmiechem.
- Chcesz powiedzieć, że mężowie oszukują żony, bo mogą?
-Mężczyźni są z reguły prostymistworzeniami.
- I dlatego jesteś tu ze mną?
-Jestem tu,bo zaprosiłaś mnie na lunch, by omówić kupnonowych obrazów do mojego mieszkania -przypomniała jej.
- Tego,w którym mieszkasz z Miss Nastolatek?
-Jest bardzo dojrzała - odparł zfiglarnym błyskiem w oku.
Uśmiechnęła się.
- Na pewno ma wspaniały charakter.
Wybuchnął głośnym śmiechem, odsłaniając rząd pięknych Zębów.
To prawda.
W takim razie co tutaj robisz?
Może powinienem zapytać, co ty tutaj robisz.
Mój mąż ma
romans z inną kobietą - odparła bez ogródek.
; Pokiwał głową.
Nareszcie wszystko zaczęło do siebie pasować.
I chcesz mu się zrewanżować.
To jeden z powodów.
A inny?
101.

Powiodła wzrokiem po ciemnej sali, starając się nie widzieć twarzy Lisy w twarzach obecnych na sali kobiet i nie słysząc łowieszczej diagnozy w ich ściszonych głosach.

- Może nie ma innego.

- Dziękuję za to, że przynajmniej jesteś szczerą - rzekł, śmiejąc się, Roy.

- Gniewasz się?

- Wprost przeciwnie.

Pochlebia mi to.

Byłbym jednak bardziej zaszczycony, gdybyś powiedziała, że jestem przystojny, że nie możesz mi się oprzeć, ale motyw zemsty też jest dobry.

Zgadzasz się na zemstę.

Kiedy?

Spojrzała mu w oczy, sądząc, że żartuje.

- Mam wolne popołudnie - powiedziała w końcu.

- W takim razie wynośm się stąd.

- Zdjął serwetkę z kolan, rzucił ją na talerz i dał znak kelnerowi.

- Dokąd pójdziemy?

Towzystwo działo się trochę zaszybk.

Sama tego chciała.

Kupiła nawet jedwabną bieliznę.

- Możemy pojechać do mnie - zaproponowała, wiedząc, że Kim wybiera się po lekcjach na mecz futbolowy i wróci dopiero na kolację.

- Niezbyt dobry pomysł - zauważył Roy.

- Wściekli mężowie mają zwyczaj wracania, kiedy się ich najmniej spodziewasz.

- Nam to nie grozi - odparła.

- Wyjechał?

- Na jakiś czas.

Wyprowadził się przed dwoma tygodniami.

- Jesteście w separacji?

- Wyglądał natak zaskoczonego, jakby właśnie uderzył w mur.

- Czy to jakiś problem?

- Komplikacja - uśmiechnął się z trudem.

- Komplikacja?

Sądziłam, że wprost przeciwnie.

- Jak by ci to wytłumaczyć.

- Pokręcił wielką głową.

- Rzuciłem szkołę, kiedy miałem szesnaście lat, nigdy nie zrobiłem matury.

Ale nieźle ułożyłem sobie życie.

Dlaczego?

Po pierwsze, korzystałem z okazji, po drugie, starałem się nie komplikować życia.

Gdybyś nadal mieszkała z mężem, byłaby to spania okazja dla dwojga dorosłych ludzi, którzy chcą mieć trochę przyjemności.

Ty oczekiwałabyś jedynie ode mnie, bym ci tej przyjemności dostarczył.

Taka okazja bez zobowiązań.

-

102

Urwał odesłał kelnera, który szedł ku nim z rachunkiem.

- Fakt, że już nie mieszkasz z mężem, nie upraszcza sprawy.

Toożnacza, że twoje oczekiwania się zmieniły.

- Niczego od ciebie nie oczekuję - zaprotestowała.

- W tej chwili nie.

Ale będziesz.

Zaufaj mi, mówię z własnego doświadczenia.

- Rozejrzył się po sali, po czym przysunął bliżej, jakby chciał wyjawic głęboko skrywaną tajemnicę.

- Będziesz chciała, żeby łączył nas bliższy związek, a ja nie chcę angażować się kolejny.

Nie chcę pamiętać o twoich urodzinach lub kupować z tobą nową samochód.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Uraziłem cię.

Przepraszam.

Nie miałem takiego zamiaru.

- Nie uraziłeś - odpowiedziała.

W głowie miała mętlik, wywołany odmową i jednocześnie trafnością jego słów.

- Masz absolutną słuszość.

- Naprawdę?

- Uśmiechnął się.

- Chyba jesteś pierwszą kobietą, która mi to mówi.

- Mam właściwy stosunek do życia.

- Minęła ich kobietą krótkimi falistymi włosami.

W pierwszej chwili wydało jej się, że to Lisa, która przyszła tuż przed nią i chce publicznie ogłosić swoją diagnozę.

- Chyba nie zrobisz to wielkiej różnicy, jeśli powiem, że już wkrótce może mnie nie być.

- Przeprowadzasz się?

Wzruszyła ramionami ze smutnym uśmiechem.

- Zastanawiam się nad tym.

- Nie wyjeżdżaj zbyt daleko.

- Ponownie dał znak kelnerowi.

- Moje ściany będą puste bez ciebie.

Żyj ostro, umrzyj młodo - pomyślała, kiedy Roy wręczał swoją kartę kredytową kelnerowi.

- Pozostaw po sobie piękne ciało.

12

- Nigdy mi nie mówisz, że ładnie wyglądam.

Jako jęknął, przewrócił się na plecy, potem nabok i podciągnął nauszy gryzący wełniany koc w kolorze różu, by nie

słyszeć głosu matki.

103.

- Czemu nigdy mi tego nie mówisz?

-Ciągłeci to powtarzam.

Tylko nie słuchasz - burknął ojciec.

Gazetazaszleściła cicho w rękach ojca.

Jake jęknął głośniejszym głosem, nie chcąc słyszeć tego, co miało nastąpić.

- Może byśmy gdzieś wyszli.

Na przykład potańczyć - przekonywała matka, wypełniając sobą cały senjake'a.

Blond włosy, ciemne oczy i szeroka kwiecista spódnica przesłoniły inne obrazy.

Zakołysała prowokacyjnie biodrami, starając się przyciągnąć wzrok ojca, który uparcie czytał gazetę i udawał, że nie dostrzega matki.

- Słyszałeś?

Powiedziałam, żebyśmy poszli gdzieś potańczyć.

- Znowu piąś.

-Nie piłam.

- Zalatuje od ciebie alkoholem.

Kwaśna mina matki wypełniła olbrzymi ekran w umyśle Jake'a.

- Nie chcesz iść potańczyć, dobrze.

To może pójdziemy dokina.

Odmiesięcy nie byliśmy w kinie.

- Nie chcę iść do kina.

Poproś którąś ze swoich przyjaciółek, żeby poszła z tobą.

- Nie mam przyjaciółek!

- warknęła Eva Hart.

-To ty masz przyjaciółki.

Jake przewrócił się na plecy z pomrukiem niezadowolenia.

Obudź się - szeptał wewnętrzny głos.

Przecież nie chcesz tego słuchać.

- Ciszej - ostrzegł ojciec.

- Obudzisz chłopców.

- Założę się, że swoim przyjaciółkom nie każesz się uciszyć, kiedy krzyczą o więcej.

-Na litość boską, Evo!

- Na litość boską, Warren!

- odparowała z drwiną w głosie wykrzywioną gniewem twarzą.

Warren Hurt podniósł gazetę na wysokość oczu, odgradzając się nią od żony.

Nie - pomyślał Jake.

To najgorsza rzecz, jaką możesz zrobić.

Nie wolno jej ignorować.

Onanie odejdzie.

Matka była jak burza tropikalna, jej wściekłość stopniowo rosła i potęgowała, zmiatając wszystko, co napotkała na drodze, nie zważając na to, kogo zrani, opanowana jedną myślą, by siać zemstę i zniszczenie.

Była siłą natury, a natury

104

nie można lekceważyć.

Czy ojciec o tym nie wiedział?

Czy niczego się nie nauczył?

- Myślisz, że nie wiem o twoich przyjaciółkach?

- szydziła Eva Hart.

- Sądziś, że nie wiem, dokąd chodzisz wieczorami, kiedy mówisz, że wracasz do biura?

Wydaje ci się, że o niczym nie wiem, ty nędzny sukinyńcu?

Nie rób tego, nie rób tego, nie rób tego.

Eva Hart wbiła pięść w sam środek gazety męża, a Jake, jakby w odpowiedzi na ten gest, uderzył pięścią w łóżko.

Ojciec zerwał się z fotela stojącego przy kominku i cisnął resztki gazety na beżowy dywan.

Mały pokój aż skurczył się w oczekiwaniu na wybuch wściekłości.

- Jesteś szalona!
- krzyknął, chodząc tam i zpowrotem zabrązową pluszową kanapą.
-Szalona!
- To ty jesteś szalony.
Matka zrobiła krok w przód, straciła równowagę i omal nie wpadła na lampę.
- Jestem szalony, boprzestaję z szaloną kobietą.
-To czemu się niewyniesiesz, ty niedźwiedźny draniu?
- Może i to zrobię.
Ojciec podszedł do szafy, wyjął z niej marynarkę i ruszył do drzwi.
Nie możesz wyjść.
Nie możesz nas z nią zostawić.
Proszę, wróć.
Nie możesz wyjść.
- Myślisz, że nie wiem, dokąd idziesz?
Sądziś, że nie wiem, iż traktujesz to jako wymówkę?
Dokąd się wybierasz?
Nie możesz wyjść.
Niech cię diabli!
Nie możesz zostawić mnie samej!
Nie idź.
Nie idź.
Nie idź.
- Nie!
Jake usłyszał krzyk matki i odgłos pięści walących w drzwi, kiedy zatrzasnęły się przed
jej nosem.
Te hałasy poniosły się przez hali schłodzonego domku i otworzyły drzwi do pokoju Jake'a.
Wbiegli doniego dwaj młodsi bracia i zaczęli układać przy drzwiach barykadę z książek i zabawek,
bezużyteczną wobec rosnącej hysterii matki.
Po chwili cała trójka, w wieku trzech, pięciu i siedmiu lat, ukryła się w bezpiecznym
wnętrzu szafy.
Starszy brat, Luke, siedział nieruchomo, a młodszy Nicholas trząsał się ze strachu w jego ramionach.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał Jake.

- Mamy wodę apteczkę pierwszej pomocy.

-Wskazał na przedmioty, które schował tu na wszelki wypadek.

- Jeśli będziemy siedzieć cicho, nic się nam nie stanie.

- Gdzie, do cholery, jesteście, wy, nędzne bachory?

- rozległ się głos matki.

-Też mnie opuściliście?

- Nie!

- jęknął przez sen Jake, rzucając się na łóżku, a mały Jake przyłożył palec do ust.

- Ciii.

-Dlaczego mnie zostawiliście?

- zawołała matka, wchodząc do ciemnego pokoju.

-Czy w tym nędznym domu nikt już mnie nie kocha?

Cała trójka wstrzymała oddech.

Jake jęknął i przewrócił się na bok.

- Niemożę tak dłużej żyć!

- krzyczała Eva Hart.

-Słyszycie?

Nie mogę tak dłużej.

Nikt mnie nie kocha.

Nikogo nie obchodzi, co się ze mną dzieje.

Nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy umieram.

Nicholas zaczął płakać.

Jake przykrył mu usta dłonią i pocałował w czubek obciętej na Bustera Brownagłówki.

- Tu jesteście- powiedziała matka, stąpając ciężko po brązowym dywanie.

Lukę pochylił się i chwycił za gałkę w drzwiach szafy.

- Do diabła z wami!

- wrzasnęła matka i kopnęła w drzwi.

-Siedźcie tam sobie!

Wszystko mi jedno!

Usłyszeł trzask.

Mój samolot - pomyślał Jake.

Sklejał gotyle godzin.

Zagryzł wargę, by się nie rozpłakać.

- Wiecie, co teraz zrobię?

- Umilkła.

-Nie musicie mi odpowiadać.

Wiem, że mnie słyszycie.

Powiem wam, co zrobię, bo nikt mnie nie kocha i nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy umrę.

Pójdę do kuchni i odkręcę gaz, a rano, gdy wasz ojciec wróci od tej swojej przyjaciółeczki, znajdzie nas wszystkich martwych w łóżkach.

- Nie!

- załkał Nicholas w ramionach Jake'a.

- Nie!

- zaprotestował Jake, zrzucając z siebie kołdrę.

- Robię wam przysługę - ciągnęła matka, rozkopując leżącą na podłodze książkę i zabawki.

Potknęła się i upadła, po czym cisnęła butem w zamknięte drzwi szafy.

- Nie będziecie nawet wiedzieć, kiedy to się stanie.

Umrzecie spokojnie we śnie - oznajmiła, po czym wyszła z pokoju, śmiejąc się jak szalona.

106

- Nie!

- krzyknął mały Jake, przytulając się do braci.

- Nie!

- krzyknął przez sen Jake, machając namiętnie rękami.

Posłyszał, jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze, i poczuł pod dłonią czyjeś ciało.

- Boże, Jason, co się dzieje?
- zabrzmiał wystraszony głos Honey.
Potrzebował kilku sekund, by na powrót stać się dorosłym mężczyzną, otworzyć oczy i uświadomić sobie, gdzie jest.
- Przepraszam - wyszeptał.
Czoło zraszał mu pot, który spływał do oczu i mieszał się ze łzami.
- Przepraszam, Honey.
Zrobiłem ci krzywdę?
Dotknęła palcami nosa.
- Chyba jest cały - orzekła i przesunęła mu dłoń po nagim ramieniu.
- Znowu miałeś tensen?
Ukrył twarz w dłoniach.
Miała lekko zimne ciało.
- Nie wiem, co się ze mną dzieje.
- Masz wiele spraw na głowie.
Włączyła stojącą przy łóżku lampkę.
Brązowe barwy dzieciństwa ustąpiły miejsca ciepłym oranżom sypialni.
Honey odrzuciła z twarzy rude lokki i uśmiechnęła się do niego niepewnie.
- Chcesz mi o tym opowiedzieć?
Pokręciła głową.
Włosy nad czołem śniły od potu.
- Połowy z tego nie pamiętam.
Kłamstwo.
Pamiętał każdy ruch, każde wzruszenie ramion.
Nawet teraz widział siebie, pięcioletniego chłopca, jak wychodzi z kryjówki, by otworzyć okno.
Udało mu się unieść je zaledwie na kilka centymetrów.
Zapewnił jednak braci, że to wystarczy, że będą bezpieczni, że gaz już im nie zaszkodzi.
- Chyba nadal nie mogę spać przy zamkniętym oknie - powiedział niepewnie.
- Myślisz, że okno ma coś wspólnego z twoimi sennymi koszmarami?
- spytała zaskoczona.
Wzruszył ramionami, pokręcił przecząco głową i machnął ręką.
Przecież jest dorosłym mężczyzną, matka od lat nie żyje i mógłby się wreszcie nauczyć spać przy zamkniętym oknie.
- Przepraszam, Jason.
To przez te koty.
Ktoś kiedyś otworzył okno, zaledwie na kilka centymetrów, i Kang wyszedł przez nie.
Szukałam go kilka dni.
Oba koty wskoczyły na łóżko, jakby wiedziały, że o nich

mowa.

Kanga miał osiem lat i rude futerko, a Roo cztery kruczoczarne futerko.

Koty zazdrosne oswoją panią, niezamierzałydzielić się miejscem z tym dwunożnym intruzem.

Jake też za nimi nie przepadał.

Nielubił kotów, wolał psy, ale Mattie nigdy nie chciała mieć psa.

Zepchnął teraz Kangę z nóg, wstał z łóżka i włożył granatowy szlafrok.

Czemu nagle pomyślał o Mattie?

Patrzył, jak Honey znika w łazience, potyskując kuszącą poślądkami.

Chwilę później wyszła z niej w białym aksamitnym szlafroku, z włosami zebranymi w elastyczną gumkę.

Niesfornie loki nie chciały się jednak ujarzmić i kilka pasemek zdążyło się uwolnić i opadło na kark.

- Może zrobię nam kawę - zaproponowała, patrząc na zegar przy łóżku.

- I tak już czas wstawać.

- Doskonale.

- A co powiesz na jajka na bekonie?

- spytała.

- Wystarczy kawa.

- Już się robi.

Tu właśnie Honey i Mattie bardzo się różniły.

Mattie upierała się przy jajkach na bekonie.

"Jesteś pewny?"

- spytałaby.

- Powinieneś coś zjeść.

Wiesz przecież, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia".

W końcu ustąpiłby i zjadł te jajka na bekonie, na które nie miał ochoty, bo czuł się po nich ociężały.

Honey natomiast nie starała się zgadywać, czego naprawdę chce.

Powiedział, że wystarczy mąka, więc dostanie kawę.

Objęła go teraz i pocałowała w usta.

Pachniała pastą do zębów i liliami.

- A może zjadłbym jednak te jajka na bekonie - zastanowił się.

Uśmiechnęła się.

- Denerwujesz się?

- Trochę.

Miał dziś ważne spotkanie z nowym klientem, bogatym i wpływowym biznesmenem, którego oskarżono o zgwałcenie kilku kobiet dwadzieścia lat temu, czemu on kategorycznie zaprzeczał.

Zapowiadała się pasjonująca rozprawa, jednak z tych, jakie lubił.

Nie denerwował się jednak tym spotkaniem, lecz następnym z Mattie, z którą był umówiony później.

108

Prawie dwa tygodnie minęły od strasznej diagnozy Lisy.

W tym czasie Mattie zasięgnęła opinii.

Jeszcze dwóch niezależnych lekarzy, głównego neurologa z szpitala Northwest General, i drugiego z prywatnej kliniki w Lakę Forest.

Obaj zgodnie stwierdzili u niej stwardnienie boczne zanikowe, ŚLĄ, chorobę Lou Gehriga, która atakuje neurony ruchowe przekazujące informacje mięśniom, rezultatem czego jest osłabienie, a potem utrata funkcji ruchowych kończyn górnych, kończyn dolnych, mowy i zaburzenia w układzie oddechowym, prowadzące do kompletnego paraliżu przy jednoczesnym zachowaniu jasności umysłu.

Jak Mattie zareagowała na te opinie?

Kupiła sobie nową Corvetę, a prowadzenie pojazdu było w jej stanie niebezpieczne.

Wydała prawie dwadzieścia tysięcy dolarów na zakupy, zarezerwowała wycieczkę do Paryża na wiosnę.

Na domiar wszystkiego nie chciała brać lekarstwa, które sam wykupił.

Twierdziła, że nie ma sensu go zażywać, skoro dobrze się czuje.

Drętwienienogi ustąpiło, dłonie były sprawne i nie miała kłopotów z przełykaniem, mówieniem czy oddychaniem.

Lekarze się mylili.

Jeśli miała ŚLĄ, to teraz najwyraźniej chorobasię cofała.

Po prostu nie przyjmowała jej do wiadomości.

Pewnie postąpiłby tak samo.

Mattie była młodą, piękną kobietą, miała przed sobą całe życie i nagle trach, choroba, paraliż, śmierć.

Nic dziwnego, że nie chciała w to uwierzyć.

A może miała rację, a inni się mylili?

Nie pierwszy to raz.

Była przecieźsilna, uparta, niezniszczalna.

Mogłaby ich wszystkich przeżyć.

- O czymmyślisz?

- spytała Honey, chociaż jej oczy mówiły, że wie.

- Da sobieradę, Jason.

- Nie da sobie rady - powiedział cicho.

- Wybacz, nie chciałam, by tak to zabrzmiało.

Chodziło mio to, że w końcu pogodzi się z sytuacją i zacznie brać lekarstwo.

Zobaczysz.

Nie musisz się tak tym przejmować.

Mattie wie, że zrobisz wszystko, by dostała jak najlepszą opiekę lekarską, i że zaopiekujesz się Kim.

Nic więcej nie możesz zrobić.

- Pocałowała go w kącik ust i splótła palce z jego palcami.

- Chodź, przygotuję ci coś do zjedzenia.

To dla ciebie ważny dzień.

- Zaraz przyjdę - rzekł.

- Wezmę tylko prysznic i umyję zęby.

109.

- Dobrze.

Krzyknij, kiedy będziesz gotowy.

Popatrzył za nią, kiedy wychodziła z sypialni.

Nawet podszafrakiem potrafił rozpoznać zagłębienia i wypukłości jej kształtnego tyłeczka.

Powinien się z nią kochać zamiast wykręcać się zmęczeniem i pozwolić, by niepokój o Mattie pozabawił go sił.

Nadrobi to dziś wieczorem.

A może jeszcze tego ranka.

Spojrzał na bałagan, jaki zrobił nałóżku, należąca na podłodze koldrę, pomięte kolorowe prześcieradła, zgniecione poduszki.

Właściwie to pasował doagraconego pokoju.

Honey należała do osób, które niczego nie wyrzucały.

Zbierała wszystko - stare pisma, ozdobną biżuterię, ciekawe pióra.

Skutkiem tego każdy skrawek mieszkania był zapchany jakimiś przedmiotami.

Na starej sosnowej komodzie leżały monety isyfonowe wstążki, na małym drewnianym krześle piętrzyły się gazety, a na nich jedwabne bluzki - powinny wisieć w szafie, już i tak zapchanej eleganckimi sukienkami i kostiumami, których nie nosiła.

Naparapacie siedziały stare lalki w szykownych koronkowych sukienkach i pluszowe zwierzątka z dzieciństwa.

Wszędzie stały koszyki.

Nic dziwnego, że dla jej rzeczy nie było już miejsca.

Dlatego zaczęli się zastanawiać nad znalezieniem większego mieszkania.

Nie było dla Honey łatwa decyzja - pomyślał, wchodząc do łazienki i rzucając szlafrok na kotyplączące się między nogami.

Zaprotestowały głośno i uciekły.

Wszedł pod prysznic i odkręcił gorącą wodę.

Ostry strumień chlusnął mu w twarz, kłując ciało drobnymi igielkami, jakby opadły gochmary owadów.

Niedobry Jason - syczał woda.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Wsunął głowę pod prysznic.

Parujący strumień zagłuszył głos matki, bębniąc po głowie spływając po czole do oczu.

Honey o nic przecież nie prosiła.

Zakochała się w żonatym mężczyźnie, który nie był szczęśliwy w małżeństwie.

Mogła liczyć na to, że odejdzie od żony i że w końcu ułożą sobie wspólne życie.

Pewnie nie przypuszczała, że tak szybko się doniej przeprowadzi.

Nie była przygotowana na przewlekłą chorobę jego żony i jej przedwczesną śmierć, jak również na to, że będzie musiała zastąpić matkę niewnej i zagubionej nastolatce.

Ostatnie tygodnie przypominały szaloną jazdę rozpędzoną

110

kolejką górską.

W głowie im wirowało, nie mogli odzyskać równowagi, a ich życie było w niebezpieczeństwie.

Tylko że on i Honey zdołają się uratować, a Mattie niestety nie.

Od czasu wizyty w gabinecie Lisy zebrał wiele informacji na temat tej choroby.

Nie wszyscy pacjenci umierali tak szybko, jak Lisa to sugerowała.

Niektórzy żyli pięć lat, a u dwudziestu procent chorych ich stan, z przyczyn trudnych do wyjaśnienia, zamiast się pogarszać, ustabilizował się.

Przykładem mógł być Stephen Hawking, światowej sławy angielski fizyk, który żyje z tą chorobą już ponad dwadzieścia pięć lat i nawet porzucił żonę, opiekującą się nim przez ten cały czas, dla innej kobiety.

Mężczyźni - pomyślał, energicznie zakręcając wodę.

Prawdziwi z nas dranie!

Wyszedł spod prysznic, wytarł się jednym z różowych ręczników

Honey, zastanawiając się, czy zdoła kiedykolwiek przywyknąć do takiej masy różowego koloru. Czy możliwe, by Mattie przeżyła kolejne dwadzieścia pięć lat, powoli umierając, uwięziona we własnym ciele?

Czy chciałyby tego?

- Jason!

- usłyszał wołanie Honey.

Wyobraził sobie, jak stoi w małej kuchni, otoczony kolekcją starych dzbanków i różowych secesyjnych szkieł.

- Jesteś gotowy?

- Za dwie minuty!

- odkrzyknął, wycierając brzegiem ręcznika zaparowane lustro i spoglądając na swoje rozmazane odbicie, które po chwili znowu zniknęło we mgle.

Jak on mógł zostawić Mattie?

- pomyślał, kiedy przed oczami pojawiła się twarz żony.

Dzieliła z nim życie ponad szesnaście lat.

Jak mógł odniejodejść, skoro został jej rok czy dwa?

"Albo trzy, albo pięć".

Jak mógł ją tak zostawić?

"Już i tak zmarnowałeś szesnaście lat swojego życia".

Jak mógł pozwolić, by zmarła w samotności?

::

"Wszyscy umieramy w samotności.

Przypomnij sobie, jakbyło z twoim bratem Lukiem".

Jak mógł zostawić ją bez pomocy i pozwolić, by własnymi strachami ją zadusił?

"Przez całe życie strach trzymał cię za gardło".

Więc co znaczy rok czy dwa?

111.

"Albo trzy, albo pięć".

Nie mógł przecież wrócić.

Nie kochał jej, poza tym wreszcie zdobył się na odwagę, by odejść.

"Niemusisz jej kochać.

Po prostu musisz przy niej być".

Jak mógłby ją teraz zostawić?

Cóż z niego za człowiek?

"Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason".

Niedobry Jason, niedobry Jason, niedobry Jason.

Mattie uwięziła go przed szesnastu laty i znowu chce go uwięzić.

Nieważne, że była umierająca, że nie miała na to wpływu, że nie chciała tego tak samo jak on.

Rezultat był ten sam.

Znalazł się w pułapce.

Został pogrzebany żywcem razem z nią.

- Cholera, niech to szlag!

- krzyknął, waląc pięścią w lustro.

- Jason, co ty tam robisz?

- spytała Honey, stając w drzwiach łazienki.

Była tak daleko; gdyby odwrócił wzrok, zniknęłaby na zawsze.

Jak długo będziemy na niego czekać?

- Honey.

- Oho, niepodoba mi się ten wstęp.

Wzięją za rękę, poprowadził do sypialni i usiadł obok niej na brzegu łóżka.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

13

- Nie chcę o tym rozmawiać - oświadczyła gniewnie Mattie i wybiegła z kuchni.

- Nie mamy wyboru, Mattie - rzekł, idąc za nią do salonu, Jake.

- Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

- Bo nic się nie stało.

Zaczęła krążyć po pokoju jak pies za swoim ogonem, trzymając Jake'ana

bezpieczną odległość.

Ubrana była w dżinsy, stary czerwony sweter i zniszczone kapcie w kratkę.

On miał na sobie uniform prawnika - klasyczny szary garnitur, jasnoniebieską koszulę i ciemnoniebieski krawat.

Kompletne przeciwieństwo - pomyślała Mattie.

Przynajmniej powinna była włożyć pantofle.

Tylko że ostatnio miała kłopoty z butami.

112

'Ciągle się potykała i deptała sobie po palcach.

W kapciach było jej łatwiej.

Spojrzała przez okna, zajmujące prawie całą południową ścianę salonu, na basen, z którego niedawno spuszczonej wodę i osłonięto na zimę ohydny plandeką, przypominającą wielki zielony wór na śmieci.

Zwykle trudno jej było przetrwać te pierwsze kilka tygodni bez pływania.

W tym roku było jeszcze gorzej.

Może w przyszłym w ogóle nie spuści wody.

Będzie to dość kosztowne, ale dzięki temu popływa sobie przez cały rok.

Jake pewnie zacznie protestować, ale dodiabła nim.

Niech sobie protestuje.

Myślała również o zmianie obić dwóch foteli pod oknem w złoto-różowe bawełniane pasy na coś bardziej miękkiego, może aksamit.

Pozostawi jednak beżowo-złote pokrycie foteli z wysokim oparciem i kwiecisty dywan.

Jake może sobie zabrać pianino, bezużyteczne i zapomniane, odkąd Kim zrezygnowała z lekcji

gry.

Ale będzie walczyć zębami i pazurami małą brązową statuetkę Trovy, stojącą obok pianina, o wiszące za nim dwie fotografie Dianę Arbus, obraz Kena Davisa na prawo od niego i o litografię Rothenberga, zajmującą prawie całą przeciwległą ścianę nad kanapą.

Czy nie po to właśnie przyszedł Jake?

Żeby rozdzielić łupy?

Tak właśnie myślała, kiedy zatelefonował doniej wczoraj i oznajmił, że wpadnie około drugiej po południu, by omówić parę spraw.

Jednak gdy stanął przed jej drzwiami, ze smutnym i smiechem na twarzy, na widok którego miała ochotę kopnąć go w to piękne uzębienie, i miną winowajcy zapowiadającą szczerość intencji, jeszcze zanim otworzył usta, wiedziała, że rozmowa nie będzie dotyczyć rozwodu ani tego, kto co dostanie.

Zapowiadało się na kolejną powtórkę dyskusji o wiadomej sprawie, subtelny próbie nacisku i przekonania jej do swoich racji, które mogli ulec sędziowie przysięgli, lecz nie ona, a wszystko po to, by spojrzęła wreszcie prawdzie w twarz.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni telefonował do niej przynajmniej raz dziennie.

Upał się, że pojedzie z nią do szpitala Northwest General i kliniki w Lake Forest.

Pobiegł nawet do apteki wykupić lekarstwo, chociaż powiedziała mu, że nie ma zamiaru go zażywać.

Był gotów na każde jej wezwanie.

Jednym

113.

słowem, zmienił się w kogoś, kim nie był przez szesnaście lat trwania ich małżeństwa - w męża.

- Wracaj do biura - powiedziała teraz.

- Jesteś przecież zajęty.

- Skończyłem na dzisiaj.

- Chyba naprawdę muszę być chora - stwierdziła z nieukrywanym zaskoczeniem.

- Mattie.

- Żartuję.

To się nazywa czarny humor.

Tak czy owak - dodała, zanim zdążył jej przerwać - skoro jesteś już wolny, to czemu nie spędzisz reszty dnia ze swoją przyjaciółką?

Napewno będzie wzruszona, widząc cię tak wcześnie w domu.

- Nie wracam tam - rzekł tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Co? - wyrwało jej się mimowolnie.

- Nie wracam tam - powtórzył głośniejszym głosem, nie starając się niczego wyjaśniać.

- Wyrzuciła cię?

- spytał z niedowierzaniem.

Zostawił ją po prawie szesnastu latach dla kobiety, którą wyrzuciła go po niecałych trzech tygodniach?

A teraz pewnie oczekuje, że Mattie zapomni o zdradzie, słumi gniew i bóle przyjmie go zotwartymi ramionami.

Mój dom jest twoim domem.

Jeśli tak, to się grubo myli.

Nic z tego nie będzie.

- To była wspólna decyzja - odpowiedział.

- Właściwie co postanowiliście?

- Że powinienem wrócić do domu.

- Do domu - powtórzyła.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz tu wrócić?

- Nie zamierzam, lecz chcę tu wrócić.

- Ale po co?

Poczuła nagły ucisk w żołądku.

Chciał wrócić do domu nie dlatego, że ją kochał, że uświadomił sobie straszną pomyłkę, nie dlatego, że chciał być jej mężem, i nie dlatego, że przyjaciółka go wyrzuciła, lecz dlatego, że ona umierała.

- Nasze małżeństwo potrzebuje dalszych prób - rzuciła gniewnie.

- Jest skończone i pogrzebane.

Nic się nie zmieniło od twojego odejścia.

- Wszystko się zmieniło.

- Czyżby?

A więc kochasz mnie?

- Mattie.

114

- Czy wiesz, że przez szesnaście lat ani raz nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz?

Chcesz powiedzieć, że to się zmieniło?

Milczał, bo co mógł jej odpowiedzieć?

- Ułatwię ci to.

Nie kochasz mnie.

- Ty też mnie nie kochasz - odparował.

- Więc o co się kłócimy?

Nie ma powodu, żebyś wracał.

- Powinienem wrócić - odparł krótko.

- Kto tak uważa?

- Oboje wiemy, że to słuszna decyzja.

- Kiedy właściwie ją podjąłeś?

- Myślałem o tym od kilku dni i dziś rano się zdecydowałem.

-Rozumiem.
A twoja przyjaciółka?
Kiedy o tym zdecydowała?
Przeczesała palcami ciemne włosy i opadła na stojącą z tyłu kanapę.
- To nie ma nic dorzeczy.
-Niejesteś w sądzie, panie obrońco.
Ja jestem sędzią ja twierdzą, że ma, i to bardzo.
Proszę, żebyś odpowiedziała na pytanie.
Spojrzał bok, udając, że patrzy na obraz impresjonisty Kena Davisa, przedstawiający fragment cichej ulicy z letnim słońcem przeświecającym przez liście drzew.
- Rozmawialiśmy o tym dziś rano.
Zgodziła się ze mną.
- Zgodziła się na co?
- Że powinienem tu być, z tobą i z Kim.
- Twoja przyjaciółka uważa, że powinienem być w domu z żoną i córką?
Cóż za wyrozumiałość!
A co będzie robić, gdy ty będziesz z żoną i dzieckiem?
Pokręcił głową i uniośł ręce, jakby chciał powiedzieć, że nieważne i że go to nie obchodzi.
- Co jej powiedziałaś, Jake?
Chyba mam prawo wiedzieć.
- Ona wie o wszystkim - wyznał w końcu.
- Myśli, że umieram.
- Znowu zaczęła chodzić tam i z powrotem, jak tygrys w klatce, wściekły i gotowy do ataku.
-Więc będzie czekać, tak?
Uznała, że może poczekać rok albo dwa, bodźce pewnie nie pociągnę.
- Ona rozumie, że muszę tu być.
- Jest bardzo wyrozumiała.
I jak to sobie wyobrażasz?
Będziesz się z nią spotykał na boku?
Taki macie plan?
Tym

sposobem będzie mogła odgrywać rolę szlachetnej, wyrozumiałej i wielkodusznej dziwki.

- Na litość boską, Mattie!

-A właściwie jak jej na imię?

Dostrzegła błysk niepewności w jego oczach.

Powiedzieć jej czy nie?

Czy to coś da?

Czy przyspieszy sprawę?

Co on zrobi z tą informacją?

Czy wykorzysta ją przeciw niemu?

- Honey - odparł wreszcie.

Przez chwilę myślała, że mówi do niej.

Serce zaczęło szybciej bić, a opór topnieć.

- Honey Novak.

-Co?

- Nazywa się Honey Novak - powtórzył.

-Honey.

Czyż tonie słodko brzmi?

Przepraszam za tenslowny żart - dodała szybko, po czym zaśmiała się krótko i uszczypliwie.

Ale się wygłupiła.

Wystarczyło jedno czułe słówko, a już gotowa była poddać się, ustąpić i zgodzić na wszystko.

- Czy to jej prawdziwe imię?

-To przezwisko z dzieciństwa, które do niej przyłgnęło.

- Cóż za zbieg okoliczności!

Przezwisko przyłgnęło, bosieklei.

Ponownie wybuchnęła śmiechem, tym razem ostrzejszym, bardziej rytmicznym.

- Bo się klei - powtórzyła, starając się zapanować nad wzbierającym w niej, rozlewającym

się jak trucizna atakiem śmiechu.

On jednak tkwił w niej, jakby jakaś obca forma życia przejęła nad nim kontrolę i wykorzystywała jej płuca i usta do przekazania złej wiadomości.

Nie mogła tego powstrzymać.

Mogła jedynie czekać bezsilnie.

- O Boże!

- Rozplakała się.

-Boże, Boże, Boże.

I nagle zabrakło jej powietrza, zaczęła tracić oddech i ciężko oddychać.

Obca siła śmiała się, dusiła i kaszlała, wykrztuszając życie z jej ciała.

Jake natychmiast zerwał się na nogi, otoczył ją ramionami, przytulił, dopóki nie poczuła, że te straszne odgłosy słabną, kaszel ustaje, a oddech wraca do normy.

Wówczas wysunęła się z objęć męża, głęboko odetchnęła, raz i drugi, otarła łzy z wierzchem dłoni.

116

Kiedy dłonie odmówiają jej posłuszeństwa?

- pomyślała z rosnącą paniką.

Jak długo jeszcze będzie mogła wycierać własne łzy?

Podeszła do pianina i uderzyła w klawisze.

Salon wypełniła przeraźliwa kakofonia dźwięków, przypominająca wyciewilkę.

- Cholera!

- krzyknęła.

-Niech to wszyscy diabli!

Przez chwilę obojętni w nieruchomej ciszy.

- Może ci coś przynieść - zaproponował opanowanym głosem, chociaż cała krew

odpłynęła mu z twarzy.

Pokręciła przecząco głową, bojąc się odezwać.

Gdyby to zrobiła, przyjęłaby do wiadomości to, o czym oboje wiedzieli:

że wyniki badań są jednoznaczne, że ona umiera, że Jake marację - wszystko się

zmieniło.

- Jadę w kwietniu do Paryża - poinformowała w końcu.
- To dobrze - odparł spokojnie, chociaż w oczach błysnęło zdumienie.
- Pojadę z tobą.
- Pojedziesz ze mną?
- Nigdy nie byłem w Paryżu.
- Bo nigdy nie chciałeś pojechać.

Nigdy nie miałeś czasu - przypomniała mu.

- Znajdę czas.
- Bo umieram - oznajmiła raczej, niż spytała.
- Proszę, pozwól mi sobie pomóc.
- Jak ty możesz mi pomóc?

Jakktokolwiek może mi pomóc?

- Pozwól mi wrócić do domu - powiedział.

Matti siedziała na kanapie w salonie, w tym samym miejscu, które zajmował niedawno Jake, i usiłowała odnaleźć jakiś sens w tym, co zaszło dziś popołudniu, w ostatnich tygodniach, w ciągu szesnastu lat, a może też w ciągu trzydziestu sześciu lat życia.

Odsunęła włosy z twarzy i otarła kolejną porcję łez.

Jej wzrok przyciągnął wiszący na prawo od pianina wielki olejny obraz Kena Davisa, przedstawiający zalaną słońcem ulicę.

Przypomniała jej ulicę, na której sama się wychowała.

Dotąd jakoś nie zdawała sobie z tego sprawy.

Oczywiście wyobraźni ujrzała ośmioletnią dziewczynkę o jasnych włosach,

biegnącą w podskokach po rozświetlonym chodniku.

Wracając do Lisy na obiad do domu.

Tata miał ją dzisiaj zabrać do Instytutu Sztuki, na wielką wystawę malarstwa impresjonistycznego.

Od tygodni o niczym innym nie mówił.

Dziś był ten wielki dzień.

Tylko gdzie się podział jego samochód?

Nie było go na podjeździe.

Rano jeszcze stał, kiedy wychodziła do Lisy, mieszkającej za dwie pół przecznicy dalej, a teraz zniknął.

Może tata pojechał kupić coś na obiad i zaraz wróci.

Nie ma powodu do zmartwienia.

Na pewno wróci.

Oczywiście nie wrócił.

Matka wyjaśniła, że uciekł z jakąś dziewczynką z biura, i chociaż Mattie nie rozumiała, co znaczy słowo "dziewka", domyśliła się, że ojciec nie zabierze jej do Instytutu Sztuki.

W ciągu tygodni po ucieczce ojca matka systematycznie niszczyła wszelkie ślady bytności Richarda Gilla.

Spakowała jego ubrania w pudła i wysłała do Armii Zbawienia, spaliła wszystkie jego papiery i dokumenty, powycinała jego twarz rodzinnych fotografii, aż w końcu stało się tak, jakby go ogóle nie było.

Wkrótce też zauważyła, że matka przestała patrzeć i na nią.

"Kiedy na ciebie patrzę, widzę twojego ojca" - rzuciła gniewnie, odpychając ją od siebie i zajmując się nowym pupilem.

Dlatego każdego dnia, kiedy wracała do domu z szkoły, Mattie biegła do albumów z fotografiami, by sprawdzić, czy jej też nie odcięto głowy i czy nadal tam jest.

Jeśli miała nadzieję, że dodawała jej otuchy, że wszystko jeszcze będzie dobrze.

Nie było.

Bez względu na to, jak bardzo się starała i jak.

Żarliwie modliła, ojciec nie wrócił, a matka jej nie pokochała.

Ani oceny w szkole, ani stypendia, które zdobywała, ani różnego rodzaju osiągnięcia na nic się nie zdały.

Co właściwie osiągnęła?

Oderwała wzrok od obrazu, wstała z kanapy i poczłapała do kuchni.

Zamieniła jeden dom bezmiłości nadругi, poświęciła szesnaście lat mężczyźnie, który porzucił ją dla dziewczynki.

A teraz jej życie sprowadzało się do jednego słowa: umieranie.

Zachichotała i przestraszyła się.

Ze smutkiem uświadomiła sobie, że boi się własnego śmiechu.

A to jeszcze nie koniec.

Oczywiście istniała jeszcze jakaś szansa, że lekarze mogli

118

się pomylić.

Może powinna zasięgnąć opinii kolejnego specjalisty, zrobić więcej badań, pojechać do Meksyku i poszukać kogoś, kto postawiłby inną diagnozę, a ona znalazłaby szczęśliwe zakończenie, którego szukała przez całe życie.

Tylko że nie istniało coś takiego jak szczęśliwe zakończenie.

Był tylko lek o nazwie Riluzol.

A on jedynie przedłużał życie kilka miesięcy.

Podeszła do blatu i wzięła dorekę buteleczkę z pigułkami.

- Jeśli, naturalnie, będę je brać - powiedziała, odstawiając pojemniczek na wyłożony białymi kafelkami blat.

Ciekawe, jak matka zareaguje na tę wiadomość.

Zastanawiała się, czy nie podnieść słuchawki i nie zadzwonić do niej.

Pewnie natychmiast wytnie jej głowę z rodzinnych fotografii.

A może zacznie od nóg, potem obetnie ręce i tułów, zgodnie z postępowaniem choroby, a głowę zostawi?

Ojciec bez twarzy.
Córka bez ciała.
Matka bez córki.
Wspaniałarodzinka.

A teraz Jake chce wrócić do domu i współuczestniczyć w jej życiu, bez względu na to, ile go jeszcze zostało.

Powiedział, że tonajwłaściwsza decyzja.

Ale czy rzeczywiście była właściwa?

I dla kogo?

- Musisz mieć kogoś, kto będzie cię woził - przykonywał, odwołując się do jej praktycznej strony, kiedy inne argumenty zawodły.

- Sama mogę prowadzić.

- Niemożesz.

A jeśli znowu zdarzy się wypadek?

Przecież możesz kogoś zabić.

- Kim za kilka miesięcy dostanie prawo jazdy.

Ona będzie miennie wozić.

- Nie sądzisz, że Kim ma już dość na głowie?

Właśnie tym zaskakującym w swej prostocie pytaniem zmusił ją do kapitulacji.

Jak mogła żądać od Kim, by była jej jedyną podporą, by ją podnosiła, gdy upadnie, by zbierała poniej, gdy nie będzie w stanie sama pozbierać, by ratowała ich oboje, sama nie doznając przy tym uszczerbku?

Jej piękna córeczka, słodka, mała pensjonarka.

Jak ona sobie bez niej poradzi?

- Jak mogę ci powiedzieć, że cię opuszczam?

- spytała, słysząc przekręcany klucz w zamku.

- Mamo!

- zawołała z hallu Kim, otwierając i zamykając

119.

drzwi.

- Co się stało?

- spytała, gdy Mattie stanęła w drzwiach kuchni.

- Wyglądasz, jakbyś płakała.

Już miała coś powiedzieć, lecz w tym momencie na podjazd wjechał samochód.

Kim obróciła się i wyrzała przez małe okienko we frontowych drzwiach.

- To tata - odwróciła się do matki z zaskoczonym wyrazem twarzy.

- Co on tu robi?

14

- Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg?

- Przysięgam.

- Proszę podać nazwisko i adres.

- Leo Butler, State Street sto czterdzieści siedem.

Chicago.

- Może pan usiąść.

Jake ze swego miejsca dla obrony obserwował, jak Leo Butler, sześćdziesięciodwuletni, tysi, elegancko ubrany mężczyzna, zdejmując rękę z Biblii i siada ostrożnie na krześle.

Nawet w pozycji siedzącej sprawiał imponujące wrażenie:

prawie dwa metry wzrostu, potężna sylwetka, z trudem mieszcząca się na miejscu dla świadków, szerokie bary pod brązową kaszmirową marynarką, gruby kark i wielkie dłonie ze starannie wypielęgnowanymi paznokciami.

Można go było usunąć z drużyny futbolowej, lecz z odebraniem mu piłki byłoby trudności.

Zwłaszcza takiemu zawodnikowi jak Leo Butler, grający w college'u na pozycji rozgrywającego, który w wieku dwudziestu pięciu lat odziedziczył wielkie imperium odzieżowe, a po dziesięciu latach doprowadził je na skraj bankructwa.

Uratowała go wówczas żona Nora, zaraz po ich ślubie przed trzydziestu jeden laty, a potem, ponad rok przed rozwodem, strzeliła mu w plecy.

Jake uśmiechnął się do siedzącej obok drobnej, eleganckiej, siwej kobiety wszarej jedwabnej sukience.

Ręce jej spoczywały skromnie na kolanach.

Sieć niebieskich żyłek na dłoniach

niech rywalizowała z imponującą kolekcją brylantowych pierścionków.

- Zapłaciłam za nie - oznajmiła przy pierwszym spotkaniu.

- To czemu nie miałabym ich nosić?

Tauwaga nie licowała z jej delikatnym wyglądem, świadczyła raczej o wewnętrznej sile. Twarda w środku i delikatna na zewnątrz - doskonała kombinacja dla obrońcy w procesie o usiłowanie zabójstwa, w którym upór i wytrwałość odgrywały równie ważną rolę jak wygląd, a wygląd był równie ważny jak dowody.

Jake wiedział, że sędziowie przysięgli często nie zwracają uwagi na to, co słyszą, lecz na to, co widzą.

Czyż nie tego uczyli ich na prawo, że wygląd oskarżonego jest niezwykle istotny?

Ława przysięgłych usłyszy więc historię o zawiedzionej, nieszczęśliwej kobiecie, doprowadzonej do furii przez męża, który porzucił ją dla kobiety młodszej od ich córki, upokorzył jawnością romansu, i desperacko próbującej odzyskać utraconą pozycję społeczną. Oskarżenie wykaże, że ponad rok temu w sylwestra zwała męża do ich domu i błagała, by do niej wrócił.

Pokłócili się, on chciał wyjść, a wówczas ona strzeliła mu sześć razy w plecy.

Czekając w samochodzie przyjaciółka usłyszała strzały i wezwała policję.

Nora Butler oddała się bezwalki w ręce oficera.

Oczywista sprawa - stwierdziła policja.

Winna zarzucanego jej czynu - głosiły gazety.

Nie tak szybko - powiedział Jake Harti podjął się obrony.

Zastępca prokuratora, Eileen Rogers, agresywna i atrakcyjna brunetka w szarym na miarę granatowym kostiumie w drobne prążki, stanęła przed ławą przysięgłych i poprosiła świadka, by przedstawił swój stan majątkowy oraz pozycję społeczną.

Szybko i zręcznie skierowała rozmowy na sprawypożyciamążehńskiego.

Wyciągnęła na światło dzienne gorzkie kłótnie,alkoholizm, kompletną rozpacz,dochodząc w ten sposób dodnia, w którym poprosił żonę o rozwód.

Tu zatrzymała się,wzięła głęboki oddech i zniżyła głos do dramatycznego szeptu.

- Panie Butler, czy możenam pan opowiedzieć, co zdarzyło się wieczorem, trzydziestego pierwszego grudnia, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku?

Jake obrócił się w stronę widowni, szukając kogoś w sektorze dla publiczności.

W przeciwieństwie do innych widzów

121.

Kim siedziała przygarbiona w środku czwartego rzędu, sprawiając wrażenie zmęczonej i znudzonej.

Nawet ci, którzy jej nie znali, stwierdziliby, że nie chce tu być.

Ciemnoblond włosy miała związane w ciasny węzeł z tyłu głowy, kształtne usta wygięte łuk wyrażający niezadowolenie.

Mimo że wpatrywała się znudzonym wzrokiem przed siebie, wyczuła jego spojrzenie.

Spójrz na mnie!

- miała ochotę krzyknąć.

Może znajdziesz coś interesującego w tym, co robię, i dowiesz się czegoś o swoim ojcu.

Tak naprawdę tonie interesowały jej sprawy ojca.

Dawała mu to wyraźnie do zrozumienia w ciągu trzech miesięcy, które upłynęły od jego powrotu do domu.

Odzywała się tylko wtedy, gdy do niej mówił, patrzyła tylko wtedy, gdy stał na jej drodze, i dawała wyraźnie do zrozumienia, że wcale go nie chce.

Była równie opiekuńcza w stosunku do matki, jak odpychająca w stosunku do niego.

Wyglądało na to, że jeśli chciał znaleźć wspólny język z córką, to musiał przestać pracować.

Dlatego gdy dowiedział się, że dziś nie ma lekcji w szkole, skorzystał z okazji i poprosił ją, by poszła z nim do sądu.

- Spodoba ci się - zachęcał.

- To bardzo ciekawa sprawa.

Potem pójdziemy na lunch.

- Nie interesuje mnie to - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Bądź gotowa o ósmej - polecił, a w uszach wciąż słyszeli go głośniejszy jęk córki.

Widocznie coś tonie jego głos ostrzegają, żeby nie przeciągała struny, a może to

Mattie ją przekonała.

Tak czy owak, czekała na niego o umówionej godzinie, ubrana w wytarte dzinsy i sweter.

W drodze do sądu udawała, że śpi, co było mu na rękę, bo mógł pracować strategię, jaką zamierzał zastosować podczas przesłuchania.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, wjeżdżając do garażu przylegającego do budynku sądu, i dotknął ramienia Kim.

Cofnęła jego rękę, a on poczuł się tak, jakby wyrwanemu ramieniu.

Daj miszansę, Kimmy - pomyślał, idąc za nią do windy.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała, kiedy znaleźli się na szóstym korytarzu, i zniknęła za drzwiami damskiej toalety.

Nie wychodziła stamtąd przez piętnaście minut i już zaczęła wątpić, czy w ogóle wyjdzie.

122

Teraz siedziała w czwartym rzędzie, piąta od przejścia i wyglądała, jakby przejechał przez nią walec, miała zsunąć się ławki wprost pod stopy siedzących obok mężczyzn w średnim wieku, wyprostowanych niczym struny.

Nie powinienem się upierać - pomyślał.

Co chciał przez to osiągnąć?

- Nora zatelefonowała do mnie około siódmej wieczorem - zaczął dźwięcznym barytonem

Leo Butler.

- Powiedziała, że musi się z tobą spotkać w sprawie Sheeny, naszej córki.

Nie chciała zdradzić szczegółów.

- Więc pojechał pan do Lake Forest.

- Tak.

- I co się stało, kiedy pan tam przyjechał?

- Nora czekała na mnie przed drzwiami.

Powiedziałem Kelly, żeby została w samochodzie.

- Kelly?

- Kelly Myerson, mojej narzeczonej.

- Co było dalej?

Kasznęła, zasłaniając usta dłonią.

- Wszedłem do mieszkania z Norą, która płakała i dziwnie się zachowywała.

Podejrzewam, że była pijana.

- Sprzeciw - odezwał się Jake.

- Wysoki Sądzie, Leo i Nora Butlerowie byli małżeństwem od ponad trzydziestu lat - stwierdziła pani prokurator.

- Myślę, że pan Butler potrafi ocenić, czy była pijana.

- Uchylam sprzeciw - oznajmił sędzia Pearlman.

- Proszę dalej, panie Butler - poleciła Eileen Rogers.

- Nora przyznała, że naszej córce nic nie jest, że użyła jej jako pretekstu, by ściągnąć mnie do domu, że jest zdenerwowana, bo trzymała dokumenty rozwodowe od mojego adwokata, że czuje się nieszczęśliwa, że nie chce rozwodu, że chce, abym wrócił do domu, że nie chce, abym poszedł na przyjęcie z Kelly, i tak dalej, i tak dalej.

Zaczynała wpadać w histerię.

Usiłowałem ją przekonywać.

Przypomniałem, że nasze małżeństwo od dawna się nie układało, że tylko unieszczęśliwialiśmy się wzajemnie.

To nie jest niczyja wina, będzie jej lepiej bez niego - dodał w myślach Jake, kręcąc się niespokojnie w krześle.

- Nagle Nora przestała płakać - ciągnął Leo Butler.

- Zrobiła się bardzo spokojna i miała taki dziwny wyraz twarzy.

123

Powiedziała, że skoro już tu przyjechałem, mógłbym rzucić okiem na żarówkę w kuchni nad blatem, bo wydaje takie śmieszne dźwięki.

Powiedziałem, że pewnie trzeba ją wymienić, a ona zapytała, czy mógłbym to zrobić.

Pomyślałem: zmień tę cholerną żarówkę i wynoś się stąd.

Poszedłem do kuchni i nagle usłyszałem głośny trzask i poczułem ostre uderzenie w ramię, jakby ktoś mnie popchnął. Potem rozległ się następny strzał i jeszcze jeden.

Pamiętam, że ocknąłem się na podłodze, a Nora stała nade mną z rewolwerem w dłoni i tym dziwnym wyrazem twarzy.

Wtedy zrozumiałem, że zostałem postrzelony.

Powiedziałem mniej więcej coś takiego: "Mój Boże, Noro, co ty zrobiłaś?", lecz ona nic nie odpowiedziała.

Usiadła tylko na podłodze obok mnie.

Tobyło dziwne.

Kazałem jej zadzwonić pod dziewięć dziesięć i zadzwoniła.

Potem dowiedziałem się, że Kelly też to zrobiła.

Zemdlałem w karetce, w drodze do szpitala.

- Ile razy został pan postrzelony, panie Butler?
- Stwierdzono, że sześć razy, ale żadna kula nie trafiła w kręgosłup ani w główne organy.

Przeżyłem tylko dlatego, że moja była żona jest takim nędznym strzelcem.

Sala zachichotała.

Jake usiłował wychwycić śmiech córki i odetchnął z ulgą, gdy mu się nie udało.

- Dziękuję - powiedziała pani prokurator.
- Nie mam więcej pytań.

Jake natychmiast wstał zza stołu i podszedł do ławy przysięgłych, która składała się z czterech mężczyzn, ośmiu kobiet i dwóch zmienników, również kobiet.

- Panie Butler, powiedział pan, że pańska żona zatelefonowała do pana około siódmej wieczorem.
- Moja była żona - sprostował Leo Butler.
- Tak, zgadza się.
- Pańska była żona - powtórzył Jake.
- Która zostawił pan po trzydziestu jeden latach małżeństwa.
- Sprzeciw.
- Panie mecenasie - ostrzegł go sędzia.
- Przepraszam - rzekł szybko Jake.
- Więc pańska była żona zatelefonowała do pana o siódmej i powiedziała, że chodzi o pańską córkę i pan natychmiast przyjechał, czy tak?
- No nie.

Kelly i ja szykowaliśmy się na bal sylwestrowy.

Postanowiliśmy się najpierw ubrać i paść do Nory po drodze na bal.

124

- Więc o której przyjechaliście na Sunset Drive dwieście sześćdziesiąt pięć w Lake Forest?
- O wpół do ósmej?
- O ósmej?
- Chyba było tuż po dziewiątej.
- Tuż pod dziewiątej?

Dwie godziny po telefonie pańskiej żony, że to sprawa niecierpiąca zwłoki?

- Pokręcił głowę udanym zdziwieniem.
- Nora już przedtem robiła takie kawały - wyjaśnił z nieukrywaną irytacją w głosie Leo Butler.
- Nie byłbym przekonany, że to rzeczywiście sprawa niecierpiąca zwłoki.
- Naturalnie.
- Jake uśmiechnął się do jednej z kobiet wśród sędziów przysięgłych.

Czy twój mąż też cię tak lekceważy?

- pytał ją z uśmiechem.

- I miałem rację.
- Leo Butler zakaszał.
- Zdaje się, że powiedział pan, iż ten bal miał być gdzieś poblizu - zmienił nagle temat
Jake.
- Tak, w Lakę Forest.
- W domu pańskich przyjaciół.
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie.
Jaki to ma związek ze sprawą?
Zniecierpliwiona pani prokurator uniosła w górę cienkie brwi.
- Za chwilę to wyjaśnię - odparł Jake.
- Proszę dalej - polecił sędzia.
- W domu pańskich przyjaciół?
- powtórzył Jake.
- Tak - przyznał Leo Butler.
- U Roda i Annę Turnberrych.
- Czy to jacyś nowi przyjaciele?
- Nie.
Znamy się od lat.
- Od jak dawna?
- Słucham?
- Od jak dawna zna pan Turnberrych?
Od pięciu, dziesięciu, dwudziestu lat?
- Co najmniej od dwudziestu.
Szyja Leo Butlera spłynęła czerwienią pokolnierzyk jasnożółtej koszuli.
- Czysłusznie przypuszczam, że państwo Turnberry są również przyjaciółmi pańskiej
żony?
- Tak, to również jej przyjaciele.
- Ale Nory nie zaproszono na ten bal, tak?
- Rod uznał, że w tych okolicznościach byłoby niezręcznie zapraszać nas oboje.

- Chodziło o to, że miał pan przyprowadzić swoją nową przyjaciółkę?
 - Chodziło o to, że Nora i ja byliśmy w trakcie rozwodu i miałem zacząć nowe życie.
 - Nowe życie, które nie obejmowało Nory, ale obejmowało wszystkich jej starych przyjaciół
- skonstatował Jake.
 - Sprzeciw, Wysoki Sądzie.
- Pani prokurator zerwała się z miejsca.
- Wciążnie widzę związku.
 - Wysoki Sądzie, chodzi mi o stan psychiczny oskarżonej - wyjaśnił Jake.
- Był sylwester, oskarżona miała spędzić go sama, podczas gdy jej mąż wybierał się na bal z wszystkimi jej starymi przyjaciółmi.
- Czuła się samotna, porzucona, opuszczona.
 - Sprzeciw - powtórzyła Eileen Rogers.
- Doprawdy, Wysoki Sądzie, pan Hart wygłasza przemówienie.
 - Proszę je zachować na później - upomniał go sędzia, polecając sędziom przysięgłym nie brać pod uwagę ostatnich komentarzy Jake'a, i odrzucił sprzeciw pani prokurator.
 - Panie Butler!
- Jake zerknął w stronę sektora dla gości, usiłując przyciągnąć wzrok córki.
- Zeznał pan, że kiedy przyjechał pan w końcu do swojego dawnego domu, zastał panonę w stanie wielkiego wzburzenia.
 - To nie miało nic wspólnego z naszą córką.
- Leo Butler usiłował wyzbyć się obronnego tonu ze swego głosu.
 - Rzeczywiście - przyznał Jake.
- Powiedział pan, że żona zdenerwowała się, bo otrzymała papiery rozwodowe i nie była zadowolona z warunków ugody.
- Czy tak?
 - Zgadza się.
 - Jakie były te warunki?
 - Słucham?
 - Co pan zaproponował swojej sześćdziesięcioletniej żonie po ponad trzydziestu latach małżeństwa?
 - To była bardzo hojna oferta.
- Leo Butler spojrział z prośbą w oczach na panią prokurator, ale Eileen Rogers nie zareagowała.
- Myślała zapewne, że Jake załatwia za nią całą robotę, bo ustala motyw strzelaniny.
- Byłoby szaleństwem, gdyby zaprotestowała.
 - Miała zatrzymać dom, samochód, biżuterię, futra i bardzo szczerne alimenty - wyjaśnił Leo Butler.
- 126
- A co z firmą?
 - Odziedziczyłem ją po ojcu - odpowiedział.
- Nie sądzę, żeby Nora miała do niej jakiegokolwiek prawo.
- ; - Chociaż kiedy braliście ślub, firma upadała i żona uratowała pana od bankructwa?
 - To przesada.
 - Czy zaprzeczy pan, że wydała niemal cały swój posag, by płacić pańskich wierzycieli?
- Nie znam dokładnych liczb.
- Możemy to sprawdzić.
- Nora bardzo mi pomogła - przyznał niechętnie Leo Butler - Ale ostatnio nic dla pana nie zrobiła.
 - Sprzeciw.
 - Uchylam.
 - Powiedział pan, że żona piła przed pańskim przyjazdem.
 - Zgadza się.
 - Zeznał pan również, że piła też w czasie trwania waszego małżeństwa.
- Kiedy zaczęła pić?
 - Nie potrafię na to odpowiedzieć.
 - Czy to mogło się zacząć wtedy, gdy zaczął pan ją bić?

Pani prokurator zerwała się gwałtownie z miejsca, o małonie spadając z krzesła.

- Wysoki Sądzie, nie rozumiem.

Kiedy pan przestał bić żonę?

- Pytanie brzmiało: kiedy pan zaczął bić żonę?

- poprawił Jake, a widownia wybuchnęła śmiechem.

- Ale z przyjemnością sformułuję je inaczej.

- Wziął głęboki oddech.

- Panie Butler, jak często bił pan żonę w czasie trwania waszego małżeństwa?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

- Zaprzecza pan, że bił żonę?

- naciskał Jake.

- Sprzeciw.

- Oddalam - oznajmił sędzia, a Eileen Rogers z impetem klapnęła na krzesło.

- Niech świadek odpowie na pytanie.

- Nie biłem żony - oświadczył Leo Butler, kładąc potężną łapska na kolanach, jakby chciał je ukryć przed ławą przysięgłych.

- Twierdzi pan, że ani razu pan jej nie uderzył?

127.

- Może raz czy dwa w czasie kłótni.
 - Raz czy dwa w miesiącu, w tygodniu czy w ciągu dnia?
- spytał Jake i popatrzył na Norę Butler, która usiłowała wyprostować kościste ramiona, czym robiła wrażenie jeszcze delikatniejszej.
 - Sprzeciw.
 - Podtrzymuję.
 - Czy to prawda, że kiedyś uderzył pan żonę tak mocno, że przebił jej błonę bębenkową?
 - To był wypadek.
 - Zapewne.
- Jake obrócił się napięciem, bez wysiłku ściągając sędziów przysięgłych na swoją orbitę. Jego wzrok pobiegł ku sektorowi dla publiczności i napotkał spojrzenia równie błękitnych jak jego oczu.
- Kim pochylała się w przód, natychmiast jednak cofnęła się na oparcie, przyjmując poprzednią niedbałą pozę.
- Miała ochotę się uśmiechnąć.
 - Czy to prawda, że prawie wszystkie wasze kłótnie kończyły się okładaniem pańskiej żony, gdzie popadło?
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie.
- Pan Butler nie jest tu głównym oskarżonym.
 - Podtrzymuję.
- Proszę dalej, paniemecenasie.
 - Pobił pan się ze swoją byłą żoną owego pamiętnego wieczoru?
- spytał Jake.
 - Nie uderzyłem jej - padła natychmiastowa odpowiedź.
 - Ale mogła słusznie przypuszczać, że tak będzie - stwierdził Jake, czekając na sprzeciw, i nie pomylił się.
- Zeznał pan, że pańska żona zrobiła się bardzo spokojna i poprosiła, żeby zmienił pan żarówkę w kuchni.
 - Tak - z wyraźną ulgą odetchnął Leo Butler.
 - Jak ona wyglądała?
 - Słucham?
 - Pańska żona.
- Pańską była żona - poprawił Jake, uśmiechając się do sędziów przysięgłych.
- Jak by pan opisał jej zachowanie?
 - Leo Butler wzruszył ramionami, jakby nigdy się nie zastanawiał nad zachowaniem żony, z którą przeżył ponad trzydzieści lat.
 - Po prostu uspokoiła się - rzekł w końcu.
- I jej oczy zrobiły się szkliste.
 - 128
 - Szkliste?
- Jakby była w transie?
 - Sprzeciw - powiedziała Eileen Rogers.
- Obrona sugeruje świadkowi odpowiedź.
 - Wprost przeciwnie.
- Po prostu staram się znaleźć właściwe określenie.
 - Oddalam sprzeciw.
 - Czy Nora Butler była w czymś w rodzaju transu?
- powtórzył Jake.
 - Leo Butler zaprezentował swój bogaty repertuar pomruków chrząknięć.
 - Tak - przyznał w końcu.
 - A potem, kiedy dopana strzelała, jak wyglądała?
 - Tak samo.
 - Jakby była w transie?
- spytał po raz trzeci Jake.
 - Tak.

-A jak zareagowała, gdykazał jej pan zadzwonić na policję?

- Zadzwoiła.

-Bez protestu, bez żadnego oporu?

- Bez.

-Jakby pan opisał jej kroki, jako zwawe, powolne?

Możeobiegła do telefonu?

- Poszła powoli.

-Jakby była w transie?

- Tak - przyznał Leo Butler.

-Nie mam więcej pytań - oświadczył Jake.

- Jest panwolny.

Obserwował, jak mężczyzna wydostaje się z miejsca dlaświadków i zmierza szybkim krokiem - garbiąc się lekko,jakby chciał ukryć wielki brzuch - w stronę miejsca przeznaczonego dla prokuratora.

Jeden zerodla nas - pomyślał Jake,zerkając w stronę publiczności z nadzieją, że zobaczy triumfalny uśmiech na twarzy córki.

Tymczasem po Kim pozostałotylko puste miejsce.

Posłyszałjakiś ruch i zobaczył,że znikawłaśnie za ciężkimi drewnianymi drzwiami.

129.

- No i co o tym myślisz?

Kim wzruszyła ramionami i rozejrzała się po ciemnym, obskurnym lokalu na rogu California Avenue i Dwudziestej Ósmej Ulicy. Ojciec już kilka razy przeprosił ją za to, że w pobliżu niema eleganckich restauracji, iż zapewnił, że u Freda robią bardzo zdrowe hamburgery.

Interesujące określenie - pomyślała.

- Nie jadam mięsa - odparła.

- Od kiedy?

- Od kiedy okazało się, że jest ohydne, okrutnie tuczące.

- Przecież jadasz drób.

- Nie jadam czerwonego mięsa - sprecyzowała.

- Czy to przesłuchanie?

- Oczywiście, że nie.

Byłem tylko ciekawy.

Nie wiedziałem, że nie jesz czerwonego mięsa.

Skrzywiła się, dając do zrozumienia, że ten temat uważa zazakończony.

O wielu jeszcze rzeczach nie wiesz - pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, jak bytu się wykręci do dalszego uczestniczenia w rozprawie.

Wtedy właśnie zapytał, co sądzi o porannych przesłuchaniach, chociaż domyśliła się, że chodzi mu o to, jak on wypadł.

- W porządku - wzruszyła ramionami, lecz tym razem mniej wymownie.

- Tylko tyle?

- Co chcesz, żebym ci powiedziała?

- Po prostu jestem ciekaw, co o tym sądzisz.

- Sądzę, że było w porządku.

- Tym razem nawet nie wzruszyła ramionami.

- Możemy coś zamówić?

Jake dał znak kelnerowi i ten podszedł do nich z długopisem i kartką.

- Czy macie tajską sałatkę z kurczaka?

- spytała, nawet nie patrząc do karty.

Kelner, którego falujące ciemne włosy miały prawie identyczny odcień co skóra, wyglądał na zaskoczonego.

- Mamy kanapkę z kurczakiem - odpowiedział z mocnym hiszpańskim akcentem.

- Nie chcę kanapki z kurczakiem - zaprotestowała.

- Na 130

pychają ją majonezem.

Równie dobrze mogłabym zjeść kostkę masła.

- Dla mnie kanapka z kurczakiem - oznajmił Jake, zamykając kartę dań i uśmiechając się do kelnera.

Czy ojciec specjalnie robi jej nazłość?

- Dwie kanapki z kurczakiem?

- spytał kelner.

- Nie!

- sprzeciwiła się Kim.

- A zresztą niech będzie.

Czy moglibyście dodać do mojej dietetycznego majonezu?

- Frytki czy sałatka z ziemniaków?

- zwrócił się kelner do Jake'a, ignorując Kim.

- Frytki - odparł Jake.

- Sałatka - powiedziała Kim, chociaż stojące na sąsiednim stoliku frytki pachniały smakowicie.

- I moglibyście nie polewać ich sosem?

- Coś do picia?

- Kelner znów zwrócił się do Jake'a.

- Kawa.
- Dietetyczna cola - rzekła głośno Kim.
- Czytałem gdzieś, że dietetyczne napoje są niezdrowe - zauważył Jake po odejściu kelnera.
- To samo czytałam o kawie - odparowała.
Uśmiechnęła się, co ją mocno zirytowało.
Czemu on się uśmiecha?
Nie powiedziała przecież niczego śmiesznego, czarującego czy mądrego.
Czyżby chciał ją sprowokować?
Najpierw zaciąga ją do sądu, by przyglądała się, jak załatwia jakiegoś frajera na miejscu dla świadków, który musiał zmykać z podwiniętym ogonem, chociaż to jego postrzelono.
Sześć razy, w dodatku w plecy.
A potem proponuje kawiarnięw sądzie albo ten dziwaczny bar.
Kto to słyszał, żeby w takiej brudnej knajpie był bar, gdzie adwokaci siedzą razem z miejscowymi pijaczkami, a jedynym ich wyróżnikiem jest ubranie?
- Dokąd poszłaś po wyjściu z sali?
- spytał Jake.
- Długocię nie było.
- Wcale nie tak długo.
- Pół godziny.
Westchnęła i zerknęła na drzwi.
- Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem.
- Świeżym powietrzem czy świeżym papierosem?
- Kto ci powiedział, że paliłam papierosa?
131.

- Nikt mi nie musiał mówić.
Twoje włosy pachną dymem papierosowym.
Chciała zaprotestować, lecz w końcu się rozmyśliła.
- No i co z tego?
- zapytała buntowniczym tonem, jakby chciała, żeby ojciec ją ukarał.
- A to, że masz dopiero piętnaście lat.
Przecież wiesz, jak bardzo szkodliwe jest palenie.
- Zabiłoby mnie, tak?
- Bardzo możliwe.
- Mama nigdy nie paliła.
- To prawda.
- Aumiera - rzuciła beznamiętnym tonem, chociaż z trudem przeszło jej to przez gardło.
- Kim.
- Nie chcę o tym mówić.
- Powinniśmy o tym porozmawiać.
- Nie teraz.
- A kiedy?
Wzruszyła ramionami i westchnęła głęboko.
Zauważyła, że ojciec zrobił to samo.
- Czy ominęło mnie coś interesującego, kiedy wyszłam?
- spytała.
- Zrobiłeś miazgę z tego naiwnego głupka.
Ojciec sprawiał wrażenie zaskoczonego.
- Naprawdę tak uważasz?
- A nie?
- Wolałbym to nazwać odkrywaniem prawdy.
- Prawda jest taka, że twoja klientka strzeliła mężowi sześć razy w plecy.
- Prawda jest taka, że moja klientka była wówczas w stanie silnego
rozdwojenia osobowości.
- Prawda jest taka, że twoja klientka zaplanowała całą tę hecę.
- Znajdowałam się w stanie czasowej niepoczytalności.
- To była zaplanowana z zimną krwią akcja.
Jake uśmiechnął się ku jej zaskoczeniu.
- Byłby z ciebie świetny adwokat - powiedział z dumą.
- Nie interesuje mnie to - burknęła, dostrzegając, że się skrzywił.
- Jak możesz bronić tych ludzi?
Przecież wiesz, że są winni.
- Uważasz, że wszyscy oskarżeni są winni?
132
- Większość.
Czyżby?
- pomyślała w duchu.
- Nawet jeśli tak, to nasz system sprawiedliwości zapewni każdemu prawo do obrony.
Gdyby adwokaci zaczęli postępować jak sędziowie przysięgli, odmawiając prawo do
obrony każdemu, kogo uznają za winnego, cały system by się rozpadł.
- A mnie się wydaje, że już się rozpada.
Przez cały czas bronił winnych.
I to nazywasz sprawiedliwością?
Parafrazując Olivera Wendella Holmesa, moim zadaniem nie jest wymierzanie
sprawiedliwości, lecz prowadzenie gry zgodnie z zasadami.
- Więc to jest dla ciebie jedynie gra?
- Tego nie powiedziałem.
- Jak to nie?
- Chcesz powiedzieć, że w twoim świecie nie ma miejsca na okoliczności łagodzące?
i Zmarszczyła brwi.

O czym on mówi?

- A co to jest?

- Okoliczności łagodzące takie, które zmniejszają surowość czynu, usprawiedliwiają.

- Strzelanie mężowi sześć razy w plecy?

Dobrze, że mamaniemiała rewolweru.

Zbladł i wyprostował się, jakby to on otrzymał postrzał w plecy.

- Chodzi mi o to, że sprawy nie zawsze bywają takie proste.

Czasami jest wiele powodów.

- Żeby pozbawić kogoś życia?

Nie sądzę.

To ohydne, jeśli tak myślisz.

Przygotowała się na wybuch gniewu z jego strony, ale dostrzegła tylko lekki uśmiech igrający w kącikach ust.

- A może okrutnie tuczące?

- spytał.

- Co?

- Przepraszam.

To miał być żart.

Zemnie?

- Przepraszam - powtórzył.

Przełknęła cisnące się do oczu łzy.

To on miał wybuchnąć gniewem, nie ona.

- Naprawdę nie chciałem cię urazić.

133.

- A skąd wiesz, że uraziłeś?

Nie obchodzi mnie, co myślisz.

- A mnie obchodzi, co ty myślisz - powiedział.

Prychnęła i odwróciławzrok, skupiając uwagę na młodymmężczyźnie pracującym za barem.

Patrzyła, jak nalewa whiskyjednemu zgości, potem wyciera kontuar i nalewa drugiemuklientowi wódki.

Dostrzegłjej spojrzenie i uśmiechnął się.

Zrobiła zalotną minę.

- Co ci się stało?

- spytał ojciec.

-Coś utkwilo ci w zębach?

- O czym ty mówisz?

Kelner przyniósł napoje.

- Kanapki będą za chwilę - oznajmił.

-Już nie mogę siędoczekać - burknęła Kim, przyglądając sięgrupcemężczyzn i kobiet siedzących przy barze.

- Kto to jest?

-spytała, gdy jedna z kobiet, niezwykle atrakcyjna, siedząca nasamym końcu, zamachała do nich.

-Jedna z twoich przyjaciółek?

- Nazywa sięJessKoster - odpowiedział spokojnie, chociażdostrzegła lekki skurcz mięśnina twarzy.

Uniósł dłoń.

- Jestzastępcą prokuratora.

- Jest bardzo ładna.

Kiwnąłgłową.

- Spałeś z nią?

-Co?

Omal nieupuścił filiżanki z kawą.

- Spałeś z nią?

- powtórzyła, już widząc, jak ojciecwyciągarękę, chwytając ją za gardło i dusi.

Ciekawe, jak by się bronił,gdyby oskarżono go o zamordowanie własnego dziecka.

Czasową niepoczytalnością?

Usprawiedliwionym zabójstwem?

Okolicznościami łagodzącymi?

- Nie bądź śmieszna - skwitował.

Te słowa zabolaly ją bardziej niżwymaginanedłoniezaciskające się najej gardle.

Poczuła, że za chwilęsię rozplacze.

Spuściła głowę, zsunęła się z kanapki, sięgnęła po skórzany plecak i rozejrzała siębezradnie po sali.

- Co ty robisz?

Dokąd się wybierasz?

- spytał.

- Gdzie jest toaleta?

- zwróciła się do kelnera, który przyniósł zamówione kanapki.

Wskazał brodą na zaplecze.

- Schodami w dół.

134

Ruszyła spieszenie w tym kierunku, usiłującdojrzeć coś przezłzy.

Do diabła!

Jak on śmiał ją tak potraktować?

Może pytaniebyło poniżej pasa, ale to nie dawałomu prawa, żeby nazywać jąśmieszna.

Wcale nie była śmieszna.

To onbył śmieszny w tym swoim eleganckim granatowymgarniturku, z ulizanymi włosami,

uśmieszkiemwyższości i pewnym siebie zachowaniem.

Zrobił jej wykład o sprawiedliwości, kiedy wiadomo, że nie maczegoś takiego jak sprawiedliwość.

Gdyby była, to jej piękną mamą, która nigdy nikogo nie skrzywdziła, nie umierałaby teraz na jakąś głupią chorobę o dziwacznej nazwie, a ojciec, który całe życie kłamał i oszukiwał, ratując przed więzieniem morderców i inne kreatury, miał się dobrze.

Gdzie tu sprawiedliwość?

Odnalazła schody i ruszyła ostrożnie w dół, przytrzymując się ściany i czując, jak plecak uderza o biodro.

Na zapleczu John Denver śpiewał o cudach natury.

Otworzyła drzwi do damskiej toalety mieszczącej się przy schodach.

Ten biedak śpiewa o górach, słońcu i radościach codziennego życia i coś z nim dzieje?

Samolot, którym leciał, wpadł do oceanu, boskończyło się paliwo.

I gdzie tu jest sprawiedliwość?

Weszła do kabiny, opuściła kłapę i usiadła na sedesie.

Nie chciało jej się siusiać, tylko zapalić.

I nie jakiegoś tam głupiego papierosa, ale specjalnego, który Teddy dla niej skręcił.

- No chodź, gdzie się schowałeś - mruknęła, przeszukując skórzany plecak, aż w końcu znalazła kilka jointów na dzień wyciągnęła jednego.

- Co ci się stało?

Coś utkwilo ci w zębach?

- spytała, przedrzeźniając głos ojca i zapalając niechlujnie skręconego papierosa.

Zachichotała i wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

Poczuła kwaskowaty dym.

Wstrzymała oddech przez pięć sekund, tak jak uczył ją Teddy.

Wszystkie problemy ulotniła się z dymem - pomyślała, poczym wolno wypuściła powietrze.

Na języku pozostał słodki smak marihuany.

Pociągnęła jeszcze raz i oparła się o pomalowaną zielono ścianę.

Dwa sztachy, a słowa ojca już straciły swoją ostrość.

Pan Obłudnik, pan Okoliczności Łagodzące.

Kolejny sztach, i nic, co powiedział, już jej nie dotknie.

Po kilku następnych może nawet znajdzie sprawiedliwość.

Moim zadaniem nie jest wymierzanie sprawiedliwości - powiedział, cytując Sherlocka Holmesa albo

kogoś takiego.

Jego zadaniem jest prowadzić grę zgodnie z zasadami.

Tylko że tego nie robi.

Zasady obowiązujące w małżeństwie nakazywały wierność, lojalność, miłość.

Jake Hart wszystkie te zasady pogwałcił.

Zamknęła oczy, czując ucisk w piersi.

Dlaczego mama pozwoliła ojcu wrócić?

Nie potrzebowały go.

Zaopiekowałaby się mamą, póki by nie wyzdrowiała.

A ona na pewno wyzdrowieje.

Lekarstwo, które brała, już zaczęło działać.

Nie odczuwała żadnego bólu i wyglądała super.

Czasami nogami zasypiała i traciła równowagę, czasami coś upuszczała, ale to każdemu się zdarza.

Nie ma mowy o tym, żeby traciła zdolność chodzenia, mówienia, przetykania, jak mówili lekarze.

Pozatym już niedługo wynajdą lek na tę chorobę.

Do tego czas udadzą sobie radę bez ojca.

Nagle usłyszała kroki na schodach.

Po chwili drzwi toalety się otworzyły.

Pochyliła się i zobaczyła parę czarnych pantofelków i grabnie łydki.

Natychmiast zerwała się z sedesu, podniosła klapę, wrzuciła resztki papierosa do muszli i spuściła wodę.

Zamachała rękami, by pozbyć się dymu.

Dopiero, gdy uznała, że powietrze jest czyste, wyszła z kabiny.

Natychmiast rozpoznała kobietę stojącą przy umywalce.

To tapani prokurator, która machała do ojca.

Jess Cousins czy Coster.

Jakoś tak.

Uśmiechnęła się do niej, lecz kobieta nie odwzajemniła uśmiechu.

Kwasiara - pomyślała Kim, po czym umyła ręce, choć nie musiała, i wyszła, nie oglądając się za siebie.

- Wszystko w porządku?

- spytał ojciec, kiedy usiadła na swoim miejscu.

Kiwnęła głową, usiłując się skoncentrować na kanapce z kurczakiem.

- Zostawiłem ci trochę frytek - powiedział ojciec.

Pokręciła głową natychmiast tego pożałowała, bo świat zawirował jej przed oczami.

Uniosła kanapkę do ust i odgryzła kawałek.

- Dobrze - usłyszała swój głos.

Brzmiał dziwnie obco.

- Posłuchaj, Kimmy - odezwał się ojciec.

- Wiem, że to dla Ciebie trudny okres.

Wiem, że masz teraz mnóstwo na głowie.

- Raczej na talerzu.

- Zachichotała.

- Wiesz, o czym mówię.

Jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać.

136

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Ale ja chcę.

Roześmiała się głośno.

- No to jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać.

- Zachichotała, zadowolona z dowcipu.

- Dobrze się czujesz, Kim?

-Doskonale.
- Zatopiła zęby w kanapce i poczuła, że sossplywa jej po brodzie.
-Pyszne.
Fredo robibardzo niezdrowekanapki - stwierdziła.
- Wiem, że zdenerwowałaś się moim powrotem do domu-ciagnąłJake.
-Właściwiedlaczego wróciłeś?
- spytała, zaskoczona własną szczerością.
Wcale nie chciała o to pytać.
- I nie mów, żezewzględu na mnie.
Nie odpowiedział.
- Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego wróciłeś?
- spytała.
-Zresztą nieważne - dodała po chwili.
- To niema znaczenia.
Wróciłeś.
To jest kwestia sporna.
Czy nietak nazywają toprawnicy?
- Zjadła połowę kanapki i ugryzła drugą.
- jesteś zła, rozumiem to.
-Niczego nie rozumiesz i nigdy nie rozumiałeś.
- Może gdybyś dała miszansę.
Cisnęła resztki kanapki na talerz, patrząc, jak się rozpadają.
- Jeślimama pozwoliła ci wrócić potym, co zrobiłeś,to jejsprawa.
Powiedziała jej, coo tym myślę, ale oczywiście niezgodziła się ze mną,więcjakie miałam wyjście?
Żadnego.
Jeśli Jake Hart czegośchce, to dostaje.
Chcesię zabawić, tosię bawi.
Chce wyjść, to wychodzi.
Chcewrócić,to wraca.
Chciałabym tylko wiedzieć, czyzamierzasz zostać,kiedy mamie się poprawi.
Zaczęła wkładać kawałki kurczaka między plastry chleba.
- Kochanie, mamie się nie poprawi.
-Skąd możesz to wiedzieć?
Nie patrzyłana niego, bo gdyby to zrobiła, cisnęłaby mukanapkę w twarz.
- Raczej pogorszy.
-A więc jesteś także lekarzem.
- Ważne, byśmyrazem zajęli się mamą.
-Nie chcę tego słuchać.

- Byśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy, aby jej pomóc.
- Chcesz uspokoić swoje sumienie i poczuć się lepiej, tak?
- Może i tak - przyznał.
- Tylko to ci chodzi.
Potarł czoło, pokręcił głową i oparł brodę na dłoni.
- Nienawidzisz mnie, prawda?
- Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.
Wzruszyła ramionami.
- A czy dzieci nie powinny nienawidzić swoich rodziców?
- spytała.
- Ty swoich nienawidziłeś.
- To prawda.
Czekała, że zacznie się bronić i dowodzić, że tego nie można porównywać, lecz milczał.
Rzadko mówił o swoim dzieciństwie.
Wiedziała, że on i jego bracia mieli ciężkie życie.
Wiel razy chciała go o to zapytać i teraz nadarzała się świetna okazja.
Ale nie da mu tej satysfakcji i nie zapyta.
Wyglądając na zmęczonego - pomyślała zewszpółczuciem.
- Nie powinniśmy wracać do sądu?
- spytała.
Spojrzał na zegarek i dał znak kelnerowi.
Chwilę później zostawił należność na stole i poprowadził córkę do wyjścia.
- Jake!
- postyszeli za plecami kobiety głos.
Kim odwróciła się zobaczyła Jess Cousins czy Coster, czy jakoś tam.
Ojciec dokonał szybkiej prezentacji.
- Jak leci?
- spytał.
- Świetnie - odpowiedziała, przenosząc wzrok z Jake'ana Kim i znów na Jake'a.
- Czy mogłabym z tobą porozmawiać?
- Oczywiście.
- Zaczekam na zewnątrz - zaproponowała Kim.
- Czy coś się stało?
- postyszła jeszcze głos ojca, po czym otworzyła drzwi i wyszła na ulicę.
Czy coś się stało?
- zagwizdał wiatr.
Coś się stało?
Coś się stało?
Coś się stało?
Coś się stało?
16
Mattie stała w drzwiach pokoju gościnnego i patrzyła na niepościelone łóżko Jake'a.
Jak zwykle przykrył je koldrą w biało-żółte pasy, wyglądało więc, jakby było postlane, ale wystające spod niej prześcieradło świadczyło, że pod spodem jest totalny bałagan.
Jak można spać w takim łóżku?
Podeszła bliżej, by poprawić poduszkę, lecz ona nagle wypadła jej ręka i wylądowała na nocnym stoliku, omalnie zrzucając delikatnego plecionego klosza z porcelanowej lampy.
- Ślicznie - powiedziała i usiadła na łóżku.
- A teraz następny numer.
Zdjęła poduszkę z stolika, podłożyła ją sobie pod głowę, oparła się o wezgłowie i ułożyła wygodnie na łóżku.
Spojrzała na zegarek.
Dochodziła piąta.

Jake i Kim powinni niedługo wrócić do domu.

Czaszyc kochać kolację, nie miała jednak natchoty.

Może coś zamówić.

Zamknęła oczy i wchłonęła w nozdrza zapach Jake'a, który pachniał poduszką.

Poszewka łaskotała ją w szyję jak pocałunek kochanka.

Zawsze lubiła zapach Jake'a.

Wyobraziła sobie, jak maż pieści wargami jej ucho i sunie językiem wzdłuż linii włosów, by za chwilę kryć w nich twarz.

Westchnęła i otworzyła oczy.

- Dość tego - stwierdziła, gdy dłonie Jake'a przesunęły się wzdłuż piersi i brzucha.

Ponownie zamknęła oczy.

Teraz Jake był wszędzie - przynajmniej, nad nią, pod nią, naniej.

Czuła na sobie jego ciężar nogi delikatnie rozsuwające jej uda.

- Nic z tego - powiedziała i usiadła gwałtownie, pozbywając się obrazu Jake'a.

- Nie zrobię tego.

To było pewne jak w banku.

W ciągu trzech miesięcy od powrotu Jake'a do domu nie mieli z sobą żadnego fizycznego kontaktu.

Po prostu przeniósł swoje rzeczy do pokojowego gościnnego, jakby uznał, że Mattie tego chce, czy raczej, że on tego chce.

Praktycznie biorąc, nadal byli w separacji.

Teren Jake'a ograniczał się do gabinetu i pokoju gościnnego, a reszta domu należała do niej i do Kim.

Czasami składał im wizytę, przeważnie jednak stał jak dawniej bokiem, w każdej chwili gotowy do pomocy, ale nadal zachowujący dystans między nimi.

Nawet plan dnia niewiele się zmienił.

Nadal pracował podziemie godzin dziennie, jeżeli oczywiście pracował, a nie był u swojej przyjaciółki, słodkiej Honey.

W tych rzadkich

139.

chwilach, kiedy siedział w domu z Mattie, myślami przebywał gdzie indziej.

Wyobraziła sobie, jak leżąc nadzwyczaj blisko, a ona bawi się miękkimi włosami na jego piersi, gładzi płaski, sprężysty brzuch i silne uda.

Włożyła palce do ust i zaczęła je ssać, niemogąc powstrzymać jęku.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu.

Wyjęła palec z ust i nieotwierając oczu, sięgnęła po słuchawkę stojącego przy łóżku aparatu.

- Halo?

- Tu Stephanie.

Obudziłam cię?

Z trudem otworzyła oczy, usiadła i spuściła nogi na podłogę.

- Nie, skądże.

Co słychać?

Przywołała w myślach twarz przyjaciółki, przyprószone siwizną krótkie włosy, brązowe oczy i pulchnopoliczki, świetnie harmonizujące z krągłą figurą.

- A co u ciebie?

Masz taki zmęczony głos.

- Nicmi nie jest, Steph - odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem.

Odkąd poinformowała przyjaciół o chorobie, zalewali ją swoją troską i życzliwością, proponując podwiezienie, załatwienie czegoś w centrum, słowem wszystkiego, co będzie trzeba. W każdej chwili byli gotowi do niesienia pomocy.

Tylko tak naprawdę nie pomagali - pomyślała, przekładając słuchawkę do drugiej ręki.

Unosili się jak śmigłowce, czekając, by odlecieć.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- spytała.

- Enoch i ja zastanawialiśmy się, czy ty i Jake nie poszlibyście z nami jutro wieczorem na kolację.

Wybieramy się do Felliniego na East Hubbard Street.

Dostał wspaniałą recenzję, zamieścili ją w sobotnio-niedzielnej gazecie.

Zachichotała niczym swawolne dziecko.

Enoch Porter wkroczył w życie Stephanie przed sześcioma miesiącami, prawie trzy lata po tym, jak jej były mąż wyczyścił konto bankowe i wyjechał na Tahiti z opiekunką do dzieci.

Enoch był zemstą Stephanie - o dziesięć lat od niej młodszy, wysoki, wspaniały taki czarny, że aż świecił.

- Czemu nie - odparła Mattie.

- Po południu będziemy w galerii Pende.

Możecie byćście przyszli.

140

- Nie sądzę, by Enoch przepadał za galeriami sztuki - powiedziała Stephanie.

- Nie bierzesz na siebie zbyt wiele?

- O której się spotkamy?

- spytała Mattie, ignorując pytanie przyjaciółki.

- Może być siódma?

- Doskonale.

Spotkamy się na miejscu.

Może powinna najpierw omówić to z Jakiem - pomyślała, odkładając słuchawkę.

Mógł mieć inne plany.

- Mam gdzieś jego plany - rzekła do siebie, myśląc o Honey.

Ciekawe, jak ona wygląda.

Sięgnęła po słuchawkę, wystukała numer 411 i wysłuchała powitania automatycznej sekretarki.

- Jakie miasto?

- spytał nagrany głos.

- Chicago - powiedziała wyraźnie.

Co ona robi?

- Chce pani uzyskać numer prywatny?

- padło następne pytanie.

Czy chce?

- Tak- wyjąkała.

-Nazwisko właściciela.

- Novak -odpowiedziała i chrząknęła.

Chyba zwariowała.

-Honey Novak.

Nie znam adresu.

Po co to powiedziała?

Co automatyczną sekretarkę to obchodzi?

Doczego jej potrzebny telefon Honey?

Przecież nie będzie dzwonić do tej kobiety.

Co takiego mogłaby jej powiedzieć?

- Nie mam w wykazie Honey Novak - odezwał się wreszcie ludzki głos, wrywając Mattie-z rozmyślań.

)Odetchnęła z ulgą.

Najwyraźniej los nad nią czuwał.

Co ona sobie myślała?

- Mam w spisie trzy H.

Novak - powiedziała nagle telefonistka, a Mattie omal nie wypuściła słuchawki z ręki.

- Czyżna pani adres abonenta?

- Nie, nie znam - odparła.

- Ale proszę podać mi te trzy numery.

- Płaci paniza każdy osobno - poinformowała ją telefonistka, a Mattie wysunęła szufladę w stoliku i wyjęła z niej długopis, szukając nerwowo jakiegoś kawałka papieru.

W końcu zapisała numery na dłoni.

Nie pozwalając sobie na zastanowienie, wystukała pierwszy

141

z trzech numerów.

Dopiero po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

Wstrzymała oddech.

Co ona robi?

Cochceosiągnąć?

- powiedziałby Jake.

Co chce udowodnić?

- Halo?

Męski głos.

Szybko odłożyła słuchawkę, oddychając szybko, urywanie.

Rozległ się dźwięk telefonu.

Popatrzyła na aparat z rosnącym strachem i podniosła ostrożnie słuchawkę.

- Halo?

-Kto mówi?

- spytał męski głos.

- A kim pan jest?

- spytała w odpowiedzi.

- Harry Novak - odparł mężczyzna.

- Telefonował pan do mnie.

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że jego telefon musiał wyświetlić numer dzwoniącego.

Jedna z tych współczesnych nowinek, jakich dziś pełno.

Nie pomyślała o tym.

W ogóle chyba nie myślała.

- Musiałam wybrać numer - wyjaśniła.

- Przepraszam, że panu przeszkodziłam.

Mężczyzna odłożył słuchawkę, zanim zdążyła się do reszty zaplątać w zeznaniach.

- Mam nauczkę na przyszłość - szepnęła.

Zauważyła, że ręka jej drży.

Przypomniała sobie numer blokujący funkcję odczytu, po czym znowu podniosła słuchawkę i najpierw wystukała odpowiednie cyfry, a potem drugi numer.

Tym razem połączenie nastąpiło natychmiast, jakby ten ktoś z drugiej strony siedział przy aparacie i czekał na telefon.

Typowe dla kobiety romansującej z żonatym mężczyzną.

- Halo - odezwał się kobiecy głos o niskim, jakby schrypniętym brzmieniu.

Miły głos.

Czy to ona?

- Halo - powtórzył głos.

- Halo.

Nie, ten głos był zbyt wesoły, zbyt pewny siebie.

Niemógł należeć do kobiety, która mieszka sama i nie zna tożsamości telefonującej doniej osoby.

- Jason?

- zapytał nagle głos, gdy miała odłożyć słuchawkę i wystukać trzeci numer.

Mattie poczuła, że oddech zamarzł jej w płucach.

- Jason, to ty?

Rzuciła słuchawkę na widełki, lecz nie trafiła i słuchawka

142

z głośnym stuknięciem upadła na podłogę.

Szybko ją podniosła i spróbowała ponownie odłożyć na miejsce, lecz znów wysunęła jej się ręka i znów upadła na dywan.

Dopiero za trzecim razem udało jej się to zrobić.

- Cholera!

- szepnęła, chwytając gwałtownie powietrze w płuca.

- Cholera!

Przez kilka minut siedziała na łóżku, a w uszach dzwijał jej kobiecy głos, powtarzający miętę.

- Jason - powiedziała głośno.
Przecież nienawidził tego imienia.
Odchyliła głowę w tył, starając się odzyskać oddech, i zacisnęła trzęsące się ręce.
- To byłoby bardzo głupie - stwierdziła, po czym wstała i wyszła z pokoju.
Najwyższy czas wziąć się garść, spryskać twarz zimną wodą, umalować się, by mąż miał na co popatrzeć! Chciał zostać w domu.
Chwilę później przyglądała się sobie w lustrze.
Ciekawe, jak ta Honey wygląda.
Czy jest wysoka, czarna, blondynką czy brunetką, z lekką nadwagą czy cienką jak trzcina.
- Pewnie jak Julia Roberts - kontynuowała monolog, nakładając wprawdzie róż na policzki.
- Tak już lepiej.
Trochę koloru nie zawadzi.
Jak również trochę tuszu na rzęsy.
Sięgnęła po długą srebrną tubkę, uniosła szczoteczkę do rzęs i trafiła prosto w oko.
- Cholera!
- jęknęła, kiedy szczoteczka wyślizgnęła jej się z ręki i wpadła do umywalki.
Zamrugnęła powiekami i świeży tusz pozostawił ciemne smugi pod oczami.
- Wspaniale, poprostu wspaniale.
Wyglądam olśniewająco.
Jak przeciwieństwo Honey.
Przełknęła łzy i sięgnęła po chusteczkę, by zmyć tusz.
- Teraz wyglądam, jakbym się biła i przegrała.
Boprzegrałaś - dodała w myślach.
Zmoczyła ręcznik i wytarła nim twarz, rozmazując przy tym tusz.
- Bzdura, dopiero zaczęłam walkę - skonstatowała, usiłując ponownie nałożyć róż na policzki.
Ale ręka odmówiła jej posłuszeństwa.
Palce nie chciały chwycić pędzelka.
Upuścił go na blat.
Palce jej drżały, jakby poruszane podmuchem wiatru.
- O Boże!
- jęknęła.
- To nie dzieje się naprawdę.
Zdenerwowała się, bo zrobiła głupią rzecz.
Musi odetchnąć kilka razy głęboko i uspokoić się.
Wszystko będzie dobrze.
Niema się czym przejmować.
Bierze lekarstwo.
Nie umrze.
Pojedzie w kwietniu do Paryża.
Z mężem.

- Nie umrę - powtórzyła głośno.
Wyjęła tusz z umywalki, pomagając sobie obiema rękami, i ostrożnie wyszczotkowała rzęsy.
- Już lepiej - westchnęła z ulgą, gdy drżenie powoli ustępowało.
- Jestem poprostu zmęczona i zdenerwowana, dlatego nic mi nie wychodzi.
Akiedy nic mi niewychodzi, zawszetrzęsą mi się ręce.
Wszystko się zmieni, poczynając od dzisiejszego wieczoru.
Na początek tusz do rzęs, potem wino do kolacji i może nocna wizyta w pokoju gościnnym.
Zawsze potrafiła uwieść Jake'a.
Oczywiście Jake'a, nie Jasona.
Tego Jasona w ogóle nie знаła.
Posłyszała warkot samochodu.
- Wrócili - oznajmiła swemu odbiciu w lustrze.
- Świetnie wyglądasz.
- Uniosła w górę ręce.
Drżenie minęło.
Poprawiła włosy, obciągnęła bluzkę, odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę schodów.
Była już prawie na dole, kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem i do hallu wpadli mąż i córka.
- Dość tego!
- krzyczała Kim.
- Nie chcę tego słuchać!
- Jeszcze z tobą nie skończyłem, moja panno!
- ryknął Jake.
- Za to ja skończyłam z tobą.
- Niesądzę.
- Co tu się dzieje?
- spytała Mattie.
W tym momencie pojawili się w polu widzenia.
Wyglądali okropnie, roziskrzono oczy i zaczerwienione z gniewu policzki.
- Co się stało?
- powtórzyła.
- Tata przeszedł samego siebie.
Kim machnęła rękami i ruszyła do kuchni.
- Dokąd to się wybierasz?
- spytał Jake.
- Po szklankę wody, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
W głosie Kim brzmiała nieukrywana pogarda.
Co się, u licha, stało?
- pomyślała Mattie, patrząc pytająco na Jake'a.
- Przyniosła do sądu marihuanę!
Wyobrażasz sobie?
W oczach Jake'a dostrzegła ból i gniew.
- Co takiego?
Toniemożliwe.
- To najgłupsza rzecz, jaką można było zrobić - warknął.
- Powtórzyłeś to chyba tysiąc razy!
- zawołała z kuchni Kim.
- Nie rozumiem - powiedziała Mattie.
- Tomusi być jakaś pomyłka.
144
- Pomyłką byłoby traktowanie naszej córki jak odpowiedzialnego człowieka.
- Odpowiedzialnego?
- zawołała Kim, przekrzykując szum wody.
- Takiego jak ty, co?
"; - Jake, proszę, powiedz mi, co się stało.
- Wyobrażasz sobie, co mogłoby się stać, gdyby ją złapano?

i- Pomyśl o wstydzie - rzuciła z ironią Kim, stając nagle przy drzwiach kuchni i unosząc w górę szklankę wody.
;- Moglibyście aresztować, oskarżyć i skazać na dom poprawczy.
; -Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co się stało?
- Mattie była bliska łez.
- Nic się nie stało - odparła bezbarwnym głosem Kim.
-Tata robisz igły widły.
- Paliłaś marihuanę w sądzie?
- spytała z niedowierzaniem Mattie.
- Prawie.
- Kim się zaśmiała.
- Nie - wyjaśnił Jake.
- Zaczekała z tym, aż przyjdziemy do restauracji.
-Zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem.
-Poszliśmy do Freda.
- Najgorszej dziury - wtrąciła Kim.
-Zachowywałaś się jak rozpuszczony bąbek.
- Wcale nie chciałam tam iść.
Cały ten głupi dzień to był twój pomysł.
- W barze aż roziło się od prawników i glin, a ona poszła do toalety i zapaliła sobie jointa.
Całe szczęście, że nakryła ją moja znajoma.
- Taak, wielkie szczęście - rzekła ironicznie Kim.
- Powinna pilnować własnego nosa.
- Na litość boską, jest zastępcą prokuratora.
Mogła kazać cię aresztować.
- Ale tego nie zrobiła, więc po co ten cały krzyk?
Popelniałam błąd.
Powiedziałam "przepraszam".
Więcej tego nie zrobię.
Sprawiam kłopoty.
Znowu wygrałeś.
- Kim, nie rozumiem.
- Mattie starała się znaleźć jakiś sens w tym, co usłyszała.
- Czego nie rozumiesz, matko?
- warknęła Kim.
Mattie poczuła, jakby dostała w twarz.
W jej oczach pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach.

- Uważaj, jak mówisz do matki - ostrzegł Jake.
-Moja matka potrafi sama mówić.
Jeszcze nie umarła.
- O Boże!
- jęknęła Mattie.
Całe powietrze uszło jej z płuc,jakby ktoś wbił jej nóż w plecy.
Twarz Jake'a zalał krwisty rumieniec, poczynając od szyi, aż po linię włosów.
Wyglądał, jakby za chwilę miał wybuchnąć.
- Jak mogłaś powiedzieć coś tak strasznego?
-Ja tego nie chciałam - zapewniła Kim.
- Mamo,wiesz, żetaknie myślę.
- Napełniasz mnie obrzydzeniem -rzucił Jake.
-To ty napełniasz mnie obrzydzeniem - odparowała.
- Dość tego!
Uspokójcie się oboje!
- rozkazała Mattie, czując złowieszcze mrowienie w stopach.
-Przejdźmy do salonu i porozmawiajmy spokojnie.
- Ja idę do mojego pokoju - oświadczyła Kim.
-Nigdzie nie pójdziesz!
- Mattie przytrzymała ją za rękę.
- Co?
Stajesz po jego stronie?
- Nie dajesz mi wielkiego wyboru.
Kim wyszarpnęła rękę z taką siłą, że Mattie zachwiała się na nogach,których prawie nie czuła, po czym osunęła się na podłogę, na próżno wyciągając drżące ręce, by uchronić się przed upadkiem.
Kim natychmiast znalazła się przyniej, uklękła i próbowała ją podnieść.
- Mamo, przepraszam!
- Rozplakała się.
-Ja nie chciałam.
Wiesz, że nie chciałam.
- Zostaw ją!
- rozkazał Jake, podchodząc i obejmując Mattie.
-Odsuń się.
- Przepraszam, przepraszam -łkała Kim, trzymając matkę za rękę.
-Czy nie dość już szkody narobiłaś?
- spytał Jake i odepchnął córkę.
Tym razem to ona straciła równowagę, a szklanka, którą trzymała w ręku, poszybowała w górę.
Woda rozprysnęła się niczym gejzer,a szkło uderzyło w ścianę.
- Coś ty narobiła?
- krzyknął Jake.
- Ja narobiłam?
-Proszę was, przestańcie - wtrąciła się Mattie.
- Natychmiast sprzątnij.
ten bałagan!
- polecił Jake.
146
- Sam sobie sprzątaj.
-Cholera jasna!
- krzyknął Jake i uniósł dłoń.
- No uderz!
- wrzasnęła Kim.
-Proszę bardzo, uderz!
Mattie wstrzymała oddech,patrzac, jak ręka męża znieruchomiała w powietrzu i po długiej

niczym wieczność chwiliopadła do boku.

Gdzieś za plecami posłyszała, jak Kim pędzipo schodach na górę i zaraz potem trzasnęły drzwi do jej pokoju.

Jake oparł się o ścianę i ukrył twarz w dłoniach.

- Nicci nie jest?

- spytała.

- Omal jej nie uderzyłem.

-Ale nie uderzyłeś.

- Ale chciałem to zrobić.

-Ale nie zrobiłeś- powtórzyła Mattie.

Uniosła rękę, lecz cofnęła ją, gdy spostrzegła, że drży.

Wiedziała, jak bardzo rozczarowany musi być Jake i jak bardzo pragnie, by córka była z niego dumna.

Ja jestem z ciebie dumna - chciała powiedzieć, lecz milczała.

Uświadomiła sobie, że prawie w ogóle nie czuje nóg.

- Muszę usiąść - oznajmiła.

Jake otarł łzy, pomógł jej przejść do salonu i posadził na miękkiej beżowej kanapie.

- Może też usiądziesz - zaproponowała.

Przestąpił nogi na nogę, jakby się zastanawiał.

- Dasz sobie radę sama?

- spytał po chwili.

-Chciałbym wyjść na trochę.

Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Ukryła rozczarowanie.

Czemu nie pozwolisz się pocieszyć?

-zapytała w myślach.

- Dam sobie radę - zapewniła.

-Posprzątam wszystko, kiedy wrócę.

- Chcesz, abym poszła z tobą?

Było to głupie pytanie, bo Jake pokręcił głową.

Pewnie, że nie chce.

Który mężczyzna zabierze sobą żonę, gdy idzie do kochanki?

- Na pewno sobie poradzisz?

-Na pewno.

- Niedługo wrócę.

-Jedź ostrożnie - powiedziała, odprowadzając go wzrokiem.

147.

- Jake, jesteś gotowy?

Mattie rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, z zadowoleniem stwierdzając, że wszystko jest na swoim miejscu, nie ma czarnych smug pod oczami i żadne pasemko włosów nie wysunęło się z ozdobnej spinki z tyłu głowy.

Piękność w różach - pomyślała, poprawiając jedwabny kołnierzyk kaszmirowej bluzki i upewniając się, że kolczyki z kryształów górskich są dobrze umocowane.

Jedyną, co ją niepokoiło, to trzy numery telefonów wypisane nadłoni - pozostałości wczorajszej głupoty.

Nie chciały się zmyć pomimo długiego szorowania.

Może Jake tego nie zauważy - pomyślała i uznała, że nie ma się czym martwić.

Poczuła w palcach lekkie mrowienie.

Schowała ręce do kieszeni szarych spodni i wyszła z pokoju.

- Jake, jesteś gotowy?

- powtórzyła.

Cisza.

- Jake!

Zajrzała do pokoju gościnnego.

- Jake?

Pokój był pusty, a łóżko przykrywała rzucona niedbale biało-żółta kołdra, dokładnie tak jak wczoraj.

Czyżby w ogóle tu nie spał?

- zdziwiła się Mattie.

Zamknięte drzwi do pokoju Kim wyglądały jak milczący wyrzut.

Córka zamknęła się wczoraj przed nią i do tej pory się nie pokazała.

Nie zeszła na kolację, nie pojawiła się też na śniadaniu i na obiedzie.

Musi być bardzo głodna - pomyślała Mattie, znając dumę i upór Kim.

Zupełnie jak ojciec.

Zapukała i kiedy nie otrzymała odpowiedzi, ostrożnie uchyliła drzwi.

Pokój tonął w ciemnościach, żaluzje były opuszczone, nie paliło się żadne światło.

Musiło minąć kilka sekund, nim wzrok oswoił się z mrokiem i rozpoznał łóżko, obok niego komodę, po drugiej stronie biurko i krzesło z wysokim oparciem.

Wszędzie leżały części garderoby.

Mattie zrobiła krok przód i czubkiem czarnego buta uderzyła w kasetę i pchnęła ją w drzwi szafy.

Leżąc na łóżku, postać poruszyła się, usiadła, odsunęła z twarzy potargane włosy i spojrzała bez słowa na Mattie.

148

- Dobrze się czujesz.

Kim?

- Która godzina?

- spytała zaszpanym głosem.

Mattie zerknęła na wiszący na ścianie zegar.

Miał kształt

arbuza z wielką, różową buzią w zielonej ramie i czarnymi

pestkami wyznaczającymi minuty.

- Prawie czwarta - odpowiedziała Mattie.

- Przespałeś cały dzień.

Kim wzruszył ramionami.

- Zprzerwami.

Jak na dworze?

- Słonecznie i zimno, jak w styczniu.

Dobrze się czujesz?

- spytała ponownie Mattie.

- Dobrze.

- Kim odsunęła włosy z czoła, zupełnie jak Jake, co oznaczało, że ma dość rozmowy, i spojrzała w

stronę okna.

-Wychodzisz gdzieś?

- Na wystawę fotografii, a potem na kolację ze Stephanie Slopen i jej przyjacielem.

Chcesz iść z nami?

Drwiącaminacórki była aż nadto wymowna.

- Przecież wiesz, że mam szlaban na wychodzenie co najmniej do czterdziestki.

- Postąpiłaś bardzo źle - przypomniała jej Mattie.

- Czy po to przysłałaś, żeby mi to powiedzieć?

- Nie.

- To po co?

- Martwię się o ciebie.

- Nie masz dość własnych zmartwień?

Mattie zaczęła w myślach sprzątać pokój córki, zbierała podłogę porzucane rzeczy i odkładać je na miejsce.

Kimzawsze była taka porządna, taka pedantyczna.

Dlaczego zmieniła się w takiego flejtucha?

- Naprawdę martwię się o ciebie.

Wiem, jaki trudny to dla ciebie okres.

- Nic mi nie jest, mamo.

- Pomyślałam, że może powinnaś z kimś porozmawiać.

- Masz na myśli psychiatrę?

- Może.

- Myślisz, że zwariowałam?

- Oczywiście, że nie - odrzekła pośpiesznie Mattie.

- Prosto myślałam, że będzie ci łatwiej, jeśli z kimś porozmawiasz.

149.

- Przecież mam ciebie.
- WielkieoczyKim poszukaływ półmroku oczu matki.
-Prawda?
- Oczywiście, że tak.
Ale ja jestem częścią problemu - odpowiedziała.
- Tynie jesteś problemem, to on jest.
Nie było potrzeby wyjaśniać, kim jest ten on.
- Ojciec bardzo cię kocha.
Przecież wiesz.
- Jasne.
Przyjemnej kolacji.
Kim opadła na łóżko i nakryła głowę kołdrą, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.
Mattie powstała jeszcze chwilę, po czym wyszła z pokoju zamknęła za sobą drzwi.
Jeszcze wielenażęłapowiedzieć,ale nie miała na to dość siły.
I czasu.
Spojrzała na zegarek.
Gdzie ten Jake?
Powinni już wychodzić.
- Jake!
- zawołała,schodząc po schodach.
Domyśliła się, że rozmawia przez telefon, zanim zobaczyłazamknięte drzwido gabinetu.
Wiedziała też, że rozmawia z Honey, jeszcze zanim podniosła słuchawkę w kuchni, i co usłyszy.
- Przepraszam -mówił Jake.
-Przestań przeproszać - odparł znajomy schrypniętygłos.
- Zaplanowała to bez porozumienia ze mną.
Nie mogłęmsię wykręcić.
- Toja powinnam żałować.
Mogłam być wczoraj w domu.
- Przecież nie wiedziałaś.
-Nie rozumiem,dlaczego właśnie wczoraj poszłam takwczśnie do klubu.
- Jutro wieczorem - rzekł z naciskiem Jake.
- Bez względuna wszystko.
- Świetnie.
Dokąd pójdziemy?
- Miałem nadzieję, że nigdzie.
-Jeszczelepiej.
O siódmej?
- Nie mogę się doczekać, by cię zobaczyć - powiedział.
-Kocham cię.
Mattie odwiesiła słuchawkę,zanim zdążyłausłyszeć odpowiedźJake'a.
- Co otym myślisz?
- spytała Mattie, stojąc obok Jake'aw małej galerii na rogu Erie Street, przy Magnificent Mile.
150
Wciąż miała w uszach podsłuchaną rozmowę.
Drewnianapodłoga galerii połyskiwała w blasku reflektorów, ustawionychwysoko i dyskretnieukrytych.
Połowę północnejściany zajmowało wielkie okno, na pozostałych wisiały kolorowefotografie.
Jedna z nich przedstawiała młodą Meksykankę w kolorowejsukience, z kwiatami we włosach i krzyżykiem na szyi, stojącąna tle wymalowanej na murze Matki Boskiej, płynącej pozachmurzonym niebie.
Kwiaty podstopami Maryi mieszały sięz kwiatami zdobiącymi brzeg sukienki dziewczyny.
Na innejfotografii grupka aniołów na turkusowej ścianie strzegła małego czarno-białegozdjęcia młodego mężczyzny.
Jeszcze innapredstawiała wielki telewizor stojący na stole, z pejzażemwtle, kolejna zaś - grubą

Latynoskę o zgorzkniałym wyrazie twarzy, w nakrapianej złotem niebieskiej sukience, bardziej przerażającą od siedzących za nią generałów w mundurach.

- Podobają mi się - odpowiedział Jake.

"Kocham cię" - szepnęła Honey.

- Dlaczego?

- spytała Mattie.

Dlaczego tu jesteś?

Zaśmiał się z zażenowaniem.

- Jestem prawnikiem.

Nie znam się na sztuce.

A tobie się podobają?

- Bardzo.

"Kocham cię" - szepnęła Honey.

- Dlaczego?

Dlaczego tu jesteś?

- pomyślała Mattie.

- Mają świetną kolorystykę i kompozycję - odpowiedziała, próbując zagłuszyć niechciane wspomnienia.

- Podoba mi sposób, z jakim fotograf łączy rzeczywistość ze sztuką, wykorzystując jedno do pochwalenia, a drugie do podkreślenia, niekiedy zamazując granice między nimi.

Atakże sposób, w jaki posługuje się nieruchomymi przedmiotami do wyrażenia istoty kultury, w jaki łączy język obrazu z własnymi odczuciami.

- I ty to wszystko widzisz?

Uśmiechnęła się.

- Przeczytałam w programie.

Zaśmiał się.

Bardzo lubiła jego śmiech, a tak rzadko go słyszała.

Czy on śmieje się w towarzystwie Honey?

"Nie możesz doczekać, by cię zobaczyć" - powiedział.

Skupiła wzrok na

151.

fotografii przedstawiającej młodego mężczyznę na tle ściany ze scenami z wojny: żołnierze, czołgi, karabiny, wybuchy.

Młodzieniec stał tyłem do obiektywu.

Miał na sobie wyblakłe dzinsy i czerwony podkoszulek, podciągnięty dogóry i odsłaniający biały bandaż, biegnący, niczym postrzępiona blizna, w poprzek pleców.

- Mocna rzecz - zauważył Jake.

- Kto jest autorem tych zdjęć?

- Rafael Goldchain, urodzony w Chile w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku.

Jego dziadkowie byli Żydami, którzy w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku wyemigrowali z Niemiec do Argentyny.

Natomiast jego rodzice przenieśli się najpierw do Chile, gdzie urodził się Rafael, a w siedemdziesiątym roku do Meksyku.

On sam zaś wyjechał do Izraela, gdzie studiował na Hebrajskim Uniwersytecie w Jerozolimie, a w siedemdziesiątym szóstym roku wyemigrował do Torontowa w Kanadzie i mieszka tam do dziś.

- Nieźle poplątany facet.

Nie tylko on jeden - pomyślała, zaglądając do programu.

- Twierdzi, że dzięki tym zdjęciom robionym w Ameryce Łacińskiej uczestniczy w niezwykle doniosłym procesie odkrywania samego siebie - przeczytała.

- Uwieczniając tę kulturę, wzbogaca swoje poczucie przynależności.

- A więc wykorzystuje zawód do osiągnięcia własnych celów - powiedział Jake.

Chyba wszyscy to robimy, w mniejszym lub większym stopniu - pomyślała.

- Kiedy już obejrzyś taką wystawę, co wtedy robisz?

- zapytał.

Pyta o to, co robię od ponad szesnastu lat?

Niewiedziała, czy ma się gniewać, czy cieszyć.

Może gdyby starał się mniej poznać, a zamiast trwonić czas na kobiety, takie jak Honey Novak, nie musiałby o to pytać.

"Jutro wieczorem - zabrzmiał jej w uszach głos Jake'a.

- Bez względu na wszystko".

- Zastanawiam się, czy znalazłabym klienta, któremu spodobałyby się te fotografie - odparła i wskazała najedną z nich wiszącą wrogą sali.

Widniał na niej stary gramofon, stojący w rogu niebiesko-zielonego pokoju; instrument otaczały przyklejone do ścian

152

plakaty z półnagimi kobietami.

Wśród nich przyciągał wzrok zwłaszcza jeden, przedstawiający kobietę w różowym gorsecie i czarnych nylonowych pończochach, z palcami zaczepionymi o brzeg majtek, jakby za chwilę miała je zsunąć z krągłych pośladków.

- Myślę, że ta fotografia świetnie by wyglądała nad kanapą w twoim biurze.

Jake roześmiał się, nie bardzo wiedząc, czy Mattie mówi poważnie, czy żartuje.

- Nie jestem pewien, czy spodobałaby się moim współnikom.

Nie przyzwyczaili się jeszcze do pieczonego kartofla.

Domyśliła się, że mówi o litografii Claes Oldenburg.

Namówił ją, by powiesił ją na ścianie za biurkiem.

- Myślałam o gabinecie w domu.

Kiwnął głową z wyrazem zmieszania na twarzy.

- Przepraszam, Mattie - wyjąkał.

- Powinienem więcej czasu spędzać w domu.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie sens jego słów.

- Jake, nie chodziło mi o.

- Ale byłem taki zajęty.

- Chciałam tylko.

- Tym procesem.

- Nie myślałam o.

- Jak tylko proces się skończy.

- Przestańprzepraszać.
"Przestań przepraszać" - zabrzmiał jej wuszach głos Honey.
Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca i zakryła ręką usta.
Czy jej mąż całe życie przeprasza kobiety?
Przeprasza szukając grzeszenia?
- Co to jest?
- spytał nagle Jake.
- Co takiego?
Spojrzała na młodą parę stojącą przed fotografią smutnej kobiety w niebieskiej sukience przetykanej złotą nitką.
- Na twojej dłoni.
Przytrzymała ją za rękę i zanim zdążyła ją cofnąć, obrócił dłoń do góry.
Powiedziała, że musiała zapisać numer telefonu, a nie miała na czym.
Nie było to ani kłamstwo, ani prawda.
Przyjął to wyjaśnienie.
Czemu nie?
Od lat przyjmowała podobne wykręty.
153.

- Naprawdę myślisz, że ta fotografia pasowałaby do mojego gabinetu?

- spytał.

Teraz ona nie była pewna, czy mówi serio, czy żartuje.

- A ty coo tym sądzisz?

- Myślę, żebyłaby idealna - odparł ze śmiechem.

- Sprzedana uśmiechniętemu panu.

- Zaśmiała się.

- Dziękuję, że mnie tu dziś zaciągnęłaś - powiedział, kiedy skończyli załatwiać formalności związane z kupnem fotografii.

- Naprawdę bardzo mi się podobało.

- To ja dziękuję.

Na pewno wolałbyś pójść gdzie indziej.

-- Nie sądzę - odrzekł, starając się, by zabrzmiało to szczerze.

Spojrzał na zegarek.

- Robi się późno.

Jesteś głodna?

Skinęła głową i pozwoliła, by wziął ją pod rękę.

- Jak wilk - odpowiedziała.

Kiedy tuż po siódmej Mattie i Jake weszli przez przeszklone drzwi do środka, restauracja pękała w szwach.

W niewielkim przedsionku tłoczyli się, niczym śledzie w beczce, eleganckie ubrani goście, usiłując się przepchnąć do kierownika sali.

Delikatne perfumy przegrywały walkę z bardziej przebojowymi zapachami, takimi jak cygaro, które paliła siedząca przy barze kobieta uczesana w koński ogon.

- Przepraszam, ale mamy rezerwację - rozległ się czyjś głos.

- Wszyscy tu mają rezerwację - odpowiedział chłodno Mattie d'hôtel.

- Połowa Chicago tu dziś przyszła - zauważył Jake, usiłując przekrzyczeć gniewny szum

zniecierpliwionego tłumu.

- Oto są skutki pochlebnych recenzji - skomentowała Mattie.

Jake pochylił się ku niej, by lepiej słyszeć.

Zbliżyła usta do jego ucha, muskając nosem szyję.

Wspaniale pachnie - przemknęło jej przez myśl.

W tym samym momencie zachwiała się, potracona przez kobietę w sukni z dużym dekoltem i dotknęła wargami ucha Jake'a.

- Wszystko w porządku?

- spytał i przytrzymał ją, ratując przed upadkiem.

Skinęła głową i spojrzała ponad tłumem na salę.

Jej wystrój niewyróżniał się niczym szczególnym - duża kwadratowa sala z mnóstwem stolików, a także luster, z rzędem wyszycie 154

lanych kanapek wzdłuż jednej ze ścian i przeładowanym alkoholem barem wzdłuż drugiej.

- Jest Stephanie.

Wskazała na ostatnią kanapkę, na której kobieta w średnim wieku, z przyprószonymi siwizną włosami przytulała się czule do młodego czarnego mężczyzny.

Zaczęli przeciskać się między stolikami ku boksowi w końcu sali.

- Mattie.

Poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

Roy Crawford poderwał się z krzesła i cmoknął ją w policzek.

- Widzę, że nie tylko ja czytam recenzje o restauracjach.

Jak się masz?

Wspaniale wyglądasz.

- Dziękuję, ty również.

Rzeczywiście prezentował się doskonale z błyszczącymi i potnymi oczyma pod grzywą srebrzystych włosów.

- Chciałbym przedstawić ci Tracey.

Wskazał na blondynkę siedzącą po jego prawej stronie.

- Przeze igrek - dodała Tracey.
Mattie przyjęła tę niepotrzebną informację i przedstawiła Roya mężowi.
Obaj panowie wymienili uścisk dłoni.
- Roy jest moim klientem.
- W takim razie Mattie będzie musiała opowiedzieć panu o wspaniałej wystawie, na której właśnie byliśmy - rzekł lekkim tonem Jake, jakby nie dopuszczał możliwości, że Roy może być kimś jeszcze.
- Rzeczywiście będzie musiała - odparł z błyskiem w oku Roy.
- Sympatyczny gość - stwierdził Jake, kiedy ruszyli do ich stolika.
- Ma piękną córkę.
Mattie uśmiechnęła się, nie wyprowadzając go z błędu.
Tracey przez e igrek - pomyślała, gdy zatrzymali się przystoliku, przy którym Stephanie i Enoch patrzyli sobie w oczy, nie widząc nikogo poza sobą.
- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać - odezwała się Mattie i pomyślała, że to prawda.
Stephanie natychmiast wstała z kanapki.
- Jesteście nareszcie.
Zaczęłam się już niepokoić.
- Zauważyłam.
155.

- Pozwól, że przedstawię wam mojego cukiereczka - powiedziała z entuzjazmem w głosie, a Mattie i Jake spuścili wzrok.

Enoch Porter cmoknął Mattie w policzek, prawie w to samo miejsce, w które zaledwie przed chwilą pocałowała Roy Crawford.

- Czy on nie jest słodki?

- szepnęła Stephanie.

- Rzeczywiście jest śliczny - przyznała Mattie, gdy Enoch i Jake wymieniali uściski dłoni.

- Ma skórę jak aksamit - dodała Stephanie.

- Wydaje się bardzo miły.

- Co tam miły!

- Stephanie osłoniła usta dłonią.

- Ma cudowny język.

Uśmiech zastąpił Mattie na twarzy.

Jeśli chodzi o niepotrzebne informacje, to ta biła na głowę Tracey przez eigrek.

- Przepraszam, ale muszę iść do toalety - oznajmiła Mattie, wstając z krzesła.

- Przecież dopiero co usiadłaś - zdziwiła się Stephanie.

- Zaraz wracam.

- Pójść z tobą?

Mattie machnięciem ręki odprawiła przyjaciółkę, która już patrzyła na Enocha, obejmując go zasztygł i przyciskając duży biust do jego boku.

Wszyscy się kochają prócz niej - pomyślała, odnajdując toaletę na tyłach baru.

Co z tą Stephanie?

Jak mogła być taka bezwstydną?

Nalitość boską, przecież jest matką dwójki dzieci.

Jak by się czuły, gdyby wiedziały, że ich matka robi z siebie kompletną idiotkę, rzuci się ramiona mężczyzny dziesięć lat od najmłodszego, pozwala mu się obejmować w miejscach publicznych i opowiada o jego seksualnych wyczynach każdemu, kto chce słuchać?

Gdzie się podziała duma, szacunek dla samej siebie, przyzwoitość?

Przecież ten związek niema przyszłości.

Zresztą kogo to obchodzi.

Ona i Jake byli rówieśnikami, mieli ten sam kolor skóry i co z tego wyszło?

Jestem po prostu dorosła - doszło do wniosku, patrząc, jak jej odbicie w lustrze natychmiast spuszcza ze wstydem głowę.

Co ona by dała za możliwość fiszgowania się z młodym kochankiem, odczuwania przyjemności z dotyku jego aksamitnej skóry na swoim ciele i obejmowania go na oczach zazdrosnych przyjaciół?

Każdy powinien mieć taką Honey - pomyślała, nakładając

156

szminkę na usta, chociażnie byłotakiej potrzeby.

Nagle palce odmówiły posłuszeństwa i cienki sztyft pozostawiła policzkucienką smugęniczym strużkę krwi.

- O Boże!

- westchnęła i sięgnęła do torebki po chusteczkę.

Popatrzyła bezradnie, jak torebka spada na podłogę, a jej zawartość rozsypuje się na białoczarne kafelkach.

Uklęknęła na podłogę i zaczęła zbierać cienkopisy, paczkę chusteczek, okulary, portfel, książeczkę czekową i klucze.

Czy o czymś zapomniała?

Nagle dostrzegła parę szpilek w jednej z kabini uświadomiła sobie, że nie jest sama.

Jak ktoś może chodzić na takich obcasach?

Wstała i zachwiała się lekko, bo nogi odmówiły posłuszeństwa.

- Błagam - szepnęła, przytrzymując się blatu.

Błagam, powtórzyła w myślach, nie kończąc cichej prośby.

Usłyszała szum spuszczonej wody i uśmiechnęła się do młodej kobiety, która wyszła z kabiny.

Włosy miała równie długie jak obcasy i żadnych kłopotów z poruszaniem się.

Myjąc ręce, patrzyła na siebie w lustrze, najwyraźniej zadowolona z tego, co widziała.

Nic dziwnego - pomyślała Mattie, odprowadzając ją wzrokiem.

Jest młoda, piękna i zdrowa.

Pewnie wracado chłopca, który ją uwielbia.

Moja kolej.

Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i wyszła z toalety.

Za drzwiami stał Roy Crawford.

- Strasznie długo tam byłaś - zauważył.

- Torebka mi upadła.

- Po comu to mówi?

Czyżby czekała na nią?

- Co masz na twarzy?

- spytała dotknął policzka tuż przy ustach.

- To chyba szminka.

- Wsunął do ust palec wskazujący, polizał go, po czym stał nim czerwona kreskę z policzka Mattie, ani na chwilę nie spuszczając oczu z jej twarzy.

Poczuła chłód śliny i bezwiednie wstrzymała oddech.

- No, tak lepiej.

- Dziękuję - wyszeptała, oddychając z trudem.

- A więc to jest twój mąż - powiedział, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Skinęła w milczeniu głową, bojąc się odezwać.

- Myślałem, że jesteście w separacji.

- Wrócił.

Uśmiechnął się wolno.

Daj mi znać - rzekł.

157

Leżeli w łóżku pod nową pościelą w różowo-białe pasy.

- Specjalnie na tę okazję - oznajmiła Honey, gdy zaraz poprzyjściu Jake'a zrzucili z siebie ubrania i wskoczyli do łóżka.

Pół godziny później leżeli objęci, spoceni iniespełnieni, zmieszani i gotowi na słowa pocieszenia.

Siedzące w nogach łóżka koty chwyciły ich za palce.

- Przepraszam, Honey - powiedział Jake, usiłując pozbyć się natrętów.

- Nie wiem, co mi się stało.

- Nic ci się nie stało.

Takie rzeczy się zdarzają.

Nie musisz przeproszać.

- Boże, tak bardzo tego pragnąłem!

- Niecierpliwie przetarła dłonią oczy.

- Wiem.

- Myślałem o tym cały dzień.

- Może właśnie na tym polega problem.

Za dużo myślisz.

Honey usiadła na łóżku.

Prześcieradło zsunęło jej się z ramion, odsłaniając duży piersi.

Spędziła koty z nóg Jake'a.

Jeden z głośnym miauknięciem zeskoczył na podłogę, drugi pozostał na miejscu, patrząc oskarżycielsko na Jake'a.

- Chyba po prostu jestem zmęczony.

- To były ciężkie tygodnie.

Honey opadła z powrotem na poduszkę, przytuliła się do Jake'a i zaczęła pieścić jego owłosiony tors.

- Jaki tam proces?

- Wspaniale.

Myślę, że mamy duże szanse na uniewinnienie - odparł z uśmiechem.

Czekał na tę chwilę przez cały dzień.

Od rana o niczym innym nie myślał, czuł się podniecony i podekscytowany.

Niewielerozmawiał z Mattie, bo wyobrażał sobie, jakie torzezy zrobi z Honey.

Jego erotyczny scenariusz nieprzewidywał jednak rozmów o pracy ani takiego fiaska.

- Właściwie to świadek oskarżenia wykonała mnie całą robotę - powiedział.

- Jak to?

Czyżby mu się wydawało, że Honey była zmieszana jego gadatliwością?

158

- Zarówno ofiara, jak i posterunkowy przyznali, że moja klientka nie była sobą w momencie oddawania strzałów.

Nawet wyznaczony przez sąd biegły psychiatra był zmuszony przyznać, że kobieta mogła być czasowo niepoczytalna.

- Zmuszony przez kogo?

Roześmiał się.

- Chyba przeze mnie.

- Więc byłeś dobry.

- Byłem bardzo dobry.

- Poczł lekkie mrowienie w łądźwiach.

Honey wsunęła rękę między jego nogi i objęła palcami czołonek.

Jake jęknął, jakby miało to pobudzić do właściwej reakcji.

- Jak dobrze!

Lekka słowna podnieta - pomyślał, patrząc na swój oporny organ.

Co mu się stało?

Dlaczego nie staje?

Cholera!

Nigdy mu się to nie zdarzyło.

Spojrzał na penisa, jakby chciał pobudzić go do działania.

- Spróbuj się odprężyć - zachęcała Honey, obsypując pocałunkami jego pierś.

Poczuł ciepło jej oddechu, miękki dotyk warg i język wnikający do wnętrza ust.

- Tak, już lepiej - powiedziała z uśmiechem, nie wypuszczając penisa z dłoni.

Zamknął oczy i wsunął palce w rude loki, gdy głowa Honey zniknęła między jego nogami.

Objęła go ramionami i zaczęła go pieścić posuwistymi ruchami, aż w końcu zareagował.

Była wspaniałą kochanką, zaskakującą, pełną życia, gotową zrobić wszystko, by poczuł się szczęśliwy.

I okazała tyle cierpliwości i zrozumienia w tej całej historii z Mattie!

Ile kobiet poświęciłoby dla niego własne życie?

Nagle uświadomił sobie, że Mattie robiła to przez szesnaście lat.

- Jason, co się dzieje?

- Słucham?

Spojrzał na Honey, a potem na zwiotczały organ.

- Przez kilka minut było dobrze.

- Przepraszam.

- O czym myślałeś?

- O niczym.

Odetchnął głęboko i spojrzał na kota, który siedział w nogach łóżka i gapił się na niego.

Mattie wydawała się dziś rano

dziwnie wesoła.

Podśpiewywała do wtóru nadawanych przez radio starych przebojów, gdy on pracował w gabinecie.

Niemógł zapomnieć tego jej uśmiechu Moby Dicky, kiedy powiedział, że musi wyjść dziś wieczorem i że wróci późno.

Niezapytała nawet, dokąd się wybiera, chociażby nato przygotowany.

"Mnie też nie będzie" - powiedziała.

- Myślisz o Mattie, prawda?

- spytała Honey.

- O Mattie?

Nie.

- Czy to było takie oczywiste?

- Jak on się czuje?

- Bez zmian.

- Mam nadzieję, że wie, jakim jesteś wspaniałym mężczyzną.

Uśmiechnął się z trudem.

Mattie doskonale wie, jakim jest mężczyzną - pomyślał ze smutkiem.

I tu tkwiła różnica między nią a Honey: jedna znała go zbyt dobrze, druga nic o nim nie wiedziała.

Czy dlatego był teraz tutaj?

- Kocham cię, Jasonie Hart - wyszeptła Honey.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Powiedziałam, że cię kocham.

- Dlaczego?

- spytał ku swojemu zaskoczeniu.

- Dlaczego mnie kochasz?

Dlaczego o to zapytał?

Nie znośli, gdy kobiety zadawały tego typu pytania, jakby uczucie można było wytłumaczyć.

A teraz sam to zrobił.

- Dlaczego cię kocham?

- powtórzyła Honey.

- Nie wiem, A dlaczego kogoś się kocha?

-1

Sam odpowiedziałby podobnie, gdyby go o to zapytała.

Mimo to czuł dziwny niedosyt.

Czasami prawda wystarczała, czasami jednak była niewystarczająca.

- Zastanówmy się - powiedziała Honey, jakby wyczuła jego niezadowolenie.

- Kocham cię, bo jesteś mądry, wrażliwy, seksowny.

- Dziś wieczór nie bardzo.

- Tak, ale wieczór dopiero się zaczął.

Zaśmiała się, alenienie był to szczery śmiech.

Mattie czasami tak się śmiała, kiedy czuła się nieszcześliwa.

Pokręcił głową, usiłując odepchnąć myśli o Mattie.

Nikt cię tu nie zapraszał, wracaj do domu.

Tylko że jej w domu nie było.

Dokąd mógł pójść?

Pewnie

160

do kina z Lisą albo Stephanie, albo jakąś inną przyjaciółką.

Miała mnóstwo znajomych.

Uświadomił sobie, że oprócz przyjaźni, które zawarł dzięki Mattie, nie miał własnych.

- Jak tam twoja książka?

- spytał, czując, jak język Honey zatacza kręgi wokół jego sutków.

- Moja książka?

Chcesz rozmawiać o książce?

Równie dobry temat jak każdy inny.

Przynajmniej dopóki nie wyrzuci Mattie zmysli.

To ona wstrzymywała jego penisa.

Musiał się jej pozbyć, bykrew mogła swobodnie krążyć po ciele.

- Zastanawiałem się, jak ci idzie pisanie.

Honey usiadła po turecku i okryła się jasnoróżowym prześcieradłem.

Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

Udał, że tego nie dostrzegła.

- Doskonale.

- Cieszę się.

- Dziś po południu skończyłam trzeci rozdział.

- Znakomicie.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Ja też.

- Ja też - powtórzyła.

- Świetnie.

- Świetnie.

Zaległa cisza.

Co się ze mną dzieje?

- pomyślał.

Gadam zamiast się kochać.

- O czym jest taksiażka?

- spytał.

Jak dotąd, nie chciał o tym mówić.

- O kobiecie zaangażowanej w romans z żonatym mężczyzną - odpowiedziała znieśmiałym uśmiechem.

- Mówią, że powinno się pisać o tym, na czym się człowiek zna - wyjaśniła i nagle wybuchnęła płaczem.

- Honey.

- Cholera!

- Otarła łzy gniewnym gestem.

- Przysięgam ci, że nie będę płakać i nie będę.

Nie będę - powtórzyła, jakby przekonywała samą siebie.

- Nienawidzę głupich, płaczących kobiet.

- Wcale nie jesteś głupią, płaczącą kobietą.

- Objął ją, przytulił i pocałował w czoło.

Po prostu jesteś zakłopotana, tak jak ja - pomyślał.

- Masz prawo być zdenerwowana.

161.

- Wiem, że to nie twoja wina.

Rozumiem to.

Zdecydowaliśmy, że powinieneś wrócić do żony, i nie mam zamiaru wywierać żadnych nacisków.

Wiem, że stawiająca warunki kochankato ostatniarzech, jakiej teraz potrzebujesz.

Tylko jest to łatwe.

Cholera!

Tak bardzo czekałam na ten wieczór.

Jej oczy ponownie wypełniły się łzami, które zaczęły spływać po policzkach.

- Honey, proszę, nie płacz.

- Czasami mam wrażenie, że mi się wymykasz.

- Nigdzie się nie wybieram.

- Nie chcę cię stracić.

- Nie stracisz.

- Nie umiem walczyć.

W tym tkwi mój problem.

Nigdyw nic się nie angażuję.

Podobnie było z moim małżeństwem i podobnie jest z moją powieścią.

Jakbym zawsze stała z boku.

Nie korzystam z okazji i zbyt łatwo rezygnuję.

Ale koniec tym - oświadczyła, prostując się.

- Po raz pierwszy w życiu staję do walki.

Ostrzegam cię, Jasonie.

Zamierzamo ciebie walczyć.

Zrobię wszystko, żeby cię zatrzymać.

Scałował ją płynące jej po policzkach.

Dziś poraz pierwszą się rozplakała.

Zlizał słone krople z kącików ust i delikatnie rozsunął wargi językiem.

Jęknęła, objęła go zaszyję i otoczyła nogami jego uda.

Poczuł znajomy ucisk w łędźwiach, szybko przewrócił Honey na plecy i wniknął w nią gwałtownie.

Zaczęła spazmatycznie oddychać, wbijając mu paznokcie w plecy.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał.

- Wszystko będzie dobrze.

Wchodził w nią rytmicznie, a wypowiedziane słowa dudniły mu w głowie tak długo, aż w końcu w nie uwierzył.

- Szampana?

- spytał Roy Crawford.

- Dlaczego mnie to nie dziwi, że masz szampana - uśmiechnęła się Mattie, siedząca na brzegu wielkiego łóża.

- Bo jestem beznadziejnie przewidywalny.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Bo jesteś beznadziejnie romantyczny.

- A ty nie?

- Nie.

Jestem zbyt praktyczna.

162

Tym razem on się uśmiechnął.

- Może jakoś temu zaradzimy.

- Po to tu jestem.

To "tu" oznaczało piękny pokój w tonacji błękitu i kościelniczej, na dwudziestym siódmym piętrze hotelu Ritz-Carlton w centrum Chicago.

Dziś z samego rana zadzwoniła do Roya i zaproponowała spotkanie w hotelu.

Prócz królewskiego łóża była jeszcze butelka szampana i mężczyzna, który zbliżył się do niej z błyskiem w oku i dwoma smukłymi kieliszkami dom perignon.

O tej chwili myślała przez cały dzień.

Roy usiadł obok niej na brzegu niebieskiej jedwabnej kapy, ocierając się o nią kolanem, po

czym stuknął kieliszkiem w jej kieliszek.

- Za ten wieczór.

- Za ten wieczór - powtórzyła, uniosła kieliszek do usti pociągnęła łyk.

Poczuła, jak bąbelki łaskoczą ją w nos.

- Wyśmienity - powiedziała.

- Tak - przyznał, chociaż nie zdążył jeszcze spróbować.

Poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

Od jak dawna nie patrzył na nią z takim pożądaniami?

- Rozumiem, że nie miałeś problemów z przyjściem tutaj wieczór - rzekła, zagłuszając głośnie bicie serca.

- Żadnych.

Tracey wie, że mam nienormowany czas pracy.

- Tracey przez e igrek?

Uśmiechnął się.

- Jest bardzo drobiazgowy.

- Przełknął łyk szampana.

- A ty miałaś jakieś problemy?

- Mój mąż też ma nienormowany czas pracy.

- Zaśmiała się, ale myśl o tym, gdzie Jake może być w tym momencie, sprawiła, że zakrztusiła się bąbelkami i miała trudności ze złapaniem oddechu.

- Wszystko w porządku?

- Tak - wydyszała.

- Popatrz w górę i unieś ręce.

- Po co?

- Nie wiem - odparł zmieszany.

- Moja matka zawsze tak mówiła, kiedy ktoś się zakrztusił, że trzeba spojrzeć w górę i unieść ręce.
163.

- Ja się nie zakrzusiłam - zaprotestowała, ale mimo to spojrzała w górę i podniosła rękę.
- Pomogło?
Kiwnęła głową, bojąc się odezwać.
- Więc między tobą a moim mężem dobrze się układa?
- W oczach Roya błysnęła niepokoju.
- Doskonale - zapewnił go niskim, seksownym głosem z powodu ściśniętego gardła.
- A to dziś torewanż?
Podeszła do okna, wolno sącząc szampana.
- Nie sądzę - wyznała szczerze.
- Nie sądzę, bym robiła to ze względu na Jake'a.
- Urwała i odetchnęła głęboko.
- Robię to dla siebie.
Podeszedł do niej i pocałował ją w kark.
- Pochlebiamy to.
Dreszcz przebiegł jej przez ciało, a włosy na karku żyły się pod wpływem gorącego oddechu Roya.
- Chyba napiję się jeszcze szampana.
Natychmiast napełnił jej kieliszek i patrzył, jak wypija go do dna.
- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?
- Najpewniejsza.
Odstawiła kieliszek na stół, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała w usta.
Miał miękkie i szerokie wargi, szersze od Jake'a.
Z wprawą odwzajemnił pocałunek, delikatnie muskając jej wargi językiem.
Tak jak powinno być - pomyślała.
Najwyraźniej lubił się całować i był w tym ekspertem.
- Świetnie ci to wychodzi - powiedziała, czując mrowienie w nogach, kiedy poprowadziła go do sypialni.
- Mam cztery siostry.
Jako dzieci często ćwiczyliśmy.
Zatrzymali się przy łóżku i wtedy znowu ją pocałował.
Tym razem głębiej, lecz język nadal tylko muskał jej wargi.
Rzeczywiście, musiał dużo ćwiczyć.
Nie dlatego, żeby Jake nie umiał całować, tylko że dawno już tego nie robił.
Dotknęła go ramieniem, dotykając drewnianej listwy łóżka.
Odejdź, Jake - pomyślała, otwierając oczy i widząc przed sobą wielką głowę Roya.
Nie odrywając warg od jej ust, odnalazł przód zielonej jedwabnej bluzki, zataczając niewiarygodnie małe kręgi wokół jej piersi.
164
Jak na razie wszystko dobrze - pomyślała, kiedy zaczął rozpinąć perłowe guziczki.
Poczuła znajome mrowienie w prawej stopie.
Nie ma się czym martwić.
Przecież czuła mrowienie w całym ciele.
- Jak się czujesz?
- wyszeptała.
- Wspaniale.
- Wspaniale - powtórzył, zsuwając bluzkę z jej ramion i natychmiast wracając do czarnego koronkowego staniczka.
- Jesteś taka piękna - mruknął, przesuując dłońmi wzdłuż jej bioder.
Niespiesznie zdejmował jej ubranie, pieszcząc miękką skórę, delikatne krągłości, delektując się jej zapachem i reakcją na każdą nową pieszczotę.
- Spójrz na siebie - rzekł, kładąc się przy niej na świeżo białej pościeli.
- Czy zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna?
- Mów tak jeszcze - poprosiła z oczami pełnymi łez.
Robiło bez przerwy.
Jego dłonie były wszędzie, na piersiach, we włosach, pomiędzy jej nogami, za nimi szły wargi

język.

Zamknęła oczy, lecz zaraz otworzyła, bo zobaczyła postać Jake'a.

Wracaj do domu, Jake.

To łóżko jest za małego trojga.

- Gotowa?

- spytał Roy.

- Jeszczenie.

- Usiadła i pchnęła go na plecy.

- Teraz moją koleż - rzekła, patrząc na jego nagie ciało.

Poprzednim razem zdradzała męża z zamkniętymi oczyma.

Tym razem postanowiła delektować się każdą sekundą.

Wejdzie w ten romansz otwartymi oczyma.

Przesunęła palcami po gładkim torsie Roya.

Miał świetną figurę jak na swój wiek.

Szczupłą i umięśnioną.

Pewnie bardzo dba o kondycję.

Ćwiczy kilka razy w tygodniu na siłowni.

Tak jak Jake.

Tam właśnie Jake poznał Honey.

Honey przeze igrek.

Poczuła, że Roy drgnął pod dotykiem jej palców.

- Przepraszam - powiedziała szybko.

- Uraziłam cię.

- Nie szkodzi.

- Chyba wyszłam z wprawy.

- Świetnie sobie radzisz - zapewnił, kiedy zastąpiła palce
1 ustami.

Po chwili leżała na nim.

Jęknęła, gdy w nią wszedł, uniósł

się i objął ramionami, poruszając się w jej wnętrzu.

Zaraz

165.

jednak zmienili pozycję i teraz on był na górze, potem naboku, aż w końcu znów znalazła się na górze.

- Jesteś cudowna - szeptał.

Przewrócił ją na plecy, założył sobie jej nogi na ramiona i wniknął w nią głęboko.

Wygięła ciało w łuk, dostosowując się do jego rytmu, chwyciła go za pośladki, przyciągając mocniej do siebie, jakby chciała wchłonąć go całego.

Kręciło jej się w głowie, miała wrażenie, że wzlatuje do nieba, a całe ciało wibruje, jakby za chwilę miało eksplodować.

To magia - pomyślała, osiągając spełnienie.

Tak bardzo jej tej magii brakowało, jak bardzo jej potrzebowała!

- Dobrze się czujesz?

- spytał gdzieś obok niej Roy.

- Wspaniale!

- uśmiechnęła się rozmarzona.

- A ty?

Pochylił się i pocałował ją w nagie ramię.

- Cudownie!

Zapadła cisza.

Magia się skończyła.

Jak każda sztuczka zniknęła bez śladu.

Trwała jedną niezapomnianą chwilę i warta była wszelkich pochwał, ale skończyła się, zanim zdołała prześledzić drobne ruchy ręki i drobne wskazówki.

Poza okrzykami zachwytu nie pozostawało nic.

Czy tego właśnie chciała?

Czy tak pragnęła spędzić ostatni rok życia?

To właśnie kochała w sztuce - precyzję, trwałość, dokładność i trzymanie się granic.

Każde, nawet najbardziej szokujące pociągnięcie pędzlem było przemyślane.

A życie było przemijające, krótkotrwałe i nieuporządkowane.

Przekraczała granice i niszczyła wszystko na swojej drodze.

Popatrzyła na leżącego obok niej Roya, samородnego milionera i wiecznego chłopca bez fałszywych ambicji.

Jestem, jaki jestem, zdawał się mówić.

Sama prostota.

Zamknęła oczy.

Jeśli było w nim coś świętego, nie chciała tego wiedzieć.

;

Magia się skończyła.

Po kilkunastu minutach spojrzała na zegarek stojący przy łóżku.

Dwanaście po dziewiątej.

- Powinam chyba wracać do domu - powiedziała, myśląc o czekającej ją długiej podróży taksówką.

Przejechała dłońią gęste szpakowate włosy.

- Na mnie też już czas.

Byli jak dwoje obcych sobie ludzi, którzy obudzili się po

166

nocnej hulacnicy, spoceni i trochę sobą przestraszeni.

Roy wstał i poszedł do łazienki.

Chwilę później usłyszała szum wody.

Sięgnęła po ubranie, włożyła spodnie i bluzkę.

Będzie miała mnóstwo czasu na prysznic po powrocie do domu.

Jako na pewno nie wróci przed północą.

Kiedy Roy wyszedł spod prysznicza, owinięty białym ręcznikiem, wciąż zmagając się z guziczkami bluzki.

- Jakież kłopoty?

- spytał.

- Guziki nie chcą się zapiąć.
 - Schowała za siebiedrżące ręce.
 - Pozwól.
 - Sięgnął do bluzki i znieruchomiał na wysokości jej piersi.
 - Lepiej nie - doszedł do wniosku, poczym zapiął wszystkie guziki.
 - Dziękuję - powiedziała.
 - Nie ma zaco.
 - Ucałował ją w kącik ust.
 - Dziękuję - powtórzyła.
 - Za co?
 - spytał zezdziwieniem.
 - Za to, że czułam się jak obiekt pożądania.
- Roześmieli się.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, sięgając poskarpetki.
 - Wiesz, bardzo chciałbym zobaczyć wystawę, o której wspomniał wczoraj twój mąż.
 - Włożył czarne spodnie i wciągnął przez głowę niebieski pulower.
 - Powinieneś - powiedziała, poprawiając włosy w lustrze.
 - Kilka fotografii na pewno ci się spodoba.
 - Odezwę się do ciebie.
- Moglibyśmy coś zorganizować.
- Świetnie.
 - To jesteśmy umówieni.
 - Doskonale.

19

- Wchodź, szybko.

Wpuściła Teddy'ego Cranstona do środka i rozejrzała się ukradkiem po okolicy, sprawdzając, czy któryś z sąsiadów niepodgląda.

Właściwie to nie robiła niczego.

Miała szlaban na wychodzenie z domu, alenie oznaczało to, że niemoże nikogo

167.

do siebie zaprosić.

Poza tym rodzice dziś wyszli, a to, czego nie widzisz, nie boli.

Pewnie matka lub ojciec, a możliwe, że oboje, zadzwonią, by sprawdzić, czy nie wyszła z domu, będąc wczekać na nich czekać.

Tak jak czekała na Teddy'ego.

Dziś wieczorem - powiedziała mu przez telefon.

Ruszwój tyłki przyjeżdż tu za pół godziny albo stracisz okazję.

Dokładnie dwadzieścia dziewięć minut później zadzwonił do drzwi.

- Mój pokój jest na górze - poinformowała go.

Po otracił czas na wstępne rozmowy?

Od miesięcy torobili.

Teraz mieli tylko kilka godzin.

- Ładny dom - stwierdził Teddy.

Zdjął brązową skórzaną kurtkę i rzucił ją na poręcz.

- Może być.

W milczeniu weszli na górę.

Kim omiotła wzrokiem pokój, upewniając się, że wygląda, jak należy.

Po telefonie do Teddy'ego pospiesznie wrzuciła wszystko, co miało mniejszą wagę, do szafy.

Posłała nawet łóżko.

Matka zawsze powtarzała, że nie należy spać w niezastłanym łóżku.

Nie dlatego, że by mieli w nim spać - pomyślała i wyrzuciła matkę zmysliwstrząśnięciem głowy.

- Super - rzekł bez przekonania Teddy, stając na jasnym dywanie i rozglądając się po pokoju.

- Fajny koc - dodał, zatrzymując spojrzenie na wielkim łóżku.

Kiwnęła głową.

Właściwie to był patchwork zrobiony z jasnokolorowych kawałków.

Każdy bylinny, czerwono-białe pasy leżały obok niebiesko-białych kratek, żółtych kwiatów i wielkich zielonych kropek.

To matka wybrała tę kapę, podobnie jak wszystko w pokoju, chociaż pozornie to Kim podejmowała decyzje.

"Co tylko chcesz - powiedziała, kiedy się tu wprowadzili.

- Jesteś już dużą dziewczynką.

Urządźmy twój pokój tak, jak będziesz chciała".

Tylko czy ona wiedziała, co chce?

Miała wtedy zaledwie jedenaście lat.

Nie zdążyła jeszcze wyrobić sobie własnego gustu.

Posłuchała więc sugestii matki.

Nawet ściany były odbiciem osobowości matki.

Większość dziewcząt w jej wieku tapetowała ściany plakatami z ulubionymi aktorami, modelkami

czy zespołami rockowymi, a ściany jej pokoju zdobiły oprawione afisze z Instytutu Sztuki,

podpisane i numerowane litografie tak znanych malarzy, jak Joan Miro i Jim Dine oraz

168

piękna czarno-biała fotografia przedstawiająca matkę z córką, wykonana przez słynną fotografkę Annie Leibowitz.

Co robi, kiedy mama odejdzie, kiedy nie będzie mogła powiedzieć jej o tym, co lubi, a czego nie?

Na kim się wówczas oprze?

- To jest ekstra - stwierdził Teddy, przyglądając się jasnożółtej cyfrze cztery na czerwono-czarnym tle.

- Ty to namalowałaś?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd!

To Robert Indiana.

Natychmiast ugryzła się w język.

Czy nie posunęła się za daleko, wyprowadzając go z błędu?

Może gozawstydzila.

Może wymyśli teraz jakąś głupiąwymówkę i powie, że musijuz iść izostawijej nieznośne
dziewictwo nienaruszone.

- Aha!

- Wzruszył ramionami.

-Ekstra.

- To jest reprodukcja.

Jak on mógł pomylić reprodukcję z oryginałem?

Jak mogłaoddać siękomuś, kto nieumie dostrzec różnicy.

- Ekstra - powtórzył i klapnął na łóżko.

Czy nic innego nie potrafił powiedzieć?

Nie należał cprawda do najmądrzejszych chłopców w szkole, ale nie byłteż najgłupszy.

Myśl pozytywnie - skarciła siebie.

Nie zastanawiajsię nad wadami.

Myśl o tych wszystkichrzeczach,które cisię w nimpodobają, o czekoladowobrązowych
oczach,dołeczkach w policzkach, gdysię uśmiechał, w szczupłej umięśnionej sylwetce, długich,
wąskich palcach,o pocałunkach,o tym, jak dotykał jej piersi.

Niech ktoś inny kocha go za

rozum.

Teddy poklepał łóżko oboksiebie i pokiwał do niej palcem.

Czy nie wystarczy, że jest starszy, bardziejdoświadczony, że spośród innych dziewcząt wybrał
właśnieją, że zazdroszą

go jej wszystkie przyjaciółki?

Tylko że to nie były jej przyjaciółki.

Caroline Smith, AnnieTurofsky, Jodi Bates lubiły ją tylko dlatego,że Teddy ją lubił.

Odwróćą się od niej, gdy Teddy przestanie się niąinteresować.

Właściwie to nie miała przyjaciółek.

Mama zawszebyłajejnajlepszą przyjaciółką.

"Ty i ja przeciw całemu światu" - śpiewała, kiedy była jeszcze mała.

Co się znią stanie, kiedy mamyniebędzie?

Dokogobędzie mogła się zwrócić?

Do ojca?

169.

- Twój ojciec to niezły przystojniak.
- Jodi omal niezemdlała, gdy któregoś dnia przyjechał po nią do szkoły.
- Chętnie bym go poderwała - rzuciła, śmiejąc się ordynarnie Caroline.
To go sobie bierz - miała ochotę powiedzieć, lecz milczała.
Caroline zwykle dostawała to, czego chciała, a ostatnią rzeczą, jakiej by pragnęła, to mieć ją za macochę.
Jęknęła.
Dość tych niegodziwych myśli!
Mamajeszże nie umarła, a ona już myśli o jej następczyni.
- Nie przyłączysz się domnie?
- spytał Teddy, patrząc naniawyczekująco.
Odepchnęła myśl o matce i podeszła do łóżka, zdejmując po drodze biały golf.
Teddy wstrzymał oddech, gdy rozpięła stanik i rzuciła gona podłogę.
Poczuła, że oblewa się rumieńcem wstydu.
Co ona wyprawia?
Naprawdę chce, żeby Teddy oglądał ją nago?
- Zaczekaj na mnie.
Wstał i jednym ruchem ściągnął koszulę, spodnie, buty i skarpetki, jakby wszystkie części były ze sobą połączone albo przyklejone do ciała.
Pozbył się ich równie łatwo jak resztek opalenizny.
Stanął przed nią nagi, a wzwiedziony penis prężył się dumnie.
- Och!
- wykrztusiła.
- Nie masz zamiaru tego zdjąć?
- Wskazała na spodnie i ciężkie czarne buty.
Usiadła na brzegu łóżka, starając się nie patrzeć na wyprężony członek, po czym zdjęła buty i dzinsy.
- Wzięłaś gumę?
- Jest w kieszeni spodni.
- Niepowinieneś jej założyć?
Podszedł do spodni jak automat, wyjął małą paczkę i rozzerwał.
Odrzuciła kołdrę i kiedy Teddy zmagał się z prezerwatywą, wsunęła się pod jasnożółte prześcieradło, podciągając je pod brodę.
- Gotowe - oznajmił z triumfującym uśmiechem.
- Jesteś pewny, że zadziała?
- Nie dopuszczę, by coś się stało - zapewnił, kładąc się przy niej.
- Obiecuję.
- A jeśli pęknie?
170
- Nie pęknie.
One są mocne jak stal.
Sięgnęła jej piersiom.
Odepchnęła jego rękę.
- Mógłbyś zgasić światło?
Wyskoczył z łóżka, zgasił światło i wrócił do niej, zanim zdążyła zarejestrować jego nieobecność.
- Może niepowinniśmy tego robić - wyjąkała, uparcie trzymając koc pod brodą.
- No coś ty.
Zwodziś mnie od miesiący.
- Wcale cię nie zwodziłam.
- Doprowadzałaś mnie do szaleństwa.
Zaczął pieścić językiem wewnątrz jej ucha.
Czy on myślał tylko o seksie?
Nie musiał nawet pytać.
Oczywiście, że tak.

Tylko o tym myślą chłopcy i nie od czasu do czasu, jak dziewczęta, ale bez przerwy, od rana do wieczora.

Nic dziwnego, że nie potrafią sklecić dwóchsensownych zdań logiczną całość.

Nic dziwnego, że nie potrafią odróżnić oryginału od reprodukcji.

Ale to był jej pomysł, nie jego.

To ona do niego zatelefonowała i kazała mu przyjść.

To ona zaprosiła go na górę do swego pokoju, ona rozpoczęła grę, ściągając sweter.

Leżała przecieźnaga w łóżku obok nagiego mężczyzny.

Nie mogła już się wycofać.

- Będziesz uważał?

- spytała.

- Nie pozwolę, by coś się stało - powtórzył.

- Obiecuję.

W następnej chwili leżał już na niej i usiłował w nią wejść.

- Musisz się odprężyć - wyszeptał.

- Odprężyć i pozwolić, by to się stało.

- Jesteś w złym miejscu - rzucił niecierpliwie.

- Co to znaczy: jestem w złym miejscu?

- Nie sądzę, by to było właściwe miejsce - odpowiedziała, próbując się przesunąć, co spowodowało, że Teddy zaczął się poruszać z jeszcze większą energią.

Przypadkiem lub nie udało mu się w końcu trafić we właściwy otwór i natychmiast zaczął wbijać się w nią głębiej.

Wstrzymała oddech, kiedy ostry ból przeniknął jej ciało, a pochwaroziagnęła się, by go przyjąć.

Zupełnie jakby rozstępowało się Morze Czerwone - pomyślała, czując kleistą substancję na wewnętrznej stronie ud.

Ciekawe, czy naprzęścieradle będzie krew i jak wytłumaczy tomatce.

Powiem, że mam okres - postanowiła, chwytając Teddy'ego za pośladki,

171.

by zmusić go do zwolnienia tempa.

On jednak albożle zrozumiał jej zamiary, albo nie zwrócił na nie uwagi i zrobił cośprzeciwnego: przyspieszył jeszcze bardziej, po czym krzyknął, jakby się przestraszył, jakby go coś zabolalo, zadrzał i znieruchomiał.

Chwilę później zsunął się znieji podłożył rękę podgłowę wgeście triumfu lub kompletnego wyczerpania.

To już koniec?

-pomyślała.

I o to całe tozamieszanie?

Sięgnęła po koldrę i podciągnęła ją pod brodę.

- W porządku?

- spytał Teddy, jakby nagle sobie o niejprzypomniał.

- Tak.

A ty?

- Też.

Byłaś wspaniała.

- Pochylił się i pocałował ją w mokry policzek.

-Płaczesz?

- Nie - odparła.

O cow tym wszystkim chodzi?

- Następnym razem będzie lepiej.

-Tym razem też było wspaniale - skłamała, spoglądającna jego nagi tors.

Jego penis leżał teraz sflaczały i bezbronnyw miękkim trójkacie włosów łonowych.

A gdzie prezerwatywa?

- Gdzie prezerwatywa?

- spytała.

Oczywiście nadal w niej- uświadomiła sobie i poczuła, jakściska jej siężołądek.

- Boże, comy terazzrobimy?

- jęknęła.

- Po prostu wyjmiesz ją - odpowiedział Teddy.

-Jakto wyjmę?

- Sięgnij ręką i wyciągnij.

-Nie mogętego zrobić.

- Dlaczego nie?

-Bo nie.

- O co muchodzi?

-Obiecałeś, że będziesz ostrożny.

Obiecałeś, że nie dopuścisz do tego, by coś się stało.

- Byłem ostrożny.

-Więc co ta głupiaguma robi we mnie?

- Musiała się zsunąć, kiedywychodziłem.

-O Boże!

- Musisz tylko.

-Nic niemuszę.

To ty musisz.

O Boże!

-powtórzyła, zakrywając twarz dłońmi, gdy Teddy wsunął głowę pod koldrę.

- Mam- oznajmił z triumfem, pokazujączużyta prezer172

watywę.

- Spójrz, wszystko w porządku.

Nie pękła.

Wszystkojest w środku.

- Ohydztwo!

- wykrzyknęła, czując mdłości.

Wyrzucił kondom do kosza na śmieci.

- Skąd wiesz, że nic się niewyłało?
- Nic się nie wylało - zapewnił, jakby jego słowa miały uspokoić wzbierającą w niej panikę.
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem.
- O Boże!
- Wszystko będzie dobrze.
- O Boże!
- Mogłabyś przestać?
Zaczynam się denerwować.
- A jeśli zaszłam w ciążę?
- O Boże!
- teraz on jęknął.
Nie panikuj - przekonywała siebie.
Nie ma się czym martwić.
Miał na sobie gumę.
Nie pękła.
Niewyciekła żadna kroplę ohydnej spermy.
Poza tym dwa dni temu miałaś okres.
Nie ma mowy, żebyś zaszła w ciążę.
O Boże!
Czy tak właśnie czuła się jej matka szesnaście lat temu?
Czy dlatego zdecydowała się na to głupie ryzyko, żeby lepiej poznać?
- Nic ci nie jest, Kim?
- spytał Teddy.
- Zrobiłaś się nagle taka cicha.
- Nic mi nie jest - odparła, czując dziwny spokój.
- Kim?
- Tak?
- Chcesz zrobić to jeszcze raz?
Mattie siedziała w taksówce, usiłując nie zwracać uwagi na mrowienie między nogami w miejscu, gdzie był Roy Crawford.
Czuła jeszcze odległe echo napierającego na nią ciała, tak jak czujesz się amputowaną nogę lub rękę, chociaż już jej tam niema.
Uczucie braku jest lepsze niż brak uczucia.
Co mówi się o seksie?
Kiedy jest dobry, mówi się, żeby było wspaniale, a kiedy zły, mówi się, żeby było dobrze.
I tak właśnie było.
- Proszę tu skręcić - poleciła kierowcy.
- Piąty dom od końca.
173.

Taksówkarz, mężczyzna w średnim wieku, z włosami przyciętymi na jeża i plakietką informującą, że nazywa się Yuri Popovitch, zatrzymał się przed domem Mattie.

W hallu nadole paliło się światło, chociaż reszta domu tonęła w ciemnościach.

Spojrzała na zegarek.

Dochodziła dziesiąta.

Pewnie Kim już śpi.

Nie dzwoniła do domu, by sprawdzić, czy córka gdzieś nie wyszła.

Jeśli Jake chce jej pilnować, proszę bardzo.

Ona postanowiła jej zaufać.

- Dziękuję - zwróciła się do kierowcy, wręczając mu pieniądze z sowitym napiwkiem.

Otworzyła drzwi i spuściła nogę na ziemię.

Ale stopa nie odnalazła gruntu.

Kolana ugięły się pod nią i Mattie wylądowała twarzą w zaspie śniegu.

Taksówkarz natychmiast pomógł jej wstać i otrzepał ze śniegu.

- Nic się pani nie stało?

- Przepraszam - rzekła, trzymając się go kurczowo.

Nie potrafiła utrzymać równowagi.

Boże, co się z nią dzieje?

- Musiałam chyba za dużo wypić.

- Tak, napewno.

Za dużo szampana.

Szampan i seks to śmiertelna kombinacja.

Zwłaszcza gdy się do tego nieprzywykło.

- Dobrze, że nie rozchorowała się pani w taksówce.

Pomógł jej dojść do drzwi i zaczekał, aż znajdzie klucze.

- Mógłby pan?

- Podała mu klucze.

Otworzył drzwi i oddał jej klucze.

- Da sobie pani radę?

- Tak.

Bardzo dziękuję.

Złapała za klamkę u drzwi, jak tylko puścił jej ramię.

Zbiegł z schodów i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Dam sobie radę - powtórzył w myślach.

- Chyba nie dam - powiedziała na głos, osuwając się na podłogę.

- Jake!

- zawołała.

Cisza.

Po co siebie oszukuje?

Przecież nie ma go w domu.

- Kim!

- zawołała.

Cisza.

Pewnie już śpi - pomyślała, czołgając się po dywanie, w stronę kuchni.

- Cholera!

- rozplakała się, sunąc poterakocie do stołu.

Zrzuciła palto na podłogę i przytrzymując się krzesła, podciągnęła się w górę.

Łkając i przeklinając, kompletnie wyczerpana, opadła na krzesło.

- Do diabła, co się ze mną dzieje?

174

Dobrze wiesz, co się z tobą dzieje - powiedziała jej za lanetkami odbicie w rozsuwanych drzwiach.

- Nie - zaprotestowała.

- Nie teraz.

Jeszcze nie teraz.

"Masz coś, co się nazywa stwardnieniem bocznym zanikowym" - posłyszała głos Lisy.
W oszklonych drzwiach pojawiła się twarz przyjaciółki.

"Brzmi to poważnie".

"Bo tak jest".

"Ile zostało mi czasu?"

"

"Rok, może dwa, a nawet trzy".

Zamknęła oczy i wyrzuciła z myśli obraz Lisy.

Ale głosy nie chciały zniknąć, jak w telewizorze, w którym nagle wysiadł obraz, a dźwięk pozostał jasny i wyraźny.

"A co się ze mną stanie w czasie tego roku, dwóch czy trzech?"

" - posłyszała swój głos, chociaż zatknęła sobie uszy.

["Wmiarę jak choroba będzie postępować, przestaniesz chodzić.

Będziesz jeździć na wózku.

Twe ręce odmówią ci posłuszeństwa, a ciało zacznie się wykrzywiać".

"Będę więźniem własnego ciała".

Odsunęła ręce od uszu, otworzyła oczy i zapatrzyła się
w ciemny ogród.

Serce waliło jej w piersi, jakby chciał się z niej uwolnić, póki jeszcze był czas.

- Umieram - powiedziała, wstając.

Podeszła do drzwi balkonowych, otworzyła je i wyszła na taras.

Chłodne powietrze nocy otuliło ją niczym stary sweter.

Spojrzała na basen zakryty zimową plandeką.

Czy będzie jeszcze kiedyś w nim pływać?

Mało prawdopodobne.

- Umieram - powtórzyła, jakby dzięki temu mogła lepiej zrozumieć znaczenie tego słowa.

- Ale jeszcze nie teraz.

Najpierw muszę zobaczyć Paryż.

Zaśmiała się, przeszła kilka kroków i oparła się o balustradę tarasu.

Od Paryża dzieliły ją trzy miesiące.

Dotego czasu powinna jeszcze jakoś funkcjonować.

Już przedtem zdarzały jej się takie wypadki.

Pojawiały się i znikaly, lecz każdy następny trwał dłużej i pozbawiał ją sił.

Ale co będzie po Paryżu?

Minęło prawie pół roku od dnia, gdy Lisa poinformowała ją o strasznej diagnozie.

Sześć miesięcy.

A co z następnymi?

Będziesz dieci patrzeć, jak umierają komórki, aż w końcu nie będziesz mogła mówić, jeść i oddychać bez krztuszenia się?

A ma inne wyjście?

175.

Zawsze jest jakieś wyjście.
Nie musi czekać na skutki choroby.
Może wziąć sprawy we własne ręce, póki te ręce jeszcze funkcjonują.
Nie miała rewolweru, więc zastrzelenie się nie wchodziło w grę.
Niedała by też sobie rady z nożem.
Do tego potrzebna jest siła.
Powieszenie się było zbyt skomplikowane, a rzucenie się ze schodów niepewne.
Mogłabym się utopić - pomyślała.
Odkrył basen kilka tygodni wcześniej, zaczeka, aż wszyscy wyjdą z domu, i pójdzie popyływać.
Zniknie pod wodą szybko i cicho.
Tylko że Kim mogłaby ją znaleźć.
Nie może ryzykować.
Kim należało chronić bez względu na wszystko.
Musi wymyślić jakiś inny sposób.
Odepchnęła się od balustrady.
Poczuła, że nogi zaczynają powoli odzyskiwać swoją funkcję.
Wróciła do kuchni.
- Umieram - powtórzyła ze zdumieniem, idąc przez haliw stronę schodów.
- Został mi rok, może więcej.
Chwyliła zaporę i wyczuła pod palcami nieznaną skórzaną kurtkę.
Była to męska kurtka, ale nie należała chyba do Jake'a.
Czyżby do Kim?
Może pożyczyła ją od jakiegoś kolegi w szkole.
Kurtka okazała się zbyt ciężka, wysunęła się z ręki i spadła na podłogę.
- Możemniej niż rok - szepnęła ze łzami w oczach, idąc wolno na górę.
Mniej niż rok.
Weszła napiętro i zatrzymała się na chwilę odpoczynku.
Drzwi do pokoju Jake'a były otwarte, podobnie jak drzwi do pokoju Kim.
Dziwne, zawsze lubiła spać przy zamkniętych drzwiach.
Czy to możliwe, żeby złamała zakaz i jednak wyszła?
- Kim!
- zawołała, podchodząc do drzwi i zaglądając do środka.
Pokój tonął w mroku, lecz mimo to Mattie zauważyła, że Kim porządnie go wysprzątała.
Biedactwo, musi być wykończona.
Dlatego położyła się tak wcześnie, dlatego nie słyszała wołania, dlatego nie zamknęła drzwi.
Postanowiła ucałować córkę na dobranoc, tak jak to robiła, kiedy Kim była mała.
Moje śliczne dziecko - pomyślała, podchodząc bliżej.
Odsunęła brzeg kołdry, by pocałować córkę w czoło.
W tym momencie postać obok Kim poruszyła się.
I wówczas rozpętało się piekło.
176
Mattie zaczęła krzyżeć.
Kim zaczęła krzyżeć, a jakiś obcy chłopak biegał jak szalony po pokoju, zbierając części garderoby.
Potem wykrzyżał jakieś przeprosiny i wybiegł z pokoju.
- Jak mogłaś to zrobić?
- zawołała Mattie, gdy trzasnęły drzwi na dole.
- Myślisz, że specjalnie zasnęłam?
- odkrzyknęła Kim.
- Jak mogłaś mnie tak poniżyć?
Mattie patrzyła na swoją zbuntowaną córkę, która dopiero zamiesiąc miała skończyć szesnaście lat.
Moje dziecko - pomyślała, kręcąc ze zdumieniem głową.
Miała ochotę ją złapać i potrząsnąć z całej siły, ale nie mogła przecież krzyżeć na nią zato, co sama zrobiła.

Postępek Kim był zemstą za cudzołóstwo matki.

- Nie potrafię zająć się tym teraz - powiedziała i wycofała się do swojego pokoju.

Usłyszała jeszcze, jak drzwi do pokoju Kim zamykają się z hukiem.

Usiadła na brzegu łóżka i zapatrzyła się bezmyślnie w przestrzeń.

Co za noc - pomyślała, opierając się o wezgielce.

A to jeszcze koniec.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu, wystukała cyfry, które wprowadziła do pamięci, i czekała.

Sygnal wywoławczy zabrzmiał trzy razy.

- Halo?

- usłyszała znajomy schrypnięty głos.

- Czy to Honey Novak?

- spytała, chociaż znała odpowiedź.

- Tak, a kto mówi?

-Mattie Hart- odpowiedziała spokojnie, starając się wyobrazić sobie twarz kobiety, która gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Chciałabym mówić z moim mężem.

20

Niecałą godzinę później Mattie usłyszała, jak drzwi do garażu otwierają się z łoskotem i głuchym dudnieniem zamykają.

Wstała wolno z krzesła w salonie, z wystudiowaną precyzją przesuwając jedną stopę za drugą.

Sercetaki dziwnie waliły jej w piersi, że obawiała się, iż może wyrwać się na wolność.

Wyglądam, jak ta istota z Obcego - pomyślała, uznając to za równie dobre porównanie jak każde inne.

Jej ciało oświadczyło

177.

przecież jakaś tajemnicza siła, której nie potrafiła kontrolować ani pojąć.
Zmuszała ją do zachowań zupełnie obcych jej charakterowi.
Kim więc była, jeśli niedziwną istotą, obcą, nawet dla niej samej?
Spokojnie - strofowała siebie w duchu, posuwając się wolno w stronę drzwi, i przyglądała drżącą ręką świeżo umyte włosy.
Potem wsunęła ją głęboko do kieszeni niebieskiego szlafroka.
- Nieczas teraz na odgrywanie komedii.
 Czyżby?
- szepnął cichy głos.
Oszukujesz męża, a on ciebie.
Nakryła swoją piętnastoletnią córkę w łóżku z jakimś nieznanym ci chłopcem, nie mówiąc już o tym, że umierasz.
Czy to nie najlepszy czas na odegranie komedii?
 Dotarła do hallu w momencie, gdy Jake przekręcał klucz w zamku.
Odetchnęła kilkakrotnie głęboko, patrząc, jak drzwi się otwierają.
Wiatr zawył dramatycznie i dmuchnął śniegiem nad głową Jake'a.
Wspaniałe wejście - pomyślała.
 W pierwszej chwili dostrzegł jej.
Miał spuszczoną głowę, jakby wciąż walczył z siłami natury i był zajęty oczyszczaniem butów ze śniegu, który przykleił się po przejściu z samochodu do hallu.
Zauważył ją dopiero, gdy zdjął buty i zrzucił palto.
- Niezła burza się rozpętała - rzucił, odwijając palto doszafy i strząsając śnieg z włosów.
- Dobrze, że miałem w samochodzie buty zimowe.
- Urwał i po raz pierwszy od wejścia spojrzał jej w oczy.
Dość tej bzdurnej gadaniny - mówił jej wzrok.
- Dobrze się czujesz?
Czy coś się stało?
 - Dobrze - odparła.
 Ściągnął ze zmieszaniem brwi.
 - Nie rozumiem.
Przez telefon powiedziałaś, że muszę natychmiast wracać do domu.
Sprawiałaś wrażenie zaniepokojonej.
Czy coś się stało?
 - Poza tym, że umieram, a ty pieprzysz się z innymi kobietami?
 Zapadła cisza.
Posunęłam się za daleko - pomyślała, wstrzymując oddech.
 - Poza tym - odparł.
 Inagle zaczęli się śmiać.
Nerwowy chichot, który zmienił się w wybuch wesołości, wywołany szokiem i napięciem, niepostrzeżenie zlikwidował dystans między nimi.
Śmiali się pozbawioną hamulców żywiołowością, aż zaczęły ich boleć boki, a żołądki groziły eksplozją.
Śmiali się tak mocno, zapo
 178
 minając chwilę, że ona umiera, a on pieprzy się z innymi kobietami.
Nagle jednak wróciła rzeczywistość i przestali się śmiać.
 - Przepraszam - powiedziała Mattie.
 - Za co miałabyś przepraszać?
 - Za to, że zadzwoniłam do twojej przyjaciółki.
Za to, że zepsułam ci wieczór.
 Miał natyle przywoitości, by się zmieszać.
Przestąpił nogą i rzucił wzrokiem na boki.
 - Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

-Nie było to takie trudne.
- Uśmiechnęła się.
Czy mężczyźni naprawdę byli tacy nieskomplikowani, jak twierdził Roy Crawford?
- Naprawdę myślałeś, że nie wiem, dokąd jeździsz?
- Chyba próbowałem o tym nie myśleć- przyznał po krótkim wahaniu.
- Zdaje się, że to ja powinienem cię przeprosić.
- Jaki jest sens przeproszenia, jeśli się tego nie żałuje?
Skinął głową, a w jego oczach pojawił się wyraz surowości, jakby właśnie zrozumiał, że ściągnięto go do domu z mieszkaniakochanki w samym środku zamieci z jakiegoś niezrozumiałego powodu.
- O co chodzi, Mattie?
- spytał, wracając do tematu.
Troskaw jego głosie ustąpiła miejsca zniecierpliwieniu, usuwając z niego wszelkie ślady wesołości.
- Może powinniśmy usiąść.
- Wskazała ręką na salon.
- Nie możesz tego po prostu powiedzieć?
Jestem zmęczony.
Jeżeli to nic pilnego.
- Kim uprawiasz seks - wypaliła Mattie.
Czy naprawdę o tym
chciała z nim rozmawiać?
- Co?
- Spojrzał w stronę schodów.
- Nie w tej chwili - uspokoiła go w obawie, że wbiegnie po schodach i rozprawi się z córką.
- Wcześniej.
-Wcześniej?
Kiedy wcześniej?
- Kiedy wróciłam do domu.
- Czemu z nim o tym rozmawia?
Nie dlatego ściągnęła go do domu.
- Zostałam jaw łóżku.
;- Zostałaś jaw łóżku w chwili stosunku?
- Dzięki Bogu nie.
- Za późno, by się z tego wycofać.
-Już było po wszystkim.
Spali.
Patrzyła, jak dociera do niego ta ostatnia informacja i usiłuje zrozumieć to, co usłyszała.

- Kto to są oni?
- Kim i nie wiem kto.
- Stał jej przed oczami wysoki, przystojny i nagi młody człowiek, zrywający się na równenogi i usiłujący wciągnąć spodnie.
- Nie znam jego nazwiska.
Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.
Jake zaczął chodzić tam i z powrotem przed Mattie, a emanujące z niego zduenerwowaniem wypełniło hali.
- Nie rozumiem.
Co wnią ostatnio wstąpiło?
Pali skrętyw publicznym miejscu.
Uprawia seks pod naszymi nosami.
Co ona sobie myśli, na litość boską?
- Nie jest pewna, czy była w stanie jasno myśleć.
- Czy chce zarazić się AIDS?
Czy chce zajść w ciążę?
Czy chce.
- Urwał raptownie.
- Skończyć jak my?
- spytała Mattie.
- Nie to chciałem powiedzieć.
- A czemu?
To prawda.
- Chodzi o to, że jest jeszcze taka młoda.
Ma przed sobą tyle czasu.
- Nie zawsze - przypomniała mu stłumionym głosem.
Krew odpłynęła mu z twarzy.
- O Boże, Mattie, przepraszam.
Jezu, to była z mojej strony bezmyślność.
- Przesunął dłonią po czole i zamknął oczy.
- Janie chciałem.
- Wiem.
Nic się nie stało.
- Stało się.
- Nic się nie stało - powtórzyła.
- Masz rację, jest młoda, ma czas.
- Co jej powiedziałaś?
- A co mogłam powiedzieć?
Że matka i ojciec mogą mieć romans; a ona nie?
Zmarła.
Dobry Boże, co ona powiedziała?
Nie zamierzała nic mówić Jake'owi.
A może tak.
Czy dlatego właśnie ściągnęła go do domu z mieszkania kochanki?
- Tonia to samo.
Powoli wypuściła powietrze z płuc.
- Nie, chyba nie.
- Najwidoczniej nie dotarło do niego.
Nastąpiła chwila ciszy.
W oczach Jake'a pojawił się wyraz zmieszania, wahania i niedowierzania.
- Co miałaś na myśli, mówiąc, że matka i ojciec mogą mieć
180
romans?
- spytał, jakby dopiero teraz dotarł do niego sensownego zdania.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jake, ja.
-Masz romans?
Za późno na zaprzeczanie.
Poza tym po co?
- No nie wiem, czy można to nazwać romansem.
-To dlatego dziś wieczorem wychodziłaś.
Żeby się spotkać innym mężczyzną.
- Czyto cię denerwuje?
-Nie wiem.
Wyglądał nazaskoczony, jakby dostał tępym narzędziem w głowę i dopiero co odzyskał przytomność.
Miała już tego dosyć.
- Myślisz, że tylko ty masz prawo do seksu?
-Oczywiście, że nie.
- Nie masz prawa się denerwować.
-Nie denerwuję się, jestem tylko zaskoczony.
Poczuła, że wzbiera w niej gniew.
- Czemu jesteś tak cholernie zaskoczony?
Uważasz, że niemogę być atrakcyjna dla mężczyzny?
- Nie o to mi chodzi.
-Jak twoja córka powiedziała któregoś dnia: jeszcze nieumarłam.
Cofnęła się, jakby go popchnięto.
- Mattie, zaczekaj.
Pozwól mi złapać oddech.
Właśnie się dowiedziałem, że moja córka i żona uprawiają seks.
- Wszyscy uprawiamy seks - odparła gniewnym głosem.
-Wszyscy uprawiamy seks - powtórzył bezmyślnie.
-Wiesz, chyba jednak powinniśmy usiąść.
Mattie odwróciła się i poszła do salonu.
Tam opadła nabeżową kanapę.
Ogarnęło ją nagle straszne zmęczenie, poczynając od stóp, a kończąc na szyi i ramionach.
Dlatego powiedziała Jake'owi o romansie?
Czy był to przypadek, reakcja wybuchowa pod wpływem chwili?
A może zadziałały tujakieś złowrogie siły?
Czy specjalnie chciała go zaszokować?
Po to, by go zranić?
Skorotak, to dlaczego rozgniewała ją jego reakcja?
Co chciała uzyskać?
Czemu ściągnęła go do domu?
Co tak naprawdę chciała mu powiedzieć?
Jake usiadł najednym zwyższielanych w różowo-złote pasy
181.

krzesel stojących na wprost kanapy, wyciągnął nogi przed siebie i spojrzął na nią wyczekująco.

- Znam go?

- spytał.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, oczym on mówi.

- Co?

Ach, nie - odparła, przypominając sobie Roya Crawforda i Jake'apodających sobiedłonie.

- Nie znasz go.

- Jak się poznaliście?

-Czy to ważne?

Pokręcił głową.

- Chyba nie.

- Rozejrzał się bezradnie po salonie.

-Kochasz go?

Omam nie wybuchnęła śmiechem.

- Nie.

Minęła długa chwila, nim zdołała przywrócić porządek rozbieganym myślom.

Miaław głowie taką dżunglę słówi chaotycznych zdań, że potrzebowała maczety, by się przez nieprzebić.

Po co ściągnęła godo domu z mieszkania Honey?

Cochciała mu powiedzieć?

- Dlaczego wróciłeś, Jake?

- spytała w końcu.

- Przecież zadzwoniłaś i powiedziałaś, że mam jak najszybciej wracać do domu

-przypomniał jej.

-Nie chodzi mi o dzisiejszy wieczór.

Zamknął oczy.

- Nie bardzo rozumiem.

-Odszedłeś.

Zacząłeś nowe życie.

A potem Lisa wezwała nas do gabinetu i oznajmiła, że ja.

-Zajęła się, lecz szybko odzyskała równowagę.

- Umieram - wydusiła z trudem.

-Umieram - powtórzyła, wciąż szukając jakiegoś odpowiedniego słowa.

Jake otworzył szerzej oczy i- czekał na dalszy ciąg.

- Niełatwo jest mi o tym mówić - podjęła po chwili - a jeszcze trudniej uwierzyć.

Wciąż powtarzałam sobie, że to niemożliwe.

Jak mogę umrzeć, skoro mam dopiero trzydzieści sześć lat?

Nadal jestem niebrzydka i nadal czuję się niebrzydka.

Cóż z tego, że kilka razy upadłam i ręce mi się ciągle trzęsą.

- Ręce ci się trzęsą?

- Jake wyprostował się na krześle.

-Mówiłaś o tym Lisie?

- Mówię tobie -odpowiedziała cicho.

-Ale Lisa mogłaby coś przepisać.

182

- To nic, z czym nie dałabym sobie rady, Jake.

Poza tymnie o to chodzi.

- Chodzi o to, że masz kłopoty.

- Chodzi o to, że umieram - powtórzyła, lecz wciąż nie?

mogła znaleźć w tym sensu.

-I nie mogę temu zaprzeczyć, bez względu na to, jak bardzo bym się starała.

Moje ciało wymyka się spod kontroli.

Każdego dnia, kiedy wstaję, odczuwam subtelną różnicę.

Mówię sobie, że to moja wyobraźnia, ale wiem, że tak rzeczywiście jest.

Nigdy nie miałam wielkiej wyobraźni; ni.

- Spróbowała się uśmiechnąć, lecz zamiast tego poczułałzy.
-Nie mogę ciągleudawać, że mi siępolepszy, że to wszystko zniknie.
To zbyt pracochłonne.
Nie mamna to dość siły.
- Nikt niekaże ci udawać.
-Ty każesz mi udawać za każdymrazem, gdy wychodzisz -'odpowiedziała.
Nagle wszystko stało się dla niej jasne.
- Za
każdym razem, kiedy dzwonisz i mówisz, że zostajeszdłużejw biurze albo że masz spotkanie z klientem, albo że idziesz na kilka godzin do pracy w sobotę po południu.
Dziś wieczórteż kazałeś mi udawać - dodała, podnosząc głos.
- Ale ja już
nie mogę, Jake.
Niemogę już dłużej udawać.
Dlatego zatelefonowałam do mieszkaniaHoney.
Dlatego kazałam ci wrócić
do domu.
Jake milczał przez kilka długich sekund.
- Powiedz, co chcesz, żebym zrobił?
- spytał w końcu.
-Nie wiem,czego ode mnie oczekujesz.
- Dlaczego wróciłeś,Jake?
- ponowiła pytanie.
-Czym siękierowałeś?
Jaki miałeś w tym cel?
Prawnicze zdanie -pomyślała.
Jego zdanie.
- Czujęm, że powinienem tu być - powtórzył to, co powiedział kiedyś.
- Ze względu na ciebiei na Kim.
Rozmawialiśmy o tym.
Zgodziłaś się.
- Zmieniłam zdanie.
-Co?
- To mi niewystarcza - stwierdziła bez ogródek.
- Potrzebuję czegoświęcej.
-Pomyślała oRoyu Crawfordzie, poczuła jego palce na swoich piersiach, między nogami.
- Nie mówię o seksie.
-Odepchnęła ręce Roya.
- Potrzebuję czegoś więcej -powtórzyła.
Jake otworzyłusta, by coś powiedzieć, lecz zamknąłje, bo
183.

żadne słowa nie przychodziły mu do głowy.

Pokręcił głową utkwiał wzrok w kolanach.

- Widziałeś, jaka Stephanie była szczęśliwa tego wieczoru?

- spytała Mattie.

- Co Stephanie ma z tym wspólnego?

-Promieniała -ciągnęła Mattie, ignorując jego pytanie.

Mówiła teraz bardziej do siebie niż do Jake'a.

- Patrzyłam nanią i pomyślałam, że też chcę się tak czuć.

Proszę Cię, Boże, daj mi jeszcze jedną szansę, bym mogła tak się czuć.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

Pokręcił głową.

- Nie bardzo.

Opierając się narękach, przesunęła się na brzeg kanapy.

- Wyjaśnię ci to, Jake.

Lekarze informują cię, że pozostał ci rok życia.

Jak zamierzasz go przeżyć?

- Mattie, to nie ma nic do rzeczy.

-Właśnie, że ma.

Odpowiedz na pytanie, obrońco.

Rok, jak byś go spędził?

- Nie wiem.

-Spędziłbyś go z kobietą, której niekochasz?

- To nie jest takie proste.

-Przeciwnie, bardzo proste.

Ożeniłeś się ze mną, bo byłam w ciąży, bo jesteś z gruntu przyzwoitym człowiekiem i chciałeś postąpić, jak należy.

Z tego samego powodu wróciłeś, kiedy okazało się, że umieram.

To bardzo dobrze, to godne podziwów doceniam to, naprawdę.

Ale odsiedziałeś wyrok.

Jesteś zwolniony za dobre sprawowanie.

Już nie musisz tu być.

- Będziesz potrzebowała kogoś, kto się tobą zaopiekuje, Mattie.

-Nie potrzebuję niańki.

Chcę być z kimś, kto mnie kocha, Nie chcę być z kimś, kto kocha kogoś innego.

- Co chcesz, żebyś zrobił?

Powiedz, co mam zrobić, a zrobię to.

- Chciałabym, żebyś wyjaśnił, dlaczego wróciłeś- powtórzyła.

- Zrobiłeś to dla mnie czy dla siebie?

Jeżeli zrobiłeś to dla siebie, dla własnego dobrego samopoczucia, to nie jestem zainteresowana.

Nie pozwolę, byś czuł się dobrze moim kosztem.

To ja mam prawo czuć się dobrze w czasie, który mi pozostał, i nie chcę przeżyć go z kimś, kto sprawia, że czuję się źle.

184

- Boże, Mattie, nigdy nie chciałem, byś czuła się źle.

-Mam gdzieś twoje chęci!

- krzyknęła.

-Ja pragnę, byś mnie pożądał, był mi wierny, kochał mnie.

A jeśli niemożesz mieć, jeśli niemożesz przynajmniej udawać, że mnie kochasz przezrok, dwa lub trzy, lub ile mi tam pozostało, to nie chcę cię tu widzieć.

Potem nic już nie mówili, każde patrzyło przed siebie:

Mattie naoknoza plecami Jake'a, on zaś na litografię Rothenberga nad prawym

ramieniem Mattie.

Czyż to nie ironia?

-pomyślała.

Ona, która nie mogła już dłużej udawać, prosiła męża, by to robił.

Przez rok, dwa, trzy lub pięć.

Czy prosiłao tak wiele?

Czytak trudno jąbyło kochać?

Jej ojciec najwyraźniej tak uważał.

Odszedł z jej życia, nawetnie oglądając się za siebie.

Wiele lat później odnalazła go w jakiejś kolonii artystów w Santa Fe.

Zatelefonowała do niego i zapytała, dlaczego nigdy nie próbował się z nią skontaktować, a on wymamrotał coś nieprzekonująco, że tak będzie lepiej, że nie powinni wywoływać wilka z lasu, co na pewno spodobałoby się matce, gdyby jej o tym opowiedziała.

Ale matka też ją opuściła, jeżeli nie fizycznie, to emocjonalnie.

Jake też ożenił się z nią tylko dlatego, że byław ciąży.

Tak, ustawiali się w rzędzie, by ją kochać.

Co zrobi, jeśli Jake wstanie teraz z krzesła i wyjdzie?

Zatelefonuje do Lisy i zapyta, czy pożyczylaby jej męża?

Albo do Stephanie, by zapytać, czy Enoch nie ma przyjaciela?

Albo do Roya Crawforda?

Można sobie wyobrazić, jak by zareagował na coś tak skomplikowanego jak wózek inwalidzki

- pomyślała, zbyt zmęczona, by się śmiać.

I zbyt przerażona.

Już wkrótce na nim się znajdzie.

A wtedy co?

Zawodowe opiekunki drogi kosztują.

Tylko czy mogłaby sobie na taką pozwolić?

A potem?

Stała opieka?

Szpital stanowy, gdzie leżałaby zapomniana przez wszystkich?

Kto chciałby opiekować się kobietą, której każdy oddech przypominałby o własnej śmierci?

Jake przynajmniej wyraził chęć pozostania przy niej.

Co za różnica, z jakich powodów?

Kim ona była, żeby tak się pysznić, żeby być tak głupią?

- Możesz to zrobić, Jake?

- spytałacichym, lecz zdecydowanym głosem.

- Możesz udawać, że mnie kochasz?

Patrzył na nią, wydawało jej się, całą wieczność.

Z jego

185.

wyrazistej zazwyczaj twarzy trudno było coś wyczytać.

Podniósł się wolno, podszedł do niej i wyciągnął rękę.

- Chodźmy spać - rzekł.

Nie kochali się.

Uznali, że dość mieli seksu jak na jedną noc.

Mattie zdjęła szlafrok, upuszczając go na podłogę, i wsunęła się do łóżka.

Tymczasem Jake podszedł do okna.

- Proszę, nie otwieraj go - powiedziała.

- Jest tak zimno.

Zawahała się.

Przez kilka sekund stał w miejscu jak sparaliżowany.

- Czy coś się stało?

Pokręcił przecząco głową, odszedł od okna, rozebrał się doszortówi położył obok niej.

Poczuła, jak materac ugina się pod nieoczekiwanym ciężarem.

Patrzyła, jak kładzie się nawznakz otwartymi oczyma i wpatruje obojętnie w sufit.

Pewnie się zastanawia, co tutaj robi - pomyślała.

Próbuj zrozumieć, jakim cudem znalazł się z powrotem w tym kłopotliwym położeniu, z którego udało mu się wydostać.

Czy ci to pomoże, jeśli powiem, że ja też tego nie rozumiem?

- chciałaby zapytać, czując ogarniające ją zmęczenie.

Czy potrafisz udawać, Jake?

Czy potrafisz udawać, że mnie kochasz?

Jakby usłyszał te pytania, odwrócił się twarzą do niej i pocałował lekko w usta.

- Odwróć się - powiedział miękko.

- Przytulę cię.

Z początku myślała, że te odgłosy to część jej snu.

Uciekała ulicami Eyanston przed młodym czarnym mężczyzną, który wyciągał kuniej długi język, grożąc, że ją pochwyti.

Starła się zwiększyć dystans między sobą i nim, słyszała swój zmęczony, świszczący oddech, równie głośny, jak jej kroki natwardym chodniku.

- Nie!

- wydyszała.

- Nie!

Nagle zebrał się tłum i zobaczyła, że jest naga.

Czarnym mężczyzną ściga ją nadal.

Długie muskularne nogi doganiały ją, a ręce wyciągały się, by poklepać ją po biodrach.

Poczuła, jak jego pięść trafia ją w plecy i pozbawia oddechu.

Potknęła się i upadła.

186

- Uważaj na rury gazowe - ostrzegła ją jakiś widz.

- Uważaj na gaz.

- Nie!

- krzyknął jakiś człowiek, uderzając ją w ramię.

- Nie!

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Jake jęczy obok niej.

Dopiero, 1' pochwili uświadomiła sobie, co się dzieje.

Sny Jake'a i jej przemieszały się ze sobą, część jego koszmaru dostała się do jej snu.

- Nie włączaj gazu!

- powtarzał, machając rękami jak szalony, toteż Mattie musiała się odsunąć, by uniknąć kolejnego ciosu.

- Nie!

Nie włączaj gazu, nie włączaj!

- Jake - powiedziała łagodnie, dotykając jego ramienia.

Było zimno i wilgotne.

- Jake, obudź się.

Już wszystko dobrze.

Otworzył oczy i wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

- Miałyście sen - wyjaśniła, domyślając się, jak powoli dociera do niego, gdzie się znajduje.

Najwyraźniej cieszy się, że tu jest - pomyślała, uśmiechając się do męża w ciemności.

- Miałam wrażenie, że usiłujesz powstrzymać kogoś przed odkręceniem gazu.

Pamiętasz?

Skinął głową.

- Moją matkę - rzekł.

Usiadł i odsunął włosy z czoła.

- Twoją matkę?

Spojrzał w stronę okna.

Czekała, aż odsunie ją niedbałym ruchem ręki, tak jak przed chwilą włosy, i stwierdzi, że to nic takiego, co zwykło robić w takich chwilach.

- Kiedy byłem mały - rzekł ku jej zdziwieniu - moja matka upiła się i zagroziła, że odkręci piecyk gazowy i wszyscy umrzemy we śnie.

- Boże!

- To było dawno temu.

Powinienem o tym zapomnieć.

- Zaśmiał się, lecz śmiech zamarł mu w gardle.

- Przepraszam, że cię obudziłem.

Otarła mu wierzchem dłoni spocone czoło.

Jeszcze tylerzeczynie wiedziała o swoim mężu, o tym nigdy jej nie mówił.

- To dlatego.

- zaczęła i urwała.

Tyle rzeczynaagle się wyjaśniło.

Powoli odsunęła się od niego, wstała z łóżka, podeszła do okna, jednym szybkim ruchem rozsunała ciężkie zasłony w kolorze kości słoniowej i otworzyła okno.

Chłodne powietrze

187.

wskoczyło do środka niczym głodny kot.

Bez słowa wrócił do łóżka i wsunęła się pod kołdrę obok męża.

- Odwróć się - szepnęła.

- Przytulę cię.

21

- Więc co pan sądzi o tym artykule w "Chicago"?

Jake zerknął na leżące nabiurku czasopismo, po czym przeniósł spojrzenie na siedzącą na wprost niego piękną młodą kobietę.

Nazywała się Alana Isbister.

"Was Isbister - zażartowała przy powitaniu.

- Jestem rozwiedziona".

Wyraźne zaproszenie - pomyślał Jake, wskazując z uśmiechem dziennikarce z magazynu "Nów" jeden z granatowych foteli stojących przed biurkiem.

Jeszcze rok temu odpowiedziałby równie dowcipnie i zachęcająco, rzucając coś lekkiego i od niechcenia, czym by ją oczarował.

Nawet jeszcze pół roku temu, w czasie trwania znajomości z Honey, zastanawiałby się, czy nie odpowiedzieć.

Dziś jednak nie miał natergi, ani siły, a nawet ochoty, by zaangażować się w coś bardziej skomplikowanego niż krótki wywiad, więc się tylko uśmiechnął i odpowiedział na pytanie.

- Sądzę, że jest zbyt pochlebny.

- Zdjęcie dorównuje oryginałowi.

- Pełne, pokryte kawową szminką usta Alany Isbister wydęły się prowokacyjnie.

Odsunął czasopismo sprzed oczu.

Nie przepadał za swoimi portretami.

Były takie nieprawdziwe.

Za każdym razem, gdy patrzył na takie fotografie jak ta na okładce magazynu "Chicago", przedstawiające go w szarym flanelowym garniturze, znieskazitelną fryzurą i kilkoma artystycznie ułożonymi pasemkami opadającymi na czoło, uśmiechającego się z wystudiowaną skromnością, w błękitnym krawacie podkreślającym błękit jego oczu, czuł głębokie obrzydzenie.

"Jake Hart, wielki obrońca" - głosił wydrukowany dużymi literami tytuł.

"Wielki szust" byłoby bardziej na miejscu.

- Pani wydawca powiedział, że ma pani jakiś nowy pomysł - zagaił rozmowę, zerkając nastojący na wielkim dębowym biurku zegarek.

Już kwadrans po drugiej.

Za niecałą

188

godzinę powinien odebrać Kim ze szkoły i zawieźć ją na spotkanie z terapeutą.

Potem musi pojechać do domu po Mattie, stamtąd pojedą razem po Kim, a potem czeka ich wizyta u matki Mattie, której obawiał się równie mocno jak Mattie.

Wiedział, że ta wizyta zdenerwuje ją, a kiedy zdenerwowała się, jej stan ulegał pogorszeniu.

Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował jej wsparcia, dlatego musiał być przez chwilę sam, by przygotować się na niewątpliwie trudne po południe.

Nie bardzo więc miał ochotę marnować cenny czas na rozmowę z dziennikarką jakiegoś awangardowego magazynu, bez względu na to, jaką cieszył się popularnością lub jaką piękną kobietą była jego przedstawicielka.

Zgodził się na spotkanie, bo szefowie firmy, cisami, którzy zdecydowali o przyjęciu go na wspólnika, wystarczająco dobitnie oświadczyli, że pragną, aby nadal współpracował z prasą.

Nie można kupić tego rodzaju popularności - powiedzieli.

Nieważne, co o tobie mówią, byleby podali bezbłędnie nazwę firmy.

- Sądzimy, że nasi czytelnicy chcieliby poznać pana bliżej - powiedziała Alana Isbister,

zakładając za ucho proste kasztanowe włosy i trzepocząc podkreślonymi tuszem rzęsami.

- Tyle już napisano o Jake'u Harcie prawniku, i przy okazji gratuluję wygrania sprawy Butlera, ale nic o Jake'u Harcie męczyżnie.

- Pani Isbister.

- Was Isbister.

- Zaśmiała się, pokazując palec bez obrączki.

- Wasbister- powtórzył.

-Czemu tego nie uprościmy?

Po prostu Alana.

Skinął głową.

Czy flirtowanie zawsze jest takie wyczerpujące?

Może po prostu brakowało mu porządnego przespanej nocy.

Od sześciu tygodni, odkąd przeniósł się do ich wspólnej sypialni, rzadko przesyłał noc bezbudzenia się.

Mattie wierciła się albo kaszlała, rzucała się na łóżku, kiedy brakowało jej powietrza, czasami przewracała się w drodze do łazienki.

Budził się wtedy, podtrzymywał ją, zapewniając, że i tak nie spał.

Rozmawiali przez kilka minut, próbując się uspokoić.

Z początku nie było to łatwe udawać, że jest się czujnym, udawać zainteresowanie i nie irytować się, leżąc bezsenno w środku nocy i nie mogąc zasnąć.

Wkrótce jednak zaczął jej

189.

opowiadać, jak minął mu dzień, o frustrującej polityce firmy, od czasu do czasu racząc ją opowieściami o dawnych wyczynach sądowych.

Czasami też jakiś problem w kancelarii nie dawał mu spać.

Leżał wtedy, czekając, że może Mattie się obudzi i będzie mógł z nią o tym porozmawiać.

Bywało również tak, że gdy żadne z nich nie mogło zasnąć, kochali się.

Już po wszystkim myślał o tym mężczyźnie, z którym się spotykała, czy wspomina go i czy byłaby z nim, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Czy takie informacje chodziło magazynowi "Nów"?

- Nie ma wemnie nic interesującego - wyznał.
- Tosprawy, które prowadzę, są fascynujące, nie ja.
Obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem i rozejrzała się po gabinecie.
- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Ktoś, kto wieszanie obraz przedstawiający pieczonego ziemniaka, zasługuje na uwagę.

- To moja żona wybierała obrazy do mojego gabinetu.

Ku swemu zaskoczeniu powiedział z odzieniem dumy.

- Od jak dawna jest pan żonaty?
- Od szesnastu lat.
- "Ożeniłeś się ze mną, bo byłam w ciąży - posłyszał głos Mattie.

- Odsiedziałeś wyrok.

Jesteś zwolniony za dobre sprawowanie.

Już nie musisz tu być".

- Zdumiewające - powiedziała Alana Isbister, kładąc na kolanach mały magnetofon.

- Nie masz nic przeciwko temu, że bym go włączyła?

Wzruszył ramionami, stukając w ciemnoszarą obudowę telefonu.

Obiecał, że przed trzecią zadzwoni do Honey.

"Nie potrzebuję niańki - ciągnęła Mattie.

- Chcę być z kimś, kogo nie kocha.

Nie chcę być z kimś, kto kocha kogoś innego".

Wiedział, że Honey będzie starała się pogodzić z jego decyzją, by nie widywali się przez następne kilka miesięcy.

Jednak nie było to dla niej łatwe.

Dla niego również - zapewnił ją, chociaż z pewnością nie brakowało mu tych cholernych kotów,

"Jeśli nie możesz przynajmniej udawać, że mnie kochasz, to nie chcę cię tu widzieć - mówiła Mattie.

- Możesz to zrobić? Jake?

Możesz udawać, że mnie kochasz?

"

190

Nie odpowiedział jej.

Zamiast tego odsunął na bok strach i wątpliwości i w milczeniu poszedł z Mattie do ich sypialni, pozwalając, by instynkt zwyciężył nad rozsądkiem, i nie zastanawiając się dłużej nad tym.

- Przepraszam, mówiłaś coś?

- zapytał, patrząc, jak dziennikarka splata i prostuje długie kształtne nogi widoczne pod krótką czarną spódniczką.

- Pytałam, czy było w domu więcej takich jak ty.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, o co ona pyta.

- Mój starszy brat nie żyje - wyjaśnił bojętym tonem.

Co jego rodzina ma z tym wspólnego?

To było jeszcze gorsze pytanie na temat małżeństwa.

Jeżeli to miała na myśli, mówiąc, że chce go poznać bliżej, to nic z tego.

- Młodsze go brata nie widziałem od ponad dwudziestu lat.

Alana Isbister pochyliła się w przód, odsłaniając imponujący dekolt.

- O, to jest fascynujące.

Powiedz mi coś więcej.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Robił, co mógł, by nieokazywać skrępowania, ale czuł się coraz bardziej nieswojo.

Byle tylko podali właściwą nazwę firmy, powtarzał sobie.

-Starszy brat zginął w wypadku na łodzi, gdy miał osiemnaście lat.

Z młodszym bratem straciłem kontakt, kiedy wyprowadziłem się z domu.

- A ile miałeś wtedy lat?

-Siedemnaście.

- Jeszcze bardziej fascynujące.

-Niespecjalnie.

Wstał zza biurka i poszedł do regałów, udając, że szukajakiejś książki.

- Dokąd wtedy poszedłeś?

-Wynająłem mieszkanie na Carpenter Street.

Była to obrzydliwa mała kłitka, ale lubiłem ją.

- Z czego się utrzymywałeś?

-Pracowałem w trzech miejscach -wyjaśnił, wyjmując półki tom poświęcony prawu karnemu i procedurze.

- Ranoroznosiłem gazety, po szkole pracowałem w magazynie zczęściami żelaznymi, a w weekendy zajmowałem się telemarketingiem.

- A rodzice?

Jak oni na to zareagowali?

191.

- Trzeba by ich o to spytać - odpowiedział, podchodząc do biurka.
Kołnierzykjasnoniebieskiejkoszuli zrobił się nagle za ciasny i groził uduszeniem.

- Proszę pani.
- Alana.
- Proszę pani - powtórzył i odchrząknął.

- Nie sądzę, bycoś wyszło z tego wywiadu.
- Wskazał nieznacznie na drzwi.
Alana Isbister poderwała się z fotela, usiłując w jednej ręceutrzymać magnetofon, a drugą obciągnąć spódniczkę.
- Nierozumiem.

Czy powiedziałam coś niewłaściwego?
- Tonie pani wina, toja.

Po prostu nie bardzo lubię mówić swoim życiu.
- Jake - zaczęła.
- Proszę pana - poprawił, dostrzegając zdumienie w zielonych oczach dziennikarki.

- Naprawdę muszę nalegać.
Podeszedł do drzwi, otworzył je i czekał.
- Wyrzuca mnie pan?
- Na pewnoznajdzie pani w firmie wielu adwokatówo równie fascynującej osobowości.
Zaczekał, aż włoży magnetofon do wielkiej czarnej torbyi przerzuci przez ramię długi tweedowy płaszcz w zielonymkolorze.

Podeszła do drzwi, zatrzymała się przed nimi podaławizytówkę.
- Proszę się jeszcze zastanowić i zadzwonić do mnie, jeśli zmieni pan zdanie.
Wziął odniejwizytówkę i gdy tylkozniknęła z pola widzenia, wrzucił ją do kosza na śmieci przy biurku sekretarki.
- Ten wywiad był równie krótki, jak jej spódniczka - zauważyła sekretarka ze złośliwym w błyskiem w oczach poddługą grzywą włosów w kolorze świeżej truskawki.
- Żadnych więcejreporterów i żadnych wywiadów - oznajmił beznamiętnym głosem, wracając do biura.

Już miał zamknąć za sobą drzwi, gdy usłyszał głos Owena Harrisa, jednego ze starszych współpracowników firmy.
- Jake!

Jesteś.
Ostatnio trudno cię złapać.
Muszę zamienić tobą dwa słowa.
Pozwól, że ci przedstawię Thomasa Macleana i jego syna Eddy'ego.
Owen Harris był godnym szacunku, twardym małym człowieczkiem.
Niskiego wzrostu, schludny, równie staranny w wystawianiu się jak szyte na miarę granatowe garnitury,
192
używał tylko tylu słów, ile to było konieczne.
Opuszczał samogłoski, wyrzucał czasowniki i nie uznawał żadnych spójników.
Mimo to był ekspertem od precyzyjnego przedstawiania sprawy.
"Jake!

Jesteś.
Ostatnio trudno cię złapać".
Jasna i wyraźna przygana.
Czy naprawdę spędzał tyle czasu pozabiurem?
Wymienił uściski dłoni z okazałym duetem ojca i syna, dostrzegając, że ojciec jest znacznie przystojniejszy od syna, natomiast syn znacznie wyższy.
Wprowadził trójkę do gabinetu i wskazał im zielono-niebieską kanapę, stojącą w drugim końcu pokoju.
Z zaproszenia skorzystał jedynie Eddy Maclean, zakładając nogę na nogę i odchylając głowę na oparcie kanapy, jakby znudziła go cała ta procedura, jeszcze zanim się zaczęła.
- Interesujący obraz - powiedział starszy z Macleanów, uparcie stojąc, nawet wówczas,

gdy Jake podsunął mu jeden z foteli.

- Jake to indywidualista - rzekł z odcieniem podziwu i konsternacji w siekącym jak karabingłosie Owen Harris.

- W każdej firmie powinien być ktoś taki.

- Jake z trudem śmiechnął się, ciekaw, co by powiedzieli na fotografię Raphaella Goldchaina, wiszącą w jego gabinecie domu.

Zerknął na zegarek.

Prawie wpół do trzeciej.

Oby to spotkanie nie trwało długo, w przeciwnym razie nie zdąży zadzwonić do Honey.

- Słyszałeś o sieci tanich drogerii pana Macleana?

- zaczął Owen Harris.

- Stale w nich kupuję - odparł Jake.

- A o co chodzi?

- Tom ci wyjaśni - oznajmił Owen, podchodząc do drzwi i kiwając łysą głową w górę i w dół.

- Nie jestem potrzebny.

- I wyszedł.

Jake ponownie spojrzał na zegarek.

- Czy może w czymś przeszkadzamy?

- spytał Thomas Maclean.

Nic się przed nim nie ukryje - pomyślał Jake i postanowił być ostrożniejszy.

- Mamy trochę czasu - odrzekł.

- W czym mogę pomóc?

Starszy Maclean przeniósł wzrok z Jake'a na syna, który wyglądał jak okaz nonszalancji.

- Usiądź prosto, na litość boską!

- warknął ojciec i potężna sylwetka syna wyprostowała się, chociaż wyraz twarzy pozostał znudzony.

- Wygląda na to, że mój syn wplątał się w raczej niefortunny incydent tej nocy.

193.

- Jakiego rodzaju incydent?

-Mający związek z młodą kobietą.

- To dziwka.

Wszyscy o tym wiedzą - prychnął Eddy, przewracając orzechowymi oczyma i przeciągając ręką po sięgających ramion kasztanowych włosach.

- Jakiego rodzaju incydent?

- powtórzył Jake.

- U kogoś w domu, że tak powiem, odbywała się zabawa.

Rodziców nie było.

Mój syn spotkał tę dziewczynę.

- Czemu nie pozwoli pan synowi o wszystkim opowiedzieć?

- wszedł mu w słowo Jake.

Thomas Maclean sięgnął potężne kwadratowe ramiona, podrapał się w nos i usiadł w niebieskim fotelu z wysokim oparciem, które Jake mu podsunął, następnie machnął ręką, dając znak synowi.

- Przyczepiła się do mnie - zaczął natychmiast Eddy.

- Totakie prawdziwe brzydkie kaczątko.

Nigdy bym jej nie tknął, gdyby mnie nie zachęcała.

- A więc tknąłeś ją - wywnioskował Jake, domyślając się dalszego ciągu historii.

-Nie tak, jak ona mówi.

Niezrobiłem nic, czego by nie chciała.

- Co właściwie zrobiłeś?

-No wie pan.

- Eddy wzruszył ramionami.

- Ze tak powiem, uprawiali seks - wtrącił starszy Maclean.

-Ile masz lat, Eddy?

- spytał Jake.

- Dziewiętnaście.

-A ta dziewczyna?

- Piętnaście.

-Dopiero później dowiedział się, ile ona ma lat - wyjaśnił Thomas Maclean.

- Ta dziewczyna, że tak powiem, wyglądała znacznie starszą, niż jest.

- Czyta dziewczyna ma jakieś nazwisko?

- spytał Jake, odsuwając od siebie obraz córki w łóżku z Eddym Macleanem.

- Sara jakaś tam.

-Sara jakaś tam - powtórzył Jake, walcząc z pragnieniem powalenia chłopaka na podłogę i zbiecia do nieprzytomności.

Czy tak właśnie mówił o córce jej kochanek?

Kim jakaś tam?

- Brzydkie kaczątko.

Nigdy byśmy jej nie tknęli, gdyby sama nie zaczęła.

194

- My?

-Zamieszani są wto, że tak powiem, jeszcze dwaj inni chłopcy - wtrącił Thomas Maclean.

Jake podszedł do biurka i oparł się o nie.

Przytłapanie Kim tym chłopcem w łóżku było argumentem przemawiającym za tym, by zaprowadzić Kim do terapeuty.

Miała zbyt wiele problemów.

Powinna z kimś porozmawiać.

- Że tak powiem.

- znów zaczął senior Maclean.

- Może niech Eddy o tym opowie - przerwał mu Jake.

-Jeśli pan pozwoli.

Ojciec skinął głową.

Eddy odchrząknął.

Jake czekał, słuchając tykania zegarka nabiurku.

- Poszliśmy na tę imprezę.

- To znaczy kto?

- No ja.

Mikę Hansen, Neil Pilcher.

- I co się stało na tej imprezie?

- Nic.

To było jedno wielkie dno.

Kupa mała tańczących do piosenek Spice Girls.

Mieliśmy właśnie wychodzić, kiedy ten kurczak się do nas przyczepił i powiedział, żebyśmy nie szli, bo impreza się dopiero zaczyna.

- To była Sara?

- Tak.

Powiedziała, że mnie zna i że jestem słodki.

No wie pan, takie tam bzdety.

Noi co miałem pomyśleć?

- A co pomyślałeś?

- To samo, co każdy facet na moim miejscu.

Że jest zainteresowana.

- I co się stało?

- Mówię, że możemy zostać, jeżeli będzie warto.

Ona mówi:

"Jasne.

Pójdziemy na górę do jednej z sypialni".

- A potem co?

- Uprawialiśmy seks.

- Uśmiechną się.

- A twoi koledzy, Neil i Miko, gdzie byli, kiedy to się stało?

- Najpierw pod drzwiami.

No wie pan, stali na straży.

- Stali na straży po co?

- Nie chcieliśmy, żeby nam przeszkadzano.

- Wzruszył ramionami.

mionami.

Jake potarło czoło, starając się powstrzymać nasilający się ból głowy.

195.

- Powiedziałeś "najpierw".

Rozumiem, że Neil i Mikę zmęczyli się pilnowaniem i weszli do środka.

- Chcieli skorzystać z okazji.

- A tą okazją była piętnastoletnia dziewczynka;

- Chwileczkę- wtrącił Thomas Maclean.

- Myślałem, że jest starsza - powtórzył jego syn.

- Jak zareagowała na pomysł przyłączenia się innych?

- spytał Jake, starając się ukryć obrzydzenie w głosie i odsunąć od siebie obraz córki.

- Nie protestowała.

- Powiedziała "nie" czy kazała wam natychmiast przestać?

- Mówiła różne rzeczy.

Kto by tam słuchał, co ta siksamówiła.

- Więc mogła powiedzieć "nie" - skomentował Jake.

- Ona tego chciała.

Krzyczy, że ją zgwałcono, bodowiedziała się, kim jest mój stary, chce coś z tego mieć.

- Twierdzi, że ją zgwałciliście?

- Niespodzianka, co?

- prychnął z obrzydzeniem chłopak.

- Mam przyjaciela w biurze prokuratora - wtrącił stary Maclean.

- Zatelefonował domnie i powiedział, że dziewczyną z rodzicami poszła na policję i wygląda na to, że szykują nakaz aresztowania mojego syna.

Natychmiast przyjechaliśmy tutaj.

Jake obszedł biurko, usiadł i spojrzał otwarcie na zegarek.

Za dwanaście trzecia.

- Co jeszcze?

- spytał.

- Jak to co jeszcze?

- spytał z lekkim oburzeniem w głosie ojciec chłopaka.

Jake wskazał brodą na Eddy'ego.

- On wie, o czym mówię.

Zawsze było coś jeszcze.

- Twierdzi, że była dziewicą.

- A ty temu zaprzeczasz?

- Trudno powiedzieć.

To znaczy, jak się wchodzi tylnymi drzwiami, to czasami jest trochę krwi.

Dopiero po minucie dotarło do Jake'a, o czym chłopak mówi.

- Chcesz powiedzieć, że odbyłeś z nią stosunek analny?

- Ja nie.

Tonie moja działka.

Ale Neil, ten to ma świra natym punkcie.

- Czy to ważne?

- spytał starszy Maclean zporażającą lo196

giką, charakterystyczną dla bogatych i ustosunkowanych natyle, by osiągnąć to, czego chcą.

- Jeżeli ta dziewczyna wyraziła przyzwolenie, to co różnica na co?

- Nie lubię niespodzianek - odparł ze spokojem Jake.

- Jeśli mam reprezentować pańskiego syna, co, jak przypuszczam, jest powodem waszej tu obecności, muszę znać wszystkie fakty.

- Oczywiście - zgodził się szybko Thomas Maclean.

- Więc co teraz?

- Radzę zgłosić się na policję i kazać synowi oddać się w ręce sprawiedliwości.

Zadzwoń do jednego z moich kolegów i poproszę, by z wami poszedł.

- Jak to do jednego z pańskich kolegów?

A pan?

- Niestety, mam ważne spotkanie.

- To niech pan je odwoła.
- Nie mogę - odrzekł stanowczo Jake.

Wcisnął guzik interkomu.

- Nataszo, złap Ronald Beckera i poproś go, by zaraz do mnie przyszedł.

Dziękuję.

- Rozłączył się, zanim sekretarka zdążyła coś odpowiedzieć.
- Ronald Becker to niezwykle zdolny młody adwokat, a to jest rutynowa procedura.
- Owen Harris zapewnił mnie, że pan się wszystkim zajmie.
- Zajmuję się wszystkim.
- Osobiście.
- Osobiście - powtórzył w myślach.

Czy mógł to zrobić?

Czy naprawdę mógł wcisnąć tak ważnego klienta koledze?

Czy naprawdę chodziło tu jedynie o rutynowe czynności, ale zawsze.

Czy mógł zrezygnować z tego po to tylko, by zawieźć córkę do psychoterapeuty, a potem żonę do teściowej?

Rozległ się pukanie do drzwi do gabinetu wszedł Ronald Becker, młody mężczyzna z kręconymi, przyprószonymi siwizną włosami i lekko zaokrąglonym brzuszkiem napierającym na guziki brązowej prążkowanej marynarki.

Kiwa głowiczym gołęb - pomyślał Jake, dokonując prezentacji.

- Chcę, żebyś poszedł z panami na posterunek policji - powiedział.
- Eddy ma się dobrowolnie zgłosić, ale nic więcej.

Pójdiesz z nim do sądu, gdzie ma nie przyznawać się do winy wobec przedstawionemu zarzutów, i załatwisz wszystko, co konieczne.

- Odwrócił się do ojca syna, którzy stali teraz patrzyli z otwartymi ze zdumienia ustami.

-Pan Becker

odpowie na wszystkie ewentualne pytania, gdy będziecie jechać na posterunek.

Proszę mi zaufać, to normalna procedura.

Wrócą panowie do domu na kolację.

Tymczasem sekretarka wyznaczy termin następnego spotkania na początek przyszłego tygodnia.

- Przyszłego tygodnia?

- Proszę mi dać trochę czasu.

Przemyślę wszystko w czasie weekendu i zastanowię się, jaką obrać drogę obrony.

A teraz naprawdę muszę już iść - dodał, stojąc już jedną nogą zadrzwiami.

- Pan Becker zaopiekuje się wami.

Dopiero kiedy znalazł się w windzie, uświadomił sobie znaczenie tego, co zrobił, i wybuchnął śmiechem.

Śmiał się jeszcze, kiedy winda zjechała do głównego hallu.

22

- Jak ci poszło z Rosemary?

- spytała Mattie, obracając się na siedzeniu i patrząc na córkę wyczekującą.

Kim wzruszyła ramionami i przycisnęła nos do zimnej szyb samochodu, obserwując, jak pokrywa się parą pod wpływem ciepłego oddechu.

Odchyliła się i narysowała palcem patykowatą kobietę z kręconymi włosami.

- Dobrze - odpowiedziała, zmazując rysunek rękawem kurтки.

- Sprawiam złe wrażenie.

- Mhm.

Zamknęła oczy, czekając, aż matka się odwróci, i dopiero wtedy je otworzyła.

Potem odchyliła się na skórzane oparcie i zapatrzyła w hałdy śniegu za oknami.

Czy ta zima nigdy się nie skończy?

Był już początek marca, a na ziemi leżało prawie trzydzieści centymetrów śniegu.

Oczywiście im szybciej płynie czas, tym mniej go pozostaje.

Przynajmniej jeśli chodzi o mamę.

Pochyliła się i dotknęła jej ramienia.

Ale matka szepotała o czymś ojcem, więc szybko cofnęła rękę.

- Tak, kochanie?

- spytała Mattie, jakby miała oczy z tyłu głowy.

- Chciałaś coś powiedzieć?

198

Kim mruknęła coś niewyraźnie, patrząc, jak mijają ich czerwony sportowy samochód.

Ojcu jakoś udało się przekonać sprzedawcę, by przyjął z powrotem czerwony corvette, którą mama kupiła, jak tylko dowiedziała się o chorobie.

Dlaczego jej to nie dziwi?

Zaczęła liczyć czerwone samochody, jak robiła to, kiedy była mała.

Jeśli potrafił przekonać rozsądnych ludzi, by puścili wolno morderców, to bez kłopotu przekonał dealera, by przyjął ich czerwony corvette.

W końcu był wielkim obrońcą, niemal świętym, według najnowszego artykułu w magazynie "Chicago".

Mógł przekonać każdego.

- Czy w szkole mówili coś na temat artykułu o tacie?

- spytała Mattie, jakby miała dostęp do wszystkich myśli córki.

- Nie - odparła Kim, chociaż kilku nauczycieli zwróciło na niego uwagę.

- Co onim sądzisz, Kimmy?

- spytał ojciec.

- Nie czytałam - skłamała.

Tak naprawdę przeczytała go tyle razy, że mogła wyrecytować go z pamięci.

- Według mnie jest bardzo pochlebny - oświadczyła Mattie.

Jake wybuchnął śmiechem.

- Co w tym śmiesznego?

- zdziwiła się Mattie.

- To samo powiedziałem dziś po południu.

Raptem zrobili się tacy zgodni.

Nie kłócili się, nie wrzeszczeli na siebie, niepodnosili głosu.

Odkąd ojciec przeniósł się do ich sypialni, zmienili się w pana i panią Zgodliwych.

Czasami budziła się w środku nocy i czekała jak kiedyś, aż usłyszy ich gniewne szepty, by mogła wyskoczyć z łóżka i pobieść matce na pomoc.

Tymczasem słyszała jedynie stłumione chichoty, a raz, kiedy podeszła na palcach pod drzwi ich sypialni, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, zobaczyła, że ojciec kręci się pod kocem i układa na mamie.

Wtedy uświadomiła sobie, że rodzice się kochają.

Tak oto płynęły dni w rodzinie Hartów: rodzice zgadzali się ze sobą, śmiali się z kiepskich żartów, rozważali, jak rozwiązać trudne problemy.

Jednym z nich było namówienie jej na wizytę psychoterapeuty o tym, jak matka ukryła ją z Teddym.

Pospiesznie ją zapewnili, że eksperymentowanie z seksem nie jest chorobą umysłową, że w tym wieku to naturalne.

Chodzi tylko o to, że zbyt wiele zważyła jej się na głowę - ich separacja, powrót ojca do domu, choroba matki.

Potrzebowała kogoś,

199.

z kim mogłaby porozmawiać, kto pomógłby zrozumieć własne uczucia.

Oczywiście można rozmawiać?

- zastanawiała się, uparciemiłcząc przez większość wizyty u terapeutki.

Teddy nawet do niej nie zadzwonił po dość pospiesznym wyjściu.

Uciekał drugą stroną, kiedy tylko zobaczył ją na korytarzu.

Oczywiście wszyscy w szkole dowiedzieli się tym, że zsunął mu się kondom, że ona krzyczała, żeby go wyjął, że jej matka wpadła do pokoju, gdy spali, a on złapał ubranie i uciekł.

Pozbawiona nadziei wstydliwie porzucona - pomyślała.

Będzie miała co wspominać.

- Co czułaś, kiedy zobaczyłaś matkę w pokoju?

- spytała ją Rosemary Colicos, wyjątkowo brzydka kobieta, której ufarbowane blond włosy wyglądały, jakby wciśnięto je w elektryczny kaptur.

- Wstyd - odparła niechętnie.

- Gniew.

- Może ulgę?

Też coś!

Jak mogła czuć ulgę, kiedy matka nakryła ją w łóżku z Teddym Cranstonem?

Jednak im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej głupie wydawały się pytania terapeutki.

Przy każdej wizycie było podobnie.

Rosemary pytała: "Czy się kierowałaś, uprawiając seks z Teddym w domu rodziców?"

;"Czy gniewasz się na mamę za to, że jest chora?"

;"Z czego byś zrezygnowała, gdybyś wybaczyła ojcu", ona zaś odpowiadała bez namysłu:

"Pożądaniem", "Oczywiście, że nie", "Z niczego".

Ale po sześciu tygodniach Rosemary powoli przekonała Kim, by przemyślała swoje odpowiedzi.

Może rzeczywiście poczuła ulgę, gdy ją nakryto.

Możetego właśnie chciała, zapraszając Teddy'ego do domu.

A jeśli nie była złana matką, to dlaczego wszystko, co mówiła i robiła, tak bardzo ją irytowało?

Zczego zaś zrezygnowałaby, gdyby zdołała wybaczyć ojcu?

Mogła to ująć jednym słowem - z władzy.

- Dlaczego właściwie jedziemy do babci?

- spytała obrażonym tonem.

- Przecież nie lubisz do niej jeździć.

- Rzeczywiście, dawniej nie byłam - przyznała Mattie.

- Więc dlaczego teraz?

Co to za okazja?

Zobaczyła, że matka sztywnieje, a w oczach ojca pojawia się ból.

Wtedy zrozumiała, że ją prosi, żeby powiedziała babci o chorobie mamy.

200

- Niedobrze mi!

- zawołała Kim.

- Zatrzymaj samochód!

Ojciec natychmiast zwolnił i stanął na poboczu jezdni.

Kim otworzyła drzwi, wyskoczyła z samochodu i przykucnęła na środku chodnika, wstrząsana atakiem mdłości.

Poczuła, że matka pochyla się nad nią i obejmuje.

- Głęboko oddychaj - szepnęła, odsuwając jej włosy z twarzy.

Czy to właśnie czeka mamę?

- pomyślała, usiłując złapać oddech.

Zadusi się na śmierć?

Nie pierwszy raz jej się to zdarzyło.

Podobnie było w szkole, kiedy szła do bufetu.

Krótki oddech, jakby powietrze zamarało jej w ustach, jakby w gardle utkwił wielki kawał lodu.

Pobiegła do łazienki i zamknęła się w kabinie, krążąc poniekąd jak tygrys w klatce, wachlując się rękami i walcząc o haust powietrza.

Uświadomiła sobie, że umiera i ma tę samą straszną chorobę co mama.

Stwardnienie boczne zanikowe.

- To zwykły objaw strachu - stwierdziła Rosemary Colicos.
- Co nie znaczy, że te ataki są przyjemne, ale na pewno nie śmiertelne.
- To dlaczego drętwieją mi stopy?
- spytała podczas dzisiejszego spotkania Kim.
- Dobrze by było, gdybyś od czasu do czasu zdejmowała ciężkie buty - poradziła terapeutka.
- Przesiadujesz w nich cały dzień, nic więc dziwnego, że stopy ci drętwieją.
- Nieumierasz, Kim - zapewniła ją.
- Nic ci niebędzie.
- Naprawdę?

To czemu tkwi w kucki na środku oblodzonego chodnika, w centrum miasta, w piątkowe popołudnie i dusi

- się? Chwilę później zamajaczył nad nimi cień ojca i zasłonił słońce.
- Już ci lepiej?

- spytał.

Kiwnęła głową i powoli wstała, poczym odwróciła się, by pomóc matce.

Ojciec jednak był szybszy.

Ujął Mattie pod ramię i objął w talii, ona zaś oparła się o niego całym ciężarem.

Nie potrzebowała pomocy Kim.

- No i jak, lepiej ci?
- spytała Mattie, kiedy wsiedli do samochodu.
- Tak - odparła Kim.

- To pewnie przez tego hot doga, którego zjadłam na obiad.

Myślałem, że nie jadasz czerwonego mięsa - powiedział
Jake.

Potem nicjużnie mówili aż do domu babci.

- No, śmiało, wybierz sobie któregoś - zachęcała podekscytowanym głosem matka,
wskazując na stojące w kuchnietechniczne pudło, w którym siedziała ósemka szczeniąt.

Uśmiechała się dziwnie i miała łzy w oczach, jak ktoś, ktowicie, że za chwilę kogoś
uszcześliwi.

Nawet ojciec miał tęgłupi uśmiech na twarzy.

A onapoczwała, że też się uśmiecha.

Tylko babcia, stojącaprzystarym piecu pomalowanym nazieleno, wkącie małej, zielono-białej
kuchni, wyglądała normalnie.

Wokół jej nóg kręciło się sześć psów.

- Czy to jakiśart?

- spytała podejrzliwie Kim, bojąc siępodejść do pudła.

- Którego byś chciała?

- spytała Mattie.

- Chyba się przestyszałam.

Pozwalasz mi wziąć szczeniaka?

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Kimmy- powiedział Jake.

-Wszystkiego najlepszego- zawtórowała Mattie.

- Moje urodziny są dopiero w przyszłym tygodniu.

Odsunęła się odpudła.

Dlaczego obchodzą jej urodzinytydzieńwcześniej?

Czy to z powodu choroby mamy?

- Wszystko w porządku.

Kim - zapewniła ją Mattie, po razkolejny odkrywając jej najskrytsze myśli.

- Chcieliśmy zrobićci niespodziankę.

Baliśmy się, że jeśli zaczekamy do przyszłegotygodnia.

- Nie wiem, którego wybrać - pisenęła Kim, nim Mattiezdążyła dokończyć zdanie.

Podbiegła do pudłai brała dorękijedną białą kulkę po drugiej.

- Są takie cudne.

Czy to nienajcudowniejsze stworzeniana świecie?

Przytrzymała jedno ze szczeniąt na odległość ramienia, patrząc, jak łapki zwisają jej
między palcami, a małe oczki wyglądają jak dwaczokoladowe guziczki.

Ma oczy Teddy'ego-pomyślała, odłożyła szczeniaka do pudełka i wzięła następnego z
zamkniętymi ślepkami.

- Co to za rasa?

- spytałaMattie, starannie unikając wzrokumatki.

202

- Pekinpud - odpowiedziała Viv, prostując ramiona i przesuwając palcami po siwiejących
kasztanowych włosach.

-Skrzyżowanie pudła z pekińczykiem.

Są mądrzejszeniż tedwie rasy razem wzięte.

- Chcę tego - zdecydowała Kim, obsypując pocałunkamibiałą kulkę.

Szczenień uniosło mały łepok iliznęło Kim po
wardze.

- Nie pozwól mu całować się w usta - ostrzegła Mattie.

Zignorowała ostrzeżeniematki i dalejpozwała, żeby szczeniak lizał ją po twarzy.

- Kim - dołączył się Jake.

-Na litość boską, dajcie spokój, nic jej nie będzie.

Ichpyszczki są czyściejsze od ludzkich.

- Viv zbyłaichniepokójniececierliwym machnięciem ręki.

-Jak go nazwiesz, Kimmy?

- Niewiem.

Jak myślicie?

Przeniósł wzrok z babci na ojca i namamę, bojąc się zatrzymać przy którymś zbył dłużej.
W końcu pozwolili jej napsa.
Dlaczego?
Mama nie lubiła psów.
Udała nawet, że ma nanie alergię, kiedy któregoś lata Kim przyprowadziła jakiegoś przybłądę, i
kazała oddać go babci.
Kim raz w tygodniu chodziła go odwiedzać, ale to nie to samo, co mieć własnego psa, który chodzi
z tobą z pokoju do pokoju i zwija się w kłębek w nogach łóżka.
Skąd tanąła zmiana?
Dlaczego właśnie teraz, kiedy ostatnią rzeczą, jakiej mama by potrzebowała, topłający się pod
nogami szczeniak?
To oczywiste - uświadomiła sobie nagle i poczuła, że znowu brakuje jej tchu.
Przecież mama umiera.
- Jak myślisz, mamo, jakie imię byłoby dobre?
- spytał przez ściśnięte gardło.
- To jest twoje dziecko - odparła Mattie.
- Więc ty musisz zdecydować.
- To poważna decyzja.
- Rzeczywiście - przyznała Mattie.
- No to może George?
- George?
- powtórzyli jednym głosem Mattie i Jake.
- Bardzo ładne imię - oświadczyła Viv.
- George świetnie
doniego pasuje.
- George i Martha - powiedziała na próbę Kim, uśmiechając się do matki.
203.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego twoja matka taknie lubi imienia Martha - burknęła Viv.
- To takieładne imię.

Martha Stewart nie każe się nazywać Mattie.

Kto chce herbaty?

- Chętnie się napiję - rzucił Jake.

-Ja również - dodała Mattie.

Kimzauważyła, że matka patrzy na babcię kątemoka i spróbowała spojrzeć na nią w ten sam sposób.

Nie były do siebiepodobne.

Babcia była niższa i brzydsza od mamy i miała krótkie kręcone kasztanowe włosy, którym stale przybywałosiwizny.

Rysy też miała grubsze, szerszyi bardziej płaski nos, kwadratową szczękę i zielone oczy.

Mamazawsze twierdziła, że jest podobna do ojca, chociaż nie można było tego sprawdzić, bo nie zachowało się ani jedno jego zdjęcie.

W przeciwieństwie do mamy babcia nigdy się niemalowała, a gdy była lub zdenerwowana, na policzkach pojawiała się czerwoneplamy, co mamie rzadko się zdarzało.

Przejęła jednak po babci kilka cech: dumne prostowanie ramion, sposób trzymania głowy i sposób gestykulacji, gdy chciała wyrazić skomplikowaną myśl.

- Co zaszło między tobą i babcią Viv?

- spytała kiedyś matkę.

- Nic takiego - odpowiedziała Mattie.

-To czemu nigdy jej nie odwiedzasz?

Czemu nigdy nieprzychodzi do nas na kolację?

- To długa historia.

Kim.

Trudno nato odpowiedzieć.

Czemu nie zapytasz babci?

- Pytałam.

-I co?

- Powiedziała, żebym ciebie spytała.

Pomyślała teraz, że mama miała dziwny wyraz oczu, jakby trafiła do niewłaściwego domu nie wie, jak z niego wyjść, by nie urazić gospodyni.

I tak się pewnie czuła.

Jak dawno nie była u babci?

Ile miała lat, gdy wyszła z tego domu po raz ostatni?

Pewnie niewiele więcej niż ojciec, gdy wyprowadzał się z rodzinnego domu.

Dziwnie - pomyślała, całując nowego pupilka w łepkę.

Rodzicesą bardziej do siebie podobni, niż sądziła.

- Widziałaś artykuł o Jake'u w magazynie "Chicago"?

- spytała Mattie, próbując jakoś zagać rozmowę.

204

- Nie, nie widziałam.

- Viv podeszła do zlewu, by włączyć wodę do czajnika.

-Przywiozłaś go może?

- Tak się składa, że przywiozłam.

- Sięgnęła do brązowej skórzanej torebki, stojącej na kuchennym stole.

- Powiedz, że nie - odezwał się Jake.

Czyżby się zaczerwienił?

Kim wzniosła oczy do sufitu.

- Właśnie, żetak.

- Mattie z dumą zachichotała, po czym wyjęła pismo z torby i chciała go podać matce, lecz nagle jakaś siła poderwała jej rękę w górę i pismo przeleciało przez kuchnię.

Psy uciekływ popłochu, głośno wyrażając swoje zaniepokojenie.

- Nie musimy we mnie rzucać - rzekła gniewnie Viv.

- Już dobrze, moje maleństwa - odezwała się do wystraszonych psów, wracających do kuchni

naugiętych łapach.

Kim spostrzegła, że mama zbladła, a w szerokootwartych oczach błyszczy strach.

- Przepraszam.

Nie wiem, co mi się stało.

- Nic ci nie jest?

- spytał Jake.

- Oczywiście, że nic jej nie jest.

- Viv schyliła się, by podnieść pismo z podłogi.

- Zawsze była trochę niezdarą.

Ładnie zdjęcie, Jake.

- Podobno artykuł jest bardzo pochlebny - powiedziała Kim, patrząc, jak twarz matki nabiera kolorów.

Specjalnie użyła tego samego określenia.

Wszystko pozostanie w rodzinie - pomyślała, czując nagły przypływ mdłości oddychając głęboko.

- Nic ci nie jest, kochanie?

- spytała matka.

Nic nie ujdzie jej uwagi - pomyślała Kim, patrząc, jak babcia

jednym płynnym ruchem stawia czajnik na kuchence i wyjmuje

z pudełka wielki biały torturowany.

- Czemu wciąż pytacie, czy nic wam nie jest?

- zdziwiła się, stawiając tort na środku stołu.

- Nikogo nie obchodzi, jak się czuję?

- A nie czujesz się dobrze, babciu?

- Dobrze, kochanie.

Dziękuję, że spytałaś.

Kto chce różę?

- Ja - odpowiedziały jednocześnie Kim i Mattie.

Cała rodzina usiadła przy kuchennym stole.

Kim ułożyła sobie na kolanach śpiącego szczeniaka, a Viv wzięła na ręce czarnego teriera, usiłując go zmusić, by usiadł.

205.

- Czy mogłabyś zabrać psa od tortu?
 - poprosiła Mattie, chociaż brzmiało to raczej jak żądanie niż prośba.
 - Przecież nie siedzi przy torcie.
 - Na policzkach Viv wykwitły rumieńce.
- Postawiła psa na podłodze i zerwała się z krzesła.
- Zapomniałam świeczek.
 - Zaczęła hałaśliwie otwierać szafki i wysuwać szuflady kredensu.
 - Gdzieś tu były.
 - Nie trzeba, babciu.

Nie muszą być świeczki.

- Cotakiego?

Oczywiście, że muszą.

Co to za tort urodzinowy bez świeczek?

- Kimmy, czy mogłabyś odłożyć George'a do pudełka na czas jedzenia?
- zwrócił się Jake do córki.
- George zostanie tu, gdzie jest!
- warknęła Kim.

- I nie mów do mnie Kimmy.

- Są - oznajmiła z triumfem Viv.

Wróciła do stołu i usta-wiła świeczki w czterech różnych miejscach.

- Szesnaście świeczek - powiedziała, uśmiechając się do wnuczki, i postawiła dodatkową w środku miękkiej róży.
- I jedna na szczęście.

23

- Mamo, czy mogłabym z tobą chwilę porozmawiać?
- Naturalnie, Martho.

Mattie wciągnęła powietrze i wypuściła je wolno, po czym spróbowała się uśmiechnąć.

Matka całe życie tak się doniej zwracała.

Już za późno, żeby to zmienić.

Patrzyła teraz na nią wyczekująco.

Na kolanach miała dwa małe psy, a pięć większych siedziało u jej stóp.

Jake czytał "Chicago Sun-Times", zerkając na nią z ciepłym uśmiechem na twarzy.

Kim siedziała na podłodze przy pudle ze szczeniętami i kołysała w ramionach George'a jak nowo narodzone dziecko.

To jedyny wnuk, którego dane mi będzie zobaczyć - pomyślała Mattie, stając w drzwiach łączących kuchnię z salonem.

- W salonie, jeśli pozwolisz.

W oczach Viv błysnęło zdumienie.

Postawiła psy na podłodze i wstała.

206

- Iść z tobą?

- spytał Jake.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła przed wyjściem z kuchni, to twarz w niej oczy Kim.

Bądź ostrożna - ostrzegają.

Kiwnęła głową, chociaż nie była pewna, do kogo odnosi się ostrzeżenie.

Salonik wyglądał tak samo jak zawsze: jasnozielone ściany, podobna wykładzina dywanowa, nieciekawe meble, pełniące raczej funkcję użytkową niż dekoracyjną, i wyblakłe reprodukcje ptaków Audubona na ścianach.

Wybrała stosunkowo czysty kawałek na stojącej przy oknie kanapie w kolorze mięty, udając, że nie dostrzegasz sierści pokrywającej aksamit niczym koc.

Złożyła ręce na kolanach, skrzyżowała stopy i ściągnęła sztywno łopatki, starając się mieć jak najmniejszy kontakt z kanapą.

- Odkurzyłam tu po twoim telefonie - powiedziała znacząco matka, opadając na krzesło wyściełane materiałem w zielono-białe pasy, stojące obok kanapy.

Przechyliła głowę nabok zupełnie jakiejś psy i spojrzała wyczekująco na córkę.

- Ładnie tu - stwierdziła Mattie.
Wtym momenciena kanapę wskoczył mały brązowy piesz nieproporcjonalnie wielkimi i chudymi uszami.
Ciekawe, coto za rasa- pomyślała.
Matka pewnie teżnie wie.
Szybkośpędziła kundelka na podłogę i odgoniła go czubkiem buta.
Odkąd pamięta, zawsze rywalizowała z psami o względy matki, lecz one zawsze wygrywały.
- Chodź tu, Dumpling - powiedziałaViv.
Wzięłapsa naręce i posadziła sobie na kolanach.
- Martha nie lubi psów -dodała, całując go w łeppek i zręcznie wyjmując ropkę z oka.
Kilka innych psów rozsiadło się u jej stóp.
Wyglądały jakkolekcja domowychpapuci.
Wszystkiepatrzyły na Mattiez wyrzutem.
- Nie mogę powiedzieć, że ichnie lubię - przyznała Mattie,po czym urwała, przenosząc wzrok z psów na ścianę.
Przecieżnie będzie się ztego tłumaczyć.
- Zresztą to nieważne.
Ważne,że Kimje lubi, a George najwyraźniej przypadł jej do gustu,nawet jeżeli jest zbyt mały, bymogła zabrać go do domu.
I zato ci dziękuję.
Matka wzruszyła ramionami i poprawiła się na krześle.
Napoliczkach wystąpiły jejblade rumieńce.

- Powinnaś podziękować Daisy za to, że oszczeniła się tak blisko urodzin Kim.

- Wysłała jej podziękowania - odparła Mattie i zaraz tego pożałowała.

Po co ten sarkazm?

Zwłaszcza teraz.

Poza tym matka i tak gonię zrozumie.

- Znalazłaś już domy dla pozostałych szceniąt?

- spytała szybko, przypominając sobie zaskoczenie matki, gdy zatelefonowała do niej, by się dowiedzieć, czy nie ma przypadkiem jakiegoś wolnego szczeniaka.

- Jeszcze nie.

Chciałam, żeby najpierw Kim sobie wybrała.

Ale to nieproblem znaleźć dla nich opiekunów.

Jednego lub dwa może sobie zatrzymam.

- Czy wolno trzymać tak wiele psów w domu?

- Czy o tym chciałaś ze mną rozmawiać?

- Vivie krytycyzmu.

Znowu przechyliła głowę na bok i czekała.

- Nie, oczywiście, że nie - odrzekła Mattie.

Jak ma powiedzieć matce, że umiera?

Nawet takiej matce, która przez całe życie ją ignorowała.

- Muszę ci coś wyznać.

- Więc wyduś toż siebie wreszcie.

Nie należysz przecież do nieśmiały.

Skąd ona to może wiedzieć?

- Pamiętasz tego aktora, który grał w jednej z tych twoich oper mydlanych?

Ten serial nazywał się chyba "Światłoprzewodnie".

- Nigdy nie oglądałam "Światła przewodnego" - oznajmiła matka.

- Tylko "Szpital" i "Dni naszego życia".

Ach, i czasami "Młodego niespokojnego", chociaż nie mogłam znieść, żetaki przeciągają go w nieskończoność.

- W jednym z tych seriali grał aktor, który niedawno zmarł, co nazywają się stwierdzenie boczne zanikowe - powiedziała Mattie, nie mogąc dłużej czekać.

- To choroba Lou Gehriga - dodała.

Oczy matki pozostały irytująco obojętne, nie miała więc pewności, czy dotarło do niej to, co powiedziała.

- A tak, przypominam sobie.

Nazywał się Roger Zaslow.

Nie, Michael Zaslow, zdaje się.

I masz rację, grał w "Światłoprzewodnym".

Kiedyś było "Światło przewodne", ale potem zmienili ten serial.

Nie rozumiem dlaczego.

Powiedzieli, że chcą, by był bardziej współczesny, bardziej na czasie.

Nierozumiem, dlaczego za opuszczenie wyrazu.

208

- Mamo.

- Czytałam o nim w magazynie "People" - ciągnęła Viv.

- Zwolnili go.

Powiedzieli, że niepotrzebny im aktor, który zapomina tekst, czy coś takiego.

Tak napisali w tym magazynie.

Czytałam, że bardzo to przeżył.

Nie dziwię się.

To straszna choroba.

- Popatrzyła gdzieś bok i zagryzła dolną wargę.

Nawet nie zapytała, dlaczego córka o tym mówi.

- Jestem chora, mamo - rzekła Mattie, odpowiadając na niechciane i przemilczane pytanie.

Viv zeszytywniała i oczy jej rozblęły, jak zawsze, gdy słyszała nieprzyjemne nowiny.

Dopiero zaczęła, a matka już się wycofuje.

Pochyliła się w przód i spojrzała jej w oczy.

- Pamiętaj, jak leżałam w szpitalu po wypadku?

Viv ledwo dostrzegła nieskinęła głową.

- Zrobili tam badania i odkryli, że mam tę samą chorobę, co aktor ze "Światła przewodniego".

Viv wciągnęła gwałtownie powietrze, choć jej twarz pozostała nieruchoma.

- Lekarze mówią, że są już blisko wynalezienia leku, więc jest nadzieja.

- Urwała, odchrząknęła i podjęła ją nowo: - Realnie rzecz biorąc, zostało mi może kilka lat.

Atak naprawdę wątpię, byż tyle - dodała szeptem.

- Codziennie dostrzegam jakieś zmiany.

Choroba przyspiesza tempo.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Viv, patrząc gdzieś poza nią na okno wychodzące na ulicę, i machinalnie gładząc psa.

- Wyglądasz na zupełnie zdrową.

- W tej chwili tak.

Nogi irące funkcjonują, ale to się zmienia.

Pamiętasz czasopismo, które wyleciało mi z ręki?

Takierzeczy będą się zdarzać coraz częściej.

Niedługo przestanę chodzić i nie będę mogła posługiwać się rękami.

Przestanę mówić.

A resztę już znasz.

- Usiłowała wyczytać coś z twarzy matki, lecz jej wyraz niewiele się zmienił od momentu, kiedy usiadła na krześle.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że nie - odparła stłumionym głosem.

- Moja córka właśnie poinformowała mnie, że umiera.

Naprawdę myślisz, że mogę się dobrze czuć?

- Nie miałam zamiaru.

- Wiedziałam, że coś w tym musibyc - ciągnęła Viv, nadal wpatrując się w okno.

- Bo skąd ta nagła zmiana i zgoda na

209.

psa dla Kim?

I kiedy ostatnio do mnie telefonowałaś i chciałaś mnie odwiedzić?

Nigdy.

Domyśliłam się więc, że o coś chodzi.

Myślałam, że chcesz mi powiedzieć, że przenosisz się do Nowego Jorku albo do Kalifornii, bo Jake stał się taką wielką figurą, albo że zostawia cię dla innej kobiety.

No wiesz, to co zwykle.

Coś.

coś innego, ale nie to.

Nieto.

- Mamo, spójrz na mnie.

- Nigdy nie jest tak, jak myślisz, że będzie - ciągnęła Viv, nie zwracając uwagi na Mattie.

- Ktoś mówi, że chcą cicoś powiedzieć, a ty zastanawiasz się, co to może być, rozważasz różne możliwości, a onizawsze wybiorąto, czego w ogólnie wzięłaś poduwagę.

Tak jest zawsze.

- Mamo, spójrz na mnie.

- Jak możesz mto robić?

- Tunie chodzi o ciebie, mamo.

- Mattie ujęła matkę podbrodę i zmusiła do patrzenia jej w oczy.

Siedzący na kolanach pies zaczął cicho warczeć.

- Musisz mnie wysłuchać.

Ten jeden, jedyny raz w życiu musisz mi poświęcić całą swoją uwagę.

Zgadzasz się?

Viv bez słowa postawiła warczącego psa na podłogę.

- Wtej chwili jestem we wczesnym etapie choroby.

Daję sobie całkiem niezłe radę.

Nadal mogę pracować i wykonywać większość prac.

Zrezygnowałam z prowadzenia samochodu, więc często jeżdżę taksówkami i razem z Jakiem robimy zakupy.

Kim pomaga nam na tyle, na ile może.

- Kim wie?

Mattie skinęła głową.

- To było dla niej bardzo trudne.

Trzyma się dzielnie, ale wiem, że nie jest jej łatwo.

- Więc kupiłaś jej psa.

- Mieliśmy nadzieję, że to złagodzi jej bóle pozwoli skupić się na czymś innym.

- Dobra zniej dziewczyna.

- Wiem.

- Mattie walczyła ze łzami.

Nie mogła płakać, jeżeli chciała zrealizować swój plan.

- Co chcesz, żebyśmy zrobiła?

Mogę wziąć ją do siebie na parę tygodni.

Kim mówiła, że w kwietniu wybieracie się z Jakiem do Paryża.

Z przyjemnością wezmę ją do siebie.

- Viv rozmyślnie unikała głównego tematu.

Zawsze tak robiła.

210

Skupiała się na nieistotnej kwestii i powiększała ją do takich rozmiarów, że nie było już miejsca na najważniejsze.

- Porozmawiamy o tym później - powiedziała Mattie.

- Toja ciebie teraz potrzebuję, nie Kim.

- Nie rozumiem.

- Viv ponownie utkwiała spojrzenie w oknie.

- Czy chcesz, żebyśmy załatwiła jakieś sprawy?

Mattie pokręciła przecząco głową.
Jak miała wytłumaczyć matce, o co ją chce prosić?
Nieduży czarny pies wskoczył na kanapę, usadowił się na poduszce obok niej i rzucił Mattie podejrzliwe spojrzenie spod ciężkich powiek.
- Pamiętasz psa, którego kiedyś miałyśmy?
- spytała.
- Wabił się Queenie.
Pamiętasz?
Byłam wtedy mała.
- Naturalnie, że pamiętam Queenie.
Przerzucała się przez ramię i trzymała do góry nogami, a ona nigdy się nieskarżyła.
Na wszystko ci pozwalała.
- A potem zachorowała, a ty powiedziałaś, że musimy ją uspić, a ja płakałam i błagałam, żebyś tego nie robiła.
- To było bardzo dawno temu, Martho.
Chyba już niegniewasz się na mnie za to?
Była bardzo chora i bardzo cierpiała.
- Powiedziałaś wtedy, że popatrzyła na ciebie "tymi oczyma", które ci zasugerowały, że czas, abyś skróciła jej cierpienie, że byłoby okrucieństwem utrzymywać ją przy życiu.
Matka poruszyła się niespokojnie na krześle.
- Ciekawe, jak Kim poradzi sobie z George'em.
- Posłuchaj mnie, mamo.
Przyjdzie czas, że i ja popatrzę na ciebie "tymi oczyma".
- Powinnyśmy wrócić do innych.
Nieładnie.
- Będę sparaliżowana - ciągnęła Mattie, nie pozwalając matce wstać z krzesła.
- Nie będę mogła poruszać nogami ani rękoma.
Nie będę w stanie skrócić sobie cierpienia.
Pozostanę bezradna.
Zabraknie mi sił, by wziąć sprawy w swoje ręce.
- Omal się nie roześmiała z doboru słów.
- Choroba rozwija się w ten sposób, że mięśnie w moich płucach robią się coraz słabsze, skutkiem czego oddech staje się coraz płytszy i coraz krótszy.
- Nie chcę tego słuchać.
- Musisz tego wysłuchać, mamo.
Lisa przepisała mi morfinę.
- Morfinę?
- powtórzyła drżącym głosem Viv.
- Morfina przynosi ulgę, gdy brakuje tchu.
Zwalnia proces
211.

oddychania.

Lisa twierdzi, że likwiduje niepokój i kontroluje strach.

Ale przyjdzie taki czas, że morfina będzie stała przy moim łóżku, a ja nie będę mogła jej wziąć.

Nie będę w stanie odmierzyć sobie odpowiedniej dawki, by skrócić cierpienie.

Nie zrobię tego, co konieczne.

Rozumiesz, mam?

Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie chcę tego słuchać.

- Dwadzieścia pigułek, mam.

Tylko tyle.

Rozgnieciesz je, zmieszasz z wodą i wlejesz mi do gardła.

Po kilku minutach usnę.

Dziesięć lub piętnaście minut później wpadnę w śpiączkę i już się nie obudzę.

Po kilku godzinach odejdę.

Łatwo bezboleśnie.

Moje cierpienie się skończy.

- Nie proś mnie o to.

- A kogo innego mogłabym prosić?

- Poproś Lisę, Jake'a.

- Nie mogę prosić Jake'a, by złamał prawo.

Prawo jest dla mnie całym życiem.

Nie mogę też prosić Lisę, żeby ryzykowała swoją karierę.

I na pewno nie poproszę Kim.

- Nie możesz prosić o to własnej matki.

- To nie jest dla mnie łatwe, mam.

Kiedy ostatnio cię coś prosiłam?

- Wiem, że uważasz mnie za złą matkę.

Wiem, że myślisz.

- To już nie ma znaczenia.

Tylko cię mogę o to prosić.

Myślę o tym od tygodni.

I proszę cię o to teraz, bo potem nie będę w stanie.

Jedyne, co będę mogła zrobić, to popatrzeć na ciebie "tymi oczyma".

- To niesprawiedliwe.

Niesprawiedliwe.

- Rzeczywiście, bardzo niesprawiedliwe - przyznała Mattie, trzymając ręce na oparciach krzesła i nie puszczając matki, chociaż siedziała teraz nieruchomo.

- Tak już jest.

Musisz mi obiecać, że to zrobisz.

Będiesz wiedziała, gdy nadejdzie mój czas.

Będiesz wiedziała, kiedy okrucieństwem będzie utrzymywać mnie przy życiu i pomożesz mi.

- Nie mogę.

- Proszę - nalegała Mattie.

- Jeśli mnie kiedykolwiek kochałaś, obiecaj, że mi pomożesz.

Patrzyła jej w oczy, nie pozwalając odwrócić wzroku, wymigać się od decyzji, którą musiała podjąć.

Wokół słychać było brzmienie unisono oddechy psów, jakby i one czekały na jej decyzję.

212

- Nie wiem, czy będę w stanie.

- Musisz.

Matka opuściła ramiona i głowę w niemym geście zgody.

- Obiecaj - nalegała Mattie.

- Musisz mi obiecać.

- Obiecaję.

- Viv kiwnęła głową.

- I nic nie mów Jake'owi ani.
- Co się dzieje?
- spytała Kim, stając w drzwiach.
Mattie obróciła się tak gwałtownie, że omal nie spadła z kanapy.
Zdażyła jednak przytrzymać się ręką.
- Od jak dawna tu stoisz?
- Słyszałam, jak krzyczysz na babcię.
- Nie krzyczę.
- Mniesię wydawało, że tak.
Kim zrobiła krok do środka pokoju, wciąż trzymając w ramionach śpiącą małą kuleczkę.
- Wiesz, jak twoja mama potrafi się ekscytować - powiedziała Viv.
- A czym się tak podekscytowała?
- Twoim nowym pupilkiem, oczywiście - odparła Mattie, podchodząc do Kim.
- Mogę go potrzymać?
- Tylko ostrożnie - ostrzegła Kim, przenosząc podejrzliwy wzrok z matki na babcię, po czym włożyła szczeniaczka wtrzęsące się ręce matki.
Jest taki miękki i ciepły - pomyślała ze zdziwieniem Mattie, przytulając go do policzka i głaszcząc delikatnie trzęsącymi się dłońmi.
- Uważaj, żebyś go nie upuściła - powiedziała Kim.
- Lepiej go weź.
- Przekazała małego córce i popatrzyła namatkę.
Na jej zazwyczaj bladej twarzy płonęły krwiste rumieńce.
- Powinniśmy chyba jechać - dodała.
- Ja zostaję - oznajmiła Kim.
- Co?
- Kto zostaje?
- spytał Jake, wchodząc do pokoju.
Spojrzała na Mattie, potem na Viv i ponownie na Mattie, jakby pytał, czy wszystko w porządku.
Skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.
- Chcę zostać tu na noc - oświadczyła Kim.
- Niech go nie puszczają George'a.
Jeśli nie masz nic przeciwko temu, babciu.

- jeśli twoi rodzice nie mają nic przeciwko temu - rzekła Viv dziwnie głuchym głosem.
- Oczywiście, że nie - odparła Mattie, pełna podziwu dla swego jedyne go dziecka.
- Jesteś kochaną dziewczynką - dodała, idąc do drzwi i całując ją w policzek.
Zrozumiała, że Kim chce zostać nie tylko ze względu na babcię, alei zewzględu na swojego nowego pupila.
- Kochaną szesnastolatką - uzupełniła, dygając, Kim.
- Uważajcie na stopień - ostrzegła Viv, kiedy Jake wziął Mattie pod rękę i poprowadził do samochodu.
- Będziemy w kontakcie, mamo - zapewniła Mattie.
Viv kiwnęła głową, otoczona sforą szczekających psów, i zamknęła drzwi.
- No i jak poszło?
- Było trudniej, niż myślałam - odpowiedziała Mattie.
- Jest twoją matką, kocha cię.
Dotknęła ręki Jake'a.
Wiedziała, jak trudno było mutopowiedzieć.
Matki nie zawsze kochają swoje dzieci.
Byli tego przykładem.
- Myślę, że na swój sposób tak - przyznała, odchyliła głowę na oparcie fotela i zamknęła oczy, gdy Jake skręcił z podjazdu na Hudson Avenue.
Przypomniała sobie kamienną twarz matki, kiedy wyznała, że jest chora.
Czy spełni jej prośbę?
Czy to rozsądne oczekiwać od niej, by była przy jej śmierci, skoro odrzuciła ją przez całe życie?
Czy słusznie zrobiła, prosząc ją o to?
Pokręciła głową i postanowiła niemyśleć o tym, na co nie miała wpływu.
- Masz ochotę na kino?
- spytał Jake.
- Jestem trochę zmęczona.
Masz coś przeciwko temu, byśmy po prostu wrócili do domu?
- Nie, oczywiście.
Co tylko sobie życzysz.
Uśmiechnęła się.
Co tylko sobie życzysz.
Jakże często słyszała to zdanie z ust męża w ciągu minionych sześciu tygodni.
Tak bardzo się starał.
Cowieczór wracał do domu na kolację.
Pracował w domu, kiedy tylko mógł, w weekendy wspólnie oglądali telewizję w łóżku, a Jake nawet pozwalał jej skakać po kanałach.
Kiedy nie pracował, był przy niej.
Kiedy był przy
214
/,
niej, trzymał za rękę, a kiedy się kochali, co zdarzało się kilka razy w tygodniu, było tak dobrze jak zawsze.
Czy widział Honey, kiedy pieścił jej kark?
Czy to jej piersi całował, czy to o niej myślał, gdy w nią wchodził?
Szybko odsunęła od siebie nieprzyjemny obraz rywalki.
Z tego, co wiedziała, Jake w ogóle się z nią nie widywał.
Ale pozostawało jeszcze tylko godzin w ciągu dnia i tyle energii do wykorzystania.
Czy stare przysłowie nie mówiło: "Dla chcącego nie ma nic trudnego?"
"
Dla chcącego nie ma nic trudnego.
Właściwie dlaczego ludzie nie lubią przysłów czy porzekadeł?
Jest w nich coś uspokajającego.
Są przewidywalne, znane, trwałe.
Im gorzej się czuła, tym bardziej doceniała ich proste, uniwersalne prawdy, jak na przykład: miłość

rządzi światem lub miłość zwycięża wszystko.

- Może podjechalibyśmy do supermarketu i kupili dwasteki?

- spytał Jake.

- Jeśli sobie przypominasz, robię wspaniałe steki.

- Doskonały pomysł.

Zdumiał ją entuzjazm w głosie męża.

Świetny z niego aktor - pomyślała.

Wyrażanie uczuć na sali sądowej właściwie niewiele się różniło od wyrażania uczuć na scenie albo w łóżku.

Samochód zatrzymał się.

Mattie otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi przed niewielkim supermarketem na North Avenue.

- Za chwilę wracam - rzekł Jake, wychodząc z samochodu.

- Pójdę z tobą.

Natychmiast otworzył jej drzwi, pomógł wysiąść i poprowadził do jasno oświetlonego sklepu.

- Tędy - powiedział, mijając dział warzywno-owocowy, przetwory w puszkach, wyroby mączne, soki, ręczniki papierowe, i zatrzymał się przy zadziwiająco dużym dziale mięsnym w końcu sklepu.

Pewności zdecydowanie, jakie kierowały jego krokami, świadczyły, że musiał tu już wcześniej bywać.

Może z Honey - pomyślała Mattie, starając się ukryć nagły smutek.

- Trafieś jak po sznurku - stwierdziła, nie mogąc się opanować.

- Wszystkie supermarkety są do siebie podobne - odparł

215

lekkim tonem.

Sięgnął po kilka steków, obejrzał je przezplastikowe opakowanie, po czym odłożył i wziął następne.

- A możecie?

- Chwyciła ręką jedną z paczek.

-Te wyglądają nieźle.

Już miała je podać Jake'owi, gdy poczuła, że przez ramięprzechodzi drzenie, przypominające małe trzęsienie ziemi, i jakaś tajemnicza siła unosi jej rękę w górę. Z dłoni wypadłysteki i przeleciały między półkamituż obok jakiegoś mężczyzny, lądując w koszu z żółtymi serami.

- Co to znaczy?

- wykrzyknęła pracownica sklepu, patrzącna Mattie.

- O Boże!

- jęknęła Mattie, kryjącręce podpachami.

Poczuła, że robi jej się słabo, a we wnętrzu rośnie panika,grożąc wybuchem.

Znowu to samo jak wkuchni.

Tylkoże teraznie była w kuchni, lecz w publicznym miejscu.

Jakmogła to zrobić Jake'owi?

Jak mogła go tak zawstydzić przyludziach?

Niemiała odwagi spojrzeć muw oczy.

Nie zniosłabywyrazu przerażenia i wstrętu.

Nagle kolejna paczkasteków przeleciała w powietrze, a pochwili następna.

Mattie spojrzała na męża i zobaczyła, żeepochyla sięnad lodówką, bierze kolejnepakzki ze stekamiuśmiechasię łobuzersko od ucha do ucha.

- Boże,co ty robisz?

- zawołała, nie wiedząc, czy ma sięśmiać, czy płakać.

- Zabawmy się -powiedział, wyjmując następne steki.

-Teraz twojakolej.

Podał jej następną paczkę, a pracownica sklepu pobiegłatymczasem po ochronę.

Nie dającsobie czasu na zastanowienie, rzuciłsteki zasiebie, słysząc, jak lądują z głośnym plaśnięciem gdzieś za jejplecami.

Tymczasem Jake przeszedł do części z baraniną.

Kiedy zjawił się dyrektorw towarzystwie strażnikówochrony, wszystkie paczki z działu mięsnego leżały napodłodze, a Mattie i Jake tak się śmiali, że nie byli w stanie wydusić z siebiewyjaśnień lub przeprosin.

216

24

- Chyba napiję się jesszczewina.

Jake rozejrzałsię po staromodnej włoskiej restauracjio nazwie "Impasta" i dał znak zabieganemu kelnerowi, byprzyniósł jeszcze jedenkieliszek czerwonego wina.

Lokalmieścił sięprzy East Chestnut Street, na północ od WaterTower Place, zaledwie kilka przecznic od jego kancelarii, i był ulubionym miejscem spotkańwielu kolegów prawników.

Dwóch z nichsiedziało przy stolikuw rogu saliw towarzystwie żon.

Nie zauważyli go jednak, zczego byłbardzozadowolony.

Nieprzepadał bowiem za żadnym zpanów, prywatnie nazywał ich Głupi iGłupszy, poza tym miałdośćwrażęńjakna jeden dzień.

Co go podkusiło w tym supermarkecie?

Ten akt spontaniczności był u niego czymś niezwykłym.

Jake nie należał do spontanicznych facetów.

Honey twierdziła, że nawet jego improwizacje były starannieprzemyślane.

Honey- pomyślał iaż zamknął oczy, przypominając sobie, że miał do niej zadzwonić.

Na pewno będziebardzo rozczarowana.

Jakby jąsłyszał: "Wystarczy przecieżchwila, by podnieść słuchawkę.

Doprawdy, Jasonie, czy proszę o tak wiele?

"

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

NiedobryJason.

Niedobryjason.

Niedobryjason.

Niedobryjason.

- Czy coś się stało?

- posłyszał głos Mattie.

Otworzył oczy i spojrzał na swoją żonę od szesnastu lat.

Niewiele się postarzała od dnia ślubu.

Śweczka stojąca na środku stołu przykrytego obrusem w czerwono-białą kratkę oświetlała ciepłym blaskiem jej bladą cerę.

Włosy miała dłuższe, niż kiedy się poznali, i w ciągu ostatnich miesięcy straciła trochę na wadze, co wyszczupliłotwarz, lecz tak była bardzo piękną kobietą, pewnie jedną z najpiękniejszych, jakie widział.

- Właśnie przypomniałem sobie naszą rocznicę ślubu - powiedział i uświadomił sobie, że to prawda.

- To było dwunastego stycznia, czyż nie tak?

- Dokładnie - uśmiechnęła się Mattie.

Zaśmiał się.

- Przepraszam.

217

- Nie szkodzi.
Już mi to wynagrodziłeś.
- Uśmiechnęła się szerzej.
- Po raz pierwszy w życiu wyrzucono mnie ze sklepu.
- Szczerze mówiąc, nawet mi się to podobało.
Zaśmiali się.
- Przyjemna restauracja - zauważyła Mattie, rozglądając się po sali.
- Podobają mi się te plastikowe winogrona i stare butelki po winie.
Miła odmiana po tej wszechobecnej nowoczesności.
- Ten lokal był tu od zawsze - wyjaśnił.
- A jedzenie jest wspaniałe.
- Nie mogę się już doczekać.
Nagle zrobiłam się głodna.
Jake spojrzał na zegarek.
Wpół do ósmej.
Obsługabyła dziś strasznie wolno.
Złożyli zamówienie - makaron anielskie włosy z czerwonym sosem z mięczaków dla Mattie i pierożki kiravioli nadziewane buraczkami z sałatką Caprese dla niego - prawie czterdzieści minut temu.
W tym czasie zdążył już wypić dwa kieliszki wina.
Powinien zamówić butelkę, lecz było coś niestosownego w zamawianiu całej butelki, kiedy pije się samemu.
Mattie postanowiła pozostać przy wodzie mineralnej.
I słusznie.
Miała za sobą ciężki dzień.
Pochylił się, wziął ją za rękę i poczuł znajome drżenie.
- Nic mi nie jest, Jake - uspokoiła go.
Uśmiechnął się.
To raczej on powinien ją uspokoić.
- Nie opowiedziałeś mi jeszcze o wywiadzie dla "Nów".
- A, o tym.
- Pokręcił głową.
- To była klęska.
- Klęska?
Dlaczego?
Machnął rękami, jakby chciał odgonić nieprzyjemne wspomnienie.
- Pani Isbister.
- Kto?
- Wasbister.
- Co?
Zaczął się śmiać, chociaż zdziwione spojrzenie Mattie mówiło, że nie bardzo wie z czego.
- Ta reporterka - wyjaśnił, przypominając sobie, jak zmagala się z magnetofonem.
- Interesowały ją szczegóły z mojego życiorysu, których nie miałem ochoty wyjawiać.
Przechyliła głowę na bok.
- Jakie szczegóły?
- Na temat moich rodziców i braci.
218
Twarz Alany Isbister zniknęła, a na jej miejscu pojawiły się smutne twarze braci, Luke'a i Nicholas'a.
Zamrugnął oczami, lecz nie chciały zniknąć.
Zjawił się kelner z kieliszkiem wina.
- Na koszt firmy - oznajmił.
- Ze szczerą prośbą o zwłokę.
Mieliby pewne kłopoty w kuchni, ale już zniknęły za chwilę podam zamówione dania.
- Nic nie szkodzi - odrzekł Jake i uniósł kieliszek w żartobliwym toastie.

W ciemnoczerwonym płynie dostrzegł twarze braci.

-Dziękuję.

- Pas de problemie - szepnęła po francusku Mattie.

- Merci.

- A to nie fair.

Uczyłaś się.

- W każdej wolnej chwili.

Nie mogę uwierzyć, że naprawdę
jedziemy do Paryża.

- To uwierz.

Wszystko załatwione, wszystko zapłacone.

Za pięć tygodni lecimy do Paryża.

- Wyglądasz na podekscytowanego.

-Bo jestem.

Nagle uświadomił sobie, że to prawda.

Tak długo udawał, że nie możesz doczekać na ten wyjazd, że w końcu w to uwierzył.

I był tym bardzo zaskoczony.

- Mój brat Lukę często mówił o wyjeździe do Europy - powiedział.

Dlaczego o tym wspomniał?

- W jakieś konkretne miejsce?

- spytała Mattie.

- O ile sobie przypominam, to nie.

Często opowiadał o tym, że przejedzie autostopem z jednego końca kontynentu na drugi.

Co mu się stało?

Tak bardzo się starał uciec od przeszłości, a teraz do niej wraca?

Pewnie dzisiejszy dzień wyprowadził go z równowagi, a scena w supermarkecie i dwa
kieliszki drogiego czerwonego wina zupełnie go rozkleiły i rozwiązały język.

Sięgnął po kieliszek i upił spory łyk.

Równie dobrze może posunąć się dalej - pomyślał, kiedy Lukę mrugnął do
niego zdna kieliszka.

- Porozmawiaj ze mną, Jake- poprosiła Mattie.

- Opowiedz

mi o Lukę'u.

Poczuł nagły ucisk w sercu, jakby wbił się w nie haczyk od wędki i za chwilę mu ję wyrywał.

Zaczęło tłuc się w piersi bezcelowym proteście.

Spojrzał na stolik, przy którym siedzieli Głupi i Głupszy, śmiejąc się bez troski ze swoimi

219.

zonami.

Jedna z nich dostrzegła jego spojrzenie i trąciła męża.

Odwrocił się, poznał Jake'a i natychmiast dał znak partnerowi.

Po chwili cała czwórka uśmiechała się do niego i machała rękami na powitanie.

Cierpliwie odpowiadał na te uśmiechy i na przesadną radość żon.

- Moje najwcześniejsze wspomnienie związane z Lukiem wiąże się z krzykiem - powiedział przez zaciśnięte zęby, patrząc znów na Mattie.

Sam przecież to zaczął, więc i może dokończyć.

- Czemu krzyczał?

- Bo matka go biła - odparł, wzruszając ramionami, jakby chciał oznajmić, że to normalne.

W oczach Mattie pojawił się ból.

- Ile miał lat?

- Cztery.

pięć.

sześć.

siedem.

siedemnaście - wyliczał.

- Te krzyki wkońcu zmieszały się ze sobą, bo bił go codziennie.

- To straszne!

- Oczy Mattie wypełniły się łzami.

- I nigdy nie oddał?

- Nigdy.

Nawet gdy był już wyższy od niej i jednym porządnym uderzeniem ręki mógł wystać przekłętą wiedźmę natamten świat.

- A twój ojciec?

Wyobraził go sobie, jak siedzi w brązowym fotelu przed kominkiem, z twarzą ukrytą za gazetą.

Cienki papier niczym cienka zbroja doskonale chronił przed światem.

- Nigdy nie zrobił.

Siedział i czytał tę swoją cholerną

gazetę.

Kiedy sytuacja się pogarszała, odkładał gazetę i wy!

chodził z domu.

- Nigdy nie próbował jej powstrzymać?

- Miał ważniejsze sprawy na głowie niż być ojcem dla własnych dzieci.

- Urwał i spojrzał na Mattie oczy.

- Tak jak ja.

- Ty nie jesteś taki jak on.

- Nie?

To gdzie byłem, gdy Kim dorastała?

- Na swoim miejscu.

Rzucił jeśzyczerne spojrzenie.

- Wychodziłem rano, kiedy jeszcze spała, i wracałem, gdy już spała.

Nie było mnie przy niej.

- Ale teraz jesteś.

- Jest już zapóźno.

220

- Jeszcze nie jest za późno.

- Ona mnie nie widzi.

- Ona cię kocha.

- Sięgnęła przez stół i chwyciła Jake'a za rękę.

- Nie rezygnuj z niej, Jake.

Niedługo będziecie bardzo potrzebować.

Będzie jej potrzebny ojciec.

Dziewczyna zawsze potrzebuje ojca - dodała szeptem, przypominając sobie, jak telefonowała do Santa Fe, żeby powiedzieć ojcu o wnuczce.

Poinformowano ją wtedy, że Richard Gili zmarł na atak serca przed trzema miesiącami.

- Jesteś dobrym ojcem, Jake - powiedziała.

- Obserwowałam cię.

Wspaniały z ciebie ojciec.

Usiłował się śmiechnąć, w końcu zrezygnował i zacisnął wargi, bo poczuł tży pod powiekami.

Ręka mdrzała, lecz nie był pewien, czy to jego, czy Mattie.

- Jestem oszustem, Mattie.

Całe życie byłem oszustem.

Matka wiedziała o tym.

Gdyby tu teraz była, miałabyś o czym posłuchać.

- Dlaczego miałabym słuchać tego, co ta okropna kobieta mado powiedzenia?

- spytała gniewnie Mattie.

- A tym bardziej ty?

- Nie znasz całej historii.

- Wiem, że bardzo kochałeś brata.

Opróżnił kieliszek do dna.

Gdzieś w karku poczuł lekkie szum, oddzielający szyję od ramion, tak że głowa jakby zawisła w powietrzu.

Zobaczył Luke'a, wysokiego, chudego chłopaka, który nigdy nie czuł się do brzozy swojej skóry.

Zawsze był bardzo spokojny i wrażliwy.

- Pod wieloma względami to ja byłem tym najstarszym, nie on - powiedział, przekładając myśli na słowa, z niezwykłą łatwością płynące mu z ust.

- To ja byłem podżegaczem, organizatorem, wszystkim wiedzącym.

On był marzycielem, który opowiadał o przejechaniu Europy autostopem, wstąpieniu do zespołu rock'n'rollowego.

Zachęciła go kiwnięciem głowy, wnikając przez, wydawało się, nieprzezroczyście niebieskie oczy w głąb duszy.

Spróbował odwrócić wzrok, lecz nie mógł.

Nie chciał, żeby ktoś zaglądał mu w duszę.

Było to ponure, złe miejsce, którego nie chciał nikomu pokazywać.

Zdziwiło więc własny głos, podejmujący opowieść.

- Kiedy byłem w wieku Kim - zaczął, wsłuchując się w przyjemny szum gdzieś w okolicach uszu - rodzice wynajęli

221.

domek nad jeziorem Michigan na kilka tygodni.
Był to odosobnione miejsce, bo w okolicy stało tylko kilka innych domków.
Luke skończył właśnie osiemnaście lat, a Nicholas czternaście.
Nick już wtedy był samotnikiem i znikał całe dni.
Wracał dopiero o zmierzchu.
Pozostawialiśmy tylko my z Lukiem.
Początkowo wszystko dobrze się układało.
Póki dopisywał pogoda, kąpaliśmy się, pływaliśmy łódką po jeziorze, graliśmy w baseball.
Ojciec siedział na przystani i czytał gazetę.
Matka wylegiwała się na słońcu.
Potem jednak zaczęło padać i lało chyba przez trzy dni z rzędu.
My się tym nie przejmowaliśmy, ale matkę doprowadzało to do szaleństwa.
Jeszcze teraz słyszę narzekania: "Nie po to wydaliśmy tyle pieniędzy, by tkwić tym ohydny domku przez cały dzień!"
"I waliła, w copadnie.
Zwykle dostawało się Luke'owi.
"Odlóż tę przeklętą książkę!
Co ty jesteś jakiś pedzio?"

Pokręcił głową, starając się odegnać nieprzyjemne wspomnienia.
- W jeden z takich deszczowych dni siedzieliśmy z Lukiem w kuchni i graliśmy w monopoly, a matka była znudzona i poirytowana.
Zaczęła się wyzywać na Luke'a za to, że nie potrafił pokonać młodszego brata w grze planszowej, i jak zwykle obrzucała go obelgami, którymi raziła nas od lat.
A Luke po prostu siedział i słuchał, czekając, aż burza minie.
Zwykle szybko się uspokajała, ale tego dnia była wściekła, bo ojciec poszedł do miasta, a ona się upiła.
Kiedy Luke niezareagował, złapała jego karty i wyrzuciła w powietrze.
Luke nawet nie drgnął, tylko spojrzał na mnie znacząco.
Zwykle patrzyliśmy tak na siebie, kiedy robiło się naprawdę źle.
Był to nasz mały sygnał, mówiący o tym, że wszystko jest pod kontrolą, co oczywiście nie było prawdą.
- Co było dalej?
- Przestała wyzywać go od pedałów i ciot i od najróżniejszych plugawstw, które mogła wymyślić.
Powiedziałem jej, że by się zamknęła, czym zazwyczaj ściągalem jej uwagę, przynajmniej kilka minut, tym razem jednak zignorowała mnie.
Gotowała się w niej, była jak w transie.
Porzuciła karty, żetony i fałszywe pieniądze po całej kuchni.
W końcu złapała planszę i walnęła nią Luke'a w głowę.
Nie zareagował.
Nie podniósł nawet ręki, żeby zatrzymać
222
uderzenie, tylko znowu rzucił mi to spojrzenie.
I matka jedostrzegła, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.
Chwyliła butelkę ketchupu stojącą na blacie i cisnęła mu nią w głowę.
- O Boże!
Patrzył na tę scenę z przeszłości, jakby oglądał film w telewizji i komentował akcję.
- Butelka odbiła się od głowy Luke'a i roztrzaskała na podłodze.
Wszędzie było pełno ketchupu.
Matka krzyknęła na Luke'a, żeby to posprzątał.
Wstał bardzo wolno.
Myślałem, że ją zabije, że w końcu to się stanie.
Ale on wziął kilka papierowych ręczników i zaczął sprzątać.
Robił to dopóty, dopóki nie zebrał wszystkich kawałków szkła i niewytarł najmniejszej nawet kropli

ketchupu z podłogi, ze stołu i ze ścian.

A matka stała i śmiała się z niego, wyzywając go głupichciot.

Kłęcząc na podłodze i nagle rzucił mi to swoje spojrzenie, czekając, że odpowiem tym samym.

A ja nie mogłem.

Czułem doniego takie obrzydzenie, takim było wstyd za niego, takim byłam na niego zły za to, że jej nie zabił, że myślałem, iż chwilę wybuchnę.

Chcesz wiedzieć, co zrobiłem?

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego tymi cudownymi niebieskimi oczyma, które mówiły mu, że wszystko w porządku, że rozumie.

Nawet jeżeli on nie rozumiał.

- Nazwałem go głupią ciotą i wybiegłem z kuchni.

Mattie nie spuściła wzroku, tylko łzy zaczęły jej płynąć popoliczkach.

- A matka wybuchnęła śmiechem - ciągnął, wciąż słysząc w tym jej zwycięskim rechocie dowód własnej zdrady.

- Wybiegłem z domu prosto w deszcz i pędziłem tak, dopóki nogi nie odmówiły mi posłuszeństwa. Potem schowałem się w lesie, aż przestało padać i zrobiło się ciemno.

Kiedy wróciłem, wszyscy już spali.

Poszedłem do pokoju Luke'a, by go przeprosić i powiedzieć, że to nie na niego byłem wściekły, nie jego się wstydziałem, nie do niego czułem odrazę, lecz do siebie samego za to, że nie zabiłem matki.

Ale go nie zastałem.

Siedziałem i czekałem na niego, ale nie wrócił.

- Wstrzymał oddech, po czym wypuścił powietrze.

- Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że pojechał stopem do miasta, upił się, ukradł łódkę i rozbił ją oczyszczając przystań.

Zginął na miejscu.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy było wypadek, czy nie.

223.

- Boże, Jake, współczuję ci.
- Poślubiłaś fajnego faceta, co?
- Miałaś wtedy szesnaście lat.
- Wystarczająco, by to przewidzieć.
- Skąd mogłeś to wiedzieć?
- On nie żyje i nic tego faktu nie zmieni.
- Aco się stało z Nicholasem?
- spytała, ocierając łzy.
Stanął mu przed oczami chłopak o smutnych oczach, którego nie widział od ponad piętnastu lat.
- Nick zaczął pić, brać narkotyki, wyrzucili go ze szkoły.
Miał parę konfliktów z prawem, spędził jakiś czas w więzieniu, wyprowadził się z miasta i przepadł jak kamień w wodę może dziesięć lat temu.
Niemam pojęcia, gdzie teraz jest.
- Próbowaleś go odnaleźć?
Pokręcił głową.
- A po co?
- Dla spokoju ducha - odpowiedziała.
- Myślisz, że na to zasługuję?
- Myślę, że tak.
Znowu poczuł łzy pod powiekami.
Czy Mattie musiała być tak cholernie domyślna?
Rozejrzała się za kelnerem.
Co się, u diabła, dzieje?
Czy to tak trudno przygotować dwie porcje makaronu?
- Wkrótce po śmierci Luke'a ojciec odszedł z jedną z swoich przyjaciółek
- podjął powieść.
- Zmarł na raka kilkanaście lat temu.
Matka powiedziała, że rzuciła na niego kłutwę, w końcu przez chwilę niewątpiłem, ale i ją musiała dosięgnąć, bo również zmarła na raka, kiedy byłem na pierwszym roku prawa.
- Urwał i zaśmiał się głośno.
Lepsze tonię płacz.
- Noto już wiesz - powiedział, przybierając prawniczy ton.
- Otocła plugawa historia.
- I przetrze wszystkie lata nosiłeś się z poczuciem winy.
- Zasłużyłem sobie na nie, nie sądzisz?
Pokręciła głową.
- Myślę, że rozpamiętywanie winy to strata czasu.
Poczuł gniew, lecz nie bardzo wiedział dlaczego.
- A więc co miałbym z nią zrobić?
- Pozbyć się jej - odparła.
- Tak po prostu?
- Chyba że lubisz się torturować.
224
Gniew zapłonął terazze zdwojoną siłą, tłumiąc przyjemnym szum w głowie.
- Myślisz, że lubię czuć się winny?
Zawahała się i spuściła wzrok.
- Nie sądzisz, że wykorzystywałeś poczucie winy, by kurczowo trzymać się Luke'a?
- spytała cicho.
- To kompletne brednie!
- warknęła, zaskakując ostrościami nie tylko Mattie, lecz samego siebie.
Oczym onamówi?
Cóż to za nowomodny szajs mu tu prezentuje?
Jak ją ona śmie?
Kto jej dał do tego prawo?
Za kogo ona, do cholery, się uważa, za nowego Jamesa Joyce'a?

Niech jąszlag!

- Przepraszam - rzekła szybko.
- Nie chciałam cię zdenerwować.

Po prostu próbowałam ci po-po-poc.

Zobaczył, jak usta Mattie walczą z dziwnym wyrazem.

Natychmiast zapomniał o gniewie.

- Mattie, co się dzieje?

-Ni-i.

Dostrzegł w jej oczach rosnącą panikę.

Nie powinien na nią warczeć.

Cholera!

To wszystko jego wina.

- Chcesz trochę wody?

Kiwnęła głową i wzięła od niego szklankę.

Ręka tak jej się

trzęsła, że musiał jej pomóc.

Piła delikatnie, ostrożnie przełykając.

- Już dobrze - powiedziała wolno, po nieskończeniu długiej wili.

Nie wyglądała najlepiej.

Sprawiła wrażenie zawstydzonej i przerażonej, jak kobieta stojąca przed swoim prześladowcą.

- Chcesz wyjść?

Skinęła twierdząco głową.

W tej chwili zjawił się kelner z zamówionymi potrawami.

- Niestety, musimy już iść.

Jake rzucił studencki banknot w sam środek parujących pierożków ravioli, pomógł Mattie wstać i szybko skierował się do wyjścia, odprowadzani zaskoczonym wzrokiem kelnera.

- Jake!

Jake!

- posłyszał za sobą zgodny chór głosów, w chwili gdy podawał numerek szatniarce.

- Chyba nie chcesz wyjść bez przywitania.

225.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Głupim i Głupszym, znanymi lepiej jako Dave Corber i Alan Peters.

- Przepraszam, moja żona źle się poczuła.

Panowie obrzucili Mattie podejrzliwym spojrzeniem.

Pewnie pamiętali jej niesławny wybryk sądzie i plotki, które krążyły po firmie na temat małżeństwa Jake'a.

- Chyba nie mieliśmy przyjemności poznać pani.

Dave Corber pochwycił dłoń Mattie, w chwili gdy wkładała rękę do rękawa palta.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Ma-Mor-Mana.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

- Naprawdę musimy już iść - uciał Jake, biorąc Mattie pod rękę iczując, jak drżypod grubą wełnianą jesionką.

- Ta pani ma chyba drobny problem z alkoholem - postyszał głośny szept Alana Petersa.

Odwrócił się zanim zdążył się zastanowić, co robi, chwycił zaskoczonego adwokata za gardło, unosząc jego krótkie nóżki nad podłogę.

Blade oczy mężczyzny wyszły z orbit, a okrąglatwarz zrobiła się czerwona.

- Coś ty powiedział?

- spytał Jake, słysząc wokół siebie okrzyki zaskoczenia gości i szuranie odsuwanych krzesel.

- Czy wiesz, jaki z ciebie kretyn?

Zaduszę cię, sukiny!nu!

- Ratunku!

- krzyknął Alan Peters głosem przypominającym rechot żaby.

- Jake, co ty robisz?

Na litość boską, puść go!

- wrzasnął Dave Corber.

- Niech ktoś wezwie policję.

Jake poczuł czyjeś ręce na plecach, biodrach, ramionach, próbujące zmusić go do puszczenia krótkiej szyi Alana Petersa.

- Jake, on nie może oddychać!

Puść go!

Co ty robisz?

- zawołał Dave Corber.

Twarz miał równie czerwoną jak kolega.

Potem usłyszał najpierw cichy niepokony, a chwilę później silniejszy i bardziej wyraźny głos Mattie.

- Jake!

Puść go.

Proszę cię, puść go.

Natychmiast zwolnił uścisk i patrzył, jak Peters osuwa się na podłogę.

Nie zwracając uwagi na krzyki dwóch żon i zaskoczone głosy zgromadzonych wokół widzów, odwrócił się, objął Mattie ramieniem i wyprowadził z restauracji.

226

25

- Jake, masz chwilę czasu?

Brzmiało to raczej jak polecenie niż prośba.

- Oczywiście.

- U mnie w gabinecie - powiedział Frank Richardson i odłożył słuchawkę, zanim Jake zdążył zapytać, w jakiej sprawie.

Zresztą nie musiał pytać.

Wszyscy w biurze wiedzieli.

I w całym budynku też.

Pewnie już cała brać adwokacka mówiła o tym, co zdarzyło się w piątek "Impaście".

Jeden adwokat rzucił się na drugiego we włoskiej restauracji - pojedynek rewolwerowców.

Jednym z nich był sam wielki obrońca, Jake Hart.

Plotka mówiła również o żonie.
Była tak pijana, że miała trudności z mówieniem.
Bełkotała coś niezrozumiale.
Niepotrafiła nawet powiedzieć swojego nazwiska.
Nie ma czemusię dziwić.
Czyż to nie ona wywołała tę scenę w sądzie?
Czyż to nie ona upiła się rozbiła samochód?
Wkrótce potem Jake opuścił ją dla przyjaciółki.
Zawsze kombinował coś na boku.
Może o to właśnie posprzeczali się w restauracji.
Może dlatego tak piła.
Biedny Alan Peters!
Chciał się tylko przywitać.
Wciąż ma na szyi ślady palców Jake'a.
Biedak jest cały w siniakach.
Przez tydzień nie mógł mówić.

Jake odłożył prospekt reklamujący hotel Danielle, usytuowany w samym środku Dzielnicy Łacińskiej, na stosik innych, które zbierał od tygodni, i wstał zza biurka.

Zapiął marynarkę oliwkowozielonego garnituru, wygładził nieistniejące fałdy na żółto-zielonym krawacie, odetchnął głęboko, otworzył

drzwi i wyszedł do hallu.

- Będę u Franka Richardsona, gdyby ktoś mnie szukał - poinformował sekretarkę.

- Masz spotkanie za dwadzieścia minut z Cynthią Broome - przypomniała mu.

- Czy ją znam?

Jak mógł o tym zapomnieć?

- Nie.

To jej pierwsza wizyta.

Z ulgą kiwnął głową, po czym ruszył długim korytarzem, patrząc lekceważąco na wiszące na ścianach pejzaże i kwiaty.

227.

Odkąd zaczął odwiedzać z Mattie różne galerie, nauczył się rozróżniać prawdziwą sztukę od dekoracyjnej".

Przedtem nieinteresowałam się malarstwem.

Uważał, że to strata czasu, oderwanie od naprawdę istotnych spraw.

Bo jak różnica mogła istnieć między impresjonizmem a ekspresjonizmem, klasycyzmem a kubizmem, między Monetem a Mondrianem, Dalim a Degasem?

Zaśmiał się.

Ogromna - pomyślał, czując na plecach śledzące go oczy.

Na co się gapicie?

- miał ochotę krzyknąć, mijając zawałone papierami biurka sekretarek.

Niech mają z tego jakąś satysfakcję.

Ale nic nie powiedział, udając, że nie dostrzegając ośliwych uśmiezków i głośnych szeptów zaplecami, kiedy zniknął za rogiem, zmierzając na sam koniec korytarza.

- Cynthia Broome - powiedział głośno kilka razy, usiłując przypomnieć sobie, kim była ta kobieta i czego od niego chciała.

Lepiej, żeby nie była dziennikarką i miała jakąś prostą sprawę, nie wymagającą większej uwagi.

Przez cały tydzień miał kłopoty z koncentracją.

Pewnie dlatego, że w każdej chwili oczekiwał nadejścia policji, która wpadnie do jego gabinetu, przeczyta mu prawa i aresztuje za obrazę członka palestry.

- Powinieneś do niego zadzwonić i przeprosić.

- Mattie suszyła mu głowę przez cały tydzień.

Nie miała już kłopotów z mówieniem.

- Nie ma mowy - powtarzał z uporem.

Nie będzie przeproszał jakiegoś jajogłowego palanta, który obraził jego żonę.

Ten dupek miał dość rozumu w głowie, by trzymać się od niego z daleka.

Gdyby wpadł na niego nakorytarzu, nie wiadomo, co mogłoby się stać.

Jeszcze teraz czuł przyjemny ucisk palców na grubej szyi.

Oczywiście Mattie musiał przeprosić i robił to przy każdej okazji.

- Zachowałem się jak palant - przyznał.

- To wszystko moja wina - odparł natychmiast.

- Nie powinienem bawić się w psychologa amatora.

- Powiedziałeś, że wykorzystuję moją winę po to, by kurczowo trzymać się Luke'a.

Czy naprawdę tak myślisz?

- Nie wiem - odrzekła.

Co to właściwie miało znaczyć?

Zatrzymał się nagle.

Jak ona mogła to zrobić?

Otworzyć wielką puszkę z robactwem,

228

a potem ją wyrzucić i pozwolić, by robactwo wypełzło z bezpiecznej ciemności w jasność dnia?

Skręcił do najbliższej męskiej toalety i z ulgą stwierdził, że jest pusta.

Kobiety zawsze poszukują jakiegoś głębszego sensu tam, gdzie go nie ma - pomyślał, patrząc na siebie w wielkim lustrze nad zieloną marmurową umywalką.

Ze zdumieniem stwierdził, że sprawia wrażenie niezwykle spokojnego i opanowanego.

Zapytał faceta, dlaczego lubi sport, odpowie, że lubi.

Jeśli zacznie szdrążyć głębiej, okaże się, że gość naprawdę lubi sport.

Ale kobiety nie przyjmują tego do wiadomości.

Dlatego Mattie nie wystarczało, że czuł się winny za pozostawienie brata i doprowadzenie go do śmierci.

Przez te wszystkie lata trzymał się kurczowo wyrzutów sumienia po to, by mógł trzymać na wodzy wszystkie inne emocje.

Dopóki czuł się winny, nie musiał o niczym myśleć.

Na nic innego nie było już miejsca, bo winą była to do siebie, że sypiała nabok inne uczucia.

Ochlapał twarz zimną wodą.

Mattie nie mówiła nic o wykorzystaniu winy do tego, by unikać innych emocji.

No i koteraz bawi się w psychologa amatora?

- pomyślał gniewnie, otwierając z impetem drzwi do łazienki.

Uderzyły wścianę, o mały włos nietrafiając specjalisty od prawa podatkowego.

- Przepraszam - powiedział Jake wystraszonemu adwokatowi, który szybko zszedł muz drogi.

Coraz lepiej wychodząmi te przeprosiny - stwierdził w duchu.

Gabinet Franka Richardсона zajmował południowo-wschodni narożnik trzydziestego pierwszego piętra i był jak dotąd największym i najładniejszym pomieszczeniem w firmie.

Świetnie też nadawał się na siedzibę jednego z założycieli kancelarii.

Jego sekretarka, Myra King, sześćdziesięciosiedmioletnia kobieta, miała prawie tyle samo lat co jejszef.

Czekała przeddrzwiami jego gabinetu, by wpuścić Jake'ado środka.

- Witam cię, Myro - rzekł, mijając ją w drzwiach.

- Dzień dobry, panie Hart - odpowiedziała, zamykając drzwi i wracając za biurko.

Frank Richardson stał przy oknie, udając, że patrzy na ulicę.

Był mężczyzną średniego wzrostu i wagi, z resztkami siwych włosów na skroniach.

Miał przeciętny profil, zbyt wypukłe czoło, słabozarysowany podbródek i zbyt płaski nos.

Jednak

229.

wszystko się zmieniało, gdy odwracał się twarzą do rozmówcy.

Czuło się wtedy jego nieprzeciętną inteligencję, ukrytą zaciemnoorzechowymi oczami, które dominowały w twarzy sprawiały, że zapominało się o wszystkich niedociągnięciach natury.

- Witaj, Jake - powiedział ciepło, wskazując na jeden z głębokich czerwonych foteli w końcu gabinetu, otaczających mały stolik.

Wprzeciwległym rogu gabinetu stało wielkie biurko w kształcie półksiężyca, zastawione zdjęciami dzieci i wnuków Franka.

Na ścianie za biurkiem wisiały oprawione w ramki dyplomy i listy pochwalne.

Jake pomyślał, że bardziej pasowałby tu jakiś duży obraz, coś śmiałego i dramatycznego w wyrazie, na przykład jedno z płócien Tony'ego Shermana, które oglądał z Mattiew zeszłym tygodniu, albo fotografia Rafaela Goldchaina.

Przydałyby trochę barwy i śmiałości nudnej ścianie.

Usiadł w jednym z foteli i wcale się nie zdziwił, gdy okazało się, że jest zbyt wygodny. Siadaj, ale nienadługo - mówiło, gdy Frank Richardson zajął miejsce obok.

- Podobno nie przyjąłeś sprawy Macleana - zaczął, nie tracąc czasu na następne grzeczności.

Najwyraźniej nie przepada za grą wstępną - ocenił Jake, przypominając sobie, jak ostatniej nocy język Mattie pieścił jego penis.

"Chcę wszystkiego spróbować" - powiedziała.

- Nie potłukę się - dodała.

- Nie traktuj mnie, jakbym był z porcelany".

- Jake!

- Oczy Franka rozproszyły jego myśli.

- Sprawa Macleana - powtórzył.

- Może zechcesz mi powiedzieć, dlaczego z niej zrezygnowałeś.

Zepchnął postać Mattie w głąb świadomości, daleko pozazasięg przenikliwego wzroku Franka.

- Ten dzieciak jest winny.

- Tak uważasz?

- spytał zaskoczony Frank.

- Nie sądzę, bym mógł mu zapewnić obronę, do jakiej ma prawo - oświadczył oschle Jake.

- Pozwól sobie przypomnieć, że ojciec tego dzieciaka to Thomas Maclean, założyciel i naczelny dyrektor jednego z najszybciej rozwijających się w stanie przedsiębiorstw pod nazwą Tanie Drogerie.

Wart jest miliony, nie mówiąc już o tym, że

230

ta sprawa jest na miarę twojego talentu.

Przez miesiące nie będzie schodziła z pierwszych stron gazet.

- Eddy Maclean i dwóch jego amerykańskich kolegów zgwałciło piętnastoletnią dziewczynkę.

- Według tego, co mówisz o chłopaku, dziewczyna wygląda na dwadzieścia i była wyjątkowo chętną uczestniczką.

- Chcesz powiedzieć, że zgodziła się na zbiorowy seks stosunek analny?

Frank, ja mam piętnastoletnią córkę.

- Twoja córka nie zaprosiła poznanego na zabawie chłopaka do sypialni.

- Złożył długie starannie utrzymane dłonie na kolanach.

- Czy powiedziałem coś śmiesznego?

- spytał, widząc, że Jake się uśmiecha.

- Nie, sir.

- Jake omal się nieroześmiał.

Kiedy ostatni raz wracał się do kogoś w ten sposób?

I dlaczego się uśmiecha, nalitość boską?

Starał się nie myśleć o tym, jak Mattie opowiadała mu o chudym młodzieńcu, skaczącym nago po pokoju córki.

- Doceniam twoje obiekcje, Jake, ale ta sprawa jest w sam raz dla ciebie i dobrze o tym

wiesz.

Wygrasz ją z zamkniętymi oczyma.

- Już ją oddałem Taupinowi.

- Maclean chce ciebie.

- Nie interesuje mnie to.

Frank Richardson wstał z fotela i podszedł do okna, znowu udając, że patrzy na ulicę.

- Jak tam w domu, Jake?

Awięc była to jednak gra wstępna - pomyślał z zadowoleniem Jake.

- Świetnie, sir - odpowiedział, czując się jak w wojsku.

- A twoja żona?

Poczuł, że coś ścisnął go w gardle.

- Dobrze - odrzekł, walcząc strunami głosowymi.

- Oczywiście poinformowano mnie o tym niefortunnym incydencie w piątkowy wieczór.

- Alan Peters pewnie nie mógł się doczekać, by donieść ci o wszystkich mrożących krew

w żyłach szczegółach.

; - Właściwie to nie - oznajmił Frank Richardson, zaskakującym Jake'a.

- To Dave Cober poinformował mnie o wszystkim.

Alannic nie powiedział.

Przypuszczam, że postanowił dać spokój całej sprawie.

231.

Jake odetchnął z ulgą.

- Pewnie uznał, że działałeś pod wpływem wielkiego stresu i masz w domu problemy, o których nic nie wiemy.

Jake podniósł się z fotela.

- Wolałbym sprawy prywatne zachować dla siebie.

To nie powinno nikogo obchodzić.

- Obchodzi mnie wszystko, co wpływa na opinię firmy.

- Wskazał na fotele.

- Usiądź, Jake.

Jeszcze nie skończyłem.

- Z całym szacunkiem, ale.

- Zachowaj dla siebie szacunek - przerwał mu Frank.

- Z doświadczenia wiem, że kiedy ktoś mówi: "z całym szacunkiem", to wcale go niema.

- Posłuchaj, Frank - powiedział Jake, zniżając głos.

- Trochę mnie poniosło w piątek i zachowałem się niewłaściwie.

Ale zapewniam cię, że to się nie powtórzy.

Czy powinien poinformować Franka o chorobie żony?

Mattie powiedziała wszystkim przyjaciołom, współpracownikom, a nawet niektórym klientom.

On nikomu.

Odmiesięcy dźwigał ten potworny ciężar i zaczynał już tracić siły i rozsądek, co z kolei wpływało na jego pracę, a nawet karierę.

Może gdyby zwierzył się Frankowi, pozbyłby się ciężaru.

- Jan Stephens mówił mi, że odmówiłeś udziału w Stowarzyszeniu Prawników - ciągnął

Frank, nieświadomy wewnętrznego monologu Jake'a.

- Nie bardzo mam na to czas, Frank.

- Czyżby?

Dano mi do zrozumienia, że masz teraz bardzo dużo czasu, że przez ostatnie pół roku znacznie ograniczyłeś godziny pracy, rzadko przychodzisz przed dziewiątą i częściej wychodzisz już o czwartej, nie mówiąc o tym, że od miesiąca cię nie widział w biurze w weekendy.

Czyżby się mylił?

- Pracuję w domu.

- Wiem też, że planujesz urlop w kwietniu - ciągnął, zbywając wyjaśnienie Jake'a lekkim uniesieniem brwi.

- Chciałbym, żebyś z niego zrezygnował.

- Dlaczego?

- Jak zapewne wiesz, w kwietniu odbędzie się w Chicago międzynarodowy zjazd prawników, a kancelaria Richardson, Buckley i Lang jest jednym z jego organizatorów.

Wszyscy wspólnicy biorą w tym aktywny udział.

232

- Ale ja nigdy nie brałem udziału w takich zjazdach.

- Najwyższy czas zacząć, nie sądzisz?

- Z całym szacunkiem.

- zaczął, po czym urwał.

- Obawiam się, że nie mogę zmienić planów, Frank - dokończył.

- Zechciałbyś powiedzieć dlaczego?

- Nie brałem urlopu, odkąd zacząłem tu pracować - powiedział, mając nadzieję, że usatysfakcjonuje to najstarszego wspólnika, lecz z góry wiedział, że nie.

- Złożyłem obietnicę.

Nie prosz mnie o to, bym ją złamał.

- Niestety, właśnie o to chcę cię prosić.

- Stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

- Trudne sytuacje to twoja specjalność - przypomniał mu Frank i podszedł do drzwi.

- Wkrótce masz zostać wspólnikiem.

Chyba nie chcesz tego przekreślić.

Porozmawiaj z Tomem Macleanem.

Wiem, że bardzo by chciał mieć cię poswojej stronie.

- Frank -zaczął Jake, gdy szef otworzył drzwi.

- Muszę cicoś powiedzieć.

Frank natychmiast zamknął drzwi i dał znak głową, żeczeka nadalszy ciąg.

- Chodzi o moją żonę - wyjaśnił Jake i odetchnął głęboko.

-Jest bardzo chora.

- Słyszałem o tym coś niecoś - przyznał Frank.

Na jego twarzy pojawił się rumieniec zakłopotania, rozświetlając głębokie zmarszczki pod oczami.

- Alkoholizm to bardzo podstępna choroba.

Twoja żona zasługuje na współczucie i pomoc.

Ale nie możesz pozwolić, by ściągnęła cię w dół.

Jest wiele dobrych klinik, dokąd mogłaby pojechać.

- Ona umiera.

Frank - wyrzucił z siebie Jake.

- Nie rozumiem.

-Ona nie ma problemu z alkoholem.

Choruje na coś, co nazywa się stwardnieniem bocznym zanikowym.

To choroba Lou Gehriga.

- Dobry Boże!

-Nie wiem, ile jej jeszcze zostało.

Poczuł ucisk w gardle i usłyszał, jak słowa eksplodują w jego ustach, wylatując niczym szrapnel w postaci fontanny łez, które popłynęły po policzkach.

Na litość boską, co się z nią dzieje?

233.

- Przepraszam - powiedział, widząc przerażenie w oczach Franka i próbując powstrzymać potok łez.

Ale one nie chciały przestać płynąć, chociaż robił, co mógł, by je opanować.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Czy naprawdę załamał się na oczach szefa?

Gdzie się podziała silna wola?

Dlaczego się tak cholernie rozkleił?

To prawda, przez ostatnie pięć miesięcy, odkąd zgodził się grać kochającego męża, bardzo się do siebie z Mattie zbliżyli.

Ale to była tylko gra.

On jedynie starał się uprzyjemnić kobiecie ostatnie chwile jej życia.

Przecież jej nie kocha.

Co się z nim dzieje?

Dlaczego tak się zachowuje?

Dlaczego wystawiana niebezpieczeństwo całą swoją karierę?

- Jeśli chodzi o tę konferencję w kwietniu.

- zaczął.

- Na pewno jakoś to załatwimy, Jake, nawet jeśli miałoby oznaczać przesunięcie twojego współdziałania w firmie o rok.

- Na pewno uda mi się zmienić plany.

- Odchrząknął, przykrywając dłońią.

- Możemy przecież przesunąć naszą podróż na maj lub czerwiec.

- To byłoby wspaniałe - przyznał Frank.

Twarz mu się rozluźniła, lecz oczy pozostały czujne.

- Skontaktuję się z Tomem Macleanem.

Na pewno coś wymyślimy.

- On czeka na telefon od ciebie - rzekł Frank, jakby nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Jake odetchnął głęboko i zmusił się do uśmiechu.

- Dziękuję - odparł, chociaż nie bardzo wiedział, za co dziękuje temu człowiekowi.

Może za przywrócenie właściwego porządku priorytetom?

- Dziękuję, że do mnie wpadłeś - powiedział Frank.

- 1 proszę, przekaz żonie najszczęśliwsze życzenia.

- Cholera!

Niech to szlag!

- mruknął, wchodząc do sekretariatu.

Co on teraz zrobi?

Jak powie Mattie, że nici z podróży, nawet jeśli tylko chwilowo?

Czy najdzie odpowiednią słowami, które złagodzą cios i zrekompensują rozczarowanie?

Co on jej powie?

Że nie mógł tego przewidzieć?

Że są pewne okoliczności łagodzące?

Że mogą przecież pojechać w maju?

Miesiąc później nie zrobi różnicy.

Mattie zrozumie kłopotliwe

234

położenie, w jakim się przez nią znalazł.

Przecież nie chce niszczyć mu kariery.

Ale to właśnie robiła.

Godząc się na udział w tym pozornym małżeństwie, nie zamierzał poświęcać wielu lat ciężkiej pracy.

Najwyższy czas spojrzeć na tę sprawę z właściwej perspektywy i wrócić na drogę, którą wcześniej podążał.

Oto do czego doprowadza udawanie!

Czas wrócić do realnego świata.

Mattie musito zrozumieć.

- Cynthia Broome już czeka - poinformowała sekretarka.
- W twoim gabinecie - dodała, gdy siedząca tam na fotelu kobieta uśmiechnęła się do Jake'a.
Poczuł, że zapieramu dech w piersi.
- Czy napije się pani jeszcze kawy?
- spytała sekretarka.
- Nie, dziękuję.
- Jestem za drzwiami, jeśli zmieniałaby pani zdanie - oznajmiła, po czym zamknęła drzwi.
- Jake patrzył, jak kobieta wstaje z fotela.

Burza rudych loków okalała krągłą twarzyczkę, a spod granatowego swetra wystawał biały jedwabny kołnierzyk.

Co ona tutaj robi?

- Planujesz podróż?
- spytała Honey, wskazując na prospekty reklamowe leżące na jego biurku.
- Słyszałam o tym hotelu Danielle.

Podobno jest wspaniały.

- Honey, co ty tu robisz, u diabła?
- Przez jej twarz przemknął rumieniec zakłopotania, wyzwania i nadziei.
- Chciałam się z tobą zobaczyć.

Nie potrafiłam wymyślić nic innego.

- Kim, u diabła, jest Cynthia Broome?
- Bohaterką mojej powieści.

Uśmiechnęła się i podszedł do niej.

- Przepraszam, że nie zatelefonowałam przez cały tydzień.
- Nic się nie stało.
- Miałem urwanie głowy.
- Rozumiem.

Wiem, jaki jesteś zajęty.

- Co u ciebie?
- spytał.
- W porządku.

A u ciebie?

- Też.
- Zaśmiała się niepewnie.
- Tylko posłuchaj.

Jeszcze chwila, a zaczniemy mówić o pogodzie.

235.

- Honey.

- Jason - uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

Skurczyłeś wewnątrznie nadźwięk swego imienia.

- Wspaniale wyglądasz.

- Codziennie chodziłam na siłownię w nadziei, że cięspotkam.

- Całe wieki nie byłem wsilowni.

Przepraszam.

- Nie musisz.

Chyba zrzuciłam parę kilo.

- Usiłowała się roześmiać, lecz zabrzmiało to raczej jak płacz.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam.

- Ja też za tobą tęskniłem.

- Naprawdę?

Naprawdę tęsknił?

Przecież zepchną ją tak daleko w głąb pamięci, że przez cały tydzień nawet o niej nie pomyślał.

Odsunęła z twarzy niesforne włosy.

- Zastanawiam się, czyby ich nie obciąć - powiedziała.

- Nie rób tego.

- Nie wiem.

Myślę, że czas nazmiany.

- Kocham twoje włosy.

- A ja kocham ciebie - rzekła łzami w oczach.

- Cholera, obiecałam sobie, że nie będę płakać.

- Przełknęła łzy, odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się z trudem i uniosła brodę.

- Jak teraz?

- Znacznie lepiej.

Zaśmiali się cicho.

- Miałabym ochotę się przytulić - powiedziała.

- Honey.

- Tylko nachwilę.

Chcę się upewnić, że nie jesteś wymysłem mojej wyobraźni jak Cynthia Broome.

Przecież to nic takiego - pomyślał, biorąc ją ramiona.

- Boże, takimi tego brakowało - szepnęła, unosząc ku niemu twarz i dopraszając się pocałunku.

Czuł się dziwnie, trzymając ją w objęciach.

W przeciwieństwie do Mattie była niska, okrągłata, gdzie Mattie płaska, pulchna w miejscach, gdzie Mattie szczupła.

Odzwyczyił się od niej.

Nie potrafił już dopasować się do jej ciała.

Mattie bardziej do niego pasowała - pomyślał, przyciągając Honey bliżej.

- Kocham cię - szepnęła Honey.

236

Wiedział, że ona czeka na taką samą deklarację z jego strony.

Dlaczego nie mógł tego powiedzieć?

Przecież ją kochał.

Czyż nie opuścił dla niej żony i córki?

Wrócił do domu tylko dlatego, że Mattie zachorowała.

Zgodził się niewidzieć z Honey, by uszczęśliwić Mattie, bo nie widując jednej, mógł zająć się drugą.

Miał zamiar wrócić do Honey, jak tylko skończy się to straszne zamieszanie.

Lecz czy naprawdę?

Co się z nim dzieje?

Omały włos nie zniszczył sobie kariery, a mógł stracić Honey.

Wszystko przez to, że pozwolił, by mała gra w udawanie wymknęła się spod kontroli.

Rozmowa Frankabył czymś w rodzaju dzwonka alarmowego, a nieoczekiwane pojawienie się

Honey przypomniało mu to wszystko, co mógł stracić, gdyby pozwolił, by ta gra go przerosła.

Spojrzał na Honey.

Wpatrywała się w niego brązowymioczymi, upstrzonymi złotymi plamkami.

Błyszczały w nichły.

Okazała mutyle cierpliwości, tyle zrozumienia i tak byłomuz nią dobrze.

Przywarł do jej ust i zacisnął dłonie napośladkach,wyobrażając sobie jej ponętny tyłeczekpod szorstkimateriałem spodni.

- Och, Jason-jęknęła, wsuwając mu ręcępod marynarkę.

-Zamknij drzwi - poprosiła, wyciągając bluzkę ze spodni i kładąc sobie jego dłonie na piersiach.

Całowała go takzachłannie,jakby chciałapełknąćcałego.

- Zamknij drzwi - powtórzyła,kierując go ku kanapie w rogu pokoju.

Tobyłoby takie łatwe.

Zamknąćdrzwi i powiedzieć sekretarce,że niema go dla nikogo, ani dla współników, ani dla klientów, ani dla żony.

Dla żony - pomyślał, kiedypoczuł w ustach język Honey.

Czymógł zrobić to Mattie?

Nie dość, że złamał obietnicę,musiał jeszcze łamać jej serce?

"Boże, Mattie, nigdy nie chciałem, byśczuła się źle".

"Mam wnosie twoje chęci.

Ja pragnę,byś mnie pożądał,był mi wierny,kochał mnie".

Przecież się otym nie dowie - pomyślał, scałowując lżyz oczu Honey, inagle zobaczył twarz Mattie.

Dowie się, tak jak zawsze sięo wszystkim dowiadywała.

- Niemogę - powiedział i opuścił ręce.

-Jason, proszę.

237.

- Nie mogę.

Przepraszam.

Nic nie powiedziała, tylko dolna warga zaczęła jej drżeć, a oczy niespokojnie obiegały pokój.

Pochylił się i ukrył twarz w jej miękkich lokach.

Były takie inne od delikatnych i jedwabistych włosów Mattie.

Poczuł dobrze znany zapach papierosów.

- Myślałem, że rzuciłaś palenie - szepnął.

- Nie mogę rzucać wszystkiego naraz - odparła z mieszaniną rezygnacji i rozpaczony w głosie.

- Poza tym czytałam o pewnym eksperymencie: wzięło w nim udział dwieście osób, z których sto paliło.

Wieszco?

Wszyscy zmarli.

Uśmiechnął się.

Dobrze było ją zobaczyć.

Naprawdę mu jej brakowało.

- A mówiąc o śmierci, to jak się czuje Mattie?

- spytała i gwałtownie wciągnęła powietrze.

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

Proszę, wybac mi, Jasonie.

Ja tak nie myślałam.

Nie wiem, co mniemasz.

Przepraszam.

Boże, to było okropne!

Jak mogłam powiedzieć coś tak potwornego?

- Nic się nie stało - zapewnił ją, lecz w głowie mu huczało.

Jak ona mogłaby być tak nie delikatna?

- Wiem, że tak niemyślałaś.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- To dobrze, boszczerze mówiąc, nie jestem pewna - przyznała z oczami pełnymi łez.

- Co?

- Boję się, Jasonie.

Coś okropnego się ze mną dzieje.

- Nie rozumiem.

- Ani ja.

Właśnie to mnie przeraża.

- Dobrze się czujesz?

- To nie ma nic wspólnego ze zdrowiem - warknęła.

- Nie każdy cierpi na nieuleczalną chorobę.

Boże, znowu.

Widzisz?

Zmieniam się w potwora.

- Nie jesteś potworem.

- Nie?

To kim?

Nic innego nie robię, tylko czekam na czyjąś śmierć, modłę się czyjąś śmierć.

Cóż mógł nato powiedzieć?

- Czy wiesz, jak to jest kłaść się co wieczór do łóżka z na238

dzieją, że zadzwonisz rano i powiesz, że Mattie nie żyje?

Boże, czasami nienawidzę samej siebie.

- Tak mi przykro.

- Tak się boję ciebie stracić.

- Nie stracisz mnie - zapewnił, dziwiąc się, że zabrzmiało tak nieprzekonująco, nawet dla niego.

- Już cię straciłam.

- Podeszła do biurki wzięła do ręki prospekty reklamowe.

- Kwiecień w Paryżu.

Cóż za uroczy, romantyczny pomysł.

Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

A może chciałeś wysłać mi kartkę?

- To tylko pomysł.

Nie sądzę, by coś z tego wyszło.

Cisnęła prospekty naburkoczo.

- Jestem zazdrosna.

Zazdrosna o umierającą kobietę.

- Nie ma powodu, byś była zazdrosna.

Wiesz, dlaczego wróciłem do domu.

Zgodziła się na to.

- Zgodziłam się wycofać, a lenie zniknąć z twojego życia.

- Pokręciła głową.

Rude loki zawirowały wokół jej twarzy.

- Chyba dłużej tego nie zniosę.

- Honey, proszę cię.

Gdybyś mogła jeszcze trochę wytrzymać.

- Sypiasz z nią?

- Co?

- Czy sypiasz ze swoją żoną?

Rozejrzał się bezradnie po pokoju, czując zbliżający się ból głowy.

To było gorsze od kłótni w restauracji, gorsze od rozmowy z Frankiem.

- Nie mogę jej zostawić, Honey.

Przecież wiesz.

- Nie o to pytam.

- Wiem.

Czekał, aż powtórzy pytanie, ale nie zrobiła tego.

Uśmiechnęła się z trudem, otarła łzy i wcisnęła bluzkę w spodnie.

Potem wyprostowała się, głęboko odetchnęła i podeszła do drzwi.

- Honey!

- zawołał za nią, lecz już jej nie było.

239.

Mattie siedziała przy kuchennym stole z podręcznikiem dofrancuskiego i patrzyła przez oszklone drzwi na podwórze.

Siedziała tak już ponad pół godziny, o czym informowały ją dwa wiszące na przeciwległych ścianach zegary.

Zadziwiająco, ile czasu można spędzić, nie robiąc absolutnie nic - nieruszając się, nie mówiąc i prawie nie oddychając.

Nie jest tak źle - pomyślała, usiłując wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy tak bez ruchu stanie się faktem, a ona całymi godzinami, dniami, tygodniami, może nawet latami, nie zdoła wykonać najmniejszego ruchu, wypowiedzieć słowa, a może i głębiej odetchnąć.

- O Boże!

- westchnęła, czując wzbierający w piersi strach.

Nie dopuści do tego.

Niemogła jednak zaprzeczyć, że z każdym dniem słabła coraz bardziej, jakby mięśnie powoli się kurczyły.

Przypominały podziurawione małymi gwoździkami opony, z których, podobnie jak z niej, uchodziło życie.

Kiedy szła, szurała nogami, jakby ciągnęła za sobą stalowe belki.

Co zaś się tyczy rąk, to bywały dni, gdy nie potrafiła zacisnąć pięści.

Czasami miała kłopoty z przetykaniem i swobodnym oddychaniem.

Coraz częściej z palców wypadały jej pióra, niemogła zapiąć guzików, nie kończyła zdań i nie miała apetytu.

Starła się nie tracić optymizmu, pamiętając o ostatnich cudach w medycynie.

Pewien genetyk z Montrealu ogłosił, że potrafi zwolnić proces ŚLA u sześćdziesięciu pięciu procent myszy.

Teraz kiedy wyodrębnili gen, odpowiadający za tę chorobę, będzie można przetestować lekarstwa, które ten gen uaktywni po to, by zaczął wytwarzać więcej białka potrzebnego dozwolenia procesu choroby.

Wiedziała jednak, że bez względu na to, jak szybko by pracowali, dla niej jest już za późno.

- Dajcie mi tylko Paryż - szepnęła, wracając do nauki francuskiego.

Jak ona sobie poradzi w Paryżu?

Kartki książki wysunęły się z palców i zatrzymały na pierwszej stronie.

Czy będzie mogła chodzić po uroczych, brukowanych kocimi łbami uliczkach Dzielnicy Łacińskiej?

Jak zdoła wspiąć się po schodach Montmartre'u?

Czy będzie miała dość siły na obejrzenie wspa

niałych skarbów Luwru, Grand Palais, Ouay d'orsay?

Czy nie zaszkodzi jej różnica czasu?

Jak niesie zmęczenie spowodowane zmianą stref czasowych?

A co z długim lotem?

Lisa ostrzegła, że samolot może wywołać nasilenie się dolegliwości.

Czy zdoła to znieść?

Da sobie radę.

Jake kupił jej laskę, a ona zgodziła się, że na lotnisku w Chicago i w Paryżu będzie poruszać się na wózku.

Będzie miała pigułki nasenne, riluzoli zaufaną buteleczkę z morfiną.

Kiedy poczuje się zmęczona, odpocznie.

I przyniesie do tego.

Może nawet zafunduje sobie jeden z takich trzykołowych pojazdów pędzących po ulicach Paryża, o których mówiła Lisa.

Rozległ się dzwonek telefonu.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zostawić tego automatycznej sekretarce, w końcu jednak uznała, że może to Kim lub Jake.

Ostatnio rzadko widywała córkę.

Po szkole Kim jeździła do babci opiekować się swoim nowym pupilkiem, podczas gdy była tyłu, by oddzielić go od matki.

Jeśli chodzi o Jake'a, to najwyraźniej coś go trapiło.

Zastanawiała się, kiedy jej otym powie.

- Lepiej odbiorę - postanowiła i ruszyła wolno do telefonu.

- Halo?

- Pani Hart?

- Przy telefonie.

Kobięcy głos z drugiej strony słuchawki brzmiał zupełnie obco.

- Mówi Ruth Kertzer z biura Ton/ego Grahama z kancelarii Richardson, Buckley i Lang.

Mattieusiowała jakoś zapanować nad tą masą nazwisk.

Dlaczego dzwonią do niej z firmy męża?

Czy coś się stało z Jakiem?

- Pan Graham zajmuje się organizacją kolacji, jakie niektórzy wspólnicy będą wydawać w czasie międzynarodowego zjazdu prawników w Chicago w przyszłym miesiącu, i chciałby ustalić z panią kilka ewentualnych terminów.

Oczywiście kobieta mówi?

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

- Pan Graham sądzi, że byłby to miły gest z naszej strony, gdybyśmy zorganizowali kilka małych przyjęć w prywatnych

241.

domach dla dwunastu, czternastu osób, zamiast większego, bardziej oficjalnego w restauracji czy hotelu.

Nazwisko panimęża jest na liście osób, które będą organizować taką kolację.

Oczywiście firma pokrywa wszystkie koszty.

Czy mąż niewspominał pani o tym?

Najwidoczniej zapomniał - pomyślała, zastanawiając się, czy to właśnie trafiło Jake'a.

Jak ona da sobie radę z taką liczbą obcych osób w domu?

Musi jakoś sobie poradzić.

Prawdę mówiąc, trochę jej to pochlebiało.

Jake do tej pory niegodził się na jej udział w pracach firmy, jednak ten nowy Jake uznał, że prosta temu zadaniu.

Bardzo ją to ucieszyło i dodało optymizmu.

- Kiedy ma być to przyjęcie?

- Zjazd trwa od czternastego do dwudziestego kwietnia.

A kolacje.

- To niemożliwe.

Nie będzie nas między dziesiątym a dwudziestym pierwszym kwietnia.

- Nie będzie państwa?

Ale pan Hart ma prowadzić jednoz seminarium.

- Co?

- Mattie zagryzła dolną wargę.

- To niemożliwe.

- Rozmawiałam z nim o tym - powiedziała Ruth Kertzer.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Czy mogę do pani oddzwonić w tej sprawie?

- Naturalnie.

Mattie odwiesiła słuchawkę bez pożegnania.

O co tu chodziło?

Jake niewspominał o żadnym zjeździe w kwietniu, a odmiesiocy przygotowawali się do wyjazdu do Paryża.

Prawdopodobnie zaszła pomyłka.

Nie ma się czym denerwować - uspokajała się, czując, jak serce zaczyna jej walić.

Ta głupia babachyba pomyliła daty.

Zjazd ma być pewnie w maju, a jeśli w kwietniu, to dopiero za rok.

Przecież zawsze planuje się takie sprawy z kilkuletnim wyprzedzeniem.

Jake nie mógłby wycofać się z danej obietnicy, zwłaszcza teraz, gdy do wyjazdu pozostało zaledwie kilka tygodni.

Nie, nie zrobiłby jej tego.

Dawny Jake, tak.

Ten zimny, daleki, zamknięty w sobie mąż, który pracę cenił wyżej niż rodzinę, wyżej niż wszystko.

Temu nowemu Jake'owi nawet by do głowy nie przyszło, by w ostatniej chwili zrezygnować z planów.

Dawny Jake niezastanawiałby się, że rani jej uczucia czy psuje wakacje.

Ale

242

dawny Jake oszczędził kilka miesięcy temu.

Jake, który zajął jego miejsce, był troskliwy, miły i wrażliwy, słuchał jej, zwierzał się, rozmawiał z nią i śmiał się.

Stał się mężczyzną, któremu mogła powierzyć swoje uczucia, na którym mogła polegać, którego mogła pokochać i który mógłby ją pokochać.

- To niemożliwe - powtórzyła, podniosła słuchawkę pomagając sobie obiema rękami wystukała numer jego prywatnej linii.

- O co chodzi, Mattie?

- spytał bez wstępow Jake.

Posłyszała w jego głosie cień dawnego zniecierpliwienia i zastanawiała się, czy jej się to nieprzewidziało.

Może przeszkodziła mu w jakimś ważnym spotkaniu.

- Miałam kłopotliwy telefon - wyjaśnił bez owijania w bawełnę.

- Jaki telefon?

Od Lisy?

- Nie, nic z tych rzeczy.

- Dotyczący Kim?

Znowu coś jej wpadło do głowy?

- Od Ruth Kertzer.

Zaległa cisza.

- Od Ruth Kertzer z biura Tony'ego Grahama - dodała, chociaż przedłużając się cisza świadczyła, że on dokładnie wie, kto to jest.

Cisza była tak ciężka, że Mattie czuła jąw rękach.

- Czego chciała?

- spytał w końcu.

- Chciała ustalić ze mną kilka terminów.

- Jakich terminów?

Wyglądał na szczerze zaskoczonego.

Czy to możliwe, żeby nie wiedział, żebyta cała sprawa była nieporozumieniem, żeby Ruth Kertzer pomyliła daty albo osoby?

- Podobno w kwietniu ma być w Chicago jakiś wielki jazd - zaczęła, czekając, że za chwilę będą się śmiać z niekompetencji sekretarki.

Jednak mówiąc te słowa, czuła, że krew odpływa z twarzy Jake'a, i domyśliła się, że Ruth Kertzer nie pomyliła ani dat, ani osób.

- Podobno mamy wydać jedną kolację - dokończyła cicho i wstrzymała oddech.

- Nic jeszcze nie zostało postanowione - padła enigmatyczna odpowiedź.

- Ruth Kertzer uważa, że tak.

Czy mógłbyś mi powiedzieć, co się dzieje, Jake?

- Słuchaj, to trochę skomplikowane.

Czy moglibyśmy o tym porozmawiać, kiedy wrócę do domu?

243.

- Powiedziała, że bierzesz udział w jednym z seminariów.

Cisza.

- Zaproponowano mi to - wyjaśni}.

-A ty się zgodziłeś?

Odchrząknął.

- To nie oznacza odwołania naszego wyjazdu, jedynie przesunięcie go o dwa tygodnie.

Mattie, proszę cię, jestem już spóźniony na spotkanie.

Możemy o tym porozmawiać, kiedy wrócę do domu?

Obiecuję ci, że wszystko wyjaśnię.

Zagryzła dolną wargę.

- Jasne - odpowiedziała.

- Porozmawiamy, gdy wrócisz do domu.

Zaczekała, aż Jake się rozłączy, po czym trzasnęła słuchawką podstawę, patrząc, jak pęka plastikowa obudowa, słuchawką się rozpada i ląduje na podłodze w kawałkach.

- Niech cię szlag, ty nędzny sukiny!.

Nie odłożę wyjazdu, nawet na dwa tygodnie, nawet na dwa dni.

Jadę do Paryża, tak jak było ustalone, z tobą lub bez ciebie.

Rozumiesz?

Rozpłakała się z gniewu i gorzkości.

- Jak mogłeś to zrobić?

- Załkała, tracąc oddech.

Przytrzymała się blatu, próbując się uspokoić.

Możesz oddychać - przekonywała siebie.

Tylko mięśnie płuc nie są już takie sprawne, dlatego twój oddech stał się płytszy i krótszy.

Ale nie ma powodu wpadać w panikę.

Wszystko będzie dobrze.

- Spokojnie - wydyszała, wędrując spojrzeniem po kuchni skacząc po podłodze jak automat do gry w bilard.

Pomyślała o buteleczce z morfiną, stojącej na górze w łazience.

Jedna pięciomiligramowa tabletką zlikwiduje strach i przywróci spokój.

Po dwudziestu tabletkach przestanie w ogóle oddychać.

Na co ona czekała?

Na Paryż?

Toczył żart.

- Kogo ja szukuję?

- spytała na głos, czując, jak wraca jej oddech.

Twarz miała mokrą od potu.

Jak mogła by dokądkolwiek pojechać?

To było głupie marzenie, gra w udawanie, która posunęła się zbyt daleko.

Jake nie przerywał jej, boprzypuszczał, że dotego czasu będzie zbyt słaba, by nawet myśleć o wyjeździe.

Jak mogła tak dać się oszukać, sądząc, że dotrzyma obietnicy?

Miał swoje życie, przyjacielkę, karierę, pieprzone kolacje i seminarium na głowie.

A co ona miała?

Życie nawózku, rurki do karmienia i powolne duszenie się.

244

Na co więc czekała?

Czy mogła polegać na matce, kiedy przyjdzie to czas?

Może ten czas właśnie nadszedł.

Zostawi wiadomość Kim, na wypadek gdyby wróciła do domu przed Jakiem, z informacją, że poszła się zdrzemnąć i żeby jej nie przeszkadzać.

Jake'owi nie zostawi żadnego listu.

Po co?

"Przestań się wahać - zanuciła, idąc wolno ku schodom.

- Chodź, mała, rozpal we mnie ogień".

"Rozpal we mnie ogień.
Rozpalwe mnie ogień".

Nie przestając nucić, dotarła do łazienki, otworzyła apteczkę, sięgnęła drżącymi rękami po buteleczkę z morfiną.

Nalała szklankę wody, wysypała zawartość pojemniczka na dłoń, odliczyła dwadzieścia tabletek, po czym wrzuciła je wszystkie do ust.

- Dzień dobry, państwu - powitał Jake zgromadzonych przy wielkim prostokątnym stole w sali konferencyjnej trzech młodzieńców ojcami i adwokatami.

Po obu stronach stołu stało dwanaście skórzanych krzesel z wysokimi oparciami w rdzawym kolorze.

Jake przyjrzał się badawczo osobom siedzącym po jednej stronie stołu: gwałcieł, ojciec, adwokat. Potem znowu, po drugiej stronie stołu: adwokat, ojciec, gwałcieł.

W tym układzie była pewna symetria.

Jedynie Macleanowie ją naruszali.

Młodszy z nich siedział przy końcu stołu, a ojciec stał przy oknie wychodzącym na Michigan Avenue.

Był piękny dzień, słoneczny i przejrzysty, zbyt ładny, by przebywać w pomieszczeniu - pomyślał Jake, zastanawiając się, jaka pogoda jest w Paryżu, i zajął miejsce u szczytu stołu, dając znak Thomasowi Macleanowi, by do nich dołączył.

- Spóźnił się pan - rzekł senior, pozostając przy oknie.

- Przepraszam.

Zatrzymał mnie telefon.

Nic nie mogłem na to poradzić.

- Uśmiechnął się z trudem.

Właściwie czemu on się tłumaczy?

Nie miał powodu tłumaczyć się temu człowiekowi.

Wystarczy, że tu jest.

- Czy coś mnie ominęło?

- Spektakl zaczyna się dopiero wtedy, gdy ty się pojawiasz - powiedziała Angela Fontana.

Była nieskazitelnie ubrana.

Ciemne włosy miała zebrań w kok, a szerokie usta w pociągłej twarzy zdawały się rozszczępić ją na dwoje, nawet gdy się nie uśmiechała.

Jake ocenił jej wiek na koniec czterdziestki, podobnie jak Keitha Peacocka,

245.

kolejnego adwokata.

Był to mężczyzna o skromnym wyglądzie, zupełnie pozbawiony poczucia humoru, mimo że wciąż się śmiechał.

Zarówno Angela, jak i on pracowali w wielkich kancelariach adwokackich i uchodzili za utalentowanych prawników.

W innej sytuacji znalazłby to za interesujące, a nawet zabawne, dziś jednak był lekko zirytowany ich obecnością.

Jak mogło trzech najlepszych prawników w mieście reprezentować takich nikczemnych, nieopierzonych maślaków?

Przeniósł wzrok za adwokatów na ich klientów.

Mike Hansen był ładnym chłopcem, równie wysokim i szczupłym jak jego adwokat, chociaż w przeciwieństwie do Keitha Peacocka nie śmiechał się, lecz patrzył przed siebie ponurym wzrokiem.

Chmurną twarz okalały ciemnokasztanowe starannie podcięte włosy.

Miał na sobie koszulę, krawat i czerwono-białą skórzaną marynarkę.

Jej kolory kłóć się z fotelami - pomyślał Jake, spoglądając na Neila Pilchera, niższego i grubszego, którego w innych okolicznościach można by uznać za przystojnego.

Chłopak nerwowo gryzą paznokcie i co chwila zerkał na Eddy'ego Macleana.

Ten zaś wpatrywał się w przestrzeń z nudzonym wzrokiem, trzymając niezapalony papierosa.

- Natychmiast wyrzuć to świństwo - nakazał synowi ojciec.

Eddy posłusznie zgniótł papierosa w dłoni.

Tyłoń przesyłał mi się między palcami i spadł na dębowy blat.

- To jest Neil Pilcher.

- Angela Fontana przedstawiła Jake'owi klienta.

- A to jego ojciec, Larry Pilcher.

Jake skiniął głową blademu mężczyźnie, z podkrążonymi oczami.

Ciekawe, czy miał już te wory, gdy syn zmusił piętnastoletnią dziewczynę do stosunku analnego. Ciekawe, jakby się czuł Jake, gdyby to Kim była ofiarą takiej szumowiny, i co by powiedziała, gdyby podjął się tej sprawy.

"Moim zadaniem nie jest wymierzanie sprawiedliwości - powiedział tego dnia, gdy zaprosił ją do sądu.

- Moim zadaniem jest prowadzenie gry zgodnie z zasadami".

Ostatnio jednak miał wątpliwości co do tych zasad.

- Jake - posłyszał głos Keitha Peacocka.

- Tak?

- Przedstawiłem ci ojca Mike'a, Lyle'a Hansena.

- Przepraszam - powiedział i kiwnął głową mężczyźnie o wyglądzie przemądrzałego

buldoga, pochylonego w przód,

246

z muskularnymi rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Chyba powinniśmy zacząć.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Pokaż, jaki jesteś błyskotliwy - mówiły.

Powiedz, jak uratować od stryczkatrzech nieokazujących skruchy gwałcicieli.

Przedstaw nam strategię i pokaż, którądy iść.

Nieważne, że ta zgwałcona dziewczyna jest w tym samym wieku, co twoja córka, którą raz nienawidzi cię za to, że ich bronisz.

I tak będzie cię nienawidzić za to, że zawiodłeś matkę, że złamałeś obietnicę i serce Mattie.

Co zaróżnica.

- Zaśmiał się.

I tak już mnie nienawidzi.

- Co panata śmiesz, mecenasie?

- spytał Tom Maclean.

Odchrząknął.

- Przepraszam.

Zamyśliłem się.

- Zdradzi nam pan swoje myśli?

- Raczej nie.

Jak według ciebie potoczy się ta sprawa?

- zwrócił się do Angeli Fontany.

- Sądzę, że nie będzie większych kłopotów.

Słowo dziewczyny z wątpliwą przeszłością przeciwstawił trzem uczciwym młodzieńcom, których korzenie sięgają pierwszych osadników "Mayflower".

Myślę, że mógłbyś wziąć na siebie mowę wstępną i końcową, ja zeznania policyjnych detektywów i lekarzy, Keith biegłego sądowego, wszyscy razem wzięlibyśmy się za dziewczynę.

- Tak jak zrobili to chłopcy - dodał Jake.

- Co takiego?

- spytał Thomas Maclean.

- To taki żart więzienny.

Zobaczył, że oczy Angeli rozszerzają się ze zdumienia, a z twarzy Keitha Peacocka zniknął uśmiech.

- Nie widzę nic śmiesznego w tej uwadze lub sytuacji.

Co zapomniał, obłudny sukinyń!

- pomyślał Jake.

Ma gdzieś tę biedną dziewczynę, ma gdzieś nawet własnego syna, o ile jego zachowanie nie godzi w jego cenną reputację.

Jedyną osobą, na której Thomasowi Macleanowi zależy, jest on sam.

Czy to ci kogoś przypomina, Jake?

- Proponuję, byśmy ustalili kilka terminów - odezwał się Keith Peacock.

"Dzwoniła Ruth Kertzer - posłyszał głos Mattie.

- Chciała ustalić ze mną kilka terminów".

"Jakich terminów?"

"

- Mam wolne popołudnie w poniedziałek i środę - powiedziała Angela Fontana, zaglądając do kalendarza.

-Ja nie mogę w poniedziałek - oświadczył LyleHansen.

"Czy mógłbyś mi powiedzieć, co się dzieje, Jake?"

"Tętrochę skomplikowane.

Czy moglibyśmy o tym porozmawiać, kiedy wrócę do domu?"

Tylko o czym mieli rozmawiać?

Podjął już decyzję.

Nie może pojechać do Paryża.

Nie teraz, gdy Frank Richardson dał mu wyraźnie do zrozumienia, że wyjeżdżając w tę podróż, stawia pod znakiem zapytania współdziela w firmie, nie mówiąc już o całej karierze.

Nie mógł tego zrobić.

Mattie nie miała prawa go o to prosić.

Sękał w tym, że wcale go nie prosiła.

Sam z tym wyszedł, a nawet błagał ją o to.

Zgodziła się wbrew własnej woli, a on musiał ciężko pracować, by zdobyć jej zaufanie.

Doskonale wiedział, jak bardzo czekała na tę podróż.

Już sama wzmianka o niej wprawiała ją w lepszy nastrój i dodawała optymizmu.

Wiedział też, jak bardzo została się od niego zależna i że żadna chwila, nawet krótka, nie wchodziła w grę.

Jeżeli nie pojedą w kwietniu, to nie pojedą ogóle.

Nawet gdyby Mattie zgodziła się na przesunięcie terminu, już nigdy mu nie zaufała, a on stracił szacunek dla samego siebie.

Zawsze znajdzie się jakaś przeszkoda.

Tak było, gdy przedkładało się własne interesy nad interesy innych.

Przykładem Thomas Maclean i Jason Hart.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Niedobry Jason.

Tylko teraz wszystko się zmieniło.

Nie był już tym samym człowiekiem, jakim widziała go matka.

Jego wartości uległy zmianie.

Udając dobrego męża i ojca, stał się nim.

Ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że polubił człowieka, którego udawał.

Czuł się dobrze i bezpiecznie z tą przyzwyczajoną.

Twarz, którą pokazujemy światu, bywa często prawdziwsza od tej, którą oglądamy codziennie w lustrze.

Jesteśmy tacy, jakich udajemy.

Prawdę mówiąc, bardzo chciał pojechać z Mattie do Paryża.

Czasami w trakcie opracowywania planu podróży i wertowania przewodników pozory brały górę nad szczerym entuzjazmem.

Czy naprawdę chciał zrezygnować z tych planów z wszystkiego, kim się stał, dla wątpliwej przyjemności zostania współnikiem w jakiejś nudnej kancelarii prawniczej?

Czy rzeczywiście?

Chciał zrezygnować z Paryża, by wziąć udział w jakimś otępiającym zjeździe prawników?

Czyżby chciał stracić szacunek żony i córki po to tylko, by uzyskać niezаслужone uniewinnienie?

Zamierzał ryzykować utratę wszystkiego, łącznie sobą?

- Jake.

Angela Fontana patrzyła na niego wyczekująco.

Pewnie chciała usłyszeć jego zdanie.

Najwyraźniej czekała na odpowiedź.

- Przepraszam- powtórzył.

Ile razy już to powiedział, odkąd wszedł do tej sali?

- Nudzimypana?

- spytał Eddy Maclean.

Spojrzał na chłopaka, potem na jego ojca, na innych chłopców, na ichojców, na reprezentujących ich adwokatów iznów

na Eddy'ego.

- Prawdę mówiąc, tak - odpowiedział, wstając z fotela i idąc wstronę drzwi.

- Co?

- postyszał głos Keitha Peacocka i śmiech Angeli

Fontany.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- spytał Thomas Maclean,

przecinając Jake'owi drogę.

- Dokąd pan się wybiera?

- Do Paryża - odparł, po czym otworzył drzwi i wyszedł nakorytarz.

- Apan - dodał jeszcze z uśmiechem - może sobie zabrać swojego nędznego synalka i iść do diabła.

- Mattie!

- zawołał, wchodząc do domu.

-Mattie, gdzie

jesteś?

Mattie usłyszała głos Jake'a jak przez mgłę.

Starła się gowyrzucić z myśli.

Tak przyjemnie jej się spało.

Niechciała, byprzeszkadzały jej wspomnienia, duchy i fałszywe obrazy.

Odejdź - szepnęła, lecz z jej ust wydobył sięjedyne cichy pomruk.

- Mattie- postyszała znowu.

Skrzypnęły drzwi dołazienki.

Przypomniała sobie, że stała nad umywalkąi odliczaładwadzieścia śmiertelnych tabletek.

Uniosła powieki i dostrzegła

w lustrze przystojną twarz Jake'a.

-Jake?

Co robisz w domu tak wcześnie?

- Skończyłemna dziś.

- Zaśmiał się.

-Właściwie to skończyłem na dobre.

- Wybuchnął krótkim śmiechem.

249.

Poczuła w ustach gorzki smak pigulek.

- Dobrze się czujesz?

- spytała.

- Nigdy nie czułem się lepiej - padła natychmiastowa odpowiedź.

Jake pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Nerozumiem.

-Przed godziną powiedziałem klientowi, żeby się wypchał, poinformowałem Jana Stephensa, że nie będę mógł wziąć udziału w pracach stowarzyszenia, i powiadomiłem Ruth Kertzer, że nie wystąpię na żadnym seminarium ani nie będę urządził żadnych przyjęć, bo jadę z żoną do Paryża.

Mattie zaniemówiła.

Przypomniała sobie, jak to przed chwilą stała w łazience, mając usta pełne pigulek.

Jake by jej nie zostawił- pomyślała, patrząc na wystraszoną twarz w lustrze.

Nie zламаłby obietnicy.

A nawet gdyby to zrobił, ona nie musi wcale umierać.

W każdym razie nie teraz.

Wypuła tabletki do umywalki i patrzyła, jak wijąc się, wpadają do otworu.

- A co oni zrobią z tym seminarium i kolacją?

- spytała.

-Znajdą kogoś innego?

- Zawsze się znajdzie ktoś inny, Mattie.

-Nie taki jak ty - szepnęła, dotykając jego policzka.

Wziął ją w ramiona, oparł się o ścianę i zamknął oczy.

- Opowiedz mi o Paryżu - poprosił.

Przytuliła się do niego.

- Wiesz, że paryżanie są wielkimi miłośnikami zwierząt?

-spytała, kiedy zaczął scalać jej policzki.

- Pozwalają psom i kotom wchodzić do restauracji, a czasami nawet sadzą je przy stołach.

Wyobraź sobie, że siedzisz obok kota w jakiejś eleganckiej restauracji.

-Śmiała się i płakała, mieszając łzy ze słowami.

- Ale chociaż kochają zwierzęta, już nieco mniej lubią turystów, zwłaszcza tych, którzy nie mówią po francusku.

Nie powstrzyma nas to jednak przed zrobieniem tego, co robią turyści.

Chcę wjechać na szczyt wieży Eiffel i Łuku Triumfalnego, chcę się przejść po placu Pigalle, popłynąć statkiem po Sekwanie.

Zobaczyć Luwr, Quai d'Orsay, Ogród Luksemburski, i katedrę Notre-Dame, i grób Napoleona.

- Odchyliła się tak, by móc patrzeć mężczyźnie w oczy.

-Tak się przestraszyłam, gdy powiedziałeś, że nie możesz jechać, bo uświadomiłam sobie, że choć bardzo chcę zobaczyć Paryż, to nie chcę go oglądać bez ciebie.

-

250

Umilkła, zastanawiając się, czy nie powiedziała za dużo, lecz nie potrafiła się już powstrzymać.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym go oglądać bez ciebie.

W oczach Jake'a pojawiły się łzy.

-Nie pozwoliłbym ci go oglądać samej - odpowiedział.

- Kocham cię - szepnęła i przytuliła się do niego.

Kocham cię - powtórzyły ściany.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

27

Jedenastego kwietnia, tuż po dziewiątej, ich taksówka zatrzymała się przed hotelem Danielle na rue Jacob.

- Czy to nie jest najpiękniejsze miasto, jakie widziałeś w życiu?

- zawołała Mattie.

Nie pamiętała już, ile razy to powtórzyła, odkąd wyjechali z lotniska.

- Torzezywiście jest najpiękniejsze miasto, jakie w życiu widziałem - przyznał Jake.
Zaśmiała się, nie mogąc uwierzyć, że są na miejscu.
Miesiące planowania i marzeń, i nagle wszystko stało się rzeczywistością.
To nic, że była zmęczona i głodna.
W samolocie miała trudność z przełknięciem kawałka twardego mięsa, zwanego szumnie "stekiem Diana".
- Nikt nie jest w stanie przełknąć jedzenia w samolocie - próbował wmówić jej Jake, zwracając stewardesie niekniętą tacę.
- Idziemy?
- spytał, pomagając Mattie wysiąść z ciasnej francuskiej taksówki, gdy tymczasem kierowca zaniósł ich bagaże do utrzymanego w stylu art deco hallu uroczego starego hoteliku.
- Och, Jake, tu jest cudownie!
C'est magnifique - zwróciła się do stojącej za kontuarem kobiety o egzotycznym wyglądem.
Chloe Dorleac, jak głosiła tabliczka na piersi, miała ciemnofioletowe oczy, gęste czarne włosy i idealną figurę.
Popatrzyła na Mattie nieufnie, jak na dziecko, które chce coś przeskrobać, jakby się bała, że zacznie fikać koziołki.
Nie mamowy - pomyślała Mattie, opierając się na łasce.
251.

- Bonjour, madame, monsieur.

Czym mogę służyć?

- Skąd pani wiedziała, że mówimy po angielsku?

- zacięła się Mattie.

Chloe Dorleac uśmiechnęła się pobłaźliwie i nic nie powiedziała.

Jej usta układały się w cienką czerwoną kreskę, którą podczas mówienia tylko nieznacznie zmieniała kształt.

- Mamy rezerwację - powiedział Jake, sięgając do kieszeni po właściwy dokument, po czym położył go na hebanowym blacie.

- Hart, Jake i Mattie.

-Potem podała paszporty.

- Hart - powtórzyła Chloe Dorleac, oglądając ich paszporty z większą dokładnością niż wopista na lotnisku i wpisując ich numery do książki.

- Jasoni Martha.

Kto to jest?

- zdziwiła się Mattie, gdy rozglądając się po małym hallu w poszukiwaniu miejsc do siedzenia, zobaczyła swoje odbicie w olbrzymich połączonych lustrach zdobiących ściany.

Nie przypuszczała, że tak źle wygląda.

- Jesteśmy z Chicago.

-Mamy już jednego gościa z Chicago - poinformowała recepcjonistka.

- Chicago to duże miasto.

-W Ameryce wszystko jest duże, prawda?

-Chloe uśmiechnęła się pobłaźliwie, chociaż sprawiała wrażenie, że nudzi ją ta rozmowa, po czym podała czysty blankiet.

- Zechcą państwo to wypełnić?

Mattie zrobiła kilka ostrożnych kroków w stronę ciemnozielonej aksamitnej kanapki, stojącej w małej wnęce, na wprost korytarza wychodzącego na ulicę.

Jestem w Paryżu - pomyślała, czując, jak zapada się w miękkie siedzenie.

Naprawdę jestem w Paryżu - wyszeptała bezdźwięcznie, patrząc przez ramię nawąską, zatłoczoną ulicę.

Udało się.

Naprawdę się udało.

Czy będzie w stanie iść tą ulicą, przy płynącej nią rzece przechodniów, samochodów i motocykli, bez pomocy laski?

Pewnie.

Ale już lepiej z laską niż na wózek.

Jeździła na wózku na obu lotniskach i znienawidziła je.

Wózki tworzą bariery, choć mają ułatwiać życie.

Zupełnie zmienia się w nich świat.

Trzeba stać i unosić głowę, by zobaczyć ludzi, a ludzie patrzą na człowieka z góry.

Jeśli w ogóle dostrzegają.

Nawet wopista na lotnisku Charles'a de Gaulle'a wyraźnie ją ignorował, kierując wszystkie pytania do Jake'a, nawet te, które dotyczyły jej

252

samej, jakby była jakimś niedorozwiniętym dzieckiem i w ogóle nie miała głosu.

Niedługo i tak straci głos, więc po poprzednim rezygnować.

Usłyszała jakiś ruch, odwróciła się i zobaczyła idącego w jej stronę Jake'a.

W jego oczach dostrzegła troskę.

- Czy coś się stało?

- Nasz pokój będzie gotowy dopiero za godzinę.

- Och!

Starła się ukryć niepokój w głosie i uśmiechnąć się bezrozciągnięcia ust, jak Chloe Dorleac, lecz wyszedł z tego bolesny skurcz.

Prawdą była taka, że chociaż czuła się podniecona i nie mogła się już doczekać, by zobaczyć miasto, bardzo potrzebowała kilku godzinnego odpoczynku.

Nogi i ręce miała tak ciężkie, jakby sama przepłynęła Atlantyk.
Prawie spała w nocy, bo nie mogła znaleźć wygodnej pozycji do leżenia, chociaż lecieli pierwszą klasą.

Drzemała jedynie, budząc się co kilkadziesiąt minut.

Musiała porządnie odpocząć i przespać się kilka godzin.

- Może pójdziemy gdzieś nakawę.

- Lepiej zostańmy tutaj - zaproponował Jake.

- Tam dalej jest taki salonik z kilkoma wygodnymi fotelami, na których będziemy mogli się zwinąć i pospać, dopóki nieprzygotują pokoju.

- Brzmi to zachęcająco.

Pomógł Mattie wstać i poprowadził ją do małego pomieszczenia z kilkoma niewygodnymi drewnianymi krzesłami i wytartym szeszlonym.

- Nie jest to Ritz - rzekł.

Z pewnością nie - pomyślała Mattie, lecz nic nie powiedziała.

Ritz-Carlton to już przeszłość.

Dla nich obojga.

- Ale ma swój prawdziwie francuski urok.

C'est tres bon - dodała.

Jake pomógł jej położyć się na fotelu.

- Bardzo wygodny - zauważyła ze zdziwieniem.

- Ale co z tobą?

Usiadł na drewnianym krześle.

- Bardzo wygodne - oznajmił, chociaż przeczył temu wyrazem twarzy.

Uśmiechnęła się, czując, że opadają jej powieki.

Był tak samo zmęczony jak ona.

Wbrew temu, co mówił, ostatnio wygodnie nie było dla niego łatwe.

Uzyskanie zgody na urlop, wystawienie kariery na niebezpieczeństwo, wywrócenie całego

253.

życia do góry nogami.
Ilu mężczyznby się na to zdobyło?
Zwłaszcza dla kobiety,której się nie kocha.
Już planował, dokądpojadą następnymrazem.
Może na Hawaje, a może w rejs poMorzu Śródziemnym.
Jestem szczęśliwąkobietą- pomyślałapozwalając opaść powiekom.
Czy tonie ironia?
Umierała, mąż jej nie kochał, a ona była najszczęśliwszą z kobiet.
Obudziła się z nerkowym drgnięciamiomal nie spadłaz szezlonga.
Dopieropo chwili uświadomiła sobie, że jestw Paryżu, w saloniku uroczego francuskiego hotelu i czeka na pokój.
Jak długospała?
Rozejrzała się po małym pomieszczeniu,mrużącoczy przedśłońcem, przesłaniającym jej widokjak szyfonowa woalka.
Poszukała wzrokiem Jake'a, lecz na jego krześle siedziała terazkobieta w miękkim beżowym kapeluszu.
Mattie uśmiechnęła się do niej, lecz kobieta zajętabyła czytaniem przewodnika.
Jakaś oparta o ścianępara rozmawiała swobodnie po francusku.
Mattie starała się wyłapaćjakieś znane słowo lub zdanie, lecz rozmawiali zbyt szybko.
Gdzie się podział Jake?
- Excusez-moi - powiedziała głośno.
- Mon mąż.
-nie,takniedobrze.
- Qui a vu?
-Co właściwie chciała powiedzieć?
-Cholera!
To na nic.
Kobieta w beżowym kapeluszu uniosła głowę.
- Może pani mówićpo angielsku.
Jej głos wydał się Mattie dziwnie znajomy, może dlategoże miał amerykański akcent.
- Szukam męża.
Gdzieś mi zniknął.
- Tak, są w tym bardzo dobrzy.
Proszę wybaczyć, ale niemogę pani pomóc.
Była pani sama, kiedy tu przyszłam.
Jakieśpięć minut temu- dodała, wracając do lektury.
Mattie spróbowała się podciągnąćdo pozycji siedzącej, aleręce odmówiły jej posłuszeństwa,więc musiała inowu siępołożyć i udawać, że jest jej wygodnie.
Z ustwyrwało jej sięciche westchnienie.
- Żle się pani czuje?
- spytała Amerykanka.
- Dobrze.
Tylko jestem trochę zmęczona.
Starła się wychwycić jakieś szczegóły twarzy kobiety, aleśłońce i kapelusz touniemożliwiały.
254
- Dopiero pani przyjechała?
Mattie spojrzała na zegarek.
- Przed niespełna godziną.
A pani?
- Jestem tu od kilku dni.
-Coś jużpani zobaczyła?
- Głównie spaceruję po ulicach i przypominam sobie stardedzieje.
- Machnęła przewodnikiem.
-Nie byłamtu od college'u

- A ja jestem pierwszy raz w Paryżu.
- Pierwszy raz jest zawsze wyjątkowy.

Mattie uśmiechnęła się.
- Jest nawet piękniej, niż sobie wyobrażałam.
- Pogoda nam sprzyja.

Nie zawsze kwiecień jest tu taki ładny.
- Przyjechała pani mężem?
- spytała Mattie, patrząc w stronę hallu.

Gdzie ten Jake mógł pójść?
- Nie, przyjechałam sama.
- Naprawdę?

To jest pani odważna.
Kobieta zaśmiała się.
- Lepiej pasowałoby tu słowo "zdesperowana".
- Zdesperowana?
- Czasami kiedy się czegoś bardzo pragnie, trzeba wziąć sprawy w swoje ręce.
- Znam to uczucie - uśmiechnęła się Mattie.

- Tak na marginesie, nazywam się Mattie Hart.
Kobieta jakby zawahała się.

Słońce zalało blaskiem jej twarz,
zmieniając ją w trupiobiałą.
- Cynthia - powiedziała kobieta, zdejmując kapelusz, który uwolnił burzę rudych loków.

- Cynthia Broome.
- Gdzie byłeś?
- spytała Mattie, usiłując wstać, gdy Jake wszedł do małego saloniku z wielką papierową torbą w ręku.
- Poszedłem do sklepu.
- Wskazał na torbę.
- Woda mineralna, herbatniki, świeże owoce.
- Cmoknął Mattie w czoło.
- Tak mocno spałaś, że nie chciałem ci przeszkadzać.

Kiedy się obudziłaś?
Spojrzała na zegarek.
- Jakies dwadzieścia minut temu.

Poznałam bardzo miłą
255.

kobietę.

Okazuje się, że jest tą osobą z Chicago, o której wspominała smocza dama.

- Smocza dama?

- Tak ją nazwała Cynthia.

Cynthia.

Boże, wyleciało mi z pamięci jej nazwisko.

Coś funkcjonalnego.

- Wzruszyła ramionami.

- Nieważne, kiedyś sobie przypomnę.

Jest tu sama.

- Odważna kobieta.

- Też jej to powiedziałam.

- Mattie uśmiechnęła się.

- Możebyśmy ją zaprosili do nas któregoś dnia.

- Oczywiście, jeśli tego chcesz.

- Jeżeli znowu się spotkamy.

- Spojrzała w stronę hallu.

- Myślisz, że nasz pokój jest już gotowy?

- Mieszkamy na drugim piętrze- powiedział Jake, prowadząc ją do małej windy przy schodach, w końcu hallu.

- Bagażesajuzw pokoju.

- Zupełnie jak klatka dla ptaków - zachwyciła się Mattie.

Jake zaciągnął żelazne drzwi i po kilku sekundach winda zatrzymała się na drugim piętrze, wyłożonym ciemnoniebieskim dywanem, wytartym i postrzępionym.

Znajdowało się tu sześć pokoi.

Jake włożył do zamka wielki staromodny klucz, przekręcił go i pchnął ciężkie drzwi.

Oczom Mattie ukazał się mały, lecz słownie urządzone pokój z oknem wychodzącym na ulicę.

- Jesturoczy - stwierdziła, spoglądając na grubą, puszystą, pikowaną kódrę, przykrywającą podwójne łóżko z kutego żelaza.

Ściany zdobityreprodukcje malarstwa impresjonistycznego.

Przy oknie stała ozdobna szafa, a podłogę w łazience wyłożono mozaiką przedstawiającą obraz Renoira "Na huśtawce".

- Podoba mi się.

- Francuzi nie przepadają chyba za świeżym powietrzem - zauważył Jake, podchodząc do okna i usiłując je otworzyć.

- Co się stało?

- Chyba jest zablokowane.

- No to co?

- powiedziała i natychmiast ugryzła się w język.

Jak mogła być taka niedelikatna?

- Przepraszam, Jake.

Zmienimy pokoje.

- Nie bądź niemądra.

Ten jest dobry.

- Nie jest dobry.

Na pewno mają jakieś wolne pokoje.

256

Nie mieli.

Jake zatelefonował do Chloe Dorleaci ta oznajmiła, że wszystkie pokoje są zajęte.

- Smocza dama powiedziała, że Amerykanie zawsze narzekali, iż przy otwartym oknie jest zagłośnie, więc go nie naprawiali.

- Położył się obok Mattiena puszystej białej kódrze.

- Nic mi nie będzie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Spojrzał w sufit.

-Moja matka nawet niewie, że tu jestem.

- Wieża Eiffla, wybudowana w rokutysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątymz okazji Wystawy Światowej, powstała zaledwie w dwa lata -przeczytała Mattie w przewodniku.

-Siedzieli z Jakiem na ławce i przyglądali sięwspaniałej stalowejkonstrukcji.

Na dworze było dwadzieścia dwastopnie, przebrali się więc w lekkie spodnie w kolorze khaki, białe koszulei marynarki.

- Miała zostaćrozebrana i tylko zainstalowanienajej wierzchołku anteny radiowej uchroniło ją przed tym.

Dopiero w tysiąc dziewięćset dziesiątym postanowiono zachować ją dla potomności i odtąd każdego roku przyciągacztery miliony gości.

- Którzy właśnie dziś po południu postanowili ją zwiedzić -dokończył Jake.

Uśmiechnęła się.

- Cała konstrukcja waży ponad siedem tysięcy siedemsettoni ma trzysta dwadzieścia metrów wysokości.

Składa się z piętnastu tysięcy stalowych elementów, na pomalowaniektórych trzeba użyć pięćdziesiąt pięć ton farby.

Nazywają sięschodami do wieczności.

W czasie silnych wiatrów odchylają się od pionu nie więcej niż dwanaście centymetrów.

Trzysta siedemdziesiąt osób popełniło samobójstwo, skacząc z najwyższej platformy, która wznosi się na wysokości dwustu siedemdziesięciu sześciu, metrów.

-Aj!

- Jest piękna, prawda?

Może to banal, ale rzeczywiście jest piękna.

- To prawda - zgodził się z nią Jake.

Mattie przypatrywała się z rosnącą zazdrością długiej kolejce

257.

osób, czekających na wolno sunące windy.

Obliczyli z Jake'm, że musieliby stać co najmniej godzinę.

Nie zdołałyby pokonać setki schodów, toteż postanowili usiąść na ławce i zaczekać, aż kolejka się zmniejszy.

Jak dotąd nic na to nie wskazywało, ale Mattie była szczęśliwa, że może siedzieć obok Jake'a i przyglądać się ludziom.

Nie ma nic przyjemniejszego niż obserwowanie ludzi, bez względu na to, gdzie człowiek jest - pomyślała, patrząc na parę nastolatków, całujących się namiętnie pod rozłożystą wiśnią.

Inna para obejmowała się przy małym kiosku, a jeszcze inna nazatłoczonej alejce przed wieżą, nie widząc nikogo prócz siebie, tak jak na tej słynnej fotografii Roberta Doisneau.

Miastomilości - określiła w duchu, przenosząc wzrok na Jake'a.

- Tu jest napisane, że można uniknąć kolejek do windy, jeśli odwiedzi się wieżę wieczorem - powiedział, czytając jedną z turystycznych reklamówek.

- Naprawdę?

- Jest nawet bardziej romantycznie, bo cała wieża tonie w światłach.

- Naprawdę moglibyśmy przyjść tu później?

- A może wrócilibyśmy tu po przejeździe statkiem po Sekwanie?

Wybuchnęła płaczem.

- Mattie, co się stało?

Jeżeli jesteś zbyt zmęczona, możemy poczekać.

Do niczego cię nie zmuszam.

Możemy popłynąć statkiem innego dnia.

- Nie jestem zmęczona - odparła przez łzy.

- Tylko bardzo szczęśliwa.

Boże, ikto tu mówi o frazesach!

Delikatnie otarł jej łzy.

- A co z tobą?

Musisz być wykończony.

Ja przynajmniej przespałam się kilka godzin w hotelu.

Wiedziała, że Jake nawet nie zmrużył oczu.

- Spałem w samolocie - przypomniał jej.

- O co chodzi?

Myślisz, że nie dam rady?

- Poderwałeś na nogi, a potem pomógł Mattie wstać.

- Chwileczkę - powiedział.

Zatrzymał jakiegoś japońskiego turystę i wcisnął mu aparat do ręki.

- Może pan zrobić nam zdjęcie?

Un photo.

Wystarczy tylko tunacisnąć - dodał i szybko stanął obok Mattie, obejmując ją ramieniem.

- Jeszcze jedno.

- Pokazał młodemu człowiekowi,

258

żeby ustawił aparat pionowo.

- Wspaniale.

Dziękuję.

To będzie świetne zdjęcie - cieszył się, odbierając aparat.

-

Gotowa?

Wsunęła mu rękę pod ramię i wolno ruszyli przez tłum.

W pewnym momencie Mattie zauważyła kobietę w miękkim beżowym kapeluszu i już chciała ją zawołać, lecz okazało się, że tonie Cynthia Broome.

Broome.

Tak właśnie brzmiało jej nazwisko.

Cynthia Broome z Chicago.

- Gotowa albo i nie - odpowiedziała na pytanie Jake'a.

28

Koszmar zaczął się tak samo jak zwykle.

Matka tańczyła w utrzymanym w beżowo-brązowej tonacji saloniku z jego dzieciństwa, zarzucając zalotnie i unosząc szeroką kwiecistą spódnicę, tak by odłonić uda iściągnąć uwagę męża czytającego gazetę.

- Nigdy mi nie mówisz, że ładnie wyglądam.

Czemu nigdy

mi tego nie mówisz?

- Ciągle cito powtarzam -padła odpowiedź.

- Tylko nie

słuchasz.

- Może byśmy gdzieś wyszli.

Na przykład potańczyć.

Słyszałeś?

Powiedziałam, żebyśmy poszli gdzieś potańczyć.

- Znowu piąś.

-Nie piłam.

- Zalatuje od ciebie alkoholem.

Jake jęknął przez sen, starając się zablokować ich głosy, chociaż wiedział, że to bezcelowe.

- To może pójdziemy do kina.

Od miesięcy nie byliśmy

w kinie.

-Poproś którąś ze swoich przyjaciółek, żeby poszła z tobą.

- To ty masz przyjaciółki!

- warknęła matka.

- Ciszej.

Obudzisz chłopców.

Tak, obudź się - szeptał cichy głos w głowie Jake'a.

Obudź się.

Nie jesteś już dzieckiem.

Nie musisz tego słuchać.

Nie jesteś w domu rodziców.

Jesteś na drugim końcu świata.

259.

Jesteś dorosły.

Matkanie może cię już skrzywdzić.

Obudź się.

Obudź się.

Na próżno przekonywał siebie, żeby nie słuchać tych głosów, bo jego uwagę przykuli trzech mali chłopcy w piżamach, budujący piramidę z książek i zabawek pod drzwiami sypialni.

- Myślisz, że nie wiem o twoich przyjaciółczkach?

Myślisz, że nie wiem, dokąd chodzisz wieczorami?

Myślisz, że o niczym nie wiem, ty nędzny sukinsynu?

- wrzasnęła Eva Hart głosem dość silnym, by przeniknąć ściany, pokonać czas i przekroczyć oceany.

Jake patrzył, jak matka wbija pięść w sam środek gazetyojca, i poczuło uderzenie na swoim brzuchu.

Zgiął się wpół i chwycił za brzuch.

Ojcieczerwał sięz fotelai cisnął gazetę na podłogę.

- Jesteś szalona!

- krzyknął, idąc w stronę drzwi.

-Szalona!

Powinni cię zamknąćw zakładzie.

Trzej mali chłopcy schowali się do szafy, zamknęli za sobądrzwi i ukryli w najciemniejszymkącie.

Nicholas drżał przytulony do Jake'a, a Lukę wpatrywał się bezmyślnie w przestrzeń.

Matka rzuciła się tymczasem w kierunkuojca, jakby chciałauderzyć w plecy i skoczyć mu na kark.

Straciła jednokrównowagę iwpadła na lampęstojącą przy drzwiach.

Lampazakołysała się jak metronomiczący sekundy do wyjścia ojca.

- Jestem szalony, boprzestaję z szaloną kobietą.

-To czemu się niewyniesiesz, ty nędzny draniu?

Niewychodź.

-Jake płakałcicho.

- Tatusiu, proszę cię, nie wychodź.

Nie możesznas z nią zostawić.

Niewiesz, co ona

chce zrobić.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął dobraci, przypominającimowdziei apteczce pierwszej pomocy, którewcześniej tuszował.

-Jeżeli będziemysiedzieć cicho, nic się nam nie stanie.

Nie musisz na to patrzeć - szepnął mu douchagłos.

Tozdarzyło się kiedyś.

Teraz to tylkozły sen.

Obudźsię.

Nie musisz już tu być.

Było jednak zapóźno.

Matka waliła już pięściami w drzwiszafy, domagając się, by je otworzyli, by byli jej wierni, by oddali jej duszę.

Patrzył, jakchodzi chwiejniepo pokoju, kopie jego buty, wyrzuca z szufladubrania, rozbija modelsamolotu, nad którym spędził całe tygodnie i który chciał

260

pokazać nauczycielowi oraz kolegom podczas cotygodniowejprezentacji.

Obudź się, zanim roztrzaska go na drobne kawałki - przekonywał głos, chwytając Jake'a niewidzialnymi rękoma i próbując nim potrząsnąć.

- Obudź się.

Obudź.

Przez kilka sekund dryfowała na pograniczusnu.

- Obudź się- powtórzył głośno.
Dźwiękgłosuwypchnąłgopozaniewidzialną granicę,oddzielającą przeszłość od terażniejszości.
Otworzył oczy, wsłuchując się w swój urywany oddech,odbijający się echem od ścian
małego pokoju hotelowego.
Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, gdzie jest i kimjest.
Jesteś Jakiem Hartem - pomyślał.
Dorośliym mężczyzną.
Prawnikiem.
Mężem.
Ojcem.
Nie jesteś już przerażonym chłopcem.
Jesteś w pełni dorosły.
Ale wciąż się boję, wciąż uciekam - uzmysłowił sobie, ocierając pot z czoła i
wypuszczając powietrze z płuc.
Jak długo wstrzymywał oddech?
Całe życie - szepnął głos.
Spojrzał na śpiącą obok Mattie w staroświeckim, małym łóżku.
Kiedy Francuzi mówią o czymś, że jest urocze i staroświeckie, oznacza to coś małego i bardzo
starego - powiedziała ktoś z dnia Mattie.
Na korzyść staroświeckiego małego łóżka przemawiała możliwość bliskości śpiących w nim osób.
- Co za dzień!
- mruknął, uważając, by nie obudzić Mattie.
Wstał z łóżka i podszedł do okna.
Paryż to naprawdę zdumiewające miasto.
Mattie miała rację, jak zresztą zawsze.
Powinien jej posłuchać wiele lat temu, kiedy zaproponowała, by tu przyjechali, kiedy jej nogi były
równie nieskrępowane jak entuzjazm.
Nie musiałyby czekać na jakąś zatłoczoną windę, by znaleźć się na szczycie wieży Eiffla.
Ściągałyby się z nim samą górę.
I wygrałyby.
- Przestań czuć się winny - powiedziała, czytając w jego myślach, kiedy stali na
platformie widokowej, oglądając zapierającą dech w piersi panoramę Paryża nocą.
- Świetnie się bawię.
Nie ma nic lepszego ponad to.
- Lepszego od przejażdżki statkiem?
- zapytał zartobliwie.
Zaśmiali się, co ostatnio często im się zdarzało.
- Dlaczego nazywają te statki bateaux-mouches?
- spytał, zaglądając do kieszonkowego słownika, kiedy wczesnym
261.

wieczorem wsiadali na pokład jednego z nich, by odbyć godzinną przejażdżkę po Sekwanie.

- Czy toznaczy "statki-muchy"?

Dziesięć minut później, kiedy oganiali się odnieznośnych much, wszystkostało sięjasne.

Mattie była niezmordowana, chociaż miała kłopoty z chodzeniem.

Czasami ciągnęła jedną nogę za drugą.

Mimo toniechciała rezygnować zatrakcji wieczoru.

Zjedli kolację w zatłoczonymbistro o nazwie Le Petit Zinc na rueJacob.

W końcu to on przyznał, że jest zmęczony.

Mattie natychmiast wsunęła mu rękę pod ramię wrócił do hotelu.

Była czwarta rano, a mimo to na ulicy panował ruch.

Pod oknem siedział naskuterze młody chłopak, ubrany w czarną skórzaną kurtkę i ciemnofioletowy kask.

W pewnej chwili uniósł głowę, jakby wyczuł, że Jake go obserwuje, i pomachał mu ręką.

Jake uśmiechnął się, odpowiedział tym samym, poczym przeniósł wzrok na grupę nastolatków idących środkiem jezdni.

Obejmowali się i śmiali wesoło.

W rogu ulicy dostrzegł parę w średnim wieku.

Stali przytuleni pod markizą zamkniętej kawiarni.

Może też się bał tak on.

Wrócił do łóżka i wsłuchiwał się przez kilka minut w spokojny oddech Mattie.

Był to pewnie rezultat morfiny, do zażycia której ją namówił.

- Musisz spać, Mattie - przekonywał.

- Mamy napięty program.

Będziesz potrzebowała dużo siły.

- Ty jesteś wszystkim, czego mi trzeba - powiedziała, obejmując go i delikatnie

przyjmując w siebie.

W momencie szczytowania zaczęła mieć kłopoty z oddechem.

Zesztywniała w jego ramionach zaczęła machać bezradnie rękami, jakby zakrztusiła się kawałkiem mięsa.

Zrobiła się czerwona na twarzy, oczy rozszerzyły się ze strachu.

Wachlowała się, próbując w ten sposób wtłoczyć powietrze do płuc.

W końcu opadła na łóżko, kaszłąc i płacząc.

Ciało miało mokre od potu.

Wytał jej czoło miękkim białym ręcznikiem przytulił do piersi, starając się jej pomóc własnym oddechem, a jeśli to konieczne, oddychać za nich oboje.

Wtedy zgodziła się wziąć morfinę.

Zaraz potem usnął w jego ramionach.

Jak ona schudła - pomyślał z drżeniem, patrząc na delikatną

262

rękę spoczywającą na białej kołdrze.

Co najmniej cztery kilogramy.

Ukrywała to, nosząc luźne ubrania i szerokie nocne koszule.

Teraz jednak, przy wpadającym przez okno świetle księżycy, nie można było nie zauważyć, jaka jest chuda.

Miała więcej kości niż ciała.

Nawet włosy wydawały się cieńsze.

Odsunął kilka pasemek z wydatnych kości policzkowych, zatrzymując wzrok na bladej twarzy, jakby się bał, że zniknie, zanim zdąży się napatrzeć.

Pochylił się musnął jej czoło wargami.

- Jesteś taka piękna!

- szepnął.

Ogarnął go tak wielki smutek, że nie był w stanie oddychać.

Czy tak właściwie żyła się Mattie, gdy walczyła o oddech?

"Kocham cię" - powiedziała tego dnia, kiedy przyszedł wcześniej do domu, by powiadomić,

że jadą do Paryża zgodnie z planem.

Powiedziała to, nie oczekując, nie spodziewając się, nie nalegając, by odwzajemnił się tym samym.

I nie zrobił tego.

Ani wtedy, ani teraz.

Dlaczego nie zaufał głosowi serca?

Te słowa tkwiły na końcu języka, łaskotały go w wargi, usiłowały się przebić przez zamknięte usta.

Co za ironia!

- pomyślał, wsuwając się pod kołdrę i przytulając do Mattie.

Teraz kiedy jej życie dobiegało kresu, nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej.

Mattie poruszyła się we śnie, usiłując dopasować wygięte pleców do jego ciała, jakby byli dwoma kawałkami tej samej układanki.

To porównanie wydało mu się bardzo trafne.

Pocałował ją w ramię, chłonąc delikatny zapach perfum, zatrzymując go w płucach tak długo, jak się dało.

Potem wypuścił powietrze wolno niechętnie, przyłożył głowę do poduszki i zamknął oczy.

-

Poczuł, że koszmar wraca, czekał, aż obraz ruszy, szukał tylko właściwego miejsca, jak na kasecie wideo, biegnąc to w przód, to w tył.

Mignęła mu twarz ojca, pięść matki, żalostny stos książek i zabawek pod drzwiami sypialni, matka pładująca pokój i ciskająca groźby w drzwi szafy.

- Nie mogę tak dłużej żyć!

- krzyczała.

- Słyszycie?

Niemogę tak dłużej.

Nikt mnie nie kocha.

Nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy umieram.

Posłyszał płacz Nicholas'a i zobaczył, jak Lukę ciągnie zagłok u drzwi.

Czuł ucisk w żołądku przy każdym jej obrocie.

263.

Trzęsąc się cały, odsunął się od Mattie i zakrył uszy, by nie słyszeć trzasku uderzającego o podłogę samolotu.

- Do diabła z wami!

- wrzasnęła matka, kpiąc w drzwi.

- Wy rozpущone bachory!

Wiecie, co teraz zrobię?

Pójdę do kuchni i odkręcę gaz, a rano, gdy wasz ojciec wróci od tej swojej przyjaźni z ciocią, znajdzie nas wszystkich martwych w łóżkach.

- Nie!

- Nicholas rozplakał się, tuląc się do Jake'a.

- Robię wam przysługę!

- krzyknęła Eva Hart, deptając porzucanych na podłodze książkach i zabawkach i ciskając butem w drzwi szafy.

- Umrzecie we śnie.

Nie będziecie cierpieć, tak jak ja cierpię.

Nie będziecie nawet wiedzieć, co się dzieje.

- Nie!

- zaprotestował Jake, otwierając oczy i czerpiąc siłę z miarowego oddechu Mattie.

Nie będzie się już dłużej bał.

Nie ma żadnego gazu.

Mając, którego kocha, która poznała go lepiej niż ktokolwiek inny, a mimo to nie przestała go kochać.

Zasługiwał na to, by być kochanym.

Skoro Mattie potrafiła stawiać czoło okrutnej i niesprawiedliwej przyszłości, on mógł do niej dojść do porozumienia z przeszłością, którą tyle lat trzymała nad nim władzę, która w końcu zadusiłaby go na śmierć.

Popatrzył na Mattie.

Nie ma sensu, by oboje zadusił się na śmierć - rzuciła kiedyś żartem.

I nagle stał na środku małego pokoju jako dorosły mężczyzna, wśród chaosu koszmarów dzieciństwa, i śmiał się.

Matka zatrzymała się w drzwiach i odwróciła w jego stronę.

Śmiech wypełnił cały pokój, przyjął jego postać i nie pozwolił matce wyjść.

Tkwiała w tym śmiechu siłach wyciągając z ramion i odwróciła w jego stronę.

Jeśli była zaskoczona, to nie pokazała tego po sobie.

Wpatrywała się w dorosłego syna zamroczonego alkoholem.

;;

- Z czego się śmiejesz?

- burknęła.

- Za kogo ty się masz?

- Jestem twoim synem - odpowiedział.

Prychnęła lekceważąco.

Najwyraźniej nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Zostaw mój spokój!

- rzuciła, odwracając się do drzwi.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Zrobię, co mi się podoba.

264

- Nigdzie nie pójdziesz - powtórzył.

- Nikt nie wyjdzie z tego pokoju.

Nikt nie odkręci gazu.

Wybuchnęła śmiechem.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że potraktowałeś tę groźbę poważnie.

Wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

- Mam pięć lat, mamo - odpowiedział dorosły Jake.

- Naturalnie, że potraktowałem ją poważnie.

- Niepotrzebnie.

- Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.
-Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdziła.
Zawsze byłeś
moim ulubieńcem.
- Czy wiesz, jak bardzo cię nienawidzę?
- spytał Jake.
-
I jak bardzo nienawidziłem?
-Doprawdy, Jasonie, jak ty mówisz do matki?
Jesteś bardzoniedobrymchłopcem.
Niedobry Jason.
Niedobry Jason.
NiedobryJason.
Niedobryjason.
Niedobryjason.
Niedobryjason,
- Wcale nie jestem niedobry - odrzekł.
-Traktujeszwszystko zbyt serio.
Zawsze tak było.
No już,przestań się mazgaić.
Zaczynasz się zachowywać jak twoi bracia.
- Można imzarzucić tylko to, że mieli taką matkę.
-No, tojuż niezbytmiłe.
Niebyłam przecież taką złąmatką.
Spójrz na siebie.
Wyglądaszcałkiem nieźle.
- Mrugnęłado niego.
-Coś jednak mi wyszło.
- Chyba tylko to, że umarłaś.
-Nie bądź taki melodramatyczny, Jasonie.
Może jednak
powinam odkręcić gaz.
- Nie będziesz już nas terroryzować, rozumiesz?
- Ścisnąłmatkę zarękętak mocno, że poczuł własne palce.
- Puść mnie!
- zaprotestowała.
-Jestem twoją matką, docholery!
Jak śmiesz tak do mnie mówić?
- Jesteś pijanąświnia.
Już niemożesz mnie skrzywdzić.
- Puść mnie!
Zejdźmi z drogi - fuknęła, lecz jej głos słabł,kontury zaczęły się rozplýwać jak kreda, która maleje z każdym
zapisanym słowem.
- Nie masz już nade mną władzy- powiedział czystym,
dźwięcznymgłosem.
W zalotnych orzechowychoczach matki błysnęło zaskoczenie.
Po chwili zniknęła.
Stał nieruchomo, delektując się ciszą, a potem wrócił do
265.

łóżka i położył się obok Mattie.

Bezwiednie gładził ją poszczupłym biodrze, a w myślach zbierał książki i zabawki porzucane po podłodze, odkładając je na właściwe miejsce.

Z wielką starannością złożył połamany model samolotu i postawił go na małym stole, gdzie było jego miejsce.

Potem podszedł do szafy, otworzył drzwi i spojrzał na trzech chłopców wciśniętych w najciemniejszy kąt.

- Możecie już wyjść - rzekł cicho.

- Poszł sobie.

Nicholas wyskoczył z szafy i wybiegł z pokoju.

- Nick!

- zawołał za nim Jake, patrząc, jak znika we mgle.

- Później ciężko - dodał cicho, po czym odwrócił się od dwóch chłopców nadalsiedzących w szafie.

Lukę był najbliżej drzwi i wpatrywał się w przestrzeń.

- Przepraszam, Lukę - powiedział, obejmując jego potężną sylwetkę, ściśniętą w małym wnętrzu, po czym ukląkł przy chłopcu, który był jego starszym bratem.

- Możesz mi wybaczyć?

Lukę nic nie odpowiedział, tylko przytulił się do niego i pozwolił, by Jake go objął i zakołysał delikatnie, póki nie zniknął.

Pozostał teraz tylko mały Jake.

- Jesteś dobrym chłopcem - powiedział dorosły Jake, patrząc, jak uśmiech pojawia się w oczach małego.

- Bardzo dobrym chłopcem.

- Jake.

- Głos Mattie przeniósł go z przeszłości w teraźniejszość.

Właśnie wstawał świt.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedział.

- Miałem tylko małe kłopoty ze snem.

- Śniło mi się, że się śmiałeś.

- Musiało być dobry sen.

- A co z tobą?

- spytała z troską głosie.

- Żadnych koszmarów?

Pokręcił głową, wziął ją w ramiona, położył się i zamknął oczy.

- Żadnych koszmarów.

29

Kim znowu tonęła w myślach.

Siedziała na końcu klasy z książką do matematyki otwartą na właściwej stronie i ze wzrokiem utkwionym w stojącego

266

przy tablicy nauczyciela, przypominającego gruszkę ubraną w workowaty brązowy garnitur. Sprawiała wrażenie, jakby słuchała, co mówi stary pan Wilkes o iksie, którego należało podstawić w miejsce niewiadomej, jakby można było rozwiązać problem, zastępując jedną rzecz drugą. Myślami jednak była o tysiące kilometrów stąd, za oceanem, w Paryżu, iszła matką po słynnych Polach Elizejskich.

Mattie dzwoniła wczoraj wieczorem, by dowiedzieć się, jak córka radzi sobie w szkole, z babcią Viv, z zszczeniakami z psychoterapeutką.

Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze - odpowiadała na każde pytanie Kim.

A co u ciebie?

Jest cudownie, padła entuzjastyczna odpowiedź.

Widzieli już wieżę Eiffla, Luwr, Montmartre, katedrę Notre-Dame, Quaid'Orsay.

Dziś byli na Polach Elizejskich i oglądali Łuk Triumfalny.

Pogoda im dopisuje, ojciec jest wspaniały, a onaczuje się doskonale.

Tylko że potem zabrakło jej powietrza i ojciec musiał dokończyć za nią rozmowę.

Zapytał, co u niej słychać.

Jak w szkole?

Jak się czuje babcia?

Jak piesek?

Jak sesje z Rosemary Colicos?

Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze - odpowiadała.

Daj mamędo słuchawki.

Mamanie może długo rozmawiać - wyjaśnił - chociaż ogólnie dobrze sobie radzi - dodał pośpiesznie.

Zadzwoń znowu za kilka dni.

Paryż jest cudowny.

W przyszłym roku zabiorą ją ze sobą.

Jasne - pomyślała, szarpąc mały kocyk.

Poruszyła przy tym kilka spinek, które wypadły z włosów i z cichym brzękiem spadły na podłogę.

Pochyliła się, by je podnieść, patrząc przy okazji na dziwną kolekcję letnich sandałów i ciężkich zimowych butów, zdobiących nogi kolegów z klasy.

Wystarczył jeden słoneczny i cieplejszy dzień, żeby połowa uczniów włożyła sandały i podkoszulki.

Już nie mogą doczekać się lata - pomyślała, prostując się i wsuwając we włosy gumki.

Nie mogą się doczekać kolejnej pory roku, która przybliży ich do śmierci.

- Kim?

Własne imię zadźwięczało w uszach niczym dzwon, zagłuszając wibrujące w głowie myśli.

267.

- Słucham?

Nauczyciel patrzył na nią, jakby czekał na odpowiedź.

- Zadałem ci pytanie.

-Nie słyszałam - odparła bez zastanowienia.

W wodnistych zielonych oczach pana Wilkesa błysnęła irytacja.

-Co to znaczy?

Czyżbyś nie uważała?

- To chyba oczywiste -burknęła, zaskoczona własnym grubiaństwem.

Zaraz jednak humor poprawiły jej szepty i chichoty kolegów z klasy.

Była to od tygodnia jedyna ich reakcja.

Rozległ się dzwonek.

Dwadzieścia siedmioro przysypiających nastolatków obudziło się do życia i hałaśliwie ruszyło do drzwi.

- Kim!

- zawołał pan Wilkes.

Odwrociła się niechętnie do nauczyciela.

- Wiem, że masz ciężką sytuację w domu - powiedział.

-Ojciec poinformował nas o chorobie twojej matki - ciągnął, gdy uparciem milczała.

- Chciałbym, abyś wiedziała, że w każdej chwili znajdę dla ciebie czas, gdybyś chciała z kimś porozmawiać.

- Ale nic mi nie jest - odparła, przyciskając książki do piersi.

Jak ojciec śmiało telefonować do szkoły?

Jak on mógł powiedzieć nauczycielom o chorobie mamy?

Jakie miał prawo, żeby

coś takiego zrobić?

- Mogę już iść?

- spytała.

- Naturalnie.

Pobiegła korytarzem do szafki.

O czym jeszcze nagadała?

Jake Hart, wielki obrońca.

Lepiej by pasowało: wielki błagier.

Wystukała kombinację otwierającą zamek, pomyliła cyfry i musiała zacząć od początku.

Udało jej się otworzyć szafkę dopiero za trzecim razem.

Wrzuciła do środka książki, wyjęła torbę z jedzeniem i poszła do stołówki.

Znalazła pusty stolik w rogu sali, usiadła twarzą do ściany plecami do uczniów.

Otworzyła torbę i zmarszczyła brwi na widok kanapki z masłem orzechowym i dżemem, którą zrobiła jej babcia.

"Nie chcę, żeby twoja matka mówiła potem, że zleciłem karmić - wyjaśniła.

- Jeśli zostanie z ciebie tylko skóra i kości, to do kogo będą mieli pretensje?

"

To niech zostanie - pomyślała, wrzucając kanapkę do kosza.

268

Nie trafiła jednak.

Kanapka rozpadła się i wylądowała na podłodze, wierzchem do dołu.

- Cholera!

Podniosła obie połówki i wrzuciła do kosza, nie troszcząc się o pozostawione na podłodze resztki masła orzechowego i dżemu.

Niech zostanie z niej skóra i kości, kiedy rodzice wrócą z wycieczki do wesołego Paryżewa.

To ich nauczy nie zostawiać jej samej.

Rozumiała, że chcieli się wyrwać, ale to wcale nie ułatwiało sprawy i nie czyniło jej mniej samotną.

Zaczęło jej burczeć w brzuchu, częściowo z głodu, częściowo z proteście.

Sprawdziła pozostałą zawartość torby z jedzeniem.

Pudełko dwuprocentowego mleka i baton Snickers.

Poczuła, jak cieknie jej ślinka.

Natychmiast wyjęła torbę i wrzuciła do kosza.

Tym razem celnie.

Postanowiła zrezygnować z czekoladowych batonów.

Miały zbyt dużo tłuszczu i cukru.

Musi dbać o dietę i kontrolować, co wkłada do ust.

Gdyby mama bardziej uważała na to, co je, unikała słodkich deserów i tych śmiesznych słodkości z korzenia prawoślazu, które tak uwielbiała, nie byłaby teraz chora.

Ostrożność nigdy za wiele.

Tyle chemikaliów i barwników jest we wszystkim, co jemy.

Praktycznie bierzesz życie w swoje ręce z każdym razem, gdy otwierasz usta.

Nawet w mleku.

Oddała niewłaściwy róg małego kartonowego pudełka i ciepły płyn pociekł jej po palcach.

Kto to wie, co mleczarnia dodaje do mleka, by zniszczyć trucizny, które krowy codziennie połykają.

Tyle ludzi nie toleruje dziś laktozy.

Nie bez powodu są bardziej podatni na różne rodzaje chorób.

Uniosła pojemniczek do nosa, powąchała ciepły płyn i poczuła, jak ścina jej się na języku.

Mleko wylądowało w koszu, ona wstała i ruszyła do sali gimnastycznej.

Skoronie je, torównie dobrze może zacząć wcześniej swój program ćwiczeń.

Zaczęła ćwiczyć po zdarzeniu z Teddym.

Początkowo tylko dziesięć minut dziennie: kilka skłonów, kilka podskoków, kilka prostych ćwiczeń rozciągających, kilka okrążeń sali.

Codziennie jednak dodawała parę nowych ćwiczeń, które wydłużyły się niemal do dwóch godzin.

Zaczynała od prostych ćwiczeń rozciągających, potem pół godziny aerobiku, potem znowu rozciąganie, następnie aerobik przez co najmniej trzydzieści minut, dwieście brzusków i sto pompek, kolejne ćwiczenia rozciągające.

jące, później bieg, podskoki i na koniec kilka ćwiczeń rozciągających.
Nawet kiedy trzymała George'a, ćwiczyła mięśnie brzucha.
Nigdy nie jest się zazdrowym.

Zawiązała adidas i spojrzała na zegarek.

Do następnej lekcji pozostało czterdzieści minut.

Dość czasu, by pobiegać.

Rozpoczęła pierwsze okrążenie sali.

W przyszłym miesiącu może dodać do swojej listy pływanie.

Stała jej przed oczami matka pływająca w basenie.

Tam i z powrotem, sto długości basenu, codziennie, od maja do połowy października.

I co dobrego z tego wyszło?

Przystanęła.

Wszystko przez ten chlor w wodzie.

Niszczy włosy.

A co robi w środku?

Przecież połyka się trochę tej wody.

To nieuniknione.

Znowu zaczęła biec.

Może pływanie nie było wcale takim dobrym pomysłem.

- Hej, Kimbo!

- ktoś krzyknął.

- Dokąd się tak spieszysz?

Spojrzała w stronę podwójnych drzwi i zobaczyła Caroline Smith w towarzystwie dwóch jej klonów,
Annie Turofsky i Jodi Bates w jednakowych czerwonych swetrach.

- Dokąd biegniesz?

- spytała Jodi.

- Ktoś cię goni?

- dodała Annie.

Postanowiła nie zwracać na nie uwagi.

Rzadko się do niej przychodziły.

Zainteresowały się nią tylko dlatego, że była niegrzeczna dla starego Wilkesa.

To mogło być ciekawe i niebezpieczne.

Nie będzie zaspokajać ich okrutnych kaprysów.

Z jakiej racji miałyby im odpowiadać?

Nie musiała, ale była im wdzięczna za zainteresowanie i podbiegła do nich.

- Czego chcecie?

- spytała, jakby tych kilku miesięcy w ogóle nie było.

- Co staruszek Wilkes chciał od ciebie?

- zadała pytanie Caroline.

- Założyliśmy się, że chce cię zawiesić.

- Nie macie szczęścia.

- Kim jest to stare pudło, które podwozi cię teraz do szkoły?

- zaintrygowała się Annie.

- To moja babcia - wyjaśniła.

- Wcale nie jest starym pudłem.

Caroline wzruszyła ramionami, a jej dwie towarzyszki natychmiast zrobiły to samo, co oznaczało: nic tu po nas.

- Mieszkam u niej, bo moi rodzice wyjechali do Francji - pochwaliła się Kim.

270

- Twoi rodzice wyjechali?

- spytała z nagłym zainteresowaniem Caroline.

- Czemu nam nie powiedziałaś?

- zawtórowała z pretensją głosie Annie.

- Kiedy wyjechali?

- dodała Jodi Bates.

- Ważniejsze, jak długo ich nie będzie - skonstruowała Caroline.
- Wyjechali w zeszłym tygodniu - odpowiedziała, rozkoszując się ich zainteresowaniem.
- Wracają w środę.
- Czyja dobrze rozumiem?
Mieszkaś u swojej babki, a ten ładny duży dom stoi pusty?
- dopytywała się Caroline.
- Wstyd, co?
- skonstruowała Kim.
- Prawdziwe marnotrawstwo - przyznała Caroline.
- Czy myślisz o tym co my?
- spytała Jodi Bates.
- Że to wstyd dla takiego ładnego dużego domu, by stał pusty przez weekend?
- spytała w odpowiedzi Kim.
- Zwłaszcza gdy nie ma gdzie urządzić imprezy.
- Ty dajesz chatę - zaproponowała Caroline.
- My zapewniamy gości.
Każdy przynosi własne napoje.
Co ty na to?
- Brzmi nieźle.
- Mogę rzucić słowo przed następną lekcją - zaproponowała Annie.
Kim wzięła głęboki oddech.
Noi co w tym złego?
Babcia przecież nie zabroni jej wyjść na kilka godzin w sobotę wieczorem.
Rodzice byli daleko.
Nie ma mowy, żeby się dowiedzieli.
Będzie ostrożna.
Nie pozwoli na żadne wyskoki.
Żadnych narkotyków.
Żadnych ciężkich alkoholi.
- Żadnej rozróby - ostrzegła Kim.
- Nie ma sprawy - odparła Jodi.
- Tylko pierwsza klasa - dodała Caroline.
- No nie wiem.
- Kim zaczęła się wahać.
- Może to nie jest taki dobry pomysł?
Annie jednak już biegła korytarzem, krzyząc do wszystkich przechodzących osób:
- Impreza u Kim Hart!
Jutro wieczorem o dziewiątej!
Impreza u Kim - powtórzyło echo.
Jutro wieczorem o dziewiątej.
Impreza u Kim.
Impreza u Kim.
Impreza u Kim.
271.

- Jak myślisz, uda mi się przekonać kelnerkę, żeby zamieniła jedną z tych bułek na croissanta?
- spytał z uśmiechem Jake, stukając w stół twardą jak kamień bułką.

Siedzieli przy oknie w małej ukwieconej jadalni na tyłach hotelu.

Była dziewiąta rano.

Za oknami padało tak intensywnie, że z trudem można było dostrzec znajomy już teraz rząd małych sklepików i kawiarenek.

Leje tak już od co najmniej czterech godzin - rozmyślała Mattie, tłumiąc ziewanie.

Padło o piątej rano, kiedy wstawała do łazienki, usiłując przejść przez pokój bez pomocy Jake'a. Tak smacznie chrapał, że nie miała serca go budzić.

Rozpadało się jeszcze mocniej, kiedy pięć minut później klapnęła na sedes, zupełnie rozbudzona. Deszcz bębnił w okno łazienki, jakby chciał wtargnąć do środka.

Mocowała się z papierem toaletowym, usiłując urwać odpowiedni kawałek.

Jak długo jeszcze będzie mogła samodzielnie spełniać najintymniejsze funkcje?

Co będzie, kiedy tak prosta czynność jak podcieranie stanie się dla niej niemożliwa do wykonania?

Deszcz wciąż padał, gdy wracała do łóżka.

Położyła się obok męża i przeleżała kilka godzin, czekając, aż Jake się obudzi, i słuchając wściekłego bębnienia deszczu w okno.

Łatwiej nie myśleć, kiedy pada - pomyślała, czując dziwny spokój.

- Znasz zasady panujące w tym kraju - powiedziała.

- Jeden miękki croissant i jedna łamiąca zęby bułka.

Uniosła do ust filiżankę kawy z nadzieją, że kofeina dodaje energii na nowy dzień.

Prawdę mówiąc, jedyne, czego teraz pragnęła, to wrócić na górę i położyć się do łóżka. Obiecała przecież Jake'owi, że nie będzie się forsować i powie, gdy poczuje się zmęczona.

A teraz potrzebowała jedynie kilku godzin snu.

Może potem deszcz przestanie padać.

- Niemogę się już doczekać, by to zobaczyć - przyznał Jake, wyczarowując skądś przewodnik.

- Posłuchaj tylko: "Toczą się więcej niż epoki wydarzenia w rozwoju miasta, jakidokonał się w Paryżu w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Nowoczesne Centrum Georges'a Pompidou to nagromadzenie jednym miejscu najnowocześniejszych trendów w kulturze.

Można tu znaleźć wszystko: współczesną sztukę, architekturę, wzornictwo, fotografię, teatr, kino i taniec, a z wysokich budynków rozciągają się wspaniałe widoki na Paryż".

272

Na samą myśl o tych wszystkich atrakcjach Mattie poczuła ogarniające ją zmęczenie.

Sztuka, architektura, wzornictwo, fotografia, teatr, kino, taniec tłukły jej się po głowie w rytmuderzającego go szyby deszczu.

- Warto skorzystać z zewnętrznych oszklonych wind obejrzeć widok z lotu ptaka narozciągając się w dole plac - czytał Jake - na którym muzycy, uliczni artyści i portreciści prezentują swoje umiejętności niezliczonym przechodniom.

Zewnętrzne windy, widoki z lotu ptaka, uliczni artyści, tłumy ludzi - powtórzyła w myślach Mattie, drżąc coraz bardziej przy każdym nowym określeniu.

- Skoro pada - ciągnął Jake - możemy pojechać taksówką do galerii i obejrzeć najpierw wnętrza.

Może potem pogodasie poprawii zrobimy sobie portrety.

- Urwał i spojrzał na nią z przerażeniem.

- Mattie, co się stało?

- Stało?

Poczuła, że za chwilę filiżanka wysunie jej się z rąk.

Próbowała przytrzymać delikatne porcelanowe uszko, lecz palce odmówiły posłuszeństwa.

Oczami wyobraźni ujrzała, jak filiżanka wymyka jej się z ręki i rozbija na marmurowej posadzce. Czekając bezradnie, aż stanie się to rzeczywistością.

W tej samej chwili ręce Jake'a złapały filiżankę i odstawiły ją na spodeczek, zanim brązowy płyn zdążył zaplamieć gruby biały obrus.

- Jesteś blada jak ściana - powiedział, nie spuszczając z niej wzroku.

- Nic mi nie jest.
-Nieprawda.
Co się dzieje, Mattie?
Powiedz mi.
Pokręciła z uporem głową.
- Naprawdę nic mi nie jest, tylko czuję się trochę zmęczona - wyznała niechętnie,
dochodząc do wniosku, że niemasensu dłużej protestować.
-Jeżeli mówisz, że jesteś trochę zmęczona, to znaczy, że jesteś wykończona -
przetłumaczył Jake.
- Nie tylko Francuziopanowali sztukę eufemizmu.
Uśmiechnęła się na znak poddania.
- Źle spałam tej nocy.
Możesz rzeczywiście powinnam wziąć sobiewolne.
273.

- Wspaniały pomysł.

Wrócimy dopokoju i prześpimy tendeszcz.

Ja też niewiele spałem.

- Spałeś jak niemowlę.

-To będęprzyglądał się, jak ty śpisz.

Musnęła palcami policzek Jake'a.

Jak długo jeszcze będziemygo tak dotykać?

Kiedy najlżejsza nawet pieszczota stanie się tylko marzeniem?

- Chcę, żebyś pojechał do Centrum Pompidou.

-Bez ciebie nie pojadę- zaprotestował.

- Jake, niema sensu, byśmy oboje z niego rezygnowali.

-Pojedziemy tam jutro.

- Nie.

Udasz się tam dziś rano -upierałasię Mattie.

-Jeżeli okażesię warte obejrzenia, pojedziemy tam w przyszłymroku z Kim - dodała, wspominając rozmowę z córką.

Jake podniósł dłoń Mattie do ust i ucałował jej palce.

- Napewno jejsię spodoba - rzekł.

-Sprawdź to - poprosiła miękko.

- Sprawdzę - odparł, zniżając głosdo szeptu.

Siedzieli przez kilka minut, nic niemówiąc.

- Powinieneś już iść - odezwała się w końcu Mattie.

-Najpierw zawiozę cię na górę.

- Nie musisz.

-Nigdzie nie pójde, dopóki nie upewnię się, że leżyszw łóżku.

- Nie jesteminwalidką, Jake!

- warknęła.

Ostry ton zaskoczył ich oboje.

- Proszę, nie traktuj mnie tak - dodała jużspokojniej.

- Dobrze, Mattie.

Przepraszam.

Nie chciałem.

- Wiem - zapewniła goszybko.

-To ja powinnam cię przeprosić.

Niemiałam prawana ciebie warczeć.

- Miałaś prawo.

-To chyba nie jestdobry dzień.

- Co mogęzrobić?

- spytał bezradnie.

- Możesz pojechać do Centrum Georges'a Pompidou i dobrze się bawić.

-Tego właśnie chcesz?

- Tego właśnie chcę.

Kiwnąłgłową i wstał.

- W takim razie im szybciej pojadę, tym szybciej wrócę.

274

- Nie spiesz się -odparła zuśmiechem.

- Nigdzie się niewybieram.

Ateraz idź już.

Pochylił się i pocałował ją.

Dotyk jego ust czuła jeszczeługo po jego wyjściu.

Pozostała przystoliku kilka minut, przyglądając się innym gościom - młodejparze w rogu sali, kłócącej sięcicho po hiszpańsku, dwóm kobietom w średnimwieku rozmawiającym z podnieceniem po niemiecku, amerykańskiemu małżeństwu, usiłującemu bezskutecznie zatrzymać przy stole dwóch małych synów.

Co się stało z kobietą, którą spotkała w saloniku?

Nazywała się Cynthia jakoś tam.

Broome.

Cynthia Broome.

Tak.

Nie widziała jej odtamtąd.

Wstała od stołu, dostrzegając przy okazji, że z koszyczkówna stołach zniknęły wszystkie croissants, a twarde bułki zostały.

Kto miałby się pogryźć coś takiego?

- pomyślała, idąc wolno w stronę wyjścia.

Na pewno nie ona.

Nagle jeden z amerykańskich chłopców wyskoczył z krzesła jakz prociwpadł jej pod nogi.

Kolana się pod nią ugięły.

Zachwiała się, przytrzymała najbliższego krzesła z trudem ustała na nogach.

- Natychmiast wracaj na miejsce!

- syknęła matka, sadzając jasnowłosego chłopczyka na krześle i podsuwając tak blisko stołu, jak to możliwe.

-Przepraszam - zwróciła się do Mattie z akcentem zdradzającym Nową Anglię, który harmonizował z miarowym szumem deszczu.

Chloe Dorleac, w ciemnopurpurowej jedwabnej bluzce i ciemnoczerwonej szmince na ustach, skinęła jej chłodną głową.

Smocza dama - pomyślała z rozbawieniem Mattie.

Zawróciła na pięcie i podeszła do kontuaru.

- W czym mogę pomóc?

- spytała recepcjonistka, nie podnosząc głowy.

- Chciałabym zapytać o jednego z gości - powiedziała Mattie.

- Nazywa się Cynthia Broome - dodała, gdy kobieta milczała.

- Jest Amerykanką.

- Cynthia Broome - powtórzyła smocza dama.

- Nie przypominam sobie takiego nazwiska.

- Był tu, kiedy przyjechaliśmy.

Mówiła mi, że jest tu od kilku dni.

Chloe Dorleac zaczęła przeglądać rejestr gości.

- Nie.

Nikogo o takim nazwisku tu nie ma.

275.

- To niemożliwe - upierała się Mattie, chcąc udowodnić moczej damie, że się myli, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

Była zmęczona i zaczęły ją boleć nogi.

Powinna pojechać na górę natychmiast się położyć.

- Średniego wzrostu, atrakcyjna, rude, kręcone włosy.

- Ach tak.

- W fiołkowych oczach recepcjonistki błysnęło zainteresowanie.

-Wiem, o kim pani mówi.

Ale ona nie nazywa się Cynthia Broome.

- Wtej chwili zadzwonił telefon.

-Chwileczkę -rzekła, unosząc w górę palec.

- Une minutę.

W porządku - pomyślała Mattie, czekając, aż mademoiselle Dorleac skończy żywioną rozmowę po francusku.

A więc źle zapamiętała nazwisko.

Nie miała jednak siły dłużej się nad tym zastanowić.

Zresztą co za różnica?

Cynthia Broome była najwyraźniej bardzo zajęta zwiedzaniem Paryża i zadowolona, że robi to samotnie.

Dlaczego w ogóle nie pomyślała?

- Nieważne - powiedziała do recepcjonistki, dając jej znak ręką.

Ta jednak była zbyt zajęta rozmową i śmiała się do słuchawki, chociaż jej usta pozostały prawie nieruchome.

Śmiech recepcjonistki towarzyszył Mattie do windy i podczas jazdy nad drugie piętro.

Podążył za nią do pokoju i brzmiał nadal, kiedy kładła się do łóżka, mieszał się z deszczem, kiedy zamykała oczy i poddawała się wszechogarniającej senności.

30

Śniła, że spieszy się na spotkanie z Jakiem na szczycie Łuku Triumfalnego.

Jake uprzedzał ją, żeby się nie spóźniła.

Spojrzała na zegarek i wsiadła do taksówki stojącej na zakorkowanym placu Zgody.

- Vite!

Vite!

- poleciała taksówkarzowi.

- Ciach!

Ciach!

- posłyszała z przedniego siedzenia.

- Czy pani wie, że na tym placu w czasie rewolucji francuskiej gilotynowano króla Ludwika XVI i Marię Antoninę?

W latach siedemset dziewięćdziesiąt trzy -tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt pięć straciło tu głowy tysiąc trzysta osób.

276

- Mój ojciec stracił głowę, gdy miałam osiem lat - powiedziała.

- Moja matka ją obcięła.

Nagle nie siedziała już w taksówce, lecz biegła zatłoczonym chodnikiem po Polach Elizejskich.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że zostały jej tylko dwie minuty na przejście trójpaśmowej arterii, wzdłuż której stały niezliczone kioski z jedzeniem, salony samochodowe i biura linii lotniczych.

- Przepraszam - powiedziała, wpadając na kobietę w miękki beżowy kapelusz.

- Dokąd się pani tak spieszy?

- zawołała za nią kobieta.

- Łuk Triumfalny zaczął wznosić Napoleon w tysiąc osiemset szóstym roku, ale jego budowę zakończono trzydzieści lat później!

- posłyszała głos przewodnika krzyczącego po angielsku do tłumu turystów.

Zaczęła wspinać się mozolnie na szczyt imponującej budowli.

- Czy ktoś widział mojego męża?

- spytał zbiegających po spiralnych schodach turystów.

- Spóźniła się pani - odpowiedziała kobieta okręconych rudych włosów.

- Pojechał do Centrum Georges'a Pompidou.

Grupa hałaśliwie zachowujących się chłopców wzięła Mattiena plecy i zniosła ją na sam dół, po czym zniknęła, pozostawiając w małym pozbawionym okien pokoju.

- Pomocy!

- krzyknęła, waląc w ciężkie metalowe drzwi.

Jednak im bardziej się starała, tym jej głos stawał się coraz słabszy i wkrótce słyszała jedynie echo uderzeń odbijających się od zimnych kamiennych ścian.

Puk, puk.

Kto tam?

Puk, puk.

Qu; est lu?

Puk, puk.

Otworzyła oczy.

Ciężko oddychała i miała czołomokre odpotu.

Nie znosiła takich snów.

Usiadła i spojrzała w okno.

Nadal lało, a ona spała za ledwie godzinę.

Powinna się położyć jeszcze pospać, by odzyskać siły, gdy wróci Jake.

Puk, puk.

Uświadomiła sobie, że to nie sen.

Ktoś pukał do drzwi.

- Kto tam?

Qui est lu?

Pewnie sprzątaczką.

Tylko dlaczego nie otworzy sobie drzwi

277.

własnym kluczem?

A może Jake, może zapomniał swojego klucza?

Przerzuciła nogi nad drugą stronę łóżka.

- Mattie?

- posłyszała kobiecy głos i zamarła z ręką naklamce.

Otworzyła drzwi i zobaczyła burzę wilgotnych rudych włosów.

- Okropna pogoda - rzekła kobieta, strzepując krople deszczu z kurtki i patrząc na Mattie brązowymi oczyma upstrzonymi łotymi plamkami.

- Chciałam wyjść, ale musiałam wrócić.

Nadworze jest niedo zniesienia.

Jestem Cynthia - dodała.

- Cynthia Broome.

Smocza dama powiedziała, że szukała mnie pani.

Mattie cofnęła się i zaprosiła kobietę do pokoju, po czym wskazała stojące przy oknie drewniane krzesło.

- Rzeczywiście pytałam o panią - przyznała, siadając ostrożnie na brzegu łóżka, gdy tymczasem Cynthia klapnęła na najbliższe krzesło i zdjęła mokrą kurtkę.

- Dorleac powiedziała, że niemanikogo takiego jak Cynthia Broome.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

Zebrała w dłoń rudelokii wstrząsnętaniami.

Kilka kropel wilgoci spadło na wypłowiałe dzinsy.

- Och, oczywiście.

Mój paszport - powiedziała.

- Nadal figuruję tam pod nazwiskiem męża.

Powinnam go zmienić.

Rozwiodłam się cztery lata temu.

- Rozejrzała się ostrożnie do pokoju.

- Chciała się panizemną zobaczyć.

- Tak.

Byłam ciekawa, co się z panią dzieje.

Nie widziałam pani od tamtego dnia.

- Kiedy szukała pani męża?

- W końcu go znalazłam.

Cynthia spojrzała w stronę łazienki.

- Gdziego pani schowała?

Mattie roześmiała się.

- Pojechał do Centrum Georges'a Pompidou.

Ja byłam trochę zmęczona, więc wróciłam na górę i się położyłam.

- A ja panią obudziłam?

- W oczach Cynthii błysnęła troska.

- Nic się nie stało - zapewniła ją Mattie.

- Naprawdę.

- Jest pani pewna?

- Zresztą miałam złysen.

Uratowała mnie pani.

Cynthia uśmiechnęła się, chociaż troska nie zniknęła z okrągłej twarzy.

278

- Co się pani śniło?

- To był jeden z tych głupich snów, w których trzeba gdzieś dotrzeć i nie możesz.

- Nienawidzę ich - powiedziała Cynthia.

- Są takie frustrujące.

- Czymogę pani coś zaproponować?

Herbatniki, wodę,

czekoladki?

- Nie, dziękuję.

A jakie czekoladki?

- Śmietankowe, gumowate, ciągnące.

Najgorsze z możliwych.

Wyciągnęła kuniej pudełko z trufkami, stojące na małym stoliku przyłóżku.

Okazało się jednak zbyt ciężkie i wypadło jej z rąk, a zawartość rozsypała się popodłódze.

- Och, nie!

- Nic się nie stało.

Pozbierała je - zaofiarowała się Cynthia.

Uklękła i zaczęła zbierać rozsypane czekoladki.

Po chwili leżały bezpiecznie w swoich brązowych papierkach.

- Proszę.

Nic im się nie stało.

- Przepraszam.

Cynthia sięgnęła do pudełka, wybrała największą z czekoladek i włożyła sobie do ust.

- Mmm, pycha!

Nadziwane szampanem.

Moje ulubione.

- Nawet z kurzem?

- Tak, ale proszę nie zapominać, że to francuski kurz.

A to

wielka różnica.

Mattie ponownie się roześmiała i doszła do wniosku, że polubiła Cynthię Broome.

Jaki mężczyzna był na tyle głupi, by pozwolić jej odejść?

- Gdzie pani je kupiła?

- Nie wiem.

To Jake kupował, zdaje się jakimś małym sklepikiem na prawym brzegu.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem?

- spytała Cynthia, nie spuszczać oczu z czekoladek.

- Od szesnastu lat.

- Musiała pani być bardzo młodą panną młodą.

- Panną młodą z dzieckiem - wyjaśniła, dziwiąc się, że tak chętnie zwierza się obcej osobie.

- I nadal jesteście razem - stwierdziła z lekką zazdrością głosie Cynthia.

- Może imusielicie się pobrać, ale nie musielicie dalej być razem.

279.

- Chyba tak - kiwnęła głową Mattie.

Zaśmiała się, lecz śmiech uwiązał jej w gardle i przykleił się do krtani jak kleisty kawałek czekoladki, tamując przepływ powietrza.

Zerwała się z łóżka, zrzucając leżące na kolanach pudełko ze słodyczami, i zaczęła się gorączkowawachlować.

- Boże, jak mogę panipomóc?

- spytała Cynthia, podrywając się z krzesła i wyciągając ręce w stronę Mattie.

Mattie pokręciła w milczeniu głową.

Nikt tu nie mógł nic zrobić - pomyślała, starając się zapanować nad paniką.

Przecież się niedusi - zaczęła tradycyjną litanię.

Po prostu mięśnioklatki piersiowej słabiej pracują, przez co oddech jest płytszy wydaje się jej, że nie może oddychać, ale tak naprawdę oddycha.

Nie denerwuj się.

Niedenerwuj się.

Jak może się nie denerwować, kiedy się dławi?

Umrze, jeżeli natychmiast nie wyjdzie z tego pokoju.

Musi wyjść nadwór i zaczerpnąć świeżego powietrza.

A krople deszczu wielkości grejpfruta utopią jej strach.

Lepiej utonąć niż się udusić - uznała i ruszyła do drzwi.

Potknęła się o własną stopę, straciła równowagę i upadła, uderzając policzkiem w drewnianą podłogę i rozcinając sobie wargę.

Leżała bez ruchu, wpatrując się w kłaki kurzu podłóżkiem.

Czuła w ustach smak krwi i spazmatycznie chwyciła powietrze w płuca.

Jak ryba rzucona przez rybaka na dno łodzi.

Nagle czyjeś ręce podniosły ją i przytuliły do białej jedwabnej bluzki, a potem zaczęły delikatnie kołysać jak dziecko, dopóki nie wrócił jej oddech.

- Już dobrze - powtarzała Cynthia.

- Już dobrze.

Już wszystko w porządku.

- Poplami sobie pani tę śliczną bluzkę - ostrzegła ją kilkanaście minut później Mattie, wycierając łzy z oczu i krew z wargi.

- Nic wielkiego.

- Jest pani bardzo miła.

- Nie bardzo.

Dobrze się pani czuje?

- Nie - odparła Mattie.

- Umieram.

Cynthia nic nie powiedziała, lecz Mattie zauważyła, że zeszywniała, duże piersi przestały się unosić w oddechu.

- Mam coś, co nazywa się stwardnieniem bocznym zanikowym.

To choroba Lou Gehriga - dodała automatycznie.

- Tak mi przykro - powiedziała Cynthia.

280

- W mojej torebce jest morfina.

- Wskazała na brązową płócienną torbę, leżącą na podłodze obok szafy.

- Mogłaby mi pani podać jedną tabletkę i szklankę wody?

Cynthia natychmiast wstała, obeszła rozrzucone na podłodze czekoladki i sięgnęła do torby w poszukiwaniu tabletek.

- Tylko jedną?

- spytała.

Mattie uśmiechnęła się smutno.

- Na razie - odparła.

Po chwili poczuła na języku pigułkę i wodę na wargach, którą pochłonięła tabletkę głębiej.

- Dziękuję.

Cynthia usiadła obok niej na podłodze i oparła się o krawędź

łóżka.
- Nie musi panize mną zostawać - powiedziała Mattie.
-
już mi lepiej.
Mąż powinien niedługo wrócić.
- Proszę mi onim opowiedzieć.
Najwyraźniej nie miała zamiaru wychodzić.
Mattie stanęły przed oczami niebieskie oczy Jake'a, przystojna twarz, silne ręce i delikatne usta.
- Jestwspaniałym mężczyzną.
Miłym, dobrym, kochającym.
- Pewnie również przystojnym.
-Bardzo przystojnym.
Zaśmiały się cicho.
- Więc ma pani wspaniałego męża - stwierdziła Cynthia.
-To prawda - przyznała Mattie.
- Ja też miałam kiedyśwspaniałegomężczyznę.
-Co się z nim stało?
- Zaszły pewne okoliczności - odparła enigmatycznie, wpatrując się w podłogę.
-Czy mówimy o pani byłym mężu?
- spytała Mattie.
- Ależ skąd - odrzekła ze śmiechem Cynthia.
- Chociażktowie?
Nie był ze mną na tyle długo, by się o tym przekonać.
- Nie wygląda na to, żeby panitego żałowała.
-Samanie wiem.
Zawsze mi się wydawało, że powinnamsię bardziej starać.
- Stuknęła się w skroń.
-Nigdy niebyłamzbyt mądra,jeśli chodziomężczyzn.
- Spojrzała na Mattie.
-Czy musimysiedzieć na podłodze?
- Takjest bezpieczniej - odparła Mattie.
- W ten sposóbuniknę upadku.
281.

Cynthia pomogła jej usiąść na łóżku, podłożyła pod głowę poduszki i ułożyła nogi na kółdrze.
- Nie pozwolę się pani przewrócić - zapewniła, przyglądając się jej twarzy.

- Wie pani co?

Myślę, że trzeba przyłożyć zimny okład na ten policzek.

Zaczyna puchnąć.

Ojej!

- zawołała z łazienki.

- Macie Renoira na podłodze.

Ja mam Toulouse-Lautreca.

Jane Avril tańczy kankana w Moulin Rouge.

Nieźle, co?

Bębniący szyby deszcz, lecąca z kranu woda i głos Cynthii zagłuszyły dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

Mattie niezauważyła nawet, że drzwi się otwierają i wchodzi Jake.

Spostrzegła go dopiero, gdy zamykał je za sobą.

- Ta cholerna galeria była zamknięta z powodu remontu - powiedział, zdejmując marynarkę i odwracając się z uśmiechem w stronę łóżka.

W następnej chwili uśmiech zniknął z jego twarzy.

Nagle wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko, niemal w błyskawicznym tempie.
Nawet później, gdy usiłowała sobie przypomnieć kolejność zdarzeń, nie potrafiła ich oddzielić.

- Boże, co ci się stało?

- Wszystko w porządku, Jake - zapewniła go.

- Miałam drobny wypadek.

Natychmiast ukląkł przy niej.

- Wiedziałem, że nie powinienem zostawiać cię samej.

- Już dobrze, Jake.

Nie byłam sama.

- Nie rozumiem.

- Spojrzał w stronę łazienki.

- Ktoś tam jest?

- Cynthia - wyjaśniła.

- Robi mi zimny kompres.

- Cynthia?

- Ta kobieta z Chicago, którą spotkałam w saloniku, kiedy tu przyjechaliśmy.

Pamiętasz, mówiłam ci o niej.

Cynthia Broome.

Krew odpłynęła mu z twarzy jak woda wylewająca się przez otwór.

Najpierw zbladł u policzki, a potem nawet oczy.

- Cynthia Broome?

- Zdaje się, że słyszałam moje imię.

- Cynthia wyszła z łazienki i zbliżyła się do łóżka, a Jake wstał niezdarnie.

- Pan zapewne jest Jake - powiedziała, przekładając mokry ręcznik do lewej ręki i podając mu prawą do powitania.

- Nie rozumiem - powiedział, nie odpowiadając na ten gest.

- Copani tutaj robi?

282

- Jake!

To niezbyt grzeczne z twojej strony.

- Przepraszam - wyjąkał, usiłując się uśmiechnąć.

- Wytrąciłaś mnie z równowagi.

- Odchrząknął i uniósł ręce dogóry.

- Wychodzę na godzinę, a po powrocie zastaję żonę potłuczoną i obcą kobietę w łazience.

Czy Mattie się wydało, czy Cynthia skrzywiła się na słowo "obca"?

Zupełnie jakby została uderzona.

I jak ten Jake się zachowuje?

Nigdygo takim nie widziała.

- Miała ciężki dzień - stwierdziła Mattie, kiedy Cynthia obeszła łóżko, usiadła przy niej i przyłożyła do policzka zimny ręcznik.

Jake stał jak przymurowany.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się stało?

- Miałam atak - wyjaśniła Mattie.

- Nie mogłam oddychać.

Upadłam.

Na szczęście Cynthia tu była.

Pomogła mi.

- Po pierwsze, co ona tu robi?

- spytał Jake, jakby Cynthii

nie było w pokoju.

- Powiedziano mi, że pańska żona mnie szuka.

Głos Cynthii stał się zimny jak kompres.

- Wpadłam przez grzeczność.

- Przez grzeczność?

W głosie Jake'a brzmiał wyraźny gniew.

Co mu się stało?

To do niego niepodobne.

Co prawda zawsze reagował z niecierpliwością na tych, których nie lubił.

Przypomniała sobie zdarzenie we włoskiej restauracji i wybuch wściekłości, kiedy koledzy źle zrozumieli jej zachowanie.

Ale co miał przeciwko Cynthii Broome?

Dlaczego miałby się na nią gniewać?

Chybanieczyni jej odpowiedzialną za atak duszności?

- Jake, dobrze się czujesz?

- spytała.

Przesunął drżącą dłoń po ciemnych włosach i głęboko odetchnął.

- Przepraszam - powiedział.

- To chyba przez tę pogodę.

Dobrze w tym przeklętym deszczu do galerii i okazało się, że jest zamknięta.

Potem przez ponad pół godziny nie mogłem złapać taksówki.

Gdy w końcu wróciłem, zastałem.

- Żonę potłuczoną i obcą osobę w łazience - dokończyła Cynthia.

- Dziękuję, że pomogła pani żonie.

Kiwnęła głową.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

Teraz czas na pana - dodała 283.

ła, pokazując mokry ręcznik Jake'owi.

- Ten pokój jest zaciasny dla trojga.

-Wstała z łóżka, wzięła kurtkę i podała kompres Jake'owi.

- Proszę uważać na czekoladki.

- Może zjedlibyśmy razem lunch - zaproponowała Mattie, gdy Cynthia otworzyła drzwi.

Spojrzała na zegarek.

- Zapisalam się na pewną tajemniczą wycieczkę po mieście.

Tajemnica tkwi w tym, czy będzie coś widać w tym deszczu.

- To może jutro - nie ustępowała Mattie, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

Najwyraźniej kobieta chciała jak najszybciej wyjść, a Jake nie mógł się już doczekać, żeby wyszła.

Czasami między dwojgiem ludzi powstają negatywne fale.

Matka twierdziła, że tak jest z psami.

Dlaczego więc nie miałyby to dotyczyć ludzi?

Czemu upiera się przy czymś, czego nikt nie chce?

- Jestem już zajęta nareszcie pobytu.

- Cynthia przestąpiła jedną nogę nad drugą.

- Rozumiem - powiedziała Mattie, chociaż nic nie rozumiała.

- Może spotkamy się w Chicago.

Musi pani zostawić mi adres i numer telefonu.

- Zostawiję w recepcji.

- Ponownie spojrzała na zegarek, lecz tak szybko, że Mattie wątpiła, czy udało jej się coś zobaczyć.

- Proszę na siebie uważać - dodała.

- Do widzenia, Jasonie.

- Odprowadzę panią - zaproponował nagle.

- Zaraz wracam - zwrócił się do Mattie, która patrzyła w milczeniu, jak wyprowadza Cynthię na korytarz i zamyka za sobą drzwi.

- O mój Boże!

- wyszeptala, gdy zniknęli.

Wstała z łóżka i zaczęła się pakować, pokonując z trudem przestrzeń między łóżkiem a ścianą.

- Mój Boże!

Mój Boże!

To nie może być prawda.

- O mój Boże!

"Dowidzenia, Jasonie".

"Jasonie, Jasonie, Jasonie, Jasonie".

Co to oznaczało?

Co to mogło znaczyć?

Nic dziwnego, że Chloe Dorleac nigdy nie słyszała o Cynthii Broome, bo nie było żadnej Cynthii Broome.

- Boże!

Boże!

Boże!

Nic dziwnego, że jej głos wydawał się znajomy.

Wiele razy słyszała go przez telefon.

"Kocham cię, Jasonie".

284

"Jasonie, Jasonie, Jasonie, Jasonie".

Była tu tak długo, pewnie widywała się potajemnie z Jakiem, kiedy tylko mieli okazję.

Jakie to francuskie - pomyślała.

Pojechaj do Paryża z żoną i kochanką.

- O Boże, Boże, Boże!

"Miałam kiedyś wspaniałego mężczyznę".

"Co się z nim stało?"

"

"Zaszły pewne okoliczności".

- Muszę stąd wyjść - mruknęła, otwierając szufladę w malejszej szafce przy łóżku i wyciągając z niej paszport i bilet powrotny do Chicago.

Obeszła łóżko, rozgniatając po drodze kilka czekoladek, podniósł podłogi torebkę i wepchnęła do niej paszport i bilet lotniczy.

- Muszę stąd wyjść.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz.

Nikogo w nim nie było, tylko od strony windy niosły się czyjeś głosy.

Ciekawe, dokąd poszedł Jake z Cynthią?

Nie, nie z Cynthią.

Z Honey, Honey Novak.

Honey przez e-igrę - pomyślała, wlokąc się stroną windy.

Wcisnęła guzik i nagle uświadomiła sobie, że zapomniała laski.

Nie miała czasu, by po nią wracać.

Musiała natychmiast opuścić ten przeklęty hotel, zanim wróci Jake.

Musiała dostać się na lotnisko i złapać wcześniejszy lot.

Jak będzie miał szczęście, to zanim Jake zorientuje się, dokąd poszła, będzie już w samolocie do Chicago.

Da sobie radę, nawet bez laski.

Nie miała przecież bagażu.

Nietrudno będzie zmienić bilet.

Weźmie dodatkową tabletkę morfiny i prześpi całą drogę do domu.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobi po powrocie, to zmieni zamki.

- Gdzie ta przeklęta winda?

- Uderzyła otwartą dłoń w przycisk i odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że winda rusza.

A jeśli Jake w niej będzie?

Cofnęła się, oparła o ścianę wyłożoną aksamitną niebieską tapetą i wstrzymała oddech.

Kilka sekund później zatrzymała się pusta winda.

Otworzyła wolno żelazne drzwi i weszła do środka.

Wcisnęła przypadkowo dwa guziki jednocześnie i winda musiała jeszcze raz stanąć po drodze, nim zjechała na dół.

Mattie zerknęła przez okratowane drzwi, jakby nie miała siły zrobić następnego kroku.

- Wysiada pani?

- spytał dziecinny głosik.

Kiwnęła głową chłopczykowi o jasnych włosach, stojącemu

285.

z drugiej strony krat.

Był to ten sam mały wiercipięta, którego widziała rano przy śniadaniu.

Czy naprawdę od tego czasu minęły zaledwie dwie godziny?

- pomyślała, wychodząc z windy.

Dla niej była to cała wieczność.

- Odsuń się i daj pani przejść - poleciłamatkachłopca.

- Ona tak śmiesznie chodzi - postyszała za plecami piskmałego, kiedy kuśtykała w stronę frontowych drzwi.

- Ciii - syknęła matka.

- Czemu ona płacze?

- spytał jeszcze chłopiec.

Kiedy Mattie wyszła na dwór, deszcz natychmiast zmoczył jej ubranie i włosy, które przykleiły się do policzków.

Chwilę później zatrzymała się przednią taksówką i Mattie wsiadła do środka.

- Na lotnisko de Gaulle'a.

Vite!

- powiedziała, wcierając w stłuczony policzek mieszaninę deszczu i łez.

- Vite - powtórzyła, wspominając niedawny sen.

31

- Czy zechcesz mi powiedzieć, coto, u diabła, ma znaczyć?

- zapytał gniewnym szeptem Jake.

Złapał Honey za łokieć i pchnął ją w stronę schodów.

- Uspokój się, Jasonie.

To nie tak, jak myślisz.

- Czyżby?

A co ja takiego myślę?

- Nigdy nie chciałam, żeby to się stało.

Dotarł do wąskich kręconych schodów.

Jake zawahał się, nie bardzo wiedząc, w którą stronę iść.

Zaciskał palce naramieniu Honey.

Wiedział, że sprawia jej ból, ale nie dbało to.

Miał ochotę ją zabić.

Musiał z całych sił nad sobą panować, by nie zepchnął jej ze schodów na sam dół.

Co, do cholery, robiła w Paryżu i w tym hotelu?

Co robiła w ich pokoju?

Copowiedziała Mattie?

- Mój pokój jest na czwartym piętrze - oznajmiła Honey, odgadując jej myśli.

- Chodźmy do mnie, Jasonie.

Wszystkoci wyjaśnię.

Nie pozwalając sobie na zastanowienie, pchnął ją na górę.

286

Co ona robiła w jej pokoju?

Co takiego powiedziała Mattie co wywołało atak duszności?

Jeżeli powiedziała coś, co ją zdenerwowało, udusi ją na miejscu.

Tylko że Mattie wcale niewyglądała na zdenerwowaną.

Wprost przeciwnie, była nawet wdzięczna Honey za jej obecność i zdumiona jego niegrzecznym zachowaniem.

Jak on jej to wytłumaczy?

- Klucz do pokoju jest w kurtce - powiedziała Honey.

- Nie wyjmę go, jeżeli nie puścisz mojej ręki.

Zwolnił uścisk i patrzył, jak otwiera drzwi, po czym rozejrzawszy się i wepchnął ją do pokoju,

który bardzo przypominał jej własny.

- Co to ma znaczyć?

- zapytał, zamykając za sobą drzwi.

Rzuciła kurtkę na łóżko.

Pościel poruszyła się i wyzwoliła zapach Honey, który owionął Jake'a i przypomniał wspólnie spędzone miesiące w małej, cudacznie zagraconej sypialni. Poczuł, jak jego gniew topnieje, mięśnie się rozluźniają. Zaraz jednak stanęła mu przed oczyma Mattie z sińcem na policzku, leżąca dwa piętra niżej, i znowu ogarnął go gniew, a dłoń zacisnęła się w pięści. Oderwał wzrok od łóżka i dostrzegł mnóstwo paczek, leżących w każdym dostępnym miejscu - nakrześle, na nocnych szafkach, a nawet na walizce stojącej na podłodze przy oknie.

- Zaczęłam zbierać lalki - wyjaśniła Honey, idąc za jego spojrzaniem.
- Nie wiem tylko, jak się z tym wszystkim zabiorę na lotnisko.
- Nie interesują mnie żadne lalki!
- warknął Jake.
- Chcę wiedzieć, co tu robisz.
- Zawsze chciałam zobaczyć Paryż - odparła sztywno, jakby przygotowywała się do obrony.
- Skończ z tymi bzdurami, Honey.

Dlaczego tu jesteś?

Zgarbiła się, jakby zadał jej cios w plecy, a w oczach pojawiły się łzy.

- To chyba oczywiste - powiedziała po krótkiej przerwie odwróciła się.
- Niedługo mnie.

Podeszła do okna i utkwiała wzrok w zalaną deszczem ulicę.

- Byłam zdezorientowana tym, co zaszło u ciebie w biurze - odezwała się, połykając łzy i nie patrząc na niego.
- Zdezorientowana, rozgniewana i przerażona.

287.

- Przerazona?

- O czym ona mówi?

- Czułam, że cię tracę, że już cię straciłam.

Zaprzeczyłeś, uwierzyłam w to, mimo że przestałeś do mnie telefonować.

Potem ta rozmowa w twoim biurze.

Nie mogłam tego tak zostawić.

Zadzwoiłam więc do twojej sekretarki, dowiedziałam się, kiedy wyjeżdżasz, i zarezerwowałam bilet, opłaciłam hotel i przyjechałam tu na kilka dni przed tobą.

Nie miałam żadnego planu, ona pewno niezamierzałam niczego ujawniać Mattie.

Chciałam tu być, po prostu na wszelki wypadek.

- Na jaki wypadek?

- Na wypadek gdybyś mnie potrzebował.

Gdybyś mnie zapragnął - dodała szeptem.

- Tu nie chodzi o to, czego ja chcę - powiedział.

- Myślałem, że to rozumiesz.

- Rozumiem bardzo wiele, Jasonie.

Więcej, niż przypuszczasz.

Więcej, niż ci się wydaje.

- O czym ty mówisz?

- Że mężczyzna, którego kocham, kochainną.

- Tu nie chodzi o miłość - zaprotestował - lecz o konieczność.

- Tu chodzi o miłość - powtórzyła Honey.

- Nie rozumiesz?

Kochasz swoją żonę, Jasonie.

To takie proste.

Pokręcił głową, jakby nie chciał tego słuchać.

"Kochasz swoją żonę, Jasonie.

To takie proste".

"Kochasz swoją żonę, Jasonie".

"Jasonie, Jasonie, Jasonie, Jasonie".

- O Boże!

- jęknął.

- Co się stało?

- Onawie.

- O czym ty mówisz?

- Mattie wie.

- Nie rozumiem.

Jak ona.

- Powiedziałaś do mnie: Jasonie".

- Co?

- Kiedy miałaś już wyjść, powiedziałaś: "Do widzenia, Jasonie".

- Nie, ja.

O Boże, tak, rzeczywiście.

Czy myślisz, że się orientowała?

288

Nie odpowiedział.

Wybiegł z pokoju i popędził w dół nad drugie piętro.

Honey była tuż za nim.

- Zostań - polecił, zatrzymał się przed drzwiami swego pokoju i zaczął bębnić w drzwi.

- Mattie!

Mattie, wpuść mnie!

Zostawiłem klucz w środku.

Mattie!

- powtórzył, ale już czuł, że nie ma jej w pokoju.

- Mattie!

- krzyknął.

W tym momencie otworzyły się sąsiednie drzwi i stanęła przed nimi kobieta w żółtym ubraniu na szydełku szlafroku.

-Amerykanie - mruknęła, po czym zamknęła drzwi.

- Przepraszam- posłyszał głos Honey.

- Mogłaby pani otworzyć dla mnie drzwi?

Z kim ona rozmawia?

- pomyślał, odwrócił się i zobaczył idącą Honey sprzątaczkę.

- Zapomniałem klucza - powiedział, chociaż kobietę najwyraźniej nie interesowały jego wyjaśnienia.

Otworzyła drzwi jednym z kluczy wiszących na wielkim kółku, po czym wycofała się bez słowa do swoich zajęć.

- Mattie!

- zawołał Jake.

Wszedł do pustego pokoju, zajrzał do łazienki, potem doszafy.

Jej ubrania nadal w niej wisiały.

Walizka też stoi - zauważył z ulgą, chociaż domyślił się, że nie miała ani czasu, ani siły, ani ochoty, by się spakować.

- Gdzie ona jest, u diabła?

Dokąd mogła pójść?

- Jej laska też tu jest - rzekła z nadzieją w głosie Honey.

-Niemożliwie daleko odejść.

Ale Jake już wybiegł z pokoju.

Przeskakując po dwustopniowej klatce, zbiegł do recepcji, gdzie Chloe Dorleac pochylała się nad mapą, tłumacząc coś dwóm niemieckim turystom.

- Nie widziała pani mojej żony?

- spytał.

-Ma femme -dodał, kiedy recepcjonistka zignorowała go.

- Do diabła!

-krzyknął, waląc w pulpit.

- To pilna sprawa.

- Nie wiem, gdzie jest pańska żona - chłodnym tonem oznajmiła smocza dama, nie odrywając oczu od mapy.

-Widziała pani, jak wychodziła?

To mogłoby być zaledwie dziesięć minut temu.

- Nie mogę panu pomóc, monsieur - odpowiedziała.

-W jadalni też jej nie ma - poinformowała Honey.

289.

Rozejrzał się nerwowo po hallu.

Jego zachowanie zwróciło uwagę grupki turystów, którzy skryli się tu przed deszczem.

- Czy ktoś widział moją żonę?

- zapytał.

- Czy ktoś mówił po angielsku?

- Urwał i spojrzął na ulicę.

- Czy ktoś ją widział?

Wysoka, szczupła, długie blond włosy do ramion.

Makłopoty z chodzeniem.

- Ja ją widziałem - rozległ się cieniutki głosik zza wielkiej donicy, stojącej w rogu westybulu.

Wskazywał przed jasnowłosym chłopcem ukrytym za donicą.

- Widziałeś ją?

- Bawię się w chowanego z moim bratem - odparł niechętnie chłopiec.

- Widziałeś moją żonę?

- Tak śmiesznie chodzi.

- Młodec zachichotał.

- Dokąd poszła?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Muszę się schować przed bratem, bo mnie znajduje.

- Nie widziałeś, dokąd poszła?

- Wsiadła do taksówki - wyjaśnił chłopczyk.

- Nie wiem, dokąd pojechała.

- Do taksówki?

- powtórzył Jake.

Dokąd mogła pojechać?

Zwłaszcza w taki deszcz.

Tymczasem chłopczyk uciekł w chwili, gdy pojawiła się jego matka.

- Lance, gdzie jesteś?

- zawołała.

- Do diabła!

Dość mam tych bzdur.

Zabawa skończona.

- Może powinniśmy zawiadomić policję - podsunęła Honey, lecz jej nie słuchał.

Popędził na górę.

Na szczęście drzwi do pokoju były wciąż otwarte.

Podbiegł do nocnego stolika, zajrzał do szuflady i znalazł w niej swój paszport i bilet.

Dokumenty Mattie zniknęły.

- O Boże!

Stał przez chwilę, nie mogąc złapać tchu i trząsnął się całym z denerwowania.

W końcu osunął się na łóżko i ukrył twarz w dłoniach.

- Wyjechała - powiedział, gdy Honey weszła do pokoju.

- Zabrała swój paszport i bilet i pewnie jest teraz w drodze na lotnisko.

- W takim razie proponuję, żebyś ruszył tyłek i zaczął działać - padła cicha, lecz zdecydowana odpowiedź.

290

Lotnisko Roissy, imienia generała Charles'a de Gaulle'a, to ogromny kompleks sześćnaście kilometrów na północ od Paryża.

Mieści dwa terminale, oddalone od siebie o kilka kilometrów, i składa się z dwóch budynków podzielonych na cztery części.

Jest tu również osobny terminal dla lotów czarterowych.

Lotnisko obsługuje czterdzieści linii lotniczych i sześćnaście towarzystw czarterowych.

Już po przylocie Jake miał kłopoty z znalezieniem właściwego stanowiska.

Jak ona da sobie radę?

- pomyślał, wsiadając do taksówki i poganiając kierowcę.

Chociaż z lotniska do centrum miasta było daleko, podróżnych informowano, że na dojazd

powinni przeznaczyć pełną godzinę.

Zrozumiał teraz dlaczego, patrząc na zatłoczone paryskie ulice.

- Mógłby pan jechać trochę szybciej- zwrócił się do kierowcy.

- Pius vite- powtórzył, kiedy ten pokręcił głową.

- Muszę dotrzeć na lotnisko tak szybko, jak tylko się da.

- Najważniejsze, by dotrzeć tam żywym- odparł łamaną angielszczyzną kierowca.

Jake odchylił się na popękane zielone siedzenie starej taksówki.

Lotnisko imienia de Gaulle'a było świetnie przygotowane na przyjęcie niepełnosprawnych pasażerów.

Specjalne telefony, pokoje odpoczynku, windy, mosty powietrzne, wózki i specjalne służby.

Należało tylko poinformować kogo należało.

Czy Mattie udasię to załatwić?

Czy więc,

potrafi się dogadać?

Omali się nie roześmiał.

Mattie nigdy nie miała z tym kłopotów.

Jak on ją znajdzie?

Czy zdąży na czas?

Możliwe, że nie będzie nawet zmieniać biletu.

Mogła podejść do pierwszego z brzegu stanowiska i potwierdzić bilet na najbliższy lot.

Miała też karty kredytowe.

Nie musiała wcale lecieć do Chicago.

Mogła wybrać Nowy Jork czy Los Angeles, a potem się przesiąść.

Westchnął ciężko i wcisnął niewidzialny pedał gazu.

Była zdenerwowana i rozgniewana.

Niewiadomo, co mogło strzelić jej do głowy.

Musi ją znaleźć.

Taksówkadotała na lotnisko i Jake rzucił kilka setek franków, nie troszcząc się o resztę.

Wbiegł do terminalu i spojrzał na tablicę odlotów.

- Przepraszam - zwrócił się do jednej z urzędniczek.

- Gdzie są odloty do Chicago?

291.

Pobiegł we wskazanym kierunku stronę, nie czekając, aż skończy wyjaśnienia.

- Przepraszam - powiedział, wpadając na jakiegoś starszego pana.

- Excusez-moi - powtórzył po francusku, kiedy pchnięta przez niego walizka pojechała po podłodze.

-Przepraszam.

Excusez-moi.

Excusez-moi - powtarzał, chociaż miał ochotę krzyknąć: Z drogi!

Szedł na oślep, nie bardzo wiedząc, dokąd idzie, nie widząc wokół siebie nic poza własnym celem.

- Przepraszam.

Przepraszam.

Excusez-moi.

Nagle ją zobaczył.

Siedziała na wózku, tuż przy plastikowych krzesłkach i wpatrywała się w swoje nogi.

Udało jej się pomyśleć.

Dojechała na lotnisko w padającym deszczu i bezniczyjej pomocy pokonała wszystkie zakręty i przejścia zatłoczonej hali odpraw.

Znalazła właściwe stanowisko, zdobyła wózek i z pewnością zarezerwowała sobie miejsce na najbliższy lot.

Boże, ona jest zdumiewająca!

Przystanął, by złapać oddech.

Co teraz?

Przebiegł w myślach wszystko to, co sobie zaplanował w czasie niekończącej się podróży na lotnisko.

Przygotował kilka starannie dobranych słów w swojej obronie i przemyślał parę kluczowych zdań.

Będzie to najważniejsza mowa końcowa w jego życiu.

Nagle poczuł, że leci w przód i uniósł ręce, by utrzymać równowagę.

Potrącił go jakiś mężczyzna w średnim wieku, o czerwonej twarzy, spieszący w przeciwnym kierunku.

- Excusez-moi - mruknął i poszedł dalej, nie oglądając się za siebie.

-Nic się panunie stało?

- zapytał ktoś troskliwy.

- Dziękuję, nie- odpowiedział, prostując się.

- Merci.

Merci.

- Spojrzał w stronę Mattie.

Dostrzegła go.

Ich oczy się spotkały.

W następnej chwili Mattie zaczęła gwałtownie manewrować wózkiem, chcąc odjechać.

Koła kręciły się raz w jedną, raz w drugą stronę, lecz nie ruszały z miejsca.

Sięgnęła do hamulca.

- Mattie!

Mattie!

Rzucił się w jej stronę.

Całe starannie przygotowane przemówienie w jednej chwili się rozwiało.

Mattie znalazła wreszcie rączkę hamulca, zwolniła ją i wózek ruszył do przodu, omal nie przejeżdżając mu po nogach.

- Zejdźmi z drogi, Jake!

- zawołała gniewnie Mattie.

292

- Musisz mnie wysłuchać.

-Nie mam ochoty cię słuchać.

- Mamy jakiś kłopot?

- rozległ się czyjś głos.

Jake podniósł wzrok i zobaczył muskularnego młodzieńca z amerykańską flagą na plecaku, który podnosił się z krzesła.

- Nie - odpowiedział Jake.

- Mattie.

- Zdaje się, że ta pani nie ma ochoty z panem rozmawiać - stwierdził młody człowiek.

- To niepański interes.

- Jake zastąpił Mattie drogę.

- Czy to nie jest ten adwokat Jake Hart?

- zapytał kobiecym głosem.

- Widziałam jego zdjęcie na okładce magazynu "Chicago".

- Naprawdę?

- zdziwił się męski głos.

- Jestem pewna, że to on.

Ta kobieta na wózku powiedziała do niego "Jake".

- Ta kobieta jest moją żoną - warknął Jake, odwracając się stroną głosem.

Podróżni czekający na lot do Chicago cofnęli się automatycznie.

- I muszę z nią porozmawiać.

- Wracaj do hotelu, Jake!

- zawołała Mattie.

- Twoja przyjaciółka czeka na ciebie.

- O rany!

- jęknął ktoś.

- Mattie, to nie tak, jak myślisz.

- Nie próbuj wmawiać mi, że to nie jest Honey Novak - ostrzegła Mattie.

- Nie ośmieszaj mojej inteligencji.

- Nie zamierzam temu zaprzeczać.

- To co takiego masz mi do powiedzenia?

- Nie wiedziałem, że jest w Paryżu - zaczął.

Prawda zabrzmiała gorzej niż najprostsza wymówka.

Od kiedy to prawdą jest środkiem obrony?

Czy lata praktyki niczego go nie nauczyły?

- Proszę, uwierz mi, Mattie.

Zerwałem z nią.

Od miesiąca jej niewidziałem.

- Więc jak się dowiedziała o naszej podróży?

Skąd wiedziała, gdzie będziemy mieszkać?

- Przyszła do mojego biura.

- Przed chwilą mówiłeś, że nie widziałeś jej od miesiąca.

Rozejrzał się bezradnie po poczekalni, czując się jak świadek na przesłuchaniu.

- To było tylko kilka minut.

Wpadła bez zapowiedzi.

- Widać lubi to robić.

293.

- Nie wiedziałem, że jest w Paryżu, dopóki nie zobaczyłem jej w naszym pokoju.
Mattie pokręciła głową, ocierając łzy.

- Nie mogłeś się doczekać, co?

Nie mogłeś odmówić sobie romantycznej podróży do Paryża.

Nie mogłeś jej marnować dla chorej żony.

- To nieprawda, Mattie.

Wiesz, że to nieprawda.

- Chodzi o to, że za długo żyję, tak?

- krzyknęła udręczonym głosem.

Kilku widzów wciągnęło gwałtownie powietrze.

- Mattie.

- Chcesz usłyszeć coś śmiesznego?

Polubiłam ją.

Gratuluje.

Jake Hart zna się na kobietach.

- Mówiłamci, że to on - rozległ się donośny szept.

- Wracaj do niej, Jake - doradziła z rezygnacją w głosie Mattie.

- Ona cię kocha.

- Ale ja jej nie kocham - odpowiedział.

- W takim razie jesteś głupcem.

- To święta prawda - przyznał.

Przez chwilę wydawało się, że Mattie zmięknie, że w końcu mu uwierzy.

Nagle jednak w jej oczach błysnął upór i znów spróbowała wyminąć Jake'a, na próżno usiłując wprawić koław ruch.

- No, rusz się, do cholery!

- Jake instynktownie zrobił ruch, jakby chciał jej pomóc.

- Odejdź, Jake!

- krzyknęła.

- Nie potrzebuję cię.

- Możesz mnie nie potrzebować, ale ja ciebie potrzebuję!

- wrzasnęła ku swemu zaskoczeniu.

- Kocham cię, Mattie!

- wyrzucił z siebie.

- Nie, proszę, nie mów tego.

- Kocham cię - powtórzył, klękając przed nią.

- Wstań, Jake.

Nie musisz już dłużej udawać.

- Nie udaję, Mattie.

Kocham cię.

Proszę, uwierz mi.

Kocham cię, kocham.

Zapadła długą cisza.

Wszyscy wokół wstrzymali oddech.

Jake poczuł, że on również boi się odetchnąć.

Uświadomił sobie, że nie mógłby bez niej oddychać.

Co zrobi, jeżeli teraz go opuści?

- Kocham cię - powtórzył, patrząc jej w oczy tak długo, 294

dopóki nie oślepiły go łzy.

Nie starał się jednakich wytrzeć.

- Kocham cię - powiedział jeszcze raz.

Tylko to mógł zrobić.

Wciąż milczała.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność.

- Ja też cię kocham - wyszeptała w końcu.

- O Boże!

-Rozplakał się.
- Tak bardzo cię Kocham.
- Ja też bardzo cię Kocham - powtórzyła, płacząc razem z nim.

Kocham cię.
Kocham cię.
Kocham cię.

- Wracajmy do miasta.
Znajdziemy inny hotel - zaproponował.
- Nie - odrzekła, dotykając niezdarnie jego policzka.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Już czas, Jake.
- Pokiwał zeszmutkioną głową.
- Czas wracać do domu.

32

Przylecieli do Chicago o czwartej po południu, dwa dni przed planowanym terminem.
- Coś się stało - stwierdziła Mattie, kiedy limuzyna zatrzymała się przed ich domem.
Na podjeździe stała biała furgonetka, a obok stary zielony Plymouth matki.

Co tu robi jej matka?

- przemknęło przez myśl Mattie.

Na boku furgonetki widniał napis: "Capiletti.
Generalne porządki domowe".

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - uprzedził ją Jake.

Zapłacił kierowcy limuzyny i pomógł wyjść Mattie z samochodu.

- Myślisz, że było włamanie?

A może pożar.

Obiegł wzrokiem front domu w poszukiwaniu śladów spalenizny.

- Chyba wszystko w porządku.

-Mamo!

- zawołała Mattie, kiedy Jake otworzył drzwi.

Weszła do hallu.

Jakaś kobieta w dżinsach, podkoszulkui chustce owiązanej wokół czoła przeszła przez hali w stronę kuchni, niosąc wielką zieloną torbę na śmieci.

Uśmiechnęła się do nich.

- Kim pani jest?

- spytała Mattie.

-Co się tu dzieje?

295.

- Martha?
- posłyszała dobiegający z góry głos matki, gdydziwna kobieta zniknęła w kuchni.
-To ty?
- Mamo, co tu się dzieje?
-Tylko się nie denerwuj - uspokajał Jake.
- Wcześniej wróciliście- zauważyła Viv zamiast powitaniai pośpiesznie zeszła na dół.
Podobnie jak tamta kobieta z kuchni ubrana była w starydzinsy i bluzkę.
Siwiejące włosy miałaściągnięte purpurową gumką.
- Spodziewaliśmy się was dopiero za dwa dni.
- Co tu się stało?
- spytała Mattie.
- Nie jesttak źle - oznajmiła Viv.
- Może usiądziemy.
- Co się tu dzieje?
- niecierpliwiła się Mattie.
- Była zabawa.
Niestety trochę wymknęła się spod kontroli.
Miałam nadzieję, że wszystko zostanie sprzątnięte do waszegopowrotu.
- Urządziłaś zabawę?
- spytała z niedowierzaniemMattie.
Odkiedy tomatkę bawiło coś poza psami?
- Usiądźmy - powtórzyła Viv.
Wtym momencie z gabinetu Jake'awyszedł krzepki młodzieniec w białym podkoszulku i czarnych dzinsach, niosąc fotografię Raphaella Goldchaina.
Miała połamanąramię, rozbiteszkló, a portret ze skąpo odzianą panienką był przecięty nadwie równe części nad jej pośladkami.
- Co mam z tym zrobić?
- spytał mężczyzna, machającdołnapołówą fotografii.
Gołe pośladki modelki zafalowałyprowokująco.
Jake w jednej chwili znalazł się przy mężczyźnie i odebrałmu zdjęcie.
- Boże, co się stało?
Kto tozrobił?
- Policja próbuje to ustalić- wyjaśniła Viv.
- Chodźmy dosalonu.
Musicie być wykończeni po podróży.
Jake rzucił zniszczoną fotografię na podłogę z wyrazemniedowierzania na twarzy.
Co tu się stało?
- pomyślała po razkolejny Mattie.
Nagle poczuła, że robi jej się słabo.
Oparła sięciężkona ramieniu Jake'a, który poprowadził ją do salonuiposadził na brzegu zamaszowej kanapy, poplamionej piwem i popiołem z papierosów.
- Zamszto podobno cudowny materiał -powiedziała Viv.
-Pan Capiletti obiecał tak wyczyścić tę kanapę, że będzie jak nowa.
296
- To był pan Capiletti?
- spytał Jake, wskazując na hali.
- Jego syn.
To rodzinny interes.
Musielisciespotkać paniąCapiletti, kiedy wchodziliście dodomu.
- Co ci wszyscy Capiletti robią w moim domu?
- spytałaMattie, zastanawiając się, czy jej się to wszystko nie śni.
Tamyśl podziała na nią uspokajająco.
Wciąż była gdzieśnadAtlantykiem i spała z głową wtuloną w pierś Jake'a, a wuszechdźwięczały słowa: "Kocham cię".
Za chwilę się obudzi, a onnadalbędzie przy niej nadal będzie szeptać jejdo uchaśłowa, na które

czekała całe życie.

Przekonywała siebie, że to tylko kolejny głupi i bezsensowny wytwór jej wyobraźni, wiedziała, że nie śpi, że siedzi na zasypanej popiołami poplamionej piwem kanapie, w dawnym salonie, który wyglądał teraz jak po przejściu huraganu.

- W domu była zabawa?

- spytała, patrząc na dwa krzesła, których siedzenia zostały pocięte, napianino z kształtnymi nóżkami, teraz kaleczonymi, na dywan, zasypany okruchami i innymi trudnymi do określenia resztkami, na obraz Kena Davisa, pochłapany czymś, co wyglądało na surowe jaja.

- Bałam się tego dotykać - powiedziała Viv, idąc za wzrokiem Mattie.

- Bałam się, że kiedy zacznę go czyścić, mogę zetrzeć farbę.

- Kiedy to się stało?

- W sobotę wieczorem.

Nagle już wszystko było jasne.

Mattie westchnęła, zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie.

W nozdrza uderzył ją zapach papierosów i kwaśny odór rozlanego piwa.

- Kim - rzekła bezbarwnym głosem.

- To nie była jej wina - wyjaśniła szybko Viv.

- Usiłowała ich powstrzymać.

To ona wezwała policję.

- Pozwoliłaś jej urządzić zabawę?

- Jake trzymał Mattie

zarękę.

- Nie - przyznała po chwili wahania Viv.

- Powiedziała, że idzie na zabawę, tylko nie powiedziała dokąd.

- Zapomniała wspomnieć, że jest gospodynią tej całej awantury - skomentował Jake.

- Miało być tylko kilka osób z jej szkoły, ale pojawili się jacyś obcy, którzy nie zostali

zaproszeni.

Kim kazała im wyjść, oni odmówili i sytuacja szybko się pogorszyła.

Kim zadzwoniła

297.

po policję, ale ci, co najwięcej rozrabiali, ulotnili się przed jej przyjazdem. Niestety, zdążyli zdemolować mieszkanie. Capiletti przyjechali tu z samego rana. Najwięcej szkód jest na parterze. Będziesz musiała sprawdzić, czy coś nie zginęło.

- "Spadający człowiek" - powiedziała Mattie, mając na myśli figurkę z brązu Ernesta Trovy, stojącą obok pianina.
- Taki zabawny łysy człowieczek podobny do Oscara?

- spytała Viv, a Mattie kiwnęła głową.

- Policja znalazła go natrawniku przed domem.

Myślałam, że to jakiś wyszukany młynek do pieprzu i zaniósłam go do kuchni.

- Myślałaś, że to młynek do pieprzu?

- spytała z niedowierzaniem Mattie.

- Nie znam się na sztuce - odparła z urazą Viv.
- A gdzie jest Kim?

- spytał Jake.

- Miała po szkole pójsć spotkanie z Rosemary Colicos - wyjaśniła Viv.

- Proszę, nie traktuj jej zbyt ostro, Jake.

Wiem, że źle postąpiła, ale to dobra dziewczyna. Bardzo się przejęła wszystkim i zamierza wam to wynagrodzić. Latem podejmie pracę i zapłaci zato, co nie podlega ubezpieczeniu.

- Tu nie chodziło o pieniądze.
- Wiem.

- Viv usiadła ostrożnie na jednym z pociętych krzesła.

- I ona to wie.

Mattie przypomniała sobie, że zamierzała zmienić obicia na tych krzesłach.

- A jak tam wycieczka?

- spytała Viv, jakby było zupełnie normalna sprawa w tych okolicznościach, jakby nie było w tym niczego dziwnego i niezwykłego, jakby każdy, kto wracał z podróży, zastawał zrujnowany dom.

- Wycieczka?

- powtórzyła machinalnie Mattie.

- Wycieczka była wspaniała.

- A pogoda?
- Idealna.
- Z wyjątkiem wczorajszego dnia - dodał Jake.

- Cały dzień lało.

- Rzeczywiście - przyznała Mattie.
- Zobaczyliście wszystko, co chcieliście zobaczyć?
- Prawie wszystko - odparł Jake.
- Nie mieliście żadnych kłopotów?
- Żadnych.

- Jake spojrzał na Mattie, która patrzyła na

298

puste miejsce postatuetce Trovy'ego.

- Mattie, dobrze się czujesz?

- Ona myślała, że to młynek do pieprzu - powiedziała Mattie.

Absurdalność sytuacji uderzyła w nią taką siłą, że odebrało jej oddech. I nagle wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Zaraził nim Jake'a, a nawet matkę, która wydawała się dziwnie niekompletna bez chociaż jednego z jej ukochanych psów.

Jej wzrok mówił jednak, że nie bardzo wie, z czego się śmieje.

- Może powinnaś pójść na górę i położyć się - odezwał się w końcu.

- Jest tam względny porządek i zmieniałam wampociel, tak na wszelki wypadek - ciągnęła wśród

szalonego śmiechu Mattie i Jake'a.

-Ja z państwem Capiletti zajmę się dołem.

Jutro rano możecie zadzwonić do waszego agenta od ubezpieczeń.

Zabiorę Kim do siebie na dzisiejszą noc.

- Dziękuję - wydusiła z trudem Mattie.

- Powiedz Kim, że przyjadę jutro po nią do szkoły - powiedział Jake, kiedy wreszcie przestali się śmiać.

- I powiedz, że ją kochamy - dodał miękko, pomagając Mattie wstać.

Viv skinęła głową i też wstała.

- Mamo!

- głos Mattie zatrzymał ją w drzwiach.

- Tak, Martho?

- Dziękuję.

To wiele dla mnie znaczy, że mogę na ciebie liczyć.

Zesztywniała, skinęła w milczeniu głową i wyszła z pokoju.

Mattie odpoczywała na górze w sypialni, gdy usłyszała skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, potem ciężkie kroki na schodach i po chwili zobaczyła Kim.

Miała na sobie żółty sweter zapinany na zamek błyskawiczny i wyblakłe niebieskie dżinsy.

Serce Mattie zabiło mocniej na widok nieskazitelnejurodycórki.

Moja słodka pensjonarka - pomyślała.

Czy ona zdaje sobie sprawę, jaka jest ładna?

- Cześć - powiedziała po prostu.

Mattie przygotowała się na ten moment, gdy Jake pojechał po Kim do szkoły.

Zastanawiała się, jak powinna się zachować, próbując znaleźć kompromis między sztywną a swobodną postawą, jakim tonem mówić - zdecydowanie czy ciepło, i jak

299.

zagaić rozmowę.

Jednak wszystkie te kłopoty ulotniły się pojedynym krótkim słowie: "Cześć".

- Jak się czujesz?

- spytała drżącym głosem Kim.

Odsunęła, za uszy nieistniejące pasemka włosów i wbiła wzrok w podłogę.

- Dobrze.

Lisa wpadnie dziś wieczorem, by mnie zbadać.

A jakty się masz?

Kim wzruszyła ramionami i spojrzała na wchodzącego dopokoju ojca.

- Dobrze.

Mattie poklepała łóżko.

- Usiądź przy mnie.

Kim przeniosła spojrzeniez matki naojca, jakby niebyłapewna, kogo dotyczy to zaproszenie, po czym pokręciła przecząco głową.

Dolna warga zdrzęła jej niebezpiecznie.

- Powiedz mi, co się dzieje - poprosiła cicho Mattie.

-Spieprzyłam sprawę - rzuciłabuntowniczo Kim.

- Zaprosiłam grupę ludzi, myślałam, że potrafię nad nimi zapanować, ale.

- Wiem, co się stało na zabawie - przerwała jej Mattie.

-Chcę wiedzieć, co sięz tobą dzieje.

- Nie rozumiem.

- Kim spojrzelałagalnie na ojca.

- Co czujesz, Kimmy?

- zapytał Jake.

Wzruszyła ramionami i zaśmiała się niepewnie, jakby miała kłopoty z oddechem.

- Mówisz jak moja terapeutka.

-Porozmawiajz nami, kochanie.

- A o czym tumażna rozmawiać?

Wyjechaliście, urządziłam imprezę.

Źle zrobiłam i przepraszam.

- Byłaś na nas zła za to, że wyjechaliśmy?

- spytała Mattie.

- Zła?

Skądże.

Czemu miałabym być zła?

- Bo nie wzięliśmy cię z sobą.

-To głupie.

Nie jestem przecież dzieckiem.

- Przesząpiłaz nogina nogę.

-Poza tym nie mogłabym z wami pojechać.

Mam szkołę, noi przecież to były wasze wakacje.

Rozumiemto.

- To, że rozumiesz, wcale nie oznacza, że można sobie z tym poradzić- zauważył Jake.

-Chcesz powiedzieć, że zrobiłam to specjalnie?

- Nikt nie mówi, że zrobiłaś to specjalnie - odparła Mattie.

300

- Bo byłamna waszła, że wyjechaliście?

To macie namyśli?

- Abyłaś?

- spytał Jake.

Kim powiodła wzrokiem po pokoju, jakby szukała drogiucieczki.

- Nie.

Jasne, że nie.

- Nie byłaś przypadkiem trochę zła na mnie, że zabrałamci matkę?

-Przecież jesteś jej mężem, nie?

- Nie najlepszym, o czym zresztą wiele razymówiłaś.
- Głos Jake'a był spokojny, a nawet łagodny.
- Jeśli istniało jakieś małżeństwo, to między tobą i mamą - przyznał.
- Mnie nigdy nie było w pobliżu.
- Urwał i spojrzał na córkę i żonę, jakby prosił o wybaczenie.
- Prawieszesnaście lat miałaś mamę wyłącznie dla siebie.
Inagle wszystko się zmieniło.
Mama zachorowała, a ja wróciłem do domu.
Poczułaś się odrzucona.
A potem porwałem mamę do Paryża i zostałaś sama.
-Więc co?
Jestem taką odrzuconą żoną?
To chcesz powiedzieć?
- Właśnie to - przytaknął.
- Czulaś się porzucona, zdradzona i przerażona, bo myślałaś, że tracisz mamę.
Traktowałaś mnie jak rywala - dodał ze smutnym uśmiechem.
- I nie dziwię ci się, że tak to odebrałaś.
Spojrzała bezradnie w stronę okna i zacisnęła wargi, jakby siłowała strawić to, co powiedziało jej.
- Więc wynika z tego, że byłem zła na ciebie, bo mnie zostawiłeś, bo odebrałeś mi mamę.
Dlatego zaprosiłam kupę ludzi, bo wiedziałam, że zdemolują dom, tak?
- A nie?
- Nie!
Tak!
Może!
- wykrzyknęła.
- Nie wiem, już nic nie wiem.
- Zaczęła chodzić nerwowo pomiędzy łóżkiem i oknem.
- Może rzeczywiście byłem na was zły, że wyjechaliście i zostawiliście mnie samą.
Może rzeczywiście zaprosiłam tych ludzi, wiedząc, że to się może stać.
Może chciałam, żeby to się stało.
Nie wiem.
Już nic nie wiem.
Wiem tylko, że jest mi przykro.
- Rozplakała się.
- Przepraszam.
- Już dobrze, kochanie - rzekła Mattie, pragnąc przytulić córkę.
- Znajdę pracę.
Zapłacę za wszystko.
- Później się nad tym zastanowimy - powiedział Jake.
301.

Ramiona Kim zaczęły drżeć, a po policzkach spłynęły łzy.

- Zamieszkać z babcią.

Na pewno się zgodzi.

- Czy tego właśnie chcesz?

- A wy tego nie chcecie?

- Chcemy, żebyś została z nami.

- Łzy potoczyły się po policzkach Mattie.

- Ale dlaczego?

Jestem okropna.

Dlaczego chcecie mieć zemną coś wspólnego?

- Nie jesteś okropna.

- Zobacz, co narobiłam!

- zawołała.

- Pozwoliłam im zdemolować dom.

Pozwoliłam im zniszczyć wszystkie przedmioty, które kochałaś.

- To ciebie kocham.

- Mattie znowu poklepała puste miejsce obok siebie.

- Chodź do mnie.

Kim.

Pozwól mi się objąć.

Wolno podeszła do łóżka i przytuliła się do matki.

- Jesteś małą dziewczynką, która postąpiła bardzo brzydko.

- Mattie pocałowała córkę w czoło, wysuwając niechcący spinki z włosów, które, uwolnione, rozsypały się na ramiona.

- Jesteś moją słodką kruszyną.

Bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham.

Przepraszam, mamo.

- Już dobrze, maleńka.

- Wszystkie twoje rzeczy.

- To są tylko rzeczy.

- Mattie uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

- Wyszukane młynki dopieprzu.

- Co?

- Rzeczy można zastąpić innymi, Kim - dodał Jake, siadając na łóżku.

- A jeśli nie?

- To nadal będą tylko rzeczami - odparł.

- Nie nienawidzicie mnie?

- Jak moglibyśmy cię nienawidzić?

- rzekła Mattie.

- Kochamycie - powiedział Jake, przysuwając się do nich.

- Nie jesteśmy zadowoleni z tego, co zrobiłaś, ale to nie znaczy, że cię nie kochamy, że kiedykolwiek przestaliśmy cię kochać.

Pochylił się, wyjął kilka spinek, tkwiących jeszcze we włosach córki, po czym delikatnie pogładził ją po głowie.

W następnej chwili Kim płakała w jego objęciach.

Jake trzymał ją mocnym uścisku, a potem dotknął palców Mattie.

I tak trwali w małym ciasnym kręgu, póki do pokojunie zakradł się zmrok.

302

33

Mattie siedziała w wózku na tarasie przed kuchnią i patrzyła, jak córka pływa.

Dzień był chłodny, chłodniejszy niż zwykle w ostatnich dniach września, i nadogrzewanym basenem unosiły się obłoczki pary.

Wzrok Mattie podążał zapełnionym wdziękiem ruchem ramion córki, które rytmicznie przecinały taflę wody, i gibkim ciałem pchanym w przód przez miarowe uderzenia nóg.

Ciemnoblondwłosy unosiły się swobodnie na wodzie.

Śliczna, młoda rusałka -pomyślała Mattie,wyobrażając sobie, jak płynie obok córki.
Zadrżała mimowolnie.

- Zimno pani, pani Hart?

- odezwał się głos za jej plecami.

- Trochę -wydusiła z trudem.

Natychmiast poczuła na ramionach kaszmirowy szal.

- Dziękuję, Auroro - szepnęła, nie wiedząc, czy drobna Meksykanka, którą Jake wynajął
dopomocyną początku lata, ją usłyszała.

Ostatnio głos Mattie stał się taki niski i tak słaby.

Każde słowo było męką.

Usiłowała jednak mówić, nie krztusząc się przy każdym zdaniu, a inni starali się zrozumieć,
co mówi.

- Wskakuj, George!

- zawołała Kim do wesołego szczeniaka, który biegał tam i z powrotem wzdłuż basenu.

- Woda jest bardzo ciepła.

George szczerknął odmownie, wbiegł po schodach na taras, wskoczył Mattie na kolana i
poliznął ją po twarzy.

Nietrudno było zrozumieć, co chciał przekazać- pomyślała Mattie, czując jego wilgotny język na
wargach.

Kim pomachała do matki z basenu i wróciła do pływania.

- Nie, nie!

- zaprotestowała Auroro, zdejmując piasek z kolan Mattie i stawiając go na drewnianych deskach
tarasu.

- Nie możesz lizać pani Hart po twarzy.

- W porządku, Auroro - chciała powiedzieć Mattie, lecz zamiast tego rozkaszała się.

Jeszcze kilkamiesiące temu zaczęłyby machać rękami, by wtłoczyć tlen do płuc, teraz
jednak kościste ramiona tkwiły bez ruchu po bokach, a zdeformowane palce leżały na jej kolanach.
Tylko głowa się poruszała, drżąc gwałtownie przy każdym oddechu.

303.

- Już dobrze, już dobrze - uspokajała Aurora, przyzwyczajona do takich ataków, nie spuszczać wzroku z Mattie, dopóki oddech nie wrócił do normy.

- Już dobrze- powtórzyła, otarła Mattie łzy, wygładziła włosy i poklepała po bezużytecznych dłoniach, spoczywających narównie bezużytecznych kolanach.

-Podać coś dopicia?

Może wodę albo sok.

- Wodę - odparła Mattie, słysząc wyraźnie tylko pierwszą sylabę, bo druga zniknęła niczym para z basenu w chłodnym powietrzu.

Kiedy tylko Aurora weszła do kuchni, George natychmiast wskoczył Mattie na kolana, przejechał dwa razy językiem po twarzy, łaskocząc ją w nos.

Mattie zaśmiała się, a szczeniaku sadowił się na kolanach, grzejąc zimne dłonie ciepłym futerkiem.

Poczuła się tak, jakby miała na rękach wełniane rękawiczki.

Co mówiło stare porzekadło?

Szczęście to ciepły szczeniaku.

Popatrzyła na niego z zachwytem, obserwując, jak zamyka oczy i natychmiast zasypia.

Wystarczyło, że zapewnił mu wygodne miejsce do spania, a on rewanzował się miłością.

Bez żadnych warunków.

Poczuła, że kocha tego psiaka.

Przez tyle lat nawet nie dopuszczała do siebie myśli o psie w domu, a teraz była zakochana w nim bez pamięci.

Słodkie maleństwo - pomyślała, żałując, że nie może go pogłaskać.

- Och nie, uciekaj stąd - powiedziała Aurorai spędziła George'a, zanim Mattie zdążyła zaprotestować.

Przytknęła szklankę do jej ust.

Mattie przełknęła mały łyk, czując, jak woda spływa jej do gardła.

-Jeszcze trochę - poleciła Aurora.

Mattie pokręciła przecząco głową, chociaż czuła pragnienie.

Jednak im więcej piła, tym więcej wydalala, a ona bała się tych naturalnych reakcji organizmu.

Najbardziej w swojej chorobie nie znosiła tego, że odzierała człowieka ze wszystkiego, co było kiedyś sprawą naturalną - z możliwości poruszania się, wolności, prywatności i wreszcie, co było najokrutniejsze, z godności.

Nie mogła sama iść do łazienki, ktoś musiał ją tam zanieść, podciągnąć ubranie, posadzić na sedesie i potem wytrzeć.

Aurora była aniołem.

Robiła wszystko bez słowa skargi.

Tak jak Kim i Jake, kiedy Aurora wychodziła.

Ale Mattie nie chciała, by jej córka odgrywała rolę pielęgniarki i żeby mąż ją wycierał.

"Musisz jeść i pić - powtarzali.

-

304

Musisz być silna".

Ale ona była już zmęczona.

Miała już dość tego przymusowego dzieciństwa.

Mogłoby trwać latami, a ona nie chciała, by taką ją zapamiętano.

Chciała umrzeć, zachowując chociaż pozory godności.

Już czas.

- Brrr!

- pisnęła Kim, wychodząc z basenu owijając się w wielki karmazynowy ręcznik.

-Po wyjściu zawsze jest zimno.

- George natychmiast podbiegł ku niej i zaczął zlizywać wodę z jej stóp.

-No i coo tym sądzisz?

- spytała Kim, wbiegając po schodach z nieodstępującym ją George'em.

-Pięćdziesiąt długości.

Całkiem nieźle, prawda?

- Tylko nie przesadz - rzekła wolno Mattie.
- Nie przesadzę.
Jeśli znowu wpadnę w trans, przestanę.
Obiecuję.
Mattie uśmiechnęła się.
Dni dwugodzinnych treningów i zastanawiania się nad każdym zjedzonym produktem na szczęście minęły.
Kim zmieniła szkołę i nieźle się zapowiadała.
Raz w tygodniu chodziła do Rosemary Colicos.
Również Jake zaczął doniej chodzić.
Czasami nawet chodzili razem.
Z każdym dniem córka i ojciec stawali się sobie bliżsi.
Już czas.
- O której godzinie zaczyna się ten mecz baseballowy?
- spytała Mattie, a Kim pochyliła się, by ją lepiej słyszeć.
- Tata mówił, że o siódmej.
- Spojrzała na zegarek.
- Powinam zacząć się szykować.
Jest prawie piąta.
Muszę jeszcze umyć włosy.
Mattie kiwnęła głową.
- To idź.
Szykuj się.
Kim pochyliła się i cmoknęła matkę w kościsty policzek.
Mattie poczuła dotyk warg ichłódnego policzka na twarzy.
- Bardzo cię kocham - powiedziała.
- Ja też cię kocham - odparła Kim.
Wzięta ręką George'a i wbiegła do domu, zanim Mattie zdążyła powiedzieć coś więcej.
- My też wejdziemy do środka - oznajmiła Aurora, obracając wózek i pchając go do kuchni.
Amoże janie chcę - pomyślała Mattie.
Wiedziała jednak, że nie ma sensu protestować.
Pozbawiono ją możliwości podejmowania decyzji, a w każdym razie znacznie je ograniczono.
Jaki sens ma dokonywanie wyborów, kiedy nie można nad

nimi panować?

Nie miała pretensji do Aurory.

Zresztą donikogo nie miała pretensji.

Nie dziwiło ją to uszczęśliwianiem się.

Nie było też sensu się gniewać.

To, co ją spotkało, nie było niczym nowym, ani matki, ani jej, ani Pana Boga.

Jeżeli Bóg istniał, na pewno nie chciał, żeby ją spotkało.

Nie mógł też nic zrobić, żeby ulżyć jej cierpieniu.

Po miesiącach bezradnego przyglądania się, jak jej ciało stopniowo traci wadze, zapada się, wiotczeje, a sylwetka rozciąga się i wykrzywia jak w deformującym lustrze, doszła do stanu, który Thomas Hardy nazwał kiedyś "życliwą obojętnością wszechświata".

Może to był Camus?

Nie miała jednak dość siły, by sobie przypomnieć.

Czuła się bardzo zmęczona.

Już czas.

"To był najlepszy czas i najgorszy" - wyrecytowała w myślach.

Karol Dickens.

Co do tego nie miała wątpliwości.

To był najgorszy rok w jej życiu, a jednocześnie najlepszy zarazem ostatni.

Już czas.

- Cześć, kochanie, jak się masz?

Jake wszedł do kuchni, w chwili gdy Aurora zamykała drzwi tarasu.

Mattie uśmiechnęła się, jak zwykle, gdy patrzyła na męża.

W ciągu tych ostatnich miesięcy ubyło mu kilka kilogramów, a w ciemnych włosach pojawiły się srebrne nitki, do czego przyczyniła się jej choroba.

Nie stracił jednak niczego z swego umysłu.

Twierdził, że utrata kilogramów i siwe włosy to cena, jaką zapłacił za powrót do pracy.

Nie wrócił już do kancelarii, ale udzielał konsultacji w wielu trudnych sprawach, poza tym spotykał się z kilkoma innymi, takimi jak on, wolnymi prawnikami, którzy planowali założenie własnej firmy na początku przyszłego roku.

Powiedział im, że go to nie interesuje i jest zadowolony z pracy we własnym biurze, ale Mattie zauważyła ogień zapalający się w jego oczach za każdym razem, gdy z nimi rozmawiał, i domyśliła się, że brakuje mu codziennych procesów sądowych.

Jak długo jeszcze będzie go wstrzymywać?

Nawet niemożność go już dotknąć - pomyślała, gdy przywarł wargami do jej ust.

Już czas.

Wszystko szło ku lepszemu.

Prywatny detektyw, którego

306

wynajął Jake, by odnaleźć brata, znalazł kilka obiecujących tropów.

Było trzech Nicholasów Hartów w podobnym wieku i pasujących wyglądem do Nicka - jeden na Florydzie, drugi w Wisconsin i trzeci na Hawajach.

Możliwe, że któryś z nich był bratem Jake'a, a nawet jeśli nie był, to pierwszy krok został już zrobiony.

Nie musiała już czekać, by Jake dobiegł do mety.

On już wygrał.

- W przyszłym tygodniu otwierają nową wystawę fotograficzną w Pender Fine Arts - powiedział Jake, siadając na krześle, by móc patrzeć Mattie w oczy.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pójść w przyszłą sobotę i zabrać Kim ze sobą.

Kiwnęła głową.

Jake powiesił z powrotem na ścianie zniszczoną fotografię Raphaella Goldchaina i Kim spłacała muzanię po dziesięć dolarów tygodniowo z kieszonek.

Doszło do tego, że uznał ten obraz za swoją własność i zaczął wykazywać autentyczne zainteresowanie fotografowaniem.

- Powinniśmy kupić Kim nowy aparat.

- Jake jakby czytał Mattie w myślach.

-Ten stary jest zbyt prosty.

Kiwnęła głową.

- Ojej, nie mamy już prawie mleka - zmartwiła się Aurora, wyjmując butelkę z lodówki.

-Wpadnę do sklepu i kupię -zaofiarował się Jake.

- I sok jabłkowy - dodała Aurora.

-Kupię je po meczu.

Tak wielerobił - pomyślała Mattie.

A tyle już poświęcił:

Honey i własną karierę.

Wszystko dla niej.

Nie mogła żądać od niego więcej.

Już czas.

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

- spytała.

-Czy wiesz, ile radości wniosłeś w moje życie?

- A czy wiesz, ile ty wniosłaś w moje?

- odpowiedział pytaniem.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi.

- To Lisa - domyśliła się Mattie, gdy Aurora poszła otworzyć.

George zgłośnym szczekaniem zbiegł ze schodów.

- Jak się Mattie dziś czuje?

- postyszała głos Lisy, pytającej Jake'a, który wyszedł do hallu ją przywitać.

- Trochę przygnębiona - odparł Jake.

- Może nie powinienem dziś wychodzić.

307.

- Bzdura!
- prychnęła Mattie, powodując tym atak duszności, i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy Jake obiecał, że niezmieni planów.
- Wspaniale wyglądasz - powiedziała Mattie do Lisy, podziwiając nową krótką fryzurę przyjaciółki i zastanawiając się, jak sama by w niej wyglądała.
Już nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz była w salonie fryzjerskim.
- Dziękuję - odrzekła Lisa, po czym sięgnęła do torby lekarskiej, wyjęła z niej aparat do mierzenia ciśnienia i założyła opaskę uciskową na ramieniu Mattie, jakby było to coś zupełnie normalnego.
- Ty też nieźle wyglądasz.
- Dziękuję - odparła Mattie.
Nie było sensu protestować.
Schudła ponad dwadzieścia kilogramów, skórę miała tak cienką, że niemal przezroczystą, a ciało powyręcane niczym precelek.
Tymczasem wszyscy wciąż powtarzali, że jest piękna, jakby choroba pozbawiła ją zdolności oceniania siebie i rozróżniania między tym, co jest, a tym, co mogłoby być.
- Dziękuję - powtórzyła.
Czemu nie miałyby udawać, że wierzy, iż jest piękna?
Cóż było w tym złego?
- Rozmawiałam ze Stephanie i Pam i ustaliśmy, że urządzimy małe przyjęcie w przyszłym miesiącu.
Dwunasty października wam odpowiada?
- Naturalnie - odpowiedział za nią Jake.
- Świetnie - rzekła Lisa, wsłuchując się w tętno płynące w żyłach Mattie.
- Powiem innym.
Dam wam znać godzinie i miejscu.
- Odłożyła stetoskop i zdjęła opaskę uciskową z ramienia Mattie.
- Wszystko w porządku - oznajmiła, chociaż oczy mówiły co innego.
- Słyszałaś ostatnie nowiny o byłym mężu Stephanie?
- Mattie pokręciła głową.
- Zaczęła domagać się swoich praw, gdy dowiedziała się o Enochu.
- Zostawię was teraz same i pójdę dokończyć parę spraw - powiedział Jake, pocałował żonę w czoło i wyszedł z kuchni.
- Stephanie kazała go śledzić - ciągnęła bez mrugnięcia okiem Lisa.
- Okazało się, że ten dupek prowadził coś w rodzaju podwójnego życia.
Przez następne czterdzieści pięć minut Mattie słuchała plotek życia intymnego i rodzinnego wspólnych znajomych i obcych ludzi.
Dowiedziała się, kto z kim chodzi w wielkim
308
świecie, które filmy zasłużyły na rozgłos, a które nie, które aktorki wszczepiły sobie implanty i kto w filmowym światku poddał się ostatnio operacji plastycznej.
- Każda kobieta po czterdziestce, która nie ma zmarszczek, na pewno zrobiła sobie lifting twarzy - stwierdziła autorytatywnie Lisa.
Mattie uśmiechnęła się i pomyślała, że nie będzie jej dane przeżywać tak nieistotnych problemów.
Ile by dała, żeby mieć kilka zmarszczek!
Ile by dała, żeby zmienić się w pomarszczoną staruszkę!
- Aha, ukazała się jakaś nowa książka na kasecie - przypomniała sobie Lisa.
- Nie pamiętam tytułu, ale gdzieś go zapisałam.
Przyniosę ci przy następnej wizycie.
Potrzebujesz czegoś?
- spytała, patrząc na zegarek.
Mattie zerknęła na dwawiszące w kuchni zegary.
Wskazywały godzinę 18.
05 i 18.

07. Już czas - pomyślała.

- Zadzwoń domowej matki - powiedziała wolno i wyraźnie.
- I poproś ją, żeby przyjechała.
Lisawycięła z szuflady notes z telefonami i wystukała numer Viv.
- Będzie tu za godzinę - oznajmiła, odkładając słuchawkę.
- Kto będzie za godzinę?
- spytała Kim, wchodząc do kuchni, gotowa do wyjścia.
- Długie włosy opadały luźno na ramiona podczapką z napisem "Chicago Cubs".
- Wybierasz się na stadion Wrigleya?
- spytała Lisa.
- To nasz szczęśliwy rok.
- Kim się zaśmiała.
- Kto będzie za godzinę?
- ponowiła pytanie.
- Twoja babcia.
- Babcia?

A po co?

- W niebieskich oczach Kim błysnął niepokój.
- Gotowa?
- spytał Jake, wchodząc do kuchni.
- Może nie powinniśmy iść - zastanowiła się Kim.
- Czy coś się stało?
- Matka Mattie ma tu przyjechać - odparła Lisa.
- Wspaniale.

W czym problem, Kimmy?

- Mamo?
- spytała Kim.
- Czy coś się stało?

Mattie przyglądała się twarzom męża i córki, starając się zapamiętać każdy szczegół.

Cofnęła się myślami w przeszłość przywoływała zdarzenie po zdarzeniu - pierwsze spotkanie

z Jakiem, pierwszą ich wspólną noc, przyjdzie na świat ślicznejmałej dziewczynki.
-Bardzo was Kocham- rzekła wyraźnie.

- Pamiętajcie o tym.
 - My też cię Kochamy - powiedział miękko Jake, całując ją usta.
- Niedługo wrócimy.
 - Jesteś wspaniała - szepnęła mu do ucha, chłonąc jego smak, zapach i dotyk.
 - Kim pochylała się i przytuliła matkę, jakby to ona była matką, a Mattie dzieckiem.
 - Bądź cierpliwa dla ojca - poprosiła Mattie, zanim córka zdążyła coś powiedzieć.
- Staraj się zaakceptować to, co sprawia radość.
 - Kim spojrzała matce w oczy, jakby rozumiała, jakby się domyśliła.
 - Jesteś najlepszą z wszystkich matek - powiedziała cicho, tak by tylko Mattie usłyszała.
 - Moje śliczne dziecko.
- Ukryła twarz we włosach córki, .
starając się zapamiętać ich zapach i imię.
- Idź już - ponagliła ją delikatnie.
- Już czas.
 - Kocham cię - rzekła Kim.
 - Kocham cię - powtórzył Jake.
 - Kocham was - pomyślała Mattie, odprowadzając ich wzrokiem.

Na zawsze pozostaną w jej sercu.
Dbajcie o siebie.

- Pani coś mówiła?

- spytała Aurora, podchodząc z miską świeżej zupy.
 - Mattie pokręciła przecząco głową.
 - Rosół z kury zkluseczkami.

Dobrze pani zrobi.

- Ja ją nakarmię, Auroro - zaoferowała się Lisa, odbierając jej rękę miseczkę.

- Idź do domu.

Zostanę z Mattie, dopóki jej matka tu nie przyjedzie.

- Jest pani pewna?

- Aurora zahała się i popatrzyła na Mattie.
 - Możesz iść - zapewniła Mattie.

-1 dziękuję, Auroro.
Dziękuję za wszystko.

- No to do jutra.
- Do widzenia - odrzekła Mattie, podążając za nią wzrokiem.

Jeszcze jeden portret do wieczystego albumu.

- Zupa czeka - oznajmiła Lisa, gdy zostały same, i podsunęła jej łyżkę do ust.

- Wspaniale pachnie.
310
 - Dziękuję - odpowiedziała Mattie, otwierając usta niczym ptaszek i czując, jak ciepły płyn sypły do gardła.
- Dziękuję ci za wszystko.
 - Nie gadaj, tylko jedz.
 - Pozwoliła się nakarmić, póki w miseczce nie została ani jedna kropla zupy.
 - Ktoś tu był głodny.
- Lisa usiłowała się uśmiechnąć.
 - Dobrze cię przyjaciółka - skomentowała Mattie.
 - Lata praktyki - odrzekła Lisa.
- Tyle lat już się przyjaźnimy.
Ile to już.
ponad trzydzieści?
 - Trzydzieści trzy - uściśliła Mattie.
- Pamiętaj, kiedy się poznałyśmy?
- spytała po chwili zastanowienia.

Lisa również usiłowała sobie przypomnieć.

- Nie.

- Pokręciła głową.

-A ty?

- Nie - uśmiechnęła się Mattie.

Zaśmiały się.

- Pamiętam tylko, że zawsze przy mnie byłeś - przyznała Mattie.

- Kocham cię.

Wiesz o tym, prawda?

Wiedziała.

- Ja też cię kocham - odrzekła.

-Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała Mattie do matki.

Wyglądało na to, że Viv dołożyła wszelkich starań, by ładnie wyglądać.

Miała na sobie lawendową bluzkę i szare eleganckie spodnie.

Umalowała nawet lekko usta.

- Jak się czujesz?

- spytała, rozglądając się niespokojnie po sypialni, po czym utkwiała wzrokiem w szczeniaku zwiniętym obok Mattie na łóżku.

-Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję, ty też.

Viv przesunęła dłonią po włosach.

- Zdaje się, że George znalazł przyjaciela.

-Chyba lubi tu spać.

Viv pogładził psa po grzbiecie.

Natychmiast obrócił się i odsłonił brzusek, machając w powietrzu łapkami, jakby prosił o więcej.

Jak łatwo go zrozumieć - pomyślała Mattie, patrząc, jak matka gładzi psa po brzuszku.

Jego gesty są proste i jednoznaczne.

- Miło było znowu zobaczyć Lisę - powiedziała Viv.

- To

311.

zadziwiająco.

Wygląda tak samo, jak wtedy, gdy miała dziesięć lat.

- W ogóle się nie zmienia - przyznała Mattie, uświadamiając sobie, jakie to krzepiące.
- Nie mogę nadziwić się, że została lekarką.
- Zawsze chciała nią być- odparła Mattie.

- Kiedy bawiła się w doktora, to rzeczywiście nim była.

Viv zaśmiała się.

- Mówisz znacznie lepiej - stwierdziła z wyraźną ulgą.
- Masz taki silny głos.
- Raz jest silny, raz nie - odrzekła Mattie.
- Dlatego nie możesz się poddawać, nie możesz tracić nadziei.
- Nie ma żadnej nadziei, mamo - powiedziała Mattie najłagodniej, jak mogła.

Matka zeszywniała i podeszła do okna.

- Dni robią się coraz krótsze.
- Tak.
- Pewnie wkrótce trzeba będzie przykryć basen.
- Już niedługo.
- Kim mówi, że już całkiem nieźle pływa.
- Kim wychodzi dobrze wszystko, czego się podejmie.
- Toprawda - przyznała Viv.
- Będziesz nanią uważała?

Przypilnujesz, żeby nic jej się nie stało?

Cisza.

- Mamo.
 - Oczywiście, że będę na nią uważała.
 - Ona bardzo cię kocha.
- Viv spojrzała na sufit.

Broda zaczęła jej drżeć, a dolna wargawydęła się i przykryła górną.

- Widziałaś zdjęcie, jakie zrobiła mi z psami?
- Tak, jest bardzo ładne - odpowiedziała Mattie.
- Ona ma prawdziwy talent.

Myślę, że powinna go rozwijać.

Mattie uśmiechnęła się smutno.

- Myślę, że powinnaś mnie teraz posłuchać.
 - A ja myślę, że powinnaś się teraz przespać - upierała się Viv.
- Jesteś zmęczona.

Odpoczynek dobrze ci zrobi.

- Mamo, proszę, posłuchaj mnie.

Już czas.

- Nie rozumiem.
- 312
- Myślę, że rozumiesz.
 - Nie.
 - Mamo, obiecałaś.

Cisza.

- Co chcesz, żebym zrobiła?

Mattie zamknęła oczy.

- Dziękuję - szepnęła i odetchnęła głębiej.

Potem otworzyła oczy i popatrzyła w stronę łazienki.

- Butelec z morfiną jest w apteczce.

Rozgnieć szesnaście tabletek, zmieszasz je z wodą i dasz mi po trochu do wypicia.

Matka wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca i nic nie powiedziała.

- A potem mogłabyś posiedzieć przy mnie, póki nie usnę.
- Zrobisz to dla mnie?

Viv skinęła wolno głową, szcękając zębami, jakby zrobiło jej się zimno.

- W apteczce?

-Przy umywalce znajdziesz łyżeczkę i szklankę!

- zawołała ją Mattie, czując, że głos jej zamiera.

Zmówiła w myślach cichą modlitwę bez słów.

Podjęła właściwą decyzję.

"Przestań się wahać".

Już czas.

Viv wyszła z łazienki z buteleczką morfiny w jednej ręce i szklanką wody w drugiej.

- Łyżeczka- przypomniała jej Mattie.

-A tak.

Odstawiła wodę i tabletki na nocną szafkę i wróciła do łazienki.

Szła wolno, na sztywnych nogach jak automat.

Wzięła łyżeczkę i jeszcze wolniej podeszła do łóżka, jakby była nakręcaną lalką, która za chwilę znieruchomieje.

- Będzie dobrze - zapewniła ją Mattie.

- Odłóżysz wszystko na miejsce.

Nikt się o niczym nie dowie.

- Co ja im powiem?

Co powiem Jake'owi i Kim, gdy wrócą do domu?

- Prawdę, że czuję się dobrze i usnęłam.

-Chyba nie dam rady tego zrobić.

Ręce tak jej się trzęsły, że musiała trzymać łyżeczkę obudłoniach.

Wygląda, jakby się modliła - pomyślała Mattie.

- Dasz radę - przekonywała.

- Musisz dać radę.

- Nie wiem.

Chyba nie.

313.

- Do diabła, mamol!

Robiłaś to swoim psom.

Nie chciałaś, żeby cierpiały.

- Teraz to co innego - powiedziała błagalnym głosem matka.

- Jesteś ciałem z mojego ciała, krwią z mojej krwi.

Niemogę tego zrobić.

- Owszem, możesz - odparła z mocą Mattie, starając się zmusić matkę, by na nią spojrzała, podeszła do łóżka, odłożyła łyżeczkę i otworzyła buteleczkę z morfiną.

-Wiem, Martho, że nie byłam dobrą matką- przyznała Viv.

Łzy spływały jej po policzkach, na których wykwitły krwiste rumieńce.

- Wiem, że bardzo cię zawiodłam.

- Więc teraz mnie nie zawieź.

-Wybacz mi, proszę.

- Już dobrze, mamol.

Już dobrze.

- Wybacz mi -powtórzyła Viv, odsuwając się od łóżka.

-Ale nie mogę tego zrobić.

Nie mogę.

- Mamol.

-Nie mogę.

Przykro mi, Martho, ale niemogę.

- Nie!

- krzyknęła Mattie, gdy matka wybiegła z pokoju.

-Nie możesz mnie zostawić!

Nie możesz!

Musisz mi pomóc!

Musisz!

Mamol, wróć!

Usłyszała, jak drzwi frontowe się otwierają i zamykają bezpowrotnie.

- Nie!

- krzyknęła.

-Nie, nie możesz odejść!

Nie możesz mnie zostawić!

Musisz mi pomóc!

Zaczęła się krztusić, kaszleć i rzucać po łóżku jak rybana dnie łodzi, aż pies rozszczękał się zaniepokojony jej zachowaniem.

- Pomóżcie mi!

- krzyknęła do milczących ścian.

-Błagam, niech ktoś mi pomoże.

Przesunęła się stroną szafki przy łóżku, zrzucając na podłogę szklankę z wodą i buteleczkę z morfiną.

Po chwili samstoczyła się za nimi, lądując z głuchym stuknięciem na lewym boku.

Poczuła w ustach i w nosie dywan.

Tuż obok skomlał pies.

Leżała tak przez całą wieczność, czując, jak powoli wracającej oddech.

Pies leżał przypulśniętym ramieniu i lizał ją potwarzę.

Od morfiny dzieliło ją jakieś sześćdziesiąt centymetrów, lecz nie była w stanie jej dosięgnąć.

Nawet gdyby zdołała, i tak nicby to nie dało, bo jak otworzyłaby butelkę?

Spojrzała

314

w stronę okna, na panującą za nim ciemność, pragnąc, by wtargnęła do środka, by otuliła ją swoim płaszczem zakończyła cierpienia.

Wtedy usłyszała kroki na schodach.

Otworzyła oczy.

- O Boże, Martho!

- krzyknęła Viv.

Objęła córkę i zaczęła kołysać jak małe dziecko.

- Przepraszam.

Przepraszam.

- Wróciłaś - wyszeptła Mattie.

- Nie zostawiłaś mnie.

- Chciałam.

-Ale nie zostawiłaś.

- Otworzyłam drzwi i usłyszałam twój płacz.

Chciałam wyjść, ale nie mogłam - mówiła Viv drżącym głosem.

- Przeniosę cię na łóżko.

Udało jej się podnieść Mattie z podłogi i wciągnąć na łóżko.

Podłożyła jej poduszki pod głowę, okryła kocem, poczym niespiesznie, bez jednego słowa, wzięła z podłogi pustą szklankę i poszła z nią do łazienki.

Zaszumiła woda i po chwili matka wróciła do sypialni z pełną szklanką.

Postawiła ją na nocnej szafce, ponownie schyliła się, tym razem pobuteleczkę z morfiną, otworzyła ją, szybko rozgniotła łyżeczką dwadzieścia tabletek i wysypała je do wody.

Potem przytrzymała głowę Mattie i przystawiła jej szklankę dowarg, powoli wprowadzając płyn do ust.

Miał gorzki smak i Mattie z trudem go przełknęła.

Smak ciemności - pomyślała.

Patrzyła, jak wolno i systematycznie ubywa go w szklance, aż w końcu nie zostało ani kropli.

- Dziękuję - szepnęła, kiedy matka odstawiła naczynie na szafkę, po czym objęła córkę i przytuliła jej głowę do głośno bijącego serca.

- Kocham cię, Mattie - powiedziała.

Mattie zamknęła oczy ze spokojem, wiedząc, że matka zostanie przy niej, dopóki nie zaśnie.

- Po raz pierwszy tak mnie nazwałaś.

Przez chwilę leżała nieruchomo w objęciach matki, potem poczuła, jak powietrze wokół niej zaczyna wirować, ręce i nogi stają się lekkie i zaczynają prostować, palce rozciągają się nabierając giętkości.

Po chwili ramiona zatoczyły łuk, a nogi się ugięły.

Jąpłynie - pomyślała ze śmiechem, wynurzając się z ciemności i dążąc w stronę światła, pod czujnym okiem matki, strzegącej jej bezpiecznej wędrówki.

315.

Pomyślała o Jake'u i Kim, o tym, jacy byli wspaniali i jak bardzo ich kochała. Przesłała im ciche pocałunki i zniknęła za chmurą.

34

Mattie sięuśmiechała.

Jake patrzył z miłością na trzymane w ręku zdjęcie, przedstawiające jego żonę przed pałacem Tuileries, przesuwając palcami wzdłuż linii rozciągniętych w uśmiechu ust.

C'est magnifique, n'est-ce pas?

- postyszał jej głos, biorąc do ręki następną fotografię, na której Mattie opierała się o nagą figurę z brązu dłuta Maillola.

- Magnifique- powtórzył cicho, patrząc przez okno gabinetu na ciagle zielone liście na drzewach, poruszane wyjątkowo ciepłym jak napaździernik wiatrem.

Ponownie spojrzał należące przed nim zdjęcia.

Czy to możliwe, że minęło już sześć miesięcy od ich wycieczki do Paryża?

Czy to możliwe, że minęły już trzy tygodnie od śmierci Mattie?

Zamknął oczy, przywołując w pamięci ostatni wieczór z życia Mattie.

Wraz z córką wyszedł z meczu pod koniec ósmej części, kupili po drodze mleko i sok jabłkowy i wrócili do domu nieco wcześniej, niż planowali.

Samochód Viv wciąż stał na podjeździe.

Słyszał, jak teściowa krząta się na górze, aż w końcu ją zobaczył.

- Co z nią?

- zapytał.

- Śpi spokojnie - odpowiedziała.

Śpi spokojnie - powtórzył w myślach, przypominając sobie, jak podszedł do łóżka, odsunął kilka pasemek włosów z czoła Mattie, tak by jej nie obudzić.

Oddychała miarowo i spokojnie.

Rozebrał się, wsunął pod kołdrę i otoczył Mattie ramieniem.

- Kocham cię - wyszeptał tak jak wtedy, gdy leżał obok niej, walcząc z ogarniającą go sennością, pragnąc patrzeć na Mattie jak najdłużej i przeprowadzić ją bezpiecznie z ciemności w światło dnia.

W pewnym momencie musiał jednak usnąć.

Obudził się nagle o trzeciej w nocy.

Wydałomu się, jakby

316

któs potrzasał go za ramię.

Początkowo myślał, że to Mattie, że jakimś cudem odzyskała władzę w rękach i szturcha go żartobliwie, i wtedy ją zobaczył.

Leżała w tej samej pozycji co przed kilkoma godzinami.

Mimowolnie wstrzymał oddech.

Nagle zdał sobie sprawę z ciszy panującej w sypialni.

Towłaśnie ona go obudziła.

Usiadł, pochylił się i dotknął ustami czoła Mattie.

Było nienaturalnie zimne, dlatego automatycznie okrył ją kołdrą, czekając uparcie, aż jej klatka piersiowa zacznie miarowo unosić się i opadać.

Nie dostrzegł jednak żadnego ruchu w tej samej chwili zrozumiał, że Mattie nie żyje.

Spojrzał ponownie na zdjęcia z Paryża, czując pod powiekami piekące łzy, i przypomniał sobie, jak objął swoją zmarłą żonę i leżał tak do rana.

- Co robisz?

- postyszał niepewny głos Kim.

- Oglądam zdjęcia z mamą - odpowiedział, ocierając łzy, lecz nie starając się ich ukryć.

Uśmiechnął się na widok towarzyszącego Kim psa.

- Zastanawiam się, które z nich wybrać do oprawienia w ramkę.

Usiadła obok niego na kanapie, przytulając się do ramienia.

George natychmiast wskoczył za nią i usadowił się na kolanach.

- Na wszystkich ślicznie wygląda.

- Właśnie.

Dlatego tak trudno mi wybrać.

- No to popatrzmy.
- Wzięła od niego zdjęcia i zaczęła przeglądać.
- To nie - rzekła z powagą głosem, chociaż Jake wychwytał w nim lekkie zdenerwowanie.
- To nie jest ostre.

Iż jej wykadrował.

Za dużo chodnika.

Ale to jest dobre.

- Wskazała na fotografię Mattie przed katedrą Notre-Dame.
- Stała naniej z rozwianymi włosami i oczami błękitniejszymi od paryskiego nieba.
- Tak - przyznał Jake.

- Mnie też się podoba.

- I to.

- Kim popatrzyła na zdjęcie jego i Mattie przed wieżą Eiffla, zrobione przez japońskiego turystę.

- Mimo że nie jest właściwie wykadrowane?

- To piękne zdjęcie - odparła Kim.

- Wyglądacie na bardzo szczęśliwych.

Uśmiechnął się smutno i objął córkę ramieniem, świadomym zazdrośnego spojrzenia George'a.

- Jak się dzisiaj czujesz?

- spytał.

- Chyba dobrze.

A ty?

317.

- Chyba dobrze.

-Bardzo jej brakuje.

- Mnie także.

Przez okna do gabinetu wpadły promienie słońca, odbiły się od ich pleców i rozproszyły po pokoju.

Nagle do uszu ojca córki dotarł cichy warkot.

- Chyba ktoś przyjechał - powiedziała Kim.

Delikatnie postawiła George'a na podłodze, wysunęła się z objętojca i podeszła do okna.

- To babcia Viv.

Jake uśmiechnął się.

Matka Mattie często ich odwiedzała, wpadając na niezapowiedzianą kawę i zadziwiająco serdecznych uścisk.

- Coś chyba przywiozła - oznajmiła Kim, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

Jake podszedł do córki zobaczyć, że Viv wyciąga coś z tylnego siedzenia samochodu.

- Coto może być?

- zastanawiała się Kim.

Toczący było duże, prostokątne i owinięte w brązowy papier.

- Wygląda mi na obraz - zauważył Jake.

Matka Mattie dostrzegła ich w oknie i pomachała im na powitanie, omal niewypuszczając pakunku z ręki.

- Co tam masz, babciu?

- spytała Kim, otwierając drzwi.

George skakał podekscytowany wokół Viv.

- Już dobrze, George, daj mi przejść - powiedziała Viv.

Oparła paczkę o ścianę, uściskała Kim i kiwnęła głową Jake'owi.

- Pozwól mi zdjąć płaszcz.

Dobry pies.

Jake powiesił jej płaszcz w szafie, obok płaszcza Mattie.

Nie zrobił jeszcze porządku z ubraniami żony, chociaż wiedział, że w końcu będzie musiał się tym zająć.

Był już najwyższy czas.

Czas, żeby wrócił do pracy, a Kim do szkoły, czas, żeby rozpocząć nowe życie.

"Przestań się wahać" - zanucił w myślach, zastanawiając się, dlaczego ta stara piosenka nagle przysłała mu do głowy.

- Co to jest, babciu?

- ponowiła pytanie Kim.

- Coś, co powinno sprawić wam przyjemność.

Zaniósł pakunek do salonu, usiadła na kanapie i zaczęła, aż Jake i Kim zajmą miejsca naprzeciwko niej.

Wtedy rozdarła papier, odsłaniając portret małej dziewczynki o jasnych włosach, niebieskich oczach, znieśmiałym uśmiechem

318

na twarzy.

Był to amatorski obraz, wykonany prostą techniką, o niewygladzonych konturach, śmiałej kolorystyce i z widocznymi śladami pociągnięć pędzla, tworzący dziwną mieszaninę stylów. Jednak postaci na portrecie nie sposób było nie rozpoznać.

- To Mattie - powiedział Jake, wstając z krzesła, by lepiej się przyjrzeć.

Oparł portret o stolik do kawy, stojący na środku pokoju.

- To mama?

- Tak, gdy miała cztery lub pięć lat - wyjaśniła Viv, poczym odchrząknęła i dodała: - Jej ojciec to namalował.

Kim i Jake spojrzeli na nią wyczekująco.

Ponownie odchrząknęła.

- Musiałam go zanieść na strych, kiedy odszedł.

Przypomniałam sobie o nim dopiero dziś rano, gdy się obudziłam.

-Zamilkła.

- Tak czy owak, weszłam na strych, co nie byłowcałe takie łatwe, zaczęłam go szukać i znalazłam.

Okazało się, że jest w całkiem dobrym stanie i wygląda lepiej, niż go zapamiętałam. Pomyślałam sobie, że chcielibyście go mieć.

Jake strzepnął kilka niewidzialnych włosów z czoła dziewczynki na portrecie.

Mattie była ślicznym dzieckiem, a z wiekiem zrobiła się jeszcze piękniejsza.

- Dziękuję - powiedział.

- Dziękuję, babciu.

- Kim podniosła się ze swego miejsca i przytuliła do babci.

- Nigdy nie zrozumie, jak on mógł tak po prostu odejść - podjęła Viv.

- Jak on mógł zostawić własną córkę?

Był z sobą tacy zżyci.

- Pokręciła głową.

- Byłam zazdrosna o więź, jaka ich łączyła.

Zawsze tylko Mattiei tata.

Nigdy ja.

To głupie - ciągnęła, zanim zdążyli wtrącić słowo.

- Głupie odrzucać część siebie i odwracać się od dziecka, które cię potrzebuje.

- Nie odwróciłaś się od niej - zaprzeczyła Kim.

- Odwróciłam.

Przez te wszystkie lata, kiedy dorastała.

- Byłaś przy niej, kiedy najbardziej cię potrzebowała.

Dotrzymałaś obietnicy, babciu - szepnęła Kim, kiedy Viv przycisnęła dłoń do ust, by stłumić płacz.

- Nie odwróciłaś

Jake przysłuchiwał się tej wymianie zdań, czując zimny dreszcz przebiegający mu po plecach.

Potwierdziło się to, co od dawna podejrzewał.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko, potem

319.

usiadł na kanapie i przyciągnął do siebie obie kobiety.

Kołysali się tak przez chwilę, zatopieni w myślach, a zdeorientowany pies przechodził z jednych kolan na drugie, usiłując znaleźć sobie wygodne miejsce.

- Co my bez niej zrobimy?

- spytała Viv.

Było to pytanie retoryczne, ale Jake na nie odpowiedział.

- Nie wiem.

Chyba trzeba będzie żyć dalej i troszczyć się o siebie, tak jak chciała Mattie.

- Myślisz, że kiedyś znowu będziemy szczęśliwi?

- spytała Kim.

- Tak - odparł, całując córkę w czoło.

Popatrzył na portret i zobaczył promienny uśmiech dorosłej Mattie, jaśniejący w twarzy małej dziewczynki.

- Na razie będziemy udawać, że jesteśmy szczęśliwi - dodał cicho.

Koniec